

PIEKARA

JACEK

Świat
inkwizytorów

Płomień
TOM II
i krzyż



fabryka słów®
WYDAWNICTWO



foto © Fabryka Słów

JACEK PIEKARA

Jeden z najpopularniejszych pisarzy fantastycznych. Prowokujący. Zaskakujący. Potrafi rozbawić, zbulwersować, dotknąć do żywego.

Debiutował w sierpniu 1983 r. opowiadaniem „Wszystkie twarze szatana” na łamach miesięcznika „Fantastyka”. Jego pierwszą powieścią był „Labirynt” wydany w 1986 r.

Od tego czasu opublikował kilkadziesiąt opowiadań i powieści, z których największą sławę przyniósł mu Cykl Inkwizytor-ski – opis świata, w którym Jezus nie umarł na krzyżu, ale zstąpił z niego i pokarał swych wrogów ogniem i żelazem.

W 1990 r. otrzymał Nagrodę Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction dla autora roku, w 1989 r. nominowany do Nagrody im. J.A. Zajdla.

Jako redaktor naczelny czasopisma „Fantasy” otrzymał w 2005 r. nagrodę Złoty Meteor.

Fanatyk historii, wytrawny kucharz i miłośnik adrenaliny.

JACEK
PIEKARA

Świat
inkwizytorów

Płomień
TOM II
i krzyż

Ilustracje
Leszek Woźniak

fabryka słów®
Lublin – Warszawa

Spis treści

Przednia okładka książki

O autorze

Strona tytułowa

Katarzyna

Katrina

Roksana

Enya

Matylda

Valeria Flavia

Tytuły w serii

Tylna okładka książki



Katarzyna



Oczy Anioła nie przypominały oczu żadnego znanego stworzenia. Ani człowieka, ani zwierzęcia. Przywodziły na myśl labirynt wypełniony korytarzami szaleństwa, które prowadzą wprost w otchłań smutku i bólu. Smutku i bólu tak bezbrzeżnych i tak oszalamiających swym ogromem, że aż przechodzących w zapiekłą nienawiść do każdej istoty, która podobnego bólu oraz podobnego smutku nie jest w stanie odczuwać. Anioł skrzyżował spojrzenie z Arnoldem Löwefellem, lecz ten nie cofnął wzroku.

– Zaproszono mnie – oznajmił obojętnym tonem inkwizytor.

Można by się spodziewać, iż stojąc koło tak wielkiej istoty jak Anioł, człowiek będzie czuł jakiś zapach. Potu? Skóry? Piór? Tymczasem Löwefell, dzięki nadzwyczajnie wyczulonemu węchowi, mógł poczuć nawet zapach metalowych ogni kolczugi, zapach drewnianych drzwi, zapach kamiennych murów, ale ciało Anioła zdawało się być zapachową pustką. Kompletną nicością. Gdyby zamknąć oczy, to o istnieniu Anioła nie przekonałyby ani słuch, ani węch.

Anioł zdawał się nie słyszeć słów Löwefella, gdyż nie odstąpił nawet na krok i nadal zasłaniał rzeźbione drzwi swym ogromnym, obleczonym w srebrzystą kolczugę ciałem. Jego skrzydła były co prawda zwinięte za plecami, lecz Löwefell dojrzał, jak ruszają się i drgają, w każdej chwili

gotowe, by wystrzelić niczym góry pędzącego lodu i zmiażdżyć wszystko, co stanie na ich drodze. Cały czas nie odrywał wzroku od oczu Anioła, również cały czas widział w nich przejmujący ból i smutek oraz przeszywającą nienawiść. Nie skierowaną do niego, jako do Arnolda Löwefella, inkwizytora Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium, lecz jako do istoty niebędącej w stanie doświadczać tych samych uczuć. Czy Anioł mu zazdrościł, czy nim pogardzał? Zapewne i jedno, i drugie...

Wreszcie Anioł odstąpił na bok, przesuając się z zadziwiającą, jak na tak potężną posturę, szybkością i lekkością, i odsłonił drzwi z mosiężną klamką i mosiężną kołatką. Kołatkę wykuto w kształcie węża nanizanego na miecz. Wąż miał jeden oczodół pusty, drugi połyskujący krwawym kryształem rubinu. Inkwizytor zastanawiał się przez chwilę, czy ma to określone znaczenie symboliczne, czy też po prostu kamyk wypadł z kołatki i nikomu nie chciało się wstawić go na miejsce. Tak czy inaczej, Löwefell i tak nie miał zamiaru pukać, tylko od razu nacisnął klamkę i wszedł do środka. W komnacie panował półmrok, jedynym miejscem lepiej oświetlonym był róg pokoju, gdzie na obitym prążkowanym atłasem fotelu siedziała czarnowłosa kobieta. Obok niej płonęły grube świece umieszczone w świeczniku, którego trzy ramiona wyrzeźbiono na kształt rozwartych smoczyc paszcz. Komnata pełniła rolę gabinetu lub biblioteki, gdyż dębowe półki wypełnione były pięknie oprawionymi woluminami. We wnętrzu pachniało skórą, drewnem, papierem i fiołkami. Ten ostatni zapach, zapach olejku, balsamu, a może perfum, z całą pewnością był już osobistą zasługą przebywającej w bibliotece damy.

– Katarzyno... – Löwefell zatrzymał się tuż za progiem.

Kobieta uniosła głowę znad książki.

– Inkwizytor Löwefell. Jak miło cię widzieć, Arnoldzie – przywitała go serdecznym tonem, jakby spotkała kogoś dawno niewidzianego, lecz darzonego życzliwością i przyjmowanego z otwartym sercem.

Miała ciepły głos młodej, wykształconej kobiety.

– I ja ogromnie się cieszę, Katarzyno.

Nic nieznaczące, zdawkowe formuły czyniące z nas, dwojga drapieżników, coś na kształt cywilizowanych istot, pomyślał Löwefell. Chociaż może naprawdę jest zadowolona, że mnie spotyka? Tylko czy

nie jest to przypadkiem zadowolenie kota mogącego zabawić się z myszą? A może medyka, któremu pozwolono dokonać sekcji szczególnie interesującego przypadku?

– Chodź i siadaj. – Wskazała fotel stojący dwa kroki od jej siedziska. Nadal uśmiechała się serdecznie.

– Dziękuję.

Wiedział, że nie są sami w pokoju, ale nie chciał przyglądać się gabinetowi poprzez bariery dzielące rzeczywistości. Po pierwsze, nie byłoby to uprzejme, po drugie, Löwefell wolał jednak zachować ostrożność i ani nie wykazywać nadmiernej ciekawości, ani nie zdradzać, jakimi dysponuje siłami i w jaki sposób je stosuje.

Podszedł spokojnym krokiem i usiadł, opierając dłonie na poręczach. Przyglądał się swej gospodyni z zaciekawieniem, pozbawionym jednak grubiańskiej bezpośredniości. A więc wreszcie znalazłem cię, Piękna Katarzyno, pomyślał. A w zasadzie: wreszcie to ty pozwoliłaś mi się odnaleźć, dodał szczerze.

– Długo mnie szukałeś, Arnoldzie – odezwała się, jakby odgadując jego myśli.

– Bardzo długo.

Pokiwała głową, nie odrywając wzroku od gościa. Löwefell wyobrażał sobie, że to spojrzenie wielu ludzi mogłoby wprowadzić w zakłopotanie, wielu innych zauroczyć. Jemu jednak nie robiło żadnej różnicy, czy Katarzyna spogląda wprost na jego twarz, czy błędzi wzrokiem po bibliotecznych półkach.

– I jak mnie znajdujesz? – Tym razem zerknęła z figlarnym zaciekawieniem.

Przydomek nie kłamał. Katarzyna była kobietą wielkiej urody. Jej delikatną, alabastrową twarz okalały krucze loki, a głębokie oczy błyszczały niczym czarne diamenty. I uśmiech. Katarzyna miała zniewalający uśmiech, taki, jaki chciałoby się widzieć zarówno u przyjaciółki, jak i u kochanki. Na Löwefella nie działał jednak urok tej niezwyklej kobiety. Inkwizytor Arnold Löwefell nie miał ani nie pragnął mieć innego przyjaciela niż Bóg, a o urokach cielesnej miłości zapomniał już dawno temu. I w żaden sposób nie kusilo go, by sobie o nich przypomnieć. Nie aby ta strona życia brzydziła go lub by musiał się

powstrzymywać przed korzystaniem z niej, niczym asceci chłосzczący ciało, by wybić z niego wszelkie żądze. Löwefella po prostu nie interesowało fizyczne obcowanie z innym człowiekiem, niezależnie od tego, jakiej płci byłby to człowiek. Poza tym inkwizytor był na tyle utalentowany (czy też może lepiej powiedzieć: na tyle sprawnie odzyskiwał dawne talenty), że widział, iż postać ślicznej, młodej kobiety to jedynie maska. Płaszcz, który narzuciła na siebie potężna i złowroga czarownica. Oczywiście czarownica służąca teraz sprawie Dobra i Światła, czarownica stojąca po tej samej stronie barykady co Löwefell, czarownica ciesząca się ogromnym zaufaniem Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium, ale jednak... czarownica.

– Widzisz mnie, prawda, Arnoldzie?

I znowu podążała bez trudu ścieżką jego myśli. Czy czytała w nich wprost, czy też po prostu jego zachowanie było tak łatwe do rozszyfrowania?

– Oczywiście – odparł. – Tak jak i ty zapewne widzisz mnie – dodał.

– O tak. – Skinęła poważnie głową, tym razem bez uśmiechu.

No właśnie, pomyślał Löwefell, nic dziwnego, że trudno jej się uśmiechać, kiedy widzi moją prawdziwą postać. Kiedy zamiast szpakowatego, postawnego mężczyzny o kwadratowej szczęce i szarych, bystrych oczach dostrzega otoczonego czarnym kłębem, bladoliciego starca o twarzy wyglądającej niczym trupia czaszka obleczona cienkim pergaminem. Bo tym również jestem, przyznał Löwefell nie po raz pierwszy w życiu i na pewno również nie po raz ostatni. Jestem również tym, kim byłem kiedyś, a byłem postrachem chrześcijan i zajadłym wrogiem najświętszej wiary. Jak dobrze, że ten etap życia już się zakończył...

– Wiele nas łączy, Arnoldzie – odezwała się Katarzyna.

Löwefell bez namysłu skinął głową, chociaż oczywiście zupełnie nie zgadzał się z tym twierdzeniem. Nie łączyło ich niemal nic. On był inkwizytorem, całkowicie oddanym Jezusowi i Świętemu Officjum, człowiekiem ulepionym i ukształtowanym na nowo. A ona była jedynie wiedźmą. Czarownicą nadal dysponującą ogromną mocą, lecz pozbawioną aury świętości, emanującej z każdego prawowiernego inkwizytora.

Teraz, kiedy oswoił się z wnętrzem gabinetu i skoncentrował, dostrzegł postać Anioła stojącego za oparciem fotela Katarzyny. Ten Anioł miał przymknięte oczy i wydawał się drzemać, a jego śnieżnobiałe, rozłożone skrzydła tworzyły wokół czarownicy coś na kształt ochronnej klatki. Dziwnie wyglądała ta ciemnowłosa kobieta, w sukni czarnej i połyskliwej niczym futro kreta, otulona alabastrowymi skrzydłami Anioła. Jednak Löwefell miał nieodparte wrażenie, że strażujący Anioł nie jest jedyną niewidzialną istotą przebywającą w komnacie. Prześladowało go uczucie każące domyślać się obecności kogoś jeszcze. Kogoś bardzo niebezpiecznego i bardzo silnego. Inkwizytorowi wydawało się nie tyle, że jest badany i oceniany, ale wręcz dokonywana jest na nim wiwisekcja przez kogoś ukrywającego się poza barierami realnego świata. Lecz tego kogoś Löwefell nie był już w stanie dojrzeć bez odwołania się do świętej magii, której rzecz jasna nie wypadało stosować, będąc zaledwie gościem.

– Widzisz również ich, prawda? – zapytała Katarzyna.

– Widzę Anioła – odparł szczerze Löwefell, gdyż nie zamierzał udawać, że dostrzega coś, czego nie dostrzega.

– Mój strażnik – uśmiechnęła się czarownica. – Nie w znaczeniu strażnika więziennego – wyjaśniła zaraz, zupełnie niepotrzebnie, gdyż inkwizytor zdawał sobie doskonale sprawę, jaką rolę pełni Anioł. – Raczej ktoś w rodzaju gwardzisty lub protektora...

– Psa łańcuchowego? – poddał Löwefell, pozwalając sobie na celową złośliwość, gdyż chciał, by Anioł otworzył oczy.

– O właśnie! – Katarzyna uniosła smukły palec o wypolerowanym paznokciu. – Dobrze powiedziane.

Ku rozczarowaniu inkwizytora Anioł najmniejszym gestem nie dał poznać po sobie, że w ogóle słyszy ich rozmowę. Jego okolona złotymi puklami twarz, biała niczym kamienie z Thassos, pozostawała nieruchoma. Właśnie tak wyglądała. Jakby wykuto ją z kamienia, zaklinając w rzeźbie na wieczność oszałamiające i przy tym całkowicie nieludzkie piękno.

– Trzęsą się tu nade mną, jakbym była afrykańskim kwiatkiem wyrosłym na śniegu – poskarżyła się Katarzyna żartobliwym tonem.

Löwefellowi spodobało się to porównanie, więc uśmiechnął się

życzliwie. Katarzyna na pewno nie przypominała delikatnego kwiatu, była raczej niczym krzak dzikiej róży, pachnący, obsypany zachwycającym kwieciem, a jednocześnie pełen długich, ostrych kolców. Z tą różnicą, iż kolce Katarzyny nasączono śmiertelną trucizną. Nie oznaczało to jednak, że klasztor nie musiał jej chronić przed niebezpieczeństwem. Dlaczego była aż tak cenna dla Wewnętrznego Kręgu? Z uwagi na wielkie zdolności? Z uwagi na dostrzeżony w niej ogromny potencjał? A może również z uwagi na fakt, że była matką mężczyzny, w którego umyśle zaklęto bezcenną i tajemniczą księgę Szachor Sefer? Którą z odpowiedzi można uznać za prawdziwą? Wszystkie? Żadną?

– Czemu zawdzięczam twe zaproszenie? – zdecydował się zapytać, lekceważąc zwyczaj każący gościowi czekać, aż gospodarz sam przejdzie do sedna rzeczy.

– Byłam zaintrygowana i zaciekawiona. Pragnęłam poznać tego, kto mnie tak pilnie szukał. – Uśmiechnęła się słodko. – A poza tym chciałam ci osobiście podziękować, że zaopiekowałeś się moim synkiem.

Taaak, rychło w czas zdecydowałaś się na poznanie i podziękowania, zważywszy, że minęło od tego czasu wiele lat, pomyślał zgryźliwie Löwefell.

– To on uratował mi życie – wyjaśnił na głos. – Otruł ludzi Hakenkreuza, którzy mnie uwięzili. Wykazał się odwagą i sprytem.

Löwefell przypomniał sobie tamten dzień i przypomniał sobie młodego rebelianta, który ocalił mu życie. Teraz, dzisiaj, z tymi zdolnościami, które w sobie odkryłem, nie dałbym się już pojmać gromadzie łajdaków, pomyślał. Ale cóż, wtedy znaczyłem mniej i potrafiłem mniej. Próbowano mnie i testowano, a to, że zaszedłem tak daleko, było skutkiem również tego, iż nie bano się mnie hartować w ogniu walki.

– Tak, wiem – głos Katarzyny wyrwał go z rozmyślań. – Wiem również, że nadałeś mu nowe imię i nazwisko. Mordimer Madderdin. – Wzruszyła ramionami. – Naprawdę mogłeś bardziej się postarać...

W jej głosie zabrzmiała żartobliwa nuta, ale Löwefell zdecydował się wytłumaczyć swój wybór.

– Miałem sługę w Brytanii, który nosił imię Mortimer...

Katarzyna obojętnie machnęła ręką. Löwefell przyjrzał się jej pięknie wyrzeźbionym, szczupłym dłoniom i dopiero teraz na jednym z palców dostrzegł pierścień połyskujący okiem błękitnego kalaitu, minerału nazywanego „kamieniem zwycięstwa”. Czy specjalnie założyła ów klejnot, zapytał Löwefell samego siebie. Czy celowo zaświeciła mi przed oczami turkusem, z którego sływały kopalnie Niszapur, tam gdzie tysiące niewolników pracowało u stóp wznoszącego się pod niebo, błyszczącego śniegiem i lodem Dachu Khorasanu?

– Nieważne – powiedziała. – Imię to jedynie skóra węża. Możemy ją zrzucić i bez trudu założyć nową. Czyż nie tak, Narsesie?

Löwefell skinął głową, nie zdziwiony bynajmniej, że nazwała go jego dawnym, perskim mianem. Był pewien, że Katarzyna wie bardzo, bardzo dużo o nim samym, o jego przeszłości i jego dokonaniach. Ba, był przekonany, iż ta kobieta wie więcej o życiu Narsesa, niż on sam był sobie w stanie teraz przypomnieć. Jednak Arnold Löwefell miał nadzieję, iż zaginiona pamięć kiedyś powróci. Powróci, by mógł dzięki niej lepiej wykorzystać swe życie dla Chrystusa.

– Imię łatwo zmienić – zgodził się. – Szkopuł w tym, że nie każdemu udaje się odmienić serce.

Usta czarownicy zacisnęły się w wąską kreskę.

– Wiem, że uważasz mnie za kogoś gorszego niż ty sam – odparła chłodno.

– Nie jesteś gorsza, jesteś po prostu inna – odparł inkwizytor zarówno bez zniecierpliwienia, jak i bez wyższości.

– Inna – powtórzyła kobieta. – To akurat niestety prawda, Arnoldzie. A może: na szczęście prawda? A może, jak zwykle: i to, i to?

Löwefell nie odpowiedział na pytania, bo też nie sądził, ani by warte one były odpowiedzi, ani by teź odpowiedzi od niego oczekiwano.

– Przejdźmy do rzeczy – odezwała się tym razem chłodno i bez uśmiechu. – I pomówmy o tym, z jakich jeszcze powodów cię zaprosiłam, bo jak się domyślasz, nie chodziło o to tylko, by kłopotać cię podziękowaniami.

– Chętnie odpowiem na wszystkie pytania.

– Prześledziłeś losy Szachor Sefer – zaczęła Katarzyna – i trafnie odkryłeś, że księga została ukryta za pomocą zaklęcia...

Löwefell skinął głową.

– ..jak również byłeś ostatnim człowiekiem rozmawiającym z wiedźmą, która owo zaklęcie przeprowadziła...

– Prawdopodobnie – przerwał jej.

– Prawdopodobnie?

Löwefell przypomniał sobie staruchę konającą na ulicach Koblencji i przypomniał sobie również, kim ona była wcześniej: jedną z najpiękniejszych kobiet Persji i maginią ognia. Znamienitą, biegłą w sztuce starożytnej, przekazywanej od dziesiątków pokoleń. W końcu sam ją uczyłem, pomyślał, chociaż nie pamiętał treści tych nauk. W tym miejscu, jak i w wielu innych, pamięć odmawiała mu posłuszeństwa.

– Umarła. Lecz sama wiesz, że śmierci nie do końca można ufać...

Katarzyna wolno skinęła głową.

– Co stało się z trupem?

– Tego nie wiem.

– Czemu go nie zniszczyłeś? – spytała rozdrażniona. – Wiesz przecież, jak niebezpieczne było pozostawienie truchła wiedźmy!

Löwefell doskonale rozumiał, że jej pytania oraz zarzuty donikąd nie prowadzą, a Katarzyna wcale nie jest zainteresowana odpowiedziami. Najwyraźniej jego rozmówczyni z jakichś, sobie tylko znanych powodów postanowiła go zaatakować w sprawie, która dawno temu została gruntownie wyjaśniona. Bowiem kiedy Löwefell spotkał staruchę na ulicach Koblencji, nie zdawał sobie jeszcze sprawy z faktu, że może być ona groźna nawet po śmierci, zwłaszcza w rękach kogoś, kto potrafi magicznym sposobem spreparować doczesną powłokę człowieka i wydobyć z niej tłącą się przez jakiś czas po zgonie esencję życia.

Dlatego też inkwizytor nie uznał za stosowne odezwać się ani słowem. Przecież Katarzyna doskonale wiedziała, iż wtedy w Koblencji Löwefell dysponował zaledwie ułamkiem wiedzy oraz umiejętności, które teraz stały do jego dyspozycji. Ale to, że zdawała sobie z owego faktu sprawę, nie przeszkadzało jej, by próbować upokorzyć Löwefella niestosownymi uwagami. Inkwizytora jednak niewiele to obchodziło i nic, co powiedziała Katarzyna, nie mogło go dotknąć osobiście. Rozmowę z czarownicą traktował wyłącznie jako sposób na poznanie kogoś, kto mógł stać się wrogiem, mógł stać się sprzymierzeńcem, a z całą

pewnością niezależnie od jednego czy drugiego, był niezwykle interesującym składnikiem mozaiki, jaką tworzył Wewnętrzny Krąg Świętego Oficjum.

Wreszcie, po dłuższej chwili milczenia, Katarzyna wzruszyła ramionami.

– Nieważne. Nie mieliśmy żadnych doniesień na ten temat, więc ufam, że nic złego się nie wydarzyło.

I znowu zapanowała cisza.

– Jak ona miała na imię? – zagadnęła nagle Katarzyna. – Roksana?

– Tak, Roksana – odparł, świetnie zdając sobie sprawę, że czarownica sama zna odpowiedź.

– Podobno była urodziwa...

Löwefell ujrzał jak przez mgłę smagłą, kruczowłosą piękność o oczach głębokich i błyszczących niczym studnie wypełnione nocą.

– Niektórzy mówili, że jest najpiękniejszą kobietą Persji – odparł, uśmiechając się nie do Katarzyny, lecz do własnych wspomnień. – Nazywano ją Fiołkiem Kaviru. Kaviru, gdyż właśnie z tej prowincji pochodziła jej rodzina – wyjaśnił.

– Trujące zielsko – burknęła Katarzyna i Löwefell teraz zrozumiał, że kobiecie używającej olejków pachnących fiołkami mogło się nie spodobać, iż Fiołkiem nazywano wrogą i niebezpieczną wiedźmę. – Kiedy ją spotkałam, wyglądała niczym spróchniały pień na bagnisku – dorzuciła Katarzyna tym razem z wyraźną satysfakcją w głosie.

Tak właśnie było. Potężna magia, dzięki której ukryto przed inkwizytorami świętą księgę Szachor Sefer, zniszczyła urodę oraz młodość perskiej księżniczki.

Roksana była lojalna wobec nas do samego końca, pomyślał Löwefell. A może nie wobec nas, a po prostu wobec mnie, dodał. Czy raczej lepiej mówiąc, wobec Narsesa, swego mistrza oraz nauczyciela.

– Nadal nic nie wiecie o księdze? Nadal nie wiecie, jak ją odzyskać? – spytał, pozwalając sobie na celową złośliwość tylko, by sprawdzić reakcję czarownicy.

– Wiemy o niej dużo więcej niż ty – odparła Katarzyna z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Poza sposobem, w jaki należy ją wydobyć – skwitował Löwefell.

– Gdybyś pamiętał zaklęcia krwi i ognia, których użyła Roksana, nie musielibyśmy się nad tym zastanawiać. – Czarownica zmrużyła oczy.

Teraz przyglądała się inkwizytorowi z wyraźną wrogością.

Ten zarzut, zarzut braku pamięci, był akurat prawdziwy. Löwefell nie pamiętał tak wielu rzeczy z życia Narsesa, że dużo łatwiej było wymienić wspomnienia, które z biegiem czasu zdołał zrekonstruować. A magia ognia i krwi? Cóż, Narses był znamienitym mistrzem tej sztuki, a Löwefell nawet nie bardzo zdawał sobie sprawę z jej zasad, co dopiero mówić o posługiwaniu się konkretnymi zaklęciami. Czy, co jeszcze trudniejsze, o rozwikłaniu potężnych czarów zaplątanych przez kogoś innego. Równie dobrze mógł próbować oddychać pod wodą lub w pustce pomiędzy gwiazdami.

– Co powiedziała wiedźma? Jakie były jej ostatnie słowa? – zapytała Katarzyna.

– „Lecą po mnie” – odparł Löwefell bez wahania.

– Diabli i demony po jej duszę?

– A może to zaledwie figura retoryczna? A może majaczenia zetłałego umysłu? A może ostatnie przedśmiertne zwidy?

Katarzyna prychnęła z niezadowoleniem.

– Sądzę, że zobaczyła coś, czego ty nie dostrzegłeś. Zastanów się, kto mógł lecieć po wiedźmę, Arnoldzie? Kto mógł pragnąć odsączyć esencję od ścierwa?

– Dobrze znasz odpowiedź na to pytanie – odparł spokojnie inkwizytor. – A brzmi ona: wszyscy, którzy wiedzieli, co Roksana uczyniła. Wszyscy, czyli ludzie, inkwizytorzy, demony, może nawet któryś z Aniołów...

Löwefell zastanawiał się, czy Anioł chroniący Katarzynę zdecyduje się teraz na uchylenie powiek, ale nie, nadal stał nieruchomo niczym biała rzeźba.

– Nie pomagasz mi, Arnoldzie – syknęła kobieta.

– Odpowiadałem wiele razy na te pytania i nie mam nic przeciwko temu, by odpowiedzieć na nie raz jeszcze, jeśli ty lub ktokolwiek inny uzna za konieczne mi je zadać. Ale odpowiedź zawsze będzie identyczna.

Milczeli dłuższą chwilę, a Katarzyna wpatrywała się w migoczące płomienie świec i stuknęła paznokciami w poręcz fotela. Przez chwilę

mogło się wydawać, że pogrążona w głębokim zamyśleniu zapomniała o swoim gościu, lecz wreszcie obróciła się w jego stronę z rozpogodzoną twarzą.

– Nad moim synem czuwa jeden z Aniołów – oznajmiła.

– To niezwykle – odparł Löwefell.

Rzeczywiście było to nadzwyczajne i interesujące, ale niekoniecznie korzystne dla człowieka znajdującego się pod opieką podobnego rodzaju. Jednak w tym wypadku chodziło nie tyle o samego człowieka, ile o fakt, że był szkatułą, w której ukryto Szachor Sefer. Od dawna zastanawiano się, jak odzyskać księgę zaklętą w umyśle inkwizytora Mordimera Madderdina w czasach, kiedy wcale jeszcze nie był inkwizytorem, a zaledwie dzieckiem. Gdyby wiedziano, że wyprucie z niego Czarnej Księgi kosztem życia czy duszy mogłoby się udać, nikt nie zawahałby się nawet chwili. Gdyby okazało się, że można ugotować jego mózg i w ten sposób odsączyć z niego cenną wiedzę, uznano by to za szczęśliwe zrządzenie losu i przeprowadzono zabieg bez zbędnej zwłoki. A czy zawahałaby się sama Katarzyna? Tego Löwefell nie był pewien. To prawda, że Mordimer, jej własny syn, wydał ją niegdyś w ręce inkwizytorów, ale było to przecież spowodowane nie nienawiścią czy głęboką urazą, a raczej okrutnym kaprysem dziecka, któremu ukochana matka poświęcała zbyt mało uwagi. Na razie Inkwizytorium robiło, co umiało robić najlepiej od wieków: czekało. Nosiciela Szachor Sefer otaczano opieką, ale starano się, by opieka ta nie była zbyt ostentacyjna, by nie pokazać w ten sposób wrogom, że oto jest człowiek, na którym szczególnie zależy inkwizytorom. Bo kto wiedział o niezwyklej, choć przypadkowej roli Mordimera Madderdina, szeregowego funkcjonariusza Świętego Officjum? Góra kilku, może kilkunastu ludzi na całym świecie. Najbardziej zaufanych i zaangażowanych. Nawet Aniołów starano się trzymać z dala od tej sekretnej wiedzy, słusznie sądząc, że część z nich mogłaby Czarną Księgę zapragnąć zniszczyć. Nie dlatego, by z całą pewnością wiedzieli, czym była, lecz dlatego, że śmiertelnie obawiali się, czym mogła być naprawdę.

– Szachor Sefer jest labiryntem – wyjaśniła Katarzyna, nic tak naprawdę nie wyjaśniając.

– W którego środka czeka Minotaur czy skarb? – spytał Löwefell.

Kobieta tylko uśmiechnęła się.

– Może i to, i to? A może wynik poszukiwań zależy od tego, kto prowadzi badania?

– Czy wyjawisz mi, czym jest Szachor Sefer? – zapytał, pamiętając, że wcześniej odpowiedzi na to pytanie odmówił Marius van Bohenwald.

Może jednak spotkanie i rozmowa z Katarzyną zostały ustalone właśnie w tym celu, by porozmawiać o Czarnej Księdze? Jednak czarownica wstrząsnęła głową.

– Nie, Arnoldzie, nie mam ani takiej wiedzy, ani takiej władzy – odparła.

Zabawne, lecz Löwefell wiedział, że oba te twierdzenia zawierają kłamstwo. Katarzyna zarówno mogła, jak i umiała odpowiedzieć na zadane pytanie. Otwartą kwestią pozostawało jednak, czy jej, nawet udzielona w najlepszej wierze odpowiedź byłaby zgodna z prawdą. Jeśli w ogóle jakaś „prawda” istniała.

– Rozumiem – odparł tylko.

– Ty sam znasz odpowiedź na pytanie, które zadałeś – rzekła, baczenie mu się przypatrując.

– Podobno miałem ją w rękach. – Löwefell nie mógł powstrzymać się od westchnienia.

– Badałeś ją i poczyniłeś wiele cennych uwag – dodała Katarzyna. – Zbyt hermetycznych, bym je rozumiała, ale tak mi doniesiono.

– Nic nie pamiętam...

– Wiem. – Inkwizytor usłyszał w głosie czarownicy niemal współczucie. – Mamy nadzieję, że sobie przypomnisz.

– Dziwię się, że tej wiedzy nie wydobyto z umysłu Narsesa – stwierdził Löwefell, który o tym, kim był kiedyś, zazwyczaj wolał mówić w trzeciej osobie.

– Część tak, część nie – powiedziała Katarzyna. – Byłeś w bardzo ciężkim stanie, kiedy cię pochwycono.

Löwefell zmrużył oczy.

– A co takiego się wydarzyło?

– Byłeś potężnym magiem, Arnoldzie! Zajadle się broniłeś, więc omal cię nie zabito w czasie walki. Twój umysł został tak uszkodzony, że odbudowano go z najwyższym trudem i jedynie dzięki najwyższemu

kunsztowi.

To była nowa informacja i kto wie? Być może prawdziwa. Przecież Narses, pochwycony gdzieś na terenie Bizancjum, nie mógł tanio sprzedać skóry. Tylko z jakiego powodu, na Boga, ten dysponujący ogromną władzą i mocą perski mag znalazł się tak daleko na terytorium wroga?! Co skłoniło Narsesa, by opuścić bezpieczne zamki? Tak, pamiętam, inkwizytor doznał nagłego olśnienia, jeden z moich pałaców stał w delcie Amardusu, a z okien wieży widziałem spokojne fale Morza Azarskiego. Löwefell przypomniał sobie żyzne, nadbrzeżne niziny ciągnące się wąskim pasem wzdłuż morza. Przypomniał sobie porty rybackie i białe żagle licznych łodzi, krzyk mew i rybitw nurkujących pod powierzchnię wody i bijących się o połów.

– Kiedyś pamięć wróci – dodała Katarzyna.

Löwefell skinął głową, po części z grzeczności, a po części, gdyż zgadzał się z jej stwierdzeniem. Pamięć wracała stopniowo, tak, jakby była plamą farby powoli rozlewającą się na białym płótnie. W tej chwili farby było bardzo mało, a płótna bardzo wiele, lecz inkwizytor ufał, że proporcje zmienią się z biegiem czasu. Na razie nie miał pojęcia, w jakim celu Narses opuścił Persję i czemu ryzykował życie. Może rzeczywiście, tak jak mówił Arsanes, na dworze był zdrajca. Jakiej przynęty użył, by wywabić maga do Bizancjum? Na tak postawione pytania nie był w stanie znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi poza tym, iż przyczyna zdumiewającego zachowania musiała być ogromnej wagi. No chyba że Narses oszalał, czego również nie można było wykluczyć... Perscy magowie ognia na ogół tkwili gdzieś na granicy szaleństwa i zdrowego rozsądku, a im byli starsi i bieglejsi w sztuce, tym bardziej ową granicę przekraczali, kierując się prostą drogą ku obłędowi i tracąc nie tylko zmysły, lecz nawet resztki ludzkich odruchów i ludzkich odczuć. Poza żądzą władzy i wiedzy, rzecz jasna, gdyż tego akurat zawsze mieli w nadmiarze...

– Czy wiesz, w jakim celu Narses przybył do Bizancjum? W jaki sposób wpadł w ręce Oficjum? Czy ktoś go wydał?

Katarzyna powoli skinęła głową.

– Znam odpowiedź na twoje ostatnie pytanie. Tak, wydał cię jeden z twoich perskich rywali i towarzyszy. A może to był ktoś z dworu szacha?

W każdym razie wieści przyszły od Persów.

Löwefell zdawał sobie sprawę z druzgocących intryg, które miały Persją. Magowie konkurowali pomiędzy sobą, spierali się o władzę z szachem, ten walczył o rządy ze szlachtą i arystokratami. Do tego wszystkiego, do tych podziałów kastowych, dochodziły konflikty narodowościowe. Persja była wielka, a mieszkali w niej nie tylko Persowie, lecz również Pasztuni, Kurdowie, Afganowie, Hazarowie i dziesiątki innych mniejszych i większych plemion, a wszyscy sobie wrodzy i wszyscy spragnieni władzy. Wreszcie Persja toczyła bitwy i z Indiami, i z Bizancjum, a w dodatku broniła się przed najazdami dzikich, potężnych plemion z północy, plemion, które pojawiały się i znikwały w rytm pulsowania wojen na odległych stepach sięgających hen, aż po Mongolię i Chiny. Wszystko to powodowało, iż perska polityka była niczym zdradzieckie trzęsawisko, a ten, kto uczestniczył w politycznej grze, wiedział, że nie istnieją w niej ani honor, ani przyjaźń, a tylko zwodnicza, chwilowa, ulotna i w każdej chwili odwracalna i wywrotna gra interesów. Czy więc stało się tak, że niemal wszechwładny Narses, mag i arystokrata, władający licznymi ziemiami i posiadający własne oddziały zbrojnych, trafił w końcu na intrygę, która go przerosła? Czy ten okrutny, potężny i wyrafinowany tyran został pokonany przez spisek niechętnych mu rywali? Cóż, nie trzeba dokładnie znać historii ludzkiej cywilizacji, by wiedzieć, że niejeden potężny człowiek upadł w wyniku spisku gromady małych, przerażonych ludzików, z których żaden nie odważyłby się stanąć z nim twarzą w twarz, ale którzy z cienia i w masie atakowali z odwagą czujących krew padlinożerców.

– Nie jesteś zdziwiony, prawda? – dodała.

– To siedlisko jadowitych węży – odparł. – Tyle że od zawsze giną również od jadu pobratymców.

– A jednak Bizancjum nie może ich raz na zawsze pokonać od więcej niż tysiąca lat – prychnęła Katarzyna.

Löwefell wiedział, że pokonanie Persji nie spowodowałoby niczego dobrego. Ta kraina była jednocześnie zbyt przegniła i zbyt rozpalona konfliktami, by można ją bezpiecznie opanować i okupować. Bizancjum kiedyś troszczyło się, by perska stopa nie powstała na zachodnim brzegu Eufratu, lecz dawno temu te granice przesunęły się i teraz pilnowano już

tylko, by Persowie trzymali się z dala od Czerwonej Rzeki. A fakt, że Ziemia Święta jęczała pod pogańskim butem, powodował od czasu do czasu gniewne wzburzenie w Europie, ale tak naprawdę nikt nie miał ochoty iść na wielką, świętą wojnę i porzucać interesów własnego rodu czy własnego państwa.

– Dawno nikt nie próbował – odparł Löwefell.

– A powinniśmy? – Zerknęła na niego bystro.

Dlaczego ona mnie o to pyta, zdziwił się Löwefell i postanowił dać temu wyraz.

– Jestem tylko inkwizytorem, Katarzyno. Nie do mnie należą decyzje o politycznych i militarnych losach świata – rzekł.

– A gdybyś mógł doradzić? Jako Pers?

To była kolejna tania złośliwość i nie wywarła na inkwizytorze wrażenia.

– Nie sądzę, by ktokolwiek mnie pytał.

Katarzyna niespodziewanie uśmiechnęła się ujmująco.

– Możesz się bardzo pomylić, Arnoldzie – powiedziała ze słodyczą i wzniosła oczy ku rzeźbionemu sufitowi. – Kto wie czy czas triumfu Prawdziwego Krzyża nie jest już bliski!

Tym razem udało jej się zaskoczyć Löwefella. Oczywiście nie dał tego poznać po sobie, ale pomyślał: nie do wiary, czyżby Inkwizytorium zamierzało poprzeć wojnę z Persją?

– No nic. – Czarownica strzepnęła palcami. – Zastanówmy się nad czymś innym, Arnoldzie, i wróćmy do tego, co przede wszystkim nas interesuje. Wojnami niech zajmują się cesarze, królowie, książęta i generałowie, my zajmijmy się kwestiami naszej świętej wiary i tym, jak jej pomóc...

Inkwizytor słuchał jej słów nieporuszony. Katarzyna milczała chwilę, jakby spodziewała się, że jednak usłyszy odpowiedź, lecz gdy ta nie padła, czarownica ciągnęła:

– Nie potrafisz nam pomóc w rozszyfrowaniu perskich zaklęć ognia i krwi, a jedyna znająca się na tym kobieta, którą niemal mieliśmy w rękach – Löwefell usłyszał wyraźną gorycz w głosie Katarzyny – umknęła nam bezpowrotnie. Ale może... – Czarownica zawiesiła głos. – Może kto inny będzie w stanie nam doradzić?

– Któż taki?

– Inny perski mag.

Löwefell pokręcił głową z obojętnym rozczarowaniem.

– Narses był największy, najmądrzejszy, najodważniejszy. Wielu rzeczy nauczył Roksanę, ale też nie wszystkiego. Żaden perski mag nie dzieli się z uczniami pełnią wiedzy. Nigdy.

– Przecież miałeś rywali, konkurentów, wrogów! – Katarzyna podniosła głos. – Któryś z nich musiał cię śledzić, naśladować, próbować ukraść twoje pomysły, wykorzystać zdolności. – Rozzłoszczona stuknęła pięścią w otwartą dłoń. – Powiedz: który?!

– Pani, pytano mnie o to wielokrotnie – odparł Löwefell, nie wiedząc, czy rozmawiająca z nim kobieta nie zna tej odpowiedzi, nie chce jej znać, czy celowo pragnie go nacisnąć w sobie tylko wiadomym celu. – Ja nawet nie pamiętam innych magów. Całe życie Narsesa jest dla mnie niczym strzępy mgły ukryte w dymie. Przecież wiesz dobrze, że nawet moc, jaką dysponuję dzięki miłości naszego Pana, jest jakże odmienna od mocy Narsesa.

Katarzyna milczała dłuższą chwilę.

– Wiem – odparła.

– Czy Inkwizytorium kiedykolwiek próbowało powtórzyć intrygę, dzięki której porwano Narsesa? – spytał, gdyż naprawdę nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Kobieta zatrzymała na nim chłodny wzrok.

– Obawiam się, że schwywanie najpotężniejszego i najprzebieglejszego szczura było dla reszty stada niczym trzęsienie ziemi. Nieprędko ktokolwiek wykurzy ich z nor, w których się schowali.

Potem uśmiechnęła się lekko.

– Co nie znaczy, że nie będziemy próbować – powiedziała. – I być może nawet dla ciebie znajdzie się miejsce w czasie trwania tej próby.

– Byłaby to wielka łaska i wielkie zadanie – odparł szczerze Löwefell.

– Czy mogę cię czymś poczęstować? Daktyle? Płatki róży?

Löwefell pamiętał, że jako Narses brał udział w wykwintnych ucztach trwających nieprzerwanie dziesiątki godzin, w czasie których donoszono wciąż nowe i nowe potrawy, tak by na stołach żadne danie nie powtórzyło się podczas całej biesiady. Pamiętał, a może tylko wydawało

mu się, że pamięta, iż jego kucharze przygotowywali pasztety ze słowiczych języków, gęsie wątróbki z ptaków, które całe życie karmiono suszonymi ligami, ślimaki tuczone mlekiem, faszerowane koszatki smażone w miodzie, strusie mózdzki, czarny groch posypywany płatkami złota... Taaak. Sprowadzano dla mnie kucharzy, potrawy i przyprawy z Rzymu, Indii, Afryki i Chin, pomyślał. Czy mnie to cieszyło, zadał sobie pytanie. Czy moje podniebienie doceniało maestrię kucharzy, czy też owe cuda powstawały w wielkich ilościach jedynie, by olśnić moich gości i moich rywali? Cóż, szkoda, że pamiętam zupełnie nieprzydatne szczegóły, a nie pamiętam mojej magii, pomyślał z żalem. Że nie pamiętam tego, z czego słynąłem i dzięki czemu zdobyłem władzę.

– Uprzejmie dziękuję – odpowiedział na pytanie Katarzyny, gdyż nie miał ochoty na słodycze. Zresztą tak naprawdę jego umysł nigdy nie żądał pożywienia. Ciało, owszem, wymagało strawy, by móc funkcjonować, lecz Löwefell jadł nie dla apetytu i smaku, a jedynie dostarczając organizmowi paliwa, tak jakby podrzucał drewno do grzejącego dom ognia. Potrafił docenić smak dobrze przygotowanej potrawy, ale równie dobrze mógł kontentować się przyrządzonym w najprostszy możliwy sposób suchym chlebem z wędzonym mięsem czy serem.

– Wiesz, co się dzieje ze zwłokami? – zapytała nagle.

– Słucham?

– Ze zwłokami – powtórzyła. – Na ulicach miast naszego świętego Cesarstwa. Co się dzieje z biedakami, którzy upadną tam, gdzie stoją, którzy zdechną w jakimś żebraczym zaułku, lub z nieszczęśnikami, których pchnie nożem nieznana ręka? Co się dzieje z trupami wyławianymi z rzeki?

– Jeżeli nie mają nikogo bliskiego – bardziej stwierdził, niż zapytał Löwefell.

– Właśnie tak.

– Są wywożeni za miasto i grzebani we wspólnych mogiłach. Nekropolia na granicach Hez-hezronu nazywana jest Dołami. – Inkwizytor umilkł na chwilę. – To ponure miejsce – dodał.

– O tak, to ponure miejsce – zgodziła się Katarzyna. – Rzadko rządzą tam prawa ludzkie i boskie, które my znamy. Ale – strzepnęła dłońmi –

nie to należy do sprawy. Chcę wyjawić ci coś innego, Arnoldzie. Czy wiesz, że ciało Roksany, czy raczej ciało owej staruchy, w którą zamieniła się twoja perska czarownica – wyraźnie złośliwie zaakcentowała ostatnie słowa – nigdy nie zostało pogrzebane? Nigdy go nie wywieziono za Koblencję, ale też nigdy nie pochowano na żadnym z miejskich cmentarzy...

Löwefell nie wiedział, co sądzić o tej wieści. Mogła być ona prawdziwa i przekazana w dobrej wierze, ale równie dobrze mogła być nieprawdziwa i przekazana w złej wierze.

– Nie rozumiem, w jaki sposób można było to sprawdzić – rzekł ostrożnie.

– Jeśli bardzo się chce, wszystko można sprawdzić – odparła Katarzyna.

Löwefell potrząsnął głową nieprzekonany.

– Wybacz, pani, lecz póki nie zobaczę protokołów badań i nie poznam dokładnie metod, jakie zastosowano, nie zaakceptuję tego, co mówisz.

Czarownica przyglądała mu się przez chwilę wzrokiem nawet nie złym czy niechętnym, ile po prostu martwo obojętnym.

– Możesz akceptować lub nie, to mnie nie obchodzi – stwierdziła wreszcie. – Ale chcę ci ostrzec, Arnoldzie. Ostrzec przed tym, że w twoim życiu pojawi się Roksana. I nastąpi to szybciej, niż mógłbyś się spodziewać...

Kiedy Katarzyna wypowiadała słowa „w twoim życiu pojawi się Roksana”, Löwefell poczuł, że coś szarpnęło go za serce. Nie, nie, nie był to poryw uczucia, nie było to sentymentalne drgnienie duszy, gdyż ani Narses wcześniej, ani Löwefell teraz nie byli w stanie odczuwać podobnych emocji. Roksana kojarzyła się z innym, zasnutym mgłą niepamięci życiem, z innym człowiekiem i jego ogromną, utajoną dzisiaj mocą. Czy mogła być kluczem do przeszłości? Czy mogła otworzyć przed Löwefellem wrota do dawnej potęgi? No cóż, jeśli tak było, to z całą pewnością Inkwizytorium będzie z niezwykłą uwagą obserwować podobny kontakt.

– Dziękuję ci za ostrzeżenie – rzekł. – Chciałbym zapytać, czy sądzisz, że Roksana oblecze się w fizyczną postać? Czy mam przypuszczać raczej, że pojawi się jako jeden z cieni nie-świata?

Katarzyna pokręciła głową.

– Damy ci znać, Arnoldzie – powiedziała jedynie. – Dziękuję, że mnie odwiedziłeś.

Löwefell zrozumiał, że nic więcej się już nie zdarzy i wszystkie jego dalsze pytania muszą pozostać na razie bez odpowiedzi. Kiedy opuści tę komnatę, będzie miał czas, by dokładnie przypomnieć sobie odbytą rozmowę, by przeanalizować nie tylko słowa, gesty i mimikę, lecz wspomnieć również drgnienia magicznej aury i chwile, w jakich one następowały.

– Jestem serdecznie wdzięczny, że mnie zaprosiłaś – odparł i skłonił głowę.

Kiedy Löwefell opuścił komnatę, Katarzyna sięgnęła do patery z suszonymi owocami i innymi delicjami. Dłuższą chwilę siedziała bez ruchu, całkowicie zajęta, wydawałoby się, przeżuwaniami ocukrzonych płatków róży. Potem obróciła się w stronę, gdzie wcześniej Arnold Löwefell widział jedynie zacieniony zakątek pokoju, ale skąd słusznie, intuicyjnie wyczuwał czyjąś obecność. Katarzyna dostrzegała wyraźnie stojącą tam istotę, która na pierwszy rzut oka mogła przypominać krokodyla stojącego na tylnych nogach. Tyle że paszcza tego stworzenia miała więcej smukłości i elegancji, a oczy kształtem, głębią oraz łagodnością wejrzenia przypominały krowie.

– Nie widział cię czy udawał? – zapytała czarownica.

– Naprawdę nie widział – odparł jaszczur.

Miał głęboki, spokojny głos do złudzenia przypominający głos człowieka.

– Wyczuwał czyjąś obecność w komnacie i niepokoiła go ona, ale nie potrafił mnie dostrzec.

– Powinien widzieć – zamyśliła się Katarzyna. – Z tą mocą, którą ma w tej chwili, powinien bez trudu cię zobaczyć – dodała.

Jaszczur po chwili i niechętnie skinął głową.

– Właściwie tak.

– Właściwie?

– Nikt nie wie, Katarzyno, w jaki sposób go posklejano, i co gorsza, nikt nie wie, jakie są jego rzeczywiste i ostateczne możliwości. – Istota zawahała się przez moment. – Nie jestem pewien, czy sam Marius ma

pojęcie, kogo tak naprawdę stworzyli – dodała ciszej.

– Niedobrze – westchnęła Katarzyna.

– Bardzo niedobrze – zgodził się jaszczur. – Nie wiemy, w jakim tempie się uczy, wiemy jedynie, że bardzo stara się zataić swoje postępy, i nie ma co ukrywać, że całkiem dobrze mu się to udaje.

– Marius mógłby go wybadać.

Jaszczur pokręcił potężnym łbem.

– Z pewnych powodów nie byłoby to takie proste, a kto wie czy nie zaprzepaściliby efektów całego eksperymentu.

Katarzyna wściekle uderzyła dłonią w poręcz.

– Eksperymentu, którego nie znam! – krzyknęła. – Nie znam ani jego założeń, ani skutków, bo nikt nie raczył mnie w tej dziedzinie oświecić!

– To nie twoja sprawa. Ani moja. Ani jego. – Stworzenie wskazało pyskiem na nieruchomego Anioła. – Wciskasz palec między drzwi, Katarzyno, i dobrze wiesz, że mogą ci go przyciąć.

Kobieta zachnęła się, ale zaraz potem uśmiechnęła się beztrósco i odgarnęła włosy z czoła.

– Ciekawość pierwszy stopień do piekła – oznajmiła figlarnym tonem.

Jaszczur odpowiedział jej czymś, co zapewne miało być również uśmiechem, a co nadało jego pyskowi wyraz nadzwyczajnej złośliwości.

– Ty już zbiegłaś po tylu stopniach, Katarzyno, że ten pierwszy nie powinien cię wcale obchodzić.

– Nie staraj się być taki zabawny. – Wzruszyła ramionami i pokręciła głową z teatralnym, choć nie wiadomo, czy udawanym, czy prawdziwym niezadowoleniem. – Jestem lojalna.

– Taaak, wobec siebie samej – dodała istota.

– Jestem lojalna! – Tym razem prawdziwie wściekła Katarzyna obróciła się całym ciałem w stronę potwora. – Nawet żartem nie podawaj tego w wątpliwość!

Jej policzki poczerwieniały, a usta zacięły się w wąską kreskę. Spiorunowała wzrokiem jaszczura, a ten wyraźnie niechętnie, lecz jednak pochylił głowę.

– Wybacz, Katarzyno, nie miałem na celu podawać w wątpliwość twojej lojalności i prawdomówności – rzekł uroczytym tonem.

– Jaki miałeś w takim razie cel? – Czarownica nie spuszczała z niego

wzroku.

Jaszczur opuścił łeb jeszcze niżej.

– To tylko to, co wy ludzie nazywacie żartami – wyjaśnił pokornie. – Przekomarzaniem się. Próbuję upodobnić się do was i nie zawsze mi się to udaje – dodał z prawdziwą żalnością w głosie.

Katarzyna przyglądała mu się przez chwilę, a potem wybuchła śmiechem.

– Upodobnić się do nas?! Słyszałeś? – Trąciła Anioła w skrzydło. – On chciałby się do nas upodobnić. Paradne...

Odwróciła się z powrotem i tym razem sięgnęła po owoc.

– Mów dalej o Löwefellu – rozkazała. – Co jeszcze wykryłeś?

– Żadnych widocznych emocji – rzekł jaszczur już swoim zwykłym, rzeczowym tonem. – Żadnych dających się wyłapać uczuć. Z wyjątkiem jednej chwili...

– Roksana – odgadła Katarzyna.

– Tak. Roksana – zgodził się jaszczur.

– Czemu Roksana?

– Kotwica łącząca go z przeszłością. Ale też pewien rodzaj sentymentu, może nawet podziwu, jaki żywi nauczyciel w stosunku do najzdolniejszego ucznia.



– Rozumiem. Pożądanie? Wdzięczność? Miłość? Przyjaźń?

– Nic z tych rzeczy. Przede wszystkim ciekawość. Kiedy wszyscy wołają „ziemia na horyzoncie”, chciałabyś wtedy spojrzeć przez lunetę, prawda? A ona może być dla niego lunetą. Na pewno tego właśnie pragnie.

– A my? Czy my tego również pragniemy? – Zmrużyła oczy.

Jaszczur zastanawiał się przez chwilę.

– Jesteśmy zaciekawieni – odparł wreszcie. – Rozpatrujemy różne możliwości wykorzystania zdarzeń, które nadejdą.

– Taaak. Chyba tak... No dobrze, a reszta naszej rozmowy? Nic poza Roksaną nie zrobiło na nim wrażenia?

– Nie. Najwyraźniej potrafi doskonale skrywać uczucia.

– Albo ich wcale nie ma... – rzuciła Katarzyna.

– Nie wiemy, w jaki sposób go skleili, i nikt nam tego nie powie – stwierdził ponownie potwór, a Katarzyna znowu westchnęła i tym razem pokręciła głową.

– Cały czas myślę nad tym, po co, po co, po co! – Za każdym słowem uderzała pięścią w rozwartą dłoń. – Po co tyle wysiłku, po co tyle starań?

– Z sykiem wypuściła powietrze przez niemal zaciśnięte usta. – Doprowadza mnie to do szału, paskudo! Słyszysz? Do szału!

Jaszczur nie zareagował w żaden sposób na nadane mu przezwisko, a tylko rozłożył ręce. Miał trójpalczaste dłonie zakończone tępyimi pazurami o barwie i fakturze zaschniętego błota.

– Czasami mam wrażenie, że nikt już tego nie wie – rzekł.

Katarzyna zamarła w pół gestu.

– Nawet Marius? – Przymrużyła oczy.

– Myślisz, że to możliwe? – odpowiedział pytaniem na jej pytanie.

– Myślę, że nie jest niemożliwe – odparła zamyślona. – Chociaż na pewno byłoby to bardzo, ale to bardzo dziwne.

– A co wokół nas nie jest dziwne? – zapytał jaszczur z nieoczekiwanym rozgoryczeniem w głosie. – A nawet bardzo, ale to bardzo dziwne – dodał, nieudolnie naśladowując głos czarownicy.

Katarzyna zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Nie poruszała się dłużej chwilę.

– Jestem tak bardzo zmęczona – odezwała się wreszcie. – Czasem zastanawiam się, czemu nie urodziłam się wcześniej? Czemu tysiąc lat temu nie mogłam przemierzać germańskich puszczy ramię w ramię z Valerią Flavią. – Uśmiechnęła się z rozmarzeniem. – A nie tkwić w tym... – Otworzyła oczy i syknęła ze złością: – Więzieniu!

– Każdy z nas ma swoją misję, Katarzyno – rzekł jaszczur i w jego głosie dało się wyczytać jeśli nie smutek, to na pewno zrezygnowanie. – Ty, ja, on. – Wskazał pyskiem w stronę stojącego nieruchomo Anioła.

– Löwefell – dodała czarownica.

– Löwefell również – zgodził się stwór. – Ale on prędzej czy później nas zdradzi – dodał.

– Oczywiście, że zdradzi – beztrąsko zgodziła się Katarzyna i odgarnęła włosy znad oczu. – Pytanie tylko brzmi, czy jego zdrada wyjdzie nam na korzyść, czy też spowoduje szkody... – dodała w zamyśleniu. – A jeśli szkody, to jak wielkie one będą.

Nabiegnięte krwią oczy potwora zabłysły i Katarzyna wiedziała, że teraz jego wzrok śledzi przeszłość i przyszłość, płacze się po ścieżkach wydarzeń pewnych, prawdopodobnych i niemal niemożliwych, splątuje i rozplątuje węzły zależności, bada związki przyczyn ze skutkami. Jaszczur na długo zastygł w tym transie czy zamyśleniu, aż wreszcie wstrząsnął rogatym łbem.

– Nie wiem – stwierdził bezradnie, z wyraźnym rozczarowaniem w głosie.

– No właśnie – mruknęła Katarzyna. – I taki oto z was pożytek.

Potwór zachnął się, otworzył paszczę zupełnie, jakby chciał coś odpowiedzieć, lecz potem tylko westchnął ciężko i chrapliwie, po czym znieruchomiał, wpatrzony w przeciwległą ścianę. Katarzyna natomiast sięgnęła po książkę i spokojnie wróciła do lektury przerwanej wizytą Löwefella. Po dłuższej chwili oderwała wzrok od stronic.

– Może powinniśmy go zabić? – zapytała gdzieś w przestrzeń, nie kierując tego pytania do nikogo w szczególności.

Ale otaczający ją skrzydłami Anioł drgnął, słysząc te słowa.

– Tego ci uczynić nie wolno – rzekł, nadal nie otwierając jednak oczu.

Jego głos był niski, melodyjny, a jednocześnie całkowicie nieludzki. Nie było żadnej wątpliwości co do tego, iż istota, z której ust padają te

słowa, nie może być człowiekiem, gdyż ludzka krtań nie została zbudowana, by wydobywały się z niej podobne dźwięki. Słuchanie głosu Anioła sprawiało bolesną przyjemność, tak jak drapanie swędzącej, zablizniającej się rany. Oczywiście nie działał w żaden sposób na Katarzynę, która przebywając w klasztorze, miała czas zarówno przyzwyczaić się, jak i uodpornić na głos Aniołów. Zresztą każda z owych istot mówiła w inny sposób i każda z nich była niebezpieczna na inny, sobie tylko właściwy sposób.

– Nie wolno! – powtórzyła czarownica z przekąsem. – Też mi coś! Nie wolno!

– Nawet ty masz ograniczenia, Katarzyno – odparł Anioł beznamiętnym tonem, tym razem już ludzkim głosem.

– Nawet ja – powtórzyła Katarzyna i uśmiechnęła się nieznacznie. – Każdy ma takie czy inne, nieprawdaż? Ale być może następnym stopniem, na który możemy wejść, jest umiejętność przełamywania tych ograniczeń? Nieposłuszeństwo jako wyraz samodzielności umożliwiającej nobilitację... Hmm? Co ty na to?

– Löwefell znajduje się pod ochroną – oznajmił Anioł dobitnie. – Nie po to zainwestowano w niego tak wiele, by teraz tracić go przez twoje podejrzenia czy humory.

Kobieta zagryzła usta.

– Nie mów do mnie tym tonem – warknęła.

– Wybacz – rzekł Anioł wcale nie przepraszająco.

– Löwefell był błędem – stwierdziła Katarzyna po chwili. – Dobrze o tym wiemy. Wszyscy. Ty, ja, on. – Wskazała podbródkiem milczącego jaszczura. – I oni tam również. – Podniosła wzrok ku sufitowi.

– Nieprawda – jaszczur niespodziewanie włączył się do rozmowy. – Zgadza się, iż żywimy podejrzenia lub obawy, lecz nic ponadto... – Odwrócił łeb w stronę Katarzyny. – A nie zapominaj, Katarzyno, że wielu ma również co do ciebie podobne podejrzenia czy obawy.

Kobieta wydeła pogardliwie usta, potem prychnęła.

– Nie obchodzi mnie to – odparła rozdrażniona.

– A być może powinno – zauważył jaszczur.

– Löwefell jest wojenną triemą – powiedział Anioł. – Czy będzie niebezpieczny, czy nie, zależy tylko od dowodzącego nią kapitana.

– Równie dobrze od fal oraz od wiatrów, nad którymi nie panujemy i nie zapanujemy – burknął jaszczur.

– Nawet jeśli tak jest, nie możesz niszczyć narzędzia tylko dlatego, że może okazać się niebezpieczne – kontynuował Anioł. – Poza tym doskonale wiecie oboje, że Marius chroni Löwefella i będzie go nadal chronił.

Katarzyna wzruszyła ramionami.

– Marius popełnia poważny błąd.

– Więc sama mu o tym powiedz, jeśli chcesz – zaproponował Anioł z wyraźną złośliwością.

– A róbcie wy sobie wszyscy, co chcecie! – Kobieta wstała gwałtownie z fotela i wyszła spod otaczających ją skrzydeł Anioła. – Życzę sobie tylko, by kiedy przyjdzie co do czego, pamiętano, jaka była moja opinia w tej sprawie – dodała dobitnie, mierzząc wskazującym palcem wprost w śnieżną pierś Anioła.

– Tego możesz być pewna.

– Trirema – prychnęła jeszcze. – Też mi coś, trirema... A ja niby czym jestem w takim razie?

– Ty, Katarzyno? – zapytał Anioł nadspodziewanie miękko głosem. – Ty jesteś armadą galeonów, moja pani.

Czarownica spojrzała na niego zaskoczona, potem roześmiała się z wyraźnym zadowoleniem.

– Jak zawsze świetnie wiesz, co powiedzieć, by dama była zadowolona – zauważyła żartobliwie.

Uspokojona usiadła z powrotem w fotelu, a skrzydła Anioła delikatnie zamknęły się wokół niej.

– Zmęczyłam się – mruknęła Katarzyna, potem wygięła się tak, by spojrzeć na stojącego za nią Anioła. – Chodź bliżej, ty moja mała mleczna krówko – poprosiła z czułością.

Anioł bez słowa wyciągnął w jej stronę śnieżnobiałe przedramię tak wyrzeźbione, że wyglądało niczym część alabastrowego posągu gigantycznego silacza. Zacisnął pięść, a wtedy spod białej skóry wystąpiły węzlaste żyły, połyskujące i opalizujące srebrem, tak jakby stworzono je z grubych strun wysnutych z księżycowych promieni. Anioł dotknął najgrubszej z żył paznokciem białym i ostrym niczym lodowy

kiel, a Katarzyna nachyliła się w stronę jego ramienia, rozchylając usta. Strumień jasności z rozciętej żyły Anioła spłynął na jej wargi, język i podniebienie.

– Mmmm – zaszepiała w zachwycie i pogrążyła się w ożywczym Świetle.



Katrina



Löwefellowi śniła się Roksna. Była ubrana w czerwoną, połyskującą suknię z bufiastymi rękawami i miała rozpuszczone włosy. Wirowała w świetle gwiazd na marmurowym dachu pałacu Narsesa. Śmiała się radośnie, a jej taniec był tak szybki, iż mogło się wydawać, że kobieta zaraz wzniesie się w nocne, srebrno-czarne niebo, by następnie spłynąć niczym ognisty anioł na lodowy taras Demawendu. Na sam szczyt tej dla jednych świętej, dla innych przeklętej góry, gdzie Feridun pokonał Azi Dahakę i na wieki, jak twierdził, przykuł go do ścian w pozbawionych iskry dnia kamiennie-lodowych sztolniach.

Roksana śmiała się perlistym, radosnym śmiechem, tak szczerym i tak wdzięcznym, że gdyby Löwefell nie wiedział, iż jest jedną z najpotężniejszych perskich wiedźm, to może by uwierzył, iż to tylko młoda księżniczka spędza noc na samotnej zabawie w świetle gwiazd i księżyca. I Löwefell widział też siebie samego, czy raczej lepiej powiedzieć: widział Narsesa. Widział zgarbionego starca w czarnej szacie, opierającego się na lasce ze smoczej kości. Starzec stał nieruchomo, nie patrzył jednak na tańczącą kobietę, lecz gdzieś w nocną dal. Löwefell w swoim śnie wiedział, w którą stronę spogląda mag. Wpatrywał się w niewidoczny w nocy lodowy, potężny masyw Demawendu. Czemu właśnie w tamtym kierunku? I czemu Löwefellowi

przyśnił się ten właśnie sen? I czy ta wizja była lustrzanym odbiciem przeszłości, czy jedynie wytworem umysłu zniszczonego walką oraz zmienionego za pomocą inkwizytorskich mocy?

Löwefell otworzył oczy. Okiennice w jego pokoju były otwarte, wpadało przez nie przydymione światło mglistego poranka. Inkwizytor wstał i zmówił modlitwę, w której, jak co rano, oddał swoje serce, myśli i czyny w ręce Jezusa Mściciela, Jezusa Zwycięzcy, Jezusa Zbawiciela, jedyne Boga, którego miał i którego pragnął mieć na wieki wieków w życiu doczesnym i niebiańskim. Jak zawsze w czasie modlitwy spoglądał z żalnością i jednoczesnym niezrozumieniem na swoją przeszłość, na to, jak mógł być wrogiem chrześcijan, jak uprawiając magię ognia, przyzywając ifryty i plotąc mroczne zaklęcia, mógł szkodzić jedynej prawdziwej wierze... I jak zawsze miał szczerą nadzieję, że swoim postępowaniem zmaże winy z przeszłości. Nie z powodu strachu przed Sądem Bożym, nie z powodu oczekiwania na nagrodę, lecz ze zwykłej, szczerzej potrzeby serca, która kazała mu widzieć w zwycięstwie Chrystusa jedyny ratunek dla całej ludzkości.

Usiadł na krześle przy stoliku, zjadł dwie kromki zeschniętego chleba, zagryzł je kawałkiem sera i popił kubkiem wody. Wiedział, że ten posiłek wystarczy mu do wieczora, i to bynajmniej nie z powodu postnego umartwiania. Po prostu nie odczuwał chęci na trywialne ludzkie przyjemności. Nie interesowały go ani uciechy łoża, ani uciechy stołu, ani majątek, ani kolekcjonowanie przedmiotów, ani władza nad ludźmi. A raczej interesowały go tylko w takim stopniu, w jakim mogły stać się przydatne do wyższych celów. Do osiągnięcia wiedzy i zwycięstwa świętej wiary. Bo Löwefell wiedział też, że w jego przypadku to pierwsze może pomóc temu drugiemu.

Na długo zanim usłyszał pukanie, wiedział, że ktoś zbliża się korytarzem, a potem staje przed jego drzwiami na chwilę tak krótką, jak przerwa pomiędzy dwoma uderzeniami serca. Wiedział też, kim jest osoba, która go odwiedza.

– Wejdz, Katrino – poprosił.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła jasnowłosa, młoda (czy raczej: młodo wyglądająca, gdyż w przypadku członków Wewnętrzznego Kręgu wiek nigdy nie był sprawą oczywistą) kobieta w prostym, szarym

habicie. Włosy miała upięte wysoko na czubku głowy.

– Witaj, Arnoldzie – odezwała się z uśmiechem.

Poprosił ją, by usiadła, i ze smutkiem przyznał, że nie ma niczego, by ją poczęstować.

– Och, nie kłopotz się. – Machnęła dłonią. – Podobnie jak ty nie jestem łasa na przysmaki. Wystarcza mi tyle co ptakom na polu. Zaledwie ociupina ziarna ze stołu Pańskiego.

Mrugnęła do niego i uśmiechnęła się znowu, tym razem nieco figlarnie. Löwefell między innymi dlatego lubił ją bardziej niż innych mieszkańców klasztoru Amszilas, bardziej niż innych członków Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium. Była zabawna, nieco szalona, potrafiąca powagę przeplatać z kpinami. Miała w sobie lekkość ptaka. I to nie takiego rozpaczliwie trzepoczącego skrzydłami, by utrzymać się w powietrzu, lecz takiego, który swobodnie szybuje pod nieboskłonem. Gdy patrzyło się na jej kruchą postać i delikatną twarz, trudno było uwierzyć, że była jednym z najpotężniejszych członków Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium.

– Wiem, że o niej śniłeś – powiedziała i spojrzała na Löwefella z troską.

– Tak, śniłem. – Skinął głową. – Pierwszy raz tak wyraźnie, tak mocno, tak intensywnie. Owszem, przedtem zdarzało się, że widziałem w snach staruchę z Koblencji. – Löwefell przypomniał sobie sparszywiałe truchło, jakim stała się cudna Roksana po użyciu potężnych zaklęć krwi i ognia, które wyssały z niej siły oraz urodę. – Lecz Roksanę, prawdziwą perską księżniczkę i maginię, widziałem w snach po raz pierwszy.

– Wiem – powtórzyła.

– Kilkanaście tygodni temu Katarzyna była tak łaskawa, że raczyła mnie przyjąć – rzekł Löwefell, będąc pewnym, że Katrina świetnie wie o tej wizycie, a być może zna nawet jej dokładny przebieg. – I w czasie naszej rozmowy wspominała o Roksanie oraz o tym, że Roksana... – zawiesił na chwilę głos – może wrócić.

Kobieta skinęła głową.

– Zdania na ten temat są podzielone.

– Nie znaleziono jej zwłok.

– Wiele rzeczy mogło się wydarzyć – odparła zamyślona Katrina. –

Jednak od pewnego czasu naprawdę bierzemy poważnie pod uwagę przypuszczenie, iż ktoś przechwycił jej ciało i zdołał wyssać esencję duszy oraz umysłu. – Westchnęła. – To bardzo niebezpieczne, Arnoldzie. Dla nas wszystkich.

– Lecz z drugiej strony bardzo obiecujące – nie zgodził się z nią.

– Wierzysz, że jej umysł mógł przetrwać śmierć w nienaruszonym stanie? – Pokręciła głową. – Nie, Arnoldzie. Jeżeli ona żyje, to być może będziemy mieli do czynienia z potężną, szaloną wiedźmą, której umysł tak samo nadaje się do badania hermetycznych sekretów przeszłości, jak piaskowa burza do nawadniania pól.

Löwefell rozważał przez chwilę jej słowa.

– Wybacz, Katrino, że nie zgodzę się z tobą – odezwał się wreszcie. – Ona może być śladem, tropem, przypomnieniem – usłyszał prawdziwą, gorącą nadzieję we własnym głosie.

Kobieta położyła dłoń na jego dłoni. Miała chłodne palce. Löwefell raczej nie lubił kontaktu fizycznego z innymi ludźmi, ale dotyk Katriny zawsze w jakiś sposób działał na niego uspokajająco. Tak jakby w ten subtelny sposób potrafiła choć na chwilę ukoić ciężący mu smutek.

– Nie daj się ponieść złudzeniom – powiedziała ze współczuciem. – Może ona żyje, może ją znajdziemy i schwytamy, ale najmniej z tego wszystkiego możliwe wydaje mi się, że będziemy potrafili ją wykorzystać. Chciałabym tylko, by nie wykorzystał jej nikt inny.

– Ktoś, kto dysponuje większą mocą niż my – rzekł ponuro Löwefell.

– Ktoś, kto dysponuje inną mocą niż my – poprawiła go Katrina. – Chociaż w tym wypadku zapewne bardziej użyteczną.

Inkwizytor palcem narysował skrzydła na blacie stołu, a kobieta uśmiechnęła się tylko.

– Każdy jest podejrzany – stwierdziła.

Potem wstała.

– Chcę, żebyś wszedł do nie-świata, Arnoldzie – powiedziała. – Chcę, żebyś tam poszukał naszej pięknej księżniczki.

Löwefell od czasu rozmowy z Katarzyną spodziewał się, że taki pomysł prędzej czy później się pojawi. Zastanawiał się nad związanymi z nim konsekwencjami, rozmyślał nad korzyściami oraz zagrożeniami i nie był pewien, czy pierwsze przerastają drugie, czy też odwrotnie.

– Nie uchylam się od zadania – rzekł. – Lecz są inkwizytorzy znacznie bieglejsi ode mnie w tej dziedzinie. Niemniej oczywiście spróbuję, jeśli takie jest życzenie Inkwizytorium.

– Takie jest życzenie Inkwizytorium – powtórzyła za nim Katrina poważnym tonem. – A ja będę ci asystować, Arnoldzie – dodała. – Wejdę z tobą, by cię chronić.

Löwefell spojrzał na nią prawdziwie zaskoczony.

– Sądzisz, że zdarzy się coś tak niezwykłego, iż nie będę w stanie obronić się sam?

Uśmiechnęła się lekko.

– Masz w sobie zapewne wielką moc, Arnoldzie, i jak sądzę, będzie ona rosnąć, lecz w nie-świecie jeszcze długo nie będziesz bezpieczny. Zwłaszcza przy wykonywaniu takich zadań jak to, które cię czeka.

– A co mnie czeka?

Katrina zastanawiała się chwilę, potem znowu usiadła. Löwefell zrozumiał, że kobieta właśnie w tej chwili wykracza poza ramy, jakie nakreślono jej rozkazami Inkwizytorium. Oczywiście mogła to zrobić, gdyż była niezależna i wysoko umiejscowiona w hierarchii, ale fakt, że postanowiła poświęcić Löwefellowi więcej czasu, wynikał już tylko z życzliwości, nie z obowiązku.

– Załóżmy, że komuś udało się odzyskać esencję życia Roksany. Załóżmy, że ten ktoś pilnie pracuje nad przywróceniem jej zmysłów, nad tym, by odzyskała dawną wiedzę oraz umiejętności. Jeśli przyjmujemy takie założenie, to jakie wynikają z tego wnioski?

– Ów ktoś będzie jej uważnie pilnował.

– Więcej, Arnoldzie. Ten ktoś wystawi Roksanę jako przynętę, wiedząc, że spróbujesz się do niej zbliżyć.

– To brzmi rozsądnie – zgodził się inkwizytor. – A czy ten ktoś, jeśli w ogóle hipotetyczny byt, o którym rozprawiamy, istnieje, będzie wiedział, iż ruszysz wraz ze mną?

– Bardzo dobre pytanie – skinęła głową Katrina. – I zapewne odpowiedź na nie poznamy już w nie-świecie. Ale całkiem prawdopodobne, iż nic się nie stanie. – Wzruszyła ramionami. – Wtedy będziemy ponawiać próbę, a także spróbujemy bardziej złożonych metod.

Löwefell oczywiście nie dopytywał, co to będą za metody. Jeśli Inkwizytorium uzna za konieczne wyjawić je, to na pewno tak właśnie uczyni.

– To, że Roksana zatopiła Szachor Sefer w umyśle bękarta Katarzyny, nie oznacza, iż nasz przeciwnik, nawet dysponując wszystkimi jej zdolnościami z perskich czasów, będzie potrafił rozplątać to zakłęcie – rzekł. – Pamiętam takie powiedzenie: łatwo wezwać ifryta, trudniej go zmusić, by cię nie spopielił.

– A nie sięgając do magii: łatwiej przebić dłoń, niż ją uleczyć – zgodziła się z nim Katrina. – Pamiętaj jednak, Arnoldzie, o jednym: naszym głównym celem nie jest pochwycenie Roksany – zaakcentowała mocno słowa „nie jest”. – Owszem, jeśli takie zamierzenie by się powiodło, będziemy więcej niż zadowoleni. Ale naszym głównym celem jest po pierwsze – wystawiła kciuk – sprawdzenie, czy Roksana istnieje, a po drugie – wyprostowała wskazujący palec – upewnienie się i zbadanie, w jakiej formie owo istnienie się objawia. A potem? – Skrzywiła nieznacznie usta. – Potem ją po prostu usuniemy.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Czy akceptujesz to, Arnoldzie?

Löwefell wiedział doskonale, że jego akceptacja, czy też brak tejże akceptacji, w żaden sposób nie wpłynie na decyzje podjęte przez Wewnętrzny Krąg Inkwizytorium.

– Tak. Akceptuję – odparł.

– Czyżby? – Katrina przyglądała mu się z lekkim rozbawieniem.

– Oczywiście, że akceptuję – dodał pewniej. – Z naturalnymi wątpliwościami, tym większymi, zważywszy na fakt, jak bardzo sprawa jest istotna i skomplikowana.

– Chciałbyś znowu ją mieć, prawda? Roksane? – Patrzyła na niego uważnie.

Teraz dopiero zauważył, że jej oczy były szare z zielonymi plamkami na tęczówce. Bo o tym, że jej spojrzenie potrafiło być lodowato przenikliwe, wiedział już od dawna.

– Chyba tak – odparł. – Tak. Na pewno tak – sprostował.

Teraz, wypowiadając te słowa na głos, zdał sobie sprawę, że od czasu rozmowy z Katarzyną cały czas z nadzieją myślał o możliwym powrocie

Roksany. Ta nadzieja tkwiła w nim i potężniała z dnia na dzień.

– Masz rację – rzekł jeszcze. – Pragnę jej.

Katrina doskonale wiedziała, że nie chodzi tu nawet o cień pragnienia natury erotycznej, że nie chodzi też o dawny sentyment nauczyciela do najzdolniejszej uczennicy. Tu chodziło tylko o wiedzę, którą można wyciągnąć z umysłu perskiej księżniczki. I zarówno Katrina, jak i Löwefell wiedzieli, że jeśli ceną za tę wiedzę miałyby być ostateczne zniszczenie duszy, umysłu i życiowej esencji Roksany, to żadne z nich nawet przez chwilę by się nie zawahało przed uczynieniem takiego kroku.

Katrina znów lekko uściśnęła dłoń Löwefella, potem wstała.

– Przyjdę do ciebie jutro, zaraz po tertii. Przygotuj się do ciężkiej podróży, przyjacielu.

Inkwizytor teraz dopiero zdał sobie sprawę z faktu, że kiedy wejdą razem do nie-świata, to zobaczy Katrinę w jej duchowej postaci. Jak będzie wyglądała? Jaki przybierze kształt? Wiedział, że jest potężna, ale w nie-świecie on będzie w stanie tę potęgę dokładnie dostrzec i precyzyjnie ocenić.

– Ciekawość pierwszy stopień do piekła – roześmiała się Katrina i nagle pod wpływem tego naturalnego śmiechu jej twarz zrobiła się dziewczęco promienna. – Do zobaczenia, Arnoldzie.

Kiedy odeszła i zamknęła za sobą drzwi, Löwefell ciepło pomyślał o tym, że nazwała go przyjacielem. Oczywiście nie znaczyło to zupełnie nic. I dla niej, i dla niego jedynym przyjacielem był Jezus Chrystus i żadne z nich nie zawaha się przed zniszczeniem drugiego, bez wątpliwości oraz bez skrupułów, jeśli tylko uwierzy, iż jest to czyn przedsięwzięty na chwałę świętej wiary. Ale niezależnie od tego wszystkiego usłyszenie słowa „przyjacielu” było bardzo miłe...

Czasy, w których podróż do nie-świata kosztowała Löwefella wiele wysiłku, bólu i fizycznych dolegliwości, minęły dawno temu. Teraz potrafił wnikać do owego uniwersum bez szczególnych wyrzeczeń oraz kłopotów, lecz z całą pewnością, najdelikatniej mówiąc, nie przepadał za podobnymi wędrówkami. Na szczęście ani nie musiał ich zbyt często podejmować, ani też nie obarczano go zadaniami wymagającymi podobnej aktywności. Przed podróżą zawsze dobrze było oczyścić ciało

i umysł. Inkwizytor nie jadł nic od czasu kolacji poprzedniego dnia, pił tylko wodę, dużo się modlił oraz medytował. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że podróż z Katriną może być czymś znacznie więcej niż dotychczasowe wycieczki do nie-świata, może być to wyprawa zarówno dużo bardziej niebezpieczna, jak i dająca szansę (przerazającą szansę!) na poznanie nowego wymiaru owego uniwersum. Bo dokąd zaprowadzi go Katrina? Dokąd zaprowadzi go członkini Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium, o której mocy, doświadczeniu i umiejętnościach mówiono zawsze i wszędzie z ogromnym szacunkiem? Jakie komnaty nie-świata otworzą się przed Löwefellem tylko dlatego, że Katrina będzie trzymała w dłoniach klucze?

A może to wszystko kłamstwo, pomyślał. Może celem tej wyprawy wcale nie jest zlikwidowanie Roksany, lecz pozyskanie jej moim kosztem? Może zrozumieli, że nie wydobędą ze mnie nic o Szachor Sefer, gdyż mimo najlepszych chęci nie jestem w stanie wskrzesić dawnych doświadczeń? Może ich celem stała się Roksana, a ja jestem zaledwie środkiem umożliwiającym osiągnięcie tegoż celu?

Löwefell myślał o tym wszystkim nad wyraz chłodno, bez emocji, a przede wszystkim bez gniewu i żalu. Raczej ze zrozumieniem dla ludzi, którzy taką decyzję mogli podjąć. Jeśli tylko to właśnie przysłużyłoby się naszej Sprawie, pomyślał, jeśli dzięki temu szala zysków i strat przechyliłaby się na naszą stronę, będę szczęśliwy, mogąc w ten właśnie sposób przyczynić się do przyszłego zwycięstwa dobrych chrześcijan.

I znowu już kilka chwil przed pukaniem do drzwi wiedział, że właśnie Katrina zmierza w stronę jego pokoju. Tak jak obiecała, pojawiła się zaraz po tertii. Tym razem była ubrana w prostą suknię z białego płótna i sandały na bosych stopach. Jej długie, rozpuszczone włosy sięgały niemal do pasa. Löwefella zachwyciło naturalne, delikatne piękno Katriny. Wyglądała niczym ślicznawiejska dziewczyna, wybierająca się na letni spacer. Kto by się spodziewał, że te różowe, pełne usta potrafią wypowiadać słowa zabijające szybciej niż bełt wystrzelony z kuszy, pomyślał.

- Nie widziałem cię w tym wcieleniu, Katrino – powiedział.
- Och, dzisiaj może czekać cię jeszcze wiele niespodzianek – odparła ze słodkim uśmiechem.

Löwefell świetnie zrozumiał, że to jest ostrzeżenie. I że nie wolno mu go zlekceważyć.

– Połóż się, a ja położę się obok ciebie – zarządziła i wskazała na łóżko.
– Im większa więź połączy nas tutaj, tym lepiej dla nas tam...

– Jak sobie życzysz.

Kiedy ta ładna, smukła kobieta kładła się obok niego, Löwefell serdecznie żałował, że nic nie czuje. A raczej, że nie odczuwa tego, co powinien odczuwać mężczyzna, kiedy kładzie się koło niego młoda, pociągająca niewiasta. Wiedział, że każdy normalny mężczyzna powinien doświadczać zainteresowania, zauroczenia, podniecenia, namiętności... Tymczasem on czuł zaledwie serdeczność. Było mu miło dotykać Katriny leżącej w jego ramionach i wtulającej się w niego całym ciałem, było mu miło spoglądać w jej oczy, było mu miło czuć na ustach jej oddech i czuć zapach jej ciała, który składał się głównie z zapachu samej skóry, ale też troszkę z woni ziół. No i na jej włosach pozostał dymny aromat kadzideł żarzących się w kaplicy.

– Wystarczy, że będziesz patrzył mi w oczy, Arnoldzie – powiedziała. – Nie odrywaj wzroku, staraj się nie mrugać. I przede wszystkim, na Chrystusa Mściciela, niech ci nawet nie przyjdzie do głowy, by odsunąć się ode mnie!

Te wypowiedziane z mocą słowa „na Chrystusa Mściciela” zabrzmiały tak niespodziewanie i tak dziwnie w jej ustach, że Löwefell o mało się nie uśmiechnął.

– Nie wypuszczę cię – obiecał jednak tylko.

Podróż do nie-świata zawsze niosła ze sobą niebezpieczeństwo. Nawet tak doświadczony inkwizytor jak Löwefell musiał czuć respekt i zachowywać ostrożność podczas pobytu w tym dziwnym uniwersum, które było, między innymi, czymś na kształt zdeformowanej (ale też głęboko mistycznej) wersji realnego świata. Umiejętności Löwefella rosły z każdym rokiem, więc teraz nie musiałby się uciekać do metod tak prostych i niebezpiecznych, jak te, które stosował w czasie słynnej rebelii Hakenkreuz. Wtedy został wysłany z ważną misją w sam środek buntu, który spustoszył część ziem Cesarstwa, wtedy widział bitwy, masakry i rzezie, wtedy też o mało nie zginął. I również wtedy musiał udać się w podróż do nie-świata, stosując środki, które dziś wydawały

mu się zarówno mało skuteczne, jak i prymitywne oraz niebezpieczne. Teraz wszystko mogło potoczyć się inaczej. A i sam nie-świat był już dla inkwizytora znacznie bezpieczniejszym miejscem. Co nie znaczy bezpiecznym. Bo nie-świat był niczym dzikie zwierzę. Zwierzę, które można wytresować, można obłaskawić, można badać jego zachowanie, instynkty, odruchy i zwyczaje, jednak zawsze, ale to zawsze, należy pamiętać, iż owo zwierzę potrafi niespodziewanie zaatakować. Zwłaszcza kiedy wyczuje krew lub słabość.

Część nie-świata swoją formą i strukturą przypominała do pewnego stopnia rzeczywisty świat. Powodem, dla którego wielu ludzi parających się magią odwiedzało nie-świat, było jednak co innego. Oto właśnie tam, w tym przedziwnym, zdeformowanym uniwersum, wszelka aktywność magiczna jaśniała niczym odbitymi lustrami ogień latarni morskiej. Miejsca, w których użyto czarów, zaklęte kryjówki, nasączone magią księgi czy przedmioty – w świecie rzeczywistym mogły być ukryte za zasłonami, ścianami lub barierami, ale w nie-świecie jaśniały tak mocno, że nie można było ich pomylić z niczym innym. Również w nie-świecie można było odszukać rzeczywistych ludzi, idąc za magicznymi niemi wysnuwanymi z przedmiotów, które do nich należały.

To prawda, że wiele było korzyści zapewnianych przez odwiedzin w nie-świecie. Dla każdego, kto chciał rozwikłać tajemnice świata rzeczywistego, nie-świat otwierał nowe możliwości. Ale pojawiały się też liczne niebezpieczeństwa. Dla ludzi mniej wprawionych samo wybranie się w mistyczną podróż było dramatycznym przeżyciem, doświadczeniem wypełnionym bólem i strachem oraz rujnującym fizyczne zdrowie. Omdlenia, wewnętrzne krwotoki, czasem nawet choroba lub śmierć – taki los spotykał ludzi, nieopatrznie pozwalających sobie na igranie z tą wielką, nie do końca pojmowalną siłą i z tym przerażającym uniwersum. A dlaczego było ono aż tak przerażające? Otóż dlatego, że zamieszkiwały je istoty, niektóre rozumne, niektóre kierowane instynktami, a niektóre zaledwie bezmyślnie egzystujące, dla których przybysz z prawdziwego świata (czy lepiej ujmując: duchowa esencja tegoż przybysza, gdyż to ona przecież podróżowała po nie-świecie, kiedy ciało leżało w świecie rzeczywistym bezwładne, puste i pozbawione sił) zazwyczaj stanowił albo zagrożenie, albo pożądany

przysmak. Niedoświadczonych podróżników owe istoty napawały przerażeniem, doświadczeni umieli się przed nimi bronić lub je omijać, najbardziej wprawieni potrafili korzystać z ich wyjątkowych mocy oraz zdolności. Nie-świat był również miejscem pobytu wielu demonów, które właśnie tam czekały na możliwość przejścia do innego, bardziej interesującego uniwersum albo też zajmowały się swoimi parszywymi sprawkami.

A co było ciekawe, dla każdego, kto odwiedzał nieświat w towarzystwie innych ludzi, tam, w tym mistycznym uniwersum, widziało się człowieka nie w jego fizycznej formie, znanej ze świata realnego, a w formie duchowej. W formie, która kształtowana była przez osobowość, doświadczenie, magię, złe lub dobre uczynki oraz myśli. A także, jak w przypadku Narsesa-Löwefella, przez pamięć zakłęta w dawnych wcieleniach. Czy w nie-świecie doświadczony czarownik mógł tworzyć fałszywe wizerunki samego siebie, by zmylić tym mieszkańców lub towarzyszy podróży i przeciwników? Z całą pewnością można było próbować podobnej gry pozorów, natomiast Löwefell nie do końca był przekonany, w stosunku do kogo i w jakim stopniu takie próby zakończą się powodzeniem. Na przykład nie sądził, by kiedykolwiek mógł przekonać w nie-świecie Katrinę, że jest kimś innym niż starcem o trupiej czaszce unoszącym się na chmurze z dymu i czarnego ognia. Cóż, tak właśnie wyglądał w nie-świecie i nic na to nie mógł poradzić. W rzeczywistym uniwersum był prawowitym inkwizytorem Arnoldem Löwefellem, członkiem Wewnętrznego Kręgu Świętego Officjum, lecz nie-świat cały czas widział go (a może lepiej rzec: pokazywał) jako perskiego czarnoksiężnika Narsesa, wsławionego wieloma zbrodniami i obrzydliwymi uczynkami. Löwefell był szczerze ciekaw, jakie tajemnice odkryje przed nim nie-świat, ukazując wizerunek Katriny, a słowa kobiety dodatkowo podsyciły jego zainteresowanie. Zresztą nie miał nawet ziarna wątpliwości, iż właśnie to podsycenie było jej celem, kiedy wypowiadała zdanie, że dzisiaj czekają go niespodzianki.

Katrina zarzuciła mu lewą nogę na udo, a lewą dłoń położyła z tyłu jego głowy. Niemal zetknęli się nosami.

– Podejrzewam, że dawno nie byłeś w takiej pozycji z kobietą –

powiedziała rozbawionym tonem.

– Jestem pewien, że nie tylko podejrzewasz, a doskonale o tym wiesz – odparł.

– Ano prawda. Wiem – rzekła po chwili.

– Dlaczego właśnie takiego mnie utworzyliście? – spytał nagle. – Dlaczego pozbawiliście mnie nie tyle nawet męskiej witalności, ile jakiegokolwiek chęci do korzystania z niej?

Katrina wpatrywała się w jego oczy, a Löwefellowi zaczęło się zdawać, że są one niczym szary ocean migoczący błyskami zielonkawego światła.

– Nie chcieliśmy, byś trwonił energię umysłu oraz ciała – szepnęła. – Ta sfera życia nie ma i nie powinna mieć najmniejszego znaczenia dla istot takich jak my.

Powiedziała „istot”, nie „ludzi”, pomyślał Löwefell z nagłym smutkiem. I smutek ten wynikał również z tego, iż był pewien, że kobieta celowo nie użyła innego słowa.

– Jesteśmy więcej niż ludźmi – dodała.

Wyjaśniła to, jakby czytała w jego myślach. Zresztą może naprawdę tak właśnie było? Szary ocean płynący z jej oczu był już wszędzie wokół. Otulał i kołysał Löwefella niczym łagodne fale, monotonnie i równomiernie bujające łodzią.

– I jesteśmy też mniej niż ludźmi – dodała i wyczuł w jej głosie smutek podobny do tego, który wyczuwał w swoich myślach. – Nie dążymy do zdobycia bogactw, do zyskania władzy, do zaspokojenia żądz i namiętności... Kiedyś byłam inna, Arnoldzie...

Inkwizytor nie widział już nic poza oczami Katriny, tak jakby całkowicie utonął i zatopił się w nich. Gdyby nie wiedział, że wcześniej skrzyżowali wzrok, nie domyśliłby się nawet, iż tak całkowicie pogrążył się w jej spojrzeniu, czy może w magii, jaką wyczarowała tym spojrzeniem.

– Kiedyś i ja dążyłam do sławy, do rozkoszy, do bogactwa. Kiedyś wydawało mi się, że będę potrafiła pomalować cały świat na takie kolory, na jakie tylko zapragnę...

– A potem? Co stało się potem? – zapytał i sam usłyszał swój głos, jakby tony biegły nie przez powietrze, a przez studnię wypełnioną olejem.

– Potem zrozumiałam, że to, co biorę za cały świat, jest jedynie malutką izbą w równie malutkim domku. I pojęłam również, że w prawdziwym kosmosie paleta barw ma takie odcienie, jakich istnienia nawet nie podejrzewałam w moim ubogim światku. Ale dojście do tych wniosków trwało długo i czasami, wierz mi... – Zamilkła na moment. – Nie było łatwe...

Głos Katriny dobiegał nie jako głos kobiety spoczywającej tuż koło niego, a jako brzmienie świata. Tak jakby całe szare niebo i cały szary ocean przemawiały do Löwefella. W dodatku dźwięk dobiegał zewsząd. Ani z góry, ani z dołu. Ani z północy, ani z południa, ani z zachodu czy ze wschodu. Bo już nie było przestrzeni, która ich otaczała. Nie było też kierunków. Była tylko połyskująca, kojąca oraz łagodna szarość, która zdawała się wypełniać i przenikać Löwefella.

– Nie rozplyń się we mnie, Arnoldzie – usłyszał głos, tym razem pełen troski, lecz też mocny i stanowczy. – Pamiętaj, że istniejesz, inkwizytorze Löwefell! Nie jesteś ani mną, ani oceanem, ani szarością. Ja cię tylko obejmuję.

I nagle znalazł się już w nie-świecie. Stał na kamiennym balkonie wieży, a na dole, pod jego stopami, kłębiły się zielone i niebieskie kształty, ogromne, lśniące wieloma odcieniami. Löwefell wiedział, że stoi w nie-świato wym odbiciu klasztoru, a pod nim znajdują się po prostu drzewa oraz przełom rzeki wgrzającej się w zalesione wzgórza. Tu jednak nie wyglądało to ani przyjemnie, ani sielsko. Kłębiące się kształty sprawiały wrażenie, jakby chciały pożreć nie tylko siebie nawzajem, ale również wszystko, co pojawi się w ich bliskości. No i niebo. Wisiało nad tym światem ciężkie, ołowiane, jak szary, brudny wór wyładowany błotem. I trzęsło się tak, jakby ten wór był bliski tego, że włókna ustąpią i wszystko zostanie skąpane w lawinie błota. Löwefellowi przebiegł dreszcz po plecach. Nie-świat wyzwalał w nim ten rodzaj obawy, którego nie znał w świecie rzeczywistym.

I wtedy poczuł czyjąś dłoń ramieniu.

– Czas na nas, Arnoldzie – usłyszał głos Katriny.

Głos, który brzmiał dokładnie tak samo, jak zawsze. Był dźwięczny i świeży. Inkwizytor obrócił się i ku swojemu zdumieniu zobaczył, że sama Katrina również nie zmieniła wyglądu. Nadal była jasnowłosą

młodą kobietą o pogodnej, delikatnej twarzy i szarych oczach. Tylko może tutaj te oczy miały więcej zielonych plamek. Była ubrana w prostą, jasną sukienkę, a w rękę trzymała bukiet kolorowych polnych kwiatów. Palce prawej dłoni miała zazielenione od soku roślin.

– Nie do wiary – rzekł Löwefell prawdziwie zdumiony.

Trudno mu było powiedzieć, kogo spodziewał się zobaczyć, ale na pewno nie spodziewał się tego, iż wizerunek Katriny w nie-świecie będzie niemal identyczny z tym w świecie rzeczywistym.

– Mówiłam, że czekają cię niespodzianki – powiedziała z uśmiechem. I nawet ten uśmiech był taki sam jak przedtem.

I wtedy Löwefell zdał sobie sprawę, że to wszystko nieprawda. Że ten obraz to jedynie ułuda stworzona przez samą Katrinę. Ułuda tak potężna, że potrafiąca omamić nawet Löwefella i dokonać tego nawet w nieświecie. A to, samo w sobie, było naprawdę nieliczną niespodzianką, gdyż świadczyło, że Katrina jest dużo potężniejsza, niż mógłby przypuszczać. Tymczasem jego towarzyszka żartobliwie pogroziła mu palcem wskazującym, cały czas się uśmiechając.

– Nie bądź pochopny w osądach – ostrzegła.

Potem odwróciła się tyłem do poręczy i wychyliła z kamiennego balkonu. Spojrzała w górę.

– Bardzo daleko mamy na szczyt – westchnęła. – Ale cóż zrobić. Najpierw musimy właśnie tam polecieć...

Löwefell zbliżył się do niej i wychylił podobnie jak ona. Rzeczywiście, w szaroburym kłębowisku obłoków nie było widać nawet szczytu wieży. Za to świetnie można było dostrzec przebiegające przez środek chmur smugi barwy przydymionego srebra.

– Chmury, pioruny... – rzekł. – Chcesz się przez nie przedzierać?

Wędrowcy, którzy zaglądają do nie-świata, zawsze starają się trzymać z dala od niespodzianek. A to oznacza, iż omijają miejsca, których nie można spenetrować wzrokiem lub magią. Bo w miejscach tych można pozostać na zawsze. Oczywiście, jeśli ma się pecha.

– Zrobimy to szybko – stwierdziła.

– Kiedy już staniemy na szczycie – powiedział – co uczynimy później?

– Rozejrzemy się, Arnoldzie. Z góry lepiej widać...

Tak jakby to miało być wyjaśnienie, pomyślał.

– Kiedy staniesz na górze, sam zrozumiesz, dlaczego chciałam przeprowadzić sprawę w taki, nie inny sposób – rzekła. – A teraz chodźmy, bo będzie coraz gorzej i gorzej...

– Co mam robić?

Jednym zwinnym skokiem, lekko, jakby odbijała się nie od kamiennej posadzki, a trampoliny, wylądowała na balustradzie.

– Chodź do mnie.

W świecie realnym Löwefell raczej nie dałby rady podskoczyć na aż taką wysokość, tu jednak przecież kamienie nie były prawdziwymi kamieniami, mięśnie kierujące ciałem nie były prawdziwymi mięśniami, a powietrze, które nie było powietrzem, miało inną strukturę i inne właściwości. Inkwizytor przefrunął więc na balustradę i stanął obok towarzyszki. Ta z niezadowoloną miną spoglądała do góry, w kłębiące się brudne obłoki, w których coraz częściej pojawiały się srebrne niteczki rozbłysków. Wreszcie westchnęła.

– Nie będziemy ryzykować – zdecydowała. – Nie zaczniemy bez przeprowadzenia zwiadu.

Oddarła rękawy sukienki i podarła je na wąskie, długie paski. Każdy rękaw przedzieliła w ten sposób na dwa pasy. Löwefell domyślał się, co zamierza zrobić, ale przyglądał się jej poczynaniom z ciekawością. Tymczasem Katrina dokładnie zmięła materiał, wyszeptała coś nad stulonymi dłońmi, a potem rozwarła palce i chuchnęła. Z jej dłoni wyleciały cztery ptaki. Ale, co zdziwiło Löwefella, nie były one wielkości kolibrów czy wróbli. To były ptaki wielkości srok, które już w powietrzu i machając skrzydłami, rosły i potężniały. Ich dzioby stały się dłuższe i bardziej zakrzywione, ich pazury zamieniły się w zgięte szpony. Teraz żaden z tych ptaków nie tylko nie zmieściłby się w dłoni Katriny, ale i zapewne z trudem znalazłby miejsce, by ulokować się na jej szczupłym ramieniu. Wszystkie cztery najbardziej przypominały czarne orły, tyle że ich dzioby również były czarne, a nie białe czy szare jak u prawdziwych orłów. Zawisły nad Katriną, bez ruchu, jakby były zaledwie wypchanymi stworzeniami zawieszonymi na cienkich, niewidocznych na pierwszy rzut oka niciach. Tylko ich oczy, puste, okrągłe i nieruchome niczym srebrne guzy, połyskiwały, kiedy ptaki wpatrywały się w kobietę. Löwefell nie tylko zobaczył, ale również

poczuł i zrozumiał, że te stworzenia nie są zwykłymi zwiadowcami. To byli wojownicy. Katrina niemal w jednej chwili stworzyła istoty, które mogły nie tylko bronić jej przed niebezpieczeństwami nie-świata, ale również atakować na rozkaz. Jak silne były te stwory?

– Lećcie na sam szczyt – nakazała, podnosząc głowę i patrząc w stronę ptaków. – Zabijajcie wszystko, co wam zechce przeszkodzić. A potem wróćcie do mnie.

Uniosła dłonie nad głowę.

– Lećcie, ptaszki! – zawołała.

Wszystkie cztery czarne orły, jak nazywał je w myślach Löwefell, wystrzeliły w górę niczym bełty wypuszczone z kuszy. I w mgnieniu oka zniknęły wśród szarych, gęstych i skłębionych obłoków nie-świata.

– Jestem pod coraz większym wrażeniem twoich zdolności – rzekł.

– Nie próbowałeś tego nigdy?

– Może. Kiedyś. Nie wiem.

– Nie za czasów Löwefella, prawda?

– Nie. – Pokręcił głową.

– Nie jest to trudne. – Spojrzała na gołe ramiona. – Mogłam również użyć własnych włosów, ale to byłoby niepotrzebne.

– Czy mogłabyś je sprowadzić do naszego świata? – zapytał nagle.

Zwróciła twarz w jego stronę.

– Czy kiedykolwiek miałeś do czynienia z czymś stworzonym w nie-świecie, co pojawiło się w świecie rzeczywistym? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Löwefell nie mówił o tym nikomu wcześniej, ale pomyślał, że może właśnie teraz nadeszła odpowiednia chwila, by podzielić się wydarzeniem sprzed kilku lat.

– Kot – odpowiedział. – Przyszedł za mną kot.

– Kot – powtórzyła. – I jakiż był ten kot?

– Ten kot był taki sam, jak wszystkie inne koty. Miauczał, mruczał, skakał, biegał, chociaż najczęściej leżał. – Löwefell uśmiechnął się do własnych myśli. – Poza tym jadł i wydalał. Kiedyś nawet upolował mysz.

– Co się z nim stało?

– Pewnego dnia zniknął...

Inkwizytor przypomniał sobie, że odczuł prawdziwy żal, kiedy zdał

sobie sprawę z faktu, iż to zniknięcie jest nie chwilowe, lecz permanentne. Bo przecież przyzwyczał się do puchatego, łagodnego stworzenia, które towarzyszyło mu w codziennych czynnościach. I przez dłuższy czas po jego zaginięciu odczuwał pustkę.



– W jaki sposób ten kot się pojawił?

Löwefell był przygotowany, że takie pytanie musi paść, i był przygotowany, by porozmawiać z Katriną na temat zagadkowych wydarzeń mających miejsce kilka lat wcześniej. Ale nie sądził, by teraz w nie-świecie, tuż przed czekającą ich wyprawą, były dobre miejsce i dobra pora na snucie podobnych historii.

– Wróćmy do tego później, dobrze?

– Jak sobie życzysz – odparła.

Czekali w milczeniu na powrót wysłanych przez Katrinę ptaków, a one przyleciały po czasie tak długim, że Löwefellowi w pewnym momencie wydawało się już, że oczekiwanie na nie jest daremne i że stwory wykreowane przez jego towarzyszkę albo zostały unicestwione, albo zaginęły gdzieś w mroku i pustce nie-świata. Ale nie. Okazało się, że wróciły. Wszystkie cztery. Miały zmierzwione skrzydła, powyrywane pióra, a jeden stracił niemal pół dzioba. Przysiadły na balustradzie nieruchomo, niczym wykute w granicie gargulce. Ich srebrne oczy były utkwione w Katrinie.

– Dziękuję wam, moje ptaszki – powiedziała serdecznie i nachyliła się do największego z nich. – Opowiedz mi, co widziałeś, co czułeś i co słyszałeś.

Orzeł odwrócił głowę z haczykowatym dziobem i zbliżył go do policzka Katriny. Przez jedną okropną chwilę Löwefell był niemal pewien, że ptak wbije się w ciało kobiety, rozerwie jej policzek, że poderwie się i chwyci ją szponami, zaplącze się w jej długie włosy, a ostrym jak harpun dziobem rozłupie kości czaszki. Oczywiście nic takiego się nie wydarzyło. Stworzenie wydawało się raczej przytulać głowę do policzka Katriny, a ona sama z przymkniętymi oczami głaskała je opuszkami palców po zmierzwionych piórach. Löwefell był pewien, że w jakiś dziwny, nadnaturalny sposób porozumiewają się ze sobą. Wreszcie kobieta odsunęła się.

– Byłyście bardzo dzielne – pochwaliła ciepłym tonem. – Czy chcecie wracać do mnie? Czy pragniecie żyć tutaj, w nie-świecie?

Wszystkie cztery ptaki poruszyły się gwałtownie. Löwefell wręcz fizycznie poczuł bijące od nich emocje. Uczucie zaniepokojenia i smutku

spowodowane tym, że będą musiały rozstać się z Katriną, ale też podekscytowanie faktem, iż będą wolne. I nadzieję, że ta wolność przyniesie im coś dobrego. Orły zagadały do siebie chrapliwie i gwałtownie, kręcąc przy tym głowami, a potem znowu znieruchomiały.

– Niech więc będzie tak, jak sobie życzycie – powiedziała Katrina. – Uwalniam was! – krzyknęła, unosząc ramiona.

Trzy orły zerwały się z balustrady, znowu nie jak ptaki, a niczym wystrzelone z balisty pociski. Pomknęły jak strzały, ale tym razem nie w górę, nie w bure obłoki, przerywane wstęgami błyskawic, lecz w dal, w stronę, gdzie w rzeczywistym świecie byłyby las, wzgórze i przełom rzeki. Tylko czwarty orzeł, ten największy, ten, który rozmawiał wcześniej z Katriną, został na balustradzie.

– Dziękuję, że ze mną jesteś – powiedziała, wyciągając dłoń i dotykając jego piersi. – Jesteś pewien swojego postanowienia?

Ptak skinął głową w sposób, który wydał się Löwefellowi zadziwiająco ludzki.

– Niech więc tak się stanie – stwierdziła uroczyście Katrina.

Potem odwróciła się w stronę inkwizytora.

– Nie dziw się temu, co zobaczysz, i nie próbuj przypadkiem niczego robić – nakazała. – Zareczam ci, że mimo iż na pierwszy rzut oka mogłoby się tak wydawać, to nie będę potrzebowała ani wsparcia, ani obrony. – W oczach miała wesoły błysk, który przekonałby Löwefella o prawdziwości tego twierdzenia, nawet gdyby nie przekonały go jej słowa.

– Skoro tak mówisz.

– Chodź, mój dzielny ptaszku – poprosiła orła.

I wtedy ten wyprysnął wprost w jej pierś. Wbił się w nią szponami i dziobem, rozorał sukienkę, obnażył piersi, rozerwał skórę i zgruchotał kości. W powietrze buchnęła fontanna krwi mieniąca się wszelkimi odcieniami czerwieni, od amarantu poprzez szkarłat i karmin aż do burgunda. Löwefell mimowolnie zacisnął dłonie w pięści i tylko pamięć o przykazaniu Katriny oraz wiara, iż ona doskonale wie, co mówi i co robi, powstrzymała go przed interwencją. Tymczasem orzeł, zasłonięty buchającą z rany krwią, przez chwilę jeszcze szamotał się w powietrzu, sam cały unurzany w czerwieni, aż wreszcie ciało Katriny wessało go

i wchłonęło. Jej kości zrosły się, skóra nabrała znowu jędrnej gładkości, a nitki sukienki zespoliły się w sztukę materiału. Kobieta odetchnęła głęboko. Miała bladą twarz i oczy powiększone oraz rozplómonione, z wielkimi, czarnymi źrenicami, tak głębokimi, jakby stały się studniami spoglądającymi w głąb nicości.

Katrina uniosła w uniesieniu twarz w stronę skłębionego nieba.

– Zawsze jestem silniejsza, kiedy to następuje. Staję się coraz potężniejsza... – powiedziała powolnym, monotonnym głosem i przymknęła powieki.

Przez długą chwilę trwała w bezruchu, jakby chłonęła całą sobą nieświat, potem otworzyła oczy i spojrzała na Löwefella.

– I zawsze staję się coraz mniej tym, kim byłam wcześniej – dodała głosem pozbawionym żalu, ale też pozbawionym zadowolenia.

Inkwizytor nie widział nigdy wcześniej podobnej manifestacji magii, nie sądził nawet, że podobny zabieg jest po pierwsze, możliwy, a po drugie, że jest zdolny przynieść cokolwiek korzystnego. Zresztą Katrina przyznała, iż za zwiększoną moc, za siłę, za potęgę, płaci własnym człowieczeństwem. Co tak naprawdę oznaczały te słowa? I czy w ogóle cokolwiek oznaczały?

– I co, Arnoldzie? Interesujące doświadczenie? – jej głos znowu był taki jak dawniej, zabawny i ironiczny.

– O tak. Niezwykłe – odparł Löwefell z całkowitą szczerością.

– A więc czas na nas. – Wyciągnęła do niego rękę.

Natychmiast wyciągnął swoją dłoń i splótł palce z jej palcami. Miała silny, chłodny uścisk. Krzepiący.

Wzlecieli z balustrady. Nie tak, jak orły Katriny, które pędziły niczym bełty wystrzelone z kuszy. Oni dwoje unieśli się raczej jak latawce pchnięte podmuchem wiatru, jak leciutkie, białe strzępy przekwitłego kwiatu mniszka. Wlecieli w szare obłoki i Löwefell w tym samym momencie natychmiast stracił wzrok. Nie widział nic poza szarą gęstą masą, tak jakby otworzył oczy w stawie pełnym błota. Poczul, że z trudem oddycha, i bał się otworzyć usta, gdyż wyobraził sobie, że szara masa zaleje mu wargi, wsączy się do gardła i do płuc, zatamuje oddech. Przez jedną straszną, ale intensywną chwilę miał ochotę wyszarpnąć dłoń z dłoni Katriny i ulecieć jak najszybciej, jak najwyżej i jak najdalej

od tej przytłaczającej burej masy.

– Nie rób tego, Arnoldzie – usłyszał spokojny głos swej towarzyszki. – Nie rób tego, bo zginiesz.

Ścisnęła mocniej jego rękę i znowu poczuł chłodny dotyk jej palców. Ten dotyk zdawał się wlewać nową siłę w całe ciało. Löwefell zrozumiał, że może odetchnąć, i odetchnął, tym razem nie bojąc się już, że szara, lepka substancja nie-świata zaklei mu usta, gardło i płuca.

Wznosili się jednostajnym, spokojnym ruchem, jakby byli nurkami pozwalającymi wypychać się wodzie z głębin w stronę powierzchni bez wykonywania gwałtownych ruchów. Inkwizytor rozumiał, że ta powolność i ten spokój są celowe i przemyślane. Wszystko prowadzone tak, by nie przyciągnąć czyjejs uwagi, by swoją obecnością nie przywołać kogoś lub czegoś, co mogłoby im przeszkodzić. Wysłane przez Katrinę ptaki wyczyściły drogę przed nimi, ale wiadomo było, iż skutki ich działania nie potrwają wiecznie. Czy w obłokach mogło się pojawić coś, co zagroziłoby tak silnej istocie jak Katrina? Cóż, Löwefell był przekonany, że on sam również nie byłby wyłącznie ofiarą możliwego ataku. Ale musiał przyznać, iż zdolności towarzyszki były dla niego samego na razie niedostępne. Myślał jednak o tym bez zawiści, co najwyżej z pełną szacunku zazdrością i pragnieniem wzniesienia się na podobny poziom. Nie dla własnej ambicji, a tylko, by stać się użyteczniejszym narzędziem w zadaniu budowy Domu Pańskiego.

Stopniowo zaczęło robić się coraz jaśniej. Brunatna masa ustąpiła miejsca migotliwemu brązowi, potem ciemnomiodowej lawie, aż wreszcie przeszła w beż rozjaśniony srebrem. I nagle, niemal bez ostrzeżenia znaleźli się w przejrzystym powietrzu. Groźne obłoki kłębiły się już nie nad nimi czy wokół nich, lecz pod ich stopami. Stanęli na szczycie wieży, na kamiennej platformie będącej, jak sięgnąć okiem, najwyższym punktem. Löwefell rozejrzył się z zaciekawieniem.

– Pierwszy raz widzisz klasztor z nie-świata i nieświat z klasztoru, prawda? – zagadnęła Katrina.

– Do pewnego stopnia – odparł ostrożnie Löwefell.

Pamiętał bowiem, że Marius van Bohenwald zaprowadził go kiedyś w takie miejsce, z którego można było ogarnąć wzrokiem i myślą rzeczy niewidzialne, czy też niedostrzegalne w inny sposób. Ale do tej pory nie

do końca wiedział, cóż to było za miejsce. Nigdy później tam nie wrócił, bo też nie wiedziałby nawet, w jaki sposób to zrobić, a van Bohenwald nie przypominał tego wydarzenia ani w rozmowie, ani nawet w aluzji.

– Wiem, dokąd zabrał cię Marius – stwierdziła Katrina. – To było co innego.

– Tak – zgodził się Löwefell. – To było co innego. Chociaż do tej pory nie wiem co... – dodał.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Katrina wpatrzona w dal, a Löwefell przyglądający się zabudowaniom klasztorным. Tutaj, w nie-świecie, klasztor wydawał się być nie tyle gmachem, ile skamieniałą, niegdyś żywą, a może nawet do tej pory żywą istotą. Gigantycznym, choć znieruchomiałym tworem, uśpionym na wieki i przez wieki, ale zdolnym kiedyś i pod wpływem jakiejś magicznej siły ożyć i powstać. Środkowa część budowli była zasłonięta przed wzrokiem Löwefella, gdyż nadal spowijały ją buroszare chmury. Dlatego widział jedynie boczne skrzydła i boczne wieże.

– Ostrzegam cię przed jednym, Arnoldzie – odezwała się Katrina. – Jeżeli przez myśl ci przemknęło, iż mógłbyś poprzez nie-świat zobaczyć, jak wyglądają sekretne komnaty w podziemiach Amszilas, to... – uśmiechnęła się samymi ustami – nie rób tego.

Löwefell zdziwił się, gdyż nie przyszło mu to do głowy, ale uzmysłowił sobie również, że owszem, ta myśl na pewno prędzej czy później by się pojawiła. I zdał sobie również sprawę, że byłaby to rzeczywiście niebezpieczna myśl.

– Niczego podobnego nie zamierzałem robić – odparł szczerze. – Zresztą nie sądziłem nawet, iż kiedykolwiek wejdem stąd właśnie, z klasztoru, do nie-świata. A teraz? – Spojrzał na Katrinę. – Mam strażnika, prawda? – Uśmiechnął się.

– Strażnika? – Pokręciła głową. – Nie, raczej opiekuna. I jako opiekun zapewniam cię, że próba zerknięcia w nasze tajemnice z poziomu nie-świata nie kończy się dobrze.

– A więc ktoś próbował..

– Ależ oczywiście, Arnoldzie, że próbował! – Klasnęła. – Powinieneś wiedzieć, że nie ma takiej głupoty, której ktoś kiedyś nie popełniłby z ciekawości. Czasami ciekawości bezmyślnej, a czasami podżeganej

pragnieniem władzy, wiedzy lub innych zysków.

– Tak, tak, sądziłem, że to bardziej ludzka cecha niż nasza, ale rzeczywiście i my podlegamy sile ciekawości – skinął głową inkwizytor. – Choć, jak miemam, była to ciekawość dobrze uzasadniona, a nawet szlachetnie motywowana, czyż nie?

Milczała chwilę.

– Widzisz, Arnoldzie, problem tkwi w tym, że nigdy nie poznaliśmy motywów kierujących nielicznymi ludźmi, u których ciekawość przeważała nad ostrożnością. Widziałeś sekretne komnaty w prawdziwym świecie i doskonale wiesz, jaką skrywają tajemnicę. Zapamiętasz to do końca życia...

Nie oczekiwała potwierdzenia, lecz Löwefell skinął głową. Tak właśnie było. Obraz, jaki pozwolono mu ujrzeć przed laty. Obraz prawdziwego Pana i Boga, Jezusa Chrystusa, nie tylko zapadł mu w pamięć, ale raz na zawsze odmienił jego serce oraz rozum. Pamiętał ten obraz w każdym szczególe i wiedział, że pozostanie on na zawsze odcisnięty w jego umyśle. Uspiony Jezus Chrystus zasiadający na tronie. I krew Aniołów ciętych srebrnymi sierpami, spływająca na ciało Boga, by Bóg ten nigdy nie umarł, lecz by trwał w zawieszeniu pomiędzy światem żywych i światem martwych. Wszystko to w nadziei, iż zostanie kiedyś odnaleziona formuła, by wyrwać Go z tej sennej martwoty. Dlaczego Jezus opuścił Rzym? Dlaczego odnalazł się w Germanii? Czemu przed wiekami zawędrował aż tutaj, do tej dzikiej, bezkresnej puszczy, pozbawionej wtedy jeszcze miast i dróg, a zamieszkannej jedynie przez barbarzyńskie plemiona, które jedyny sens życia widziały w nieustannej walce? W jaki sposób został pozbawiony mocy, w jaki sposób Go uspiono i w jaki sposób odgadnięto metodę postępowania pozwalającą na utrzymanie Go przy życiu, w dziwnym stanie letargu? Jak okiełznano Anioły, by przez wszystkie upływające stulecia karmiły Boga swą ożywczą, świetlistą krwią? Na te pytania Löwefell nie potrafił odpowiedzieć, chociaż ciekawiło go, czy w ogóle istnieje na świecie ktoś, kto na nie odpowiedzieć potrafi.

– Każdy z nas, inkwizytorów Wewnętrznego Kręgu, był tam, w tej wielkiej, świętej komnacie przynajmniej raz w życiu, a większość z nas tylko raz w życiu. Bo ten raz zupełnie wystarcza, byśmy nigdy nie

zapomnieli obrazu naszego Boga.

– To prawda – rzekł Löwefell.

Właściwie dopiero teraz zdał sobie sprawę z faktu, że rzeczywiście nigdy nie pragnął wrócić do sekretnych podziemi, w których trwał Jezus Chrystus. Dlaczego? Może ze smutku, a może z poczucia bezsilności? Niemniej doskonale zauważył, że Katrina powiedziała: „większość z nas tylko raz w życiu”. Oznaczało to, że istnieli inkwizytorzy, którzy bywali w tej komnacie częściej. W jakim celu? Przecież Jezusem i utrzymywaniem Go przy życiu zajmowali się specjalnie wyszkoleni i biegli w swych zdolnościach mnisi. Po co więc pojawiali się tam inkwizytorzy? Jakże wyznaczono im zadania?

– Niestety, a może na szczęście – ciągnęła Katrina – z kogoś, kto próbuje spojrzeć do komnat z poziomu nieświata, zostaje zaledwie łupina. Powłoka. Wysuszony kokon. Taki człowiek znika, Arnoldzie, nie zostawiając po sobie żadnego śladu, iż kiedykolwiek był, istniał, żył... Nic. Pustka.

Löwefell przez chwilę rozmyślał nad tym, co usłyszał, a potem zapytał tylko:

– Czemu tak się dzieje?

Pokręciła głową.

– Tego nie wiemy na pewno. Mamy kilka hipotez starających się wyjaśnić, dlaczego taki właśnie spotyka ich los. Możliwe, że kiedyś o owych hipotezach porozmawiamy...

I wtedy Löwefellowi przemknęła przez głowę myśl, że Katrina czy ktoś, z kim dyskutuje ona o tej tajemnicy, tak naprawdę pragnie przedrzeć się przez magiczną barierę. Że jej celem jest pokonanie owej pułapki. Tylko w imię czego? Zaledwie ciekawości? Löwefell nie sądził, by kwestia była tak trywialna. Lecz nie mógł oprzeć się myśli, iż ostrzeżenie, które Katrina przedstawiła mu przed chwilą, nie było tak naprawdę ostrzeżeniem, a informacją. Inkwizytor nie dziwił się, że znaleźli się tacy, którzy zapragnęli ujrzeć sekrety Amszilas z mistycznej perspektywy nie-świata. Jak wyglądał Jezus Chrystus w nie-świecie? Jaką przybierał tutaj formę? Czy nie-świat potrafił na Niego wpłynąć, czy też raczej On wpływał na nie-świat i kształtował go? Czy umysł Jezusa i jego święta wola w jakiś sposób potrafiły działać pomimo letargu? Czy to

działanie byłoby widoczne z poziomu nie-świata? Czy ci, którzy znikali, chcąc przejrzeć sekrety Pana, znikali dlatego, że to sam Chrystus bronił swej tajemnicy? A jeśli tak, czy bronił jej w sposób świadomy, czy zaledwie instynktowny?

Tymczasem Katrina wydawała się zupełnie nie zwracać uwagi na pogrążonego w rozmyślaniach Löwefella. Oparta o murek spoglądała w dal i inkwizytor był pewien, że widzi coś poza czystym, przejrzystym niebem i obłokami na linii horyzontu.

Gdybym nie wiedział, że jestem w nie-świecie, być może przez kilka chwil dałbym się nabrać, że jestem w rzeczywistym uniwersum, że stoję pod ludzkim niebem, na zupełnie zwyczajnym kamiennym balkonie, pomyślał Löwefell. Nigdy nie widziałem jeszcze fragmentu nie-świata, który wyglądałby tak zupełnie zwyczajnie. I nawet... przyjaźnie.

I nagle Katrina wyciągnęła dłoń i wykonała nią dziwny gest, tak jakby skręcała coś w powietrzu, a w jej palcach pojawił się przedmiot pulsujący ciemnością. Löwefell o mało nie cofnął się o krok, gdyż był to gest tak niespodziewany i zaskakujący. A i sam przedmiot był niezwykle. Nie tylko przez swoją magiczną strukturę, nie tylko poprzez zaklętą w nim moc, ale dlatego też, że Löwefell świetnie rozpoznał, czym ten przedmiot był w świecie rzeczywistym i jak dokładnie wyglądał.

– Poznałeś – stwierdziła z satysfakcją Katrina.

– Tak, poznaję – odparł inkwizytor.

Wspomnienia wróciły, nie jak błysk, nie jak sztormowa fala, a niczym łagodny podmuch ciepłego powietrza, kiedy otwiera się drzwi i wychodzi na próg w letnie południe. To było stopniowe pojawianie się obrazów z przeszłości. Löwefell zobaczył olśniewającą salę. Kafle podłogi były wykute ze złotych płytek, ściany i kolumny rzeźbione z marmurów znad indyjskiej Narmady. Z sufitów zwieszały się kryształowe kandelabry, w których grubo rżniętych kulach załamywały się płomienie uwięzionych ifrytów, wypełniając całą komnatę pomarańczowozłotym blaskiem.

– Nie wierzę... – szepnął Löwefell.

– W co? – usłyszał ciekawość w głosie Katriny.

– Narses. Jego moc... On chwycił ifryty i zaklinał je w kryształach, by oświetlały mu pałac... Cóż za marnotrawstwo potęgi.

– Nie wiedziałam, że to potrafił. – Inkwizytorowi wydawało się, że jego towarzyszka jest naprawdę zdziwiona. – Jesteś pewien, że to były ifryty? Prawdziwe ifryty, a nie magiczne złudzenie, by okazać gościom moc i władzę?

– To były prawdziwe ifryty – rzekł Löwefell z pewnością w głosie.

Bo przypomniał sobie nie tylko kule z zamkniętymi demonami, nie tylko płomień i światło załamujące się w kryształach. Przypomniał sobie również bezgraniczną wściekłość demonów. Ich bezsilną nienawiść, pulsującą w całej sali, ich oczy, zawsze i wszędzie śledzące każdy krok Narsesa. Te spojrzenia pełne niewyobrażalnej dla człowieka wrogości, pełne cierpienia, ale pełne również okrutnej nadziei, że kiedyś będą mogły sycić się męką człowieka, który tak strasznie je poniżył.

– Nie wiedziałem, że Narses był aż tak potężny – szepnął Löwefell. – W jaki sposób on je wszystkie jednocześnie utrzymywał w niewoli?

I inkwizytor musiał, choć niechętnie, przyznać, że ten mroczny starzec, ten okrutny perski mag, wzbudził jego podziw. Pomieszany z pogardą, lecz jednak podziw. Zarówno dla siły, jak i dla pewności siebie. Przecież Narses przechadzał się w tej komnacie pełnej rozwścieczonych ifrytów, sycił się i karmił ich cierpieniem oraz nienawiścią. Wiedząc, że istnieje szansa, niewielka, ale jednak istnieje, że któryś z demonów zerwie więżące go pęta. I świadomość tego, że demony wiedzą o swej szansie i walczą ze wszystkich sił, by ją odnaleźć, jeszcze bardziej bawiła i podniecała perskiego czarnoksiężnika.

– Też chcielibyśmy poznać sekrety mocy Narsesa – stwierdziła Katrina. – Bo jak myślisz, czemu zadaliśmy sobie tyle trudu, by go schwycić, a potem przywrócić mu zdrowie?

Löwefellowi podobało się, że Katrina mówi o Narsesie jak o obcym, innym człowieku. Że rozumie, iż perski mag i cesarski inkwizytor to dwie tak różne postaci, że nie należy ich identyfikować ze sobą. Oczywiście Löwefell przyzwyczaił się do złośliwości van Bohenwalda, ale podobała mu się delikatność obecnej towarzyszki podróży. Inna rzecz, czy wynikała ona z przekonań, czy służyła manipulacji. Bo tego, że jest obiektem manipulacji, Löwefell był oczywiście całkowicie pewien. Godził się z tym i nawet uważał to za właściwe, ale sądził też, że powinien być owych manipulacji świadomy.

Przymknął oczy, by pełniej zanurzyć się w przeszłości, i znowu zobaczył perskiego maga stojącego pośrodku złoto-białej komnaty pulsującej płomieniami rozwścieczonych ifrytów. Inkwizytor widział ten obraz nie oczami samego Narsesa, ale tak, jakby punkt obserwacyjny zawisł gdzieś pomiędzy ścianą a sufitem, a spojrzenie obejmowało całą komnatę i wszystkie znajdujące się w niej postaci. Narses jak zwykle ubrany był w czerń. Miał czarny płaszcz z szerokim kapturem, teraz jednak kaptur ten spoczywał na ramionach, odsłaniając bladą, pomarszczoną twarz. Ta twarz nie była bynajmniej odrażająca czy demoniczna, nie przedstawiała się jako przerażające uzewnętrznienie zła panoszącego się w duszy Narsesa. To było po prostu oblicze starego, ponurego człowieka, którego wymięta skóra nie oglądała od wielu lat promieni słońca. Mag trzymał w prawej dłoni laskę i Löwefell aż boleśnie poczuł, jak niezwykłą moc miał ten przedmiot. To była laska ze smoczej kości, materiału jak żaden inny na świecie nadającego się, by zaklinać w nim moc magii ognia.

– Gdzie jest jego laska? – Löwefell otworzył oczy i spojrzał na Katrinę.
– Co zrobiliście z laską Narsesa?

– Potężna to była broń w ręku perskiego maga ognia, który przygotowywał ją, rzeźbił i dopieszczał całymi latami – powiedziała takim tonem, jakby recytowała poemat.

– Poczulem jej moc we wspomnieniu. Była... – Odetchnął głębiej. – Nawet ifryty szalejące w kryształowych kulach nie miały takiej potęgi jak ona... Co z nią zrobiliście? – powtórzył pytanie.

– Zniszczyliśmy ją – odparła Katrina. – Była zbyt niebezpieczna, a my nie potrafiliśmy jej kontrolować.

Nie, nie zniszczyliście jej, pomyślał Löwefell i miał absolutną pewność swej racji. Leży w jakimś skarbcu, otoczona ochronnymi zaklęciami, przygwożdżona mocą potężnych modlitw oraz relikwii. Ale na pewno nie zniszczyliście jej, gdyż jest świadectwem istnienia zbyt wielkiej mocy. Bo jest również skarbcem wiedzy, jeśli ktokolwiek zdecyduje się w tym skarbcu kiedyś zanurzyć. Czy Narses stworzył samodzielnie ten potężny, magiczny artefakt, czy też odziedziczył go po kimś innym i jedynie poprawiał, cyzelował oraz udoskonalał? Po twórcy? A może po spadkobiercy twórcy? A może tę laskę stworzono jeszcze dawniej?

Wtedy, kiedy według legend smoki szybowwały pod płonącym niebem? A Narses tylko ją coraz lepiej poznawał i ulepszał?

– Mówią, że ostatniego smoka widziano ponad tysiąc lat temu w czasie wielkiej perskiej wojny – rzekł Löwefell. – Jeśli w ogóle był tam wtedy żywy smok, a nie jedynie fantastyczny wytwór żołnierskiej wyobraźni – dodał.

– Był – stwierdziła Katrina z pewnością w głosie. – Był na pewno. Jednak czy żywy, to już kwestia dyskusyjna. Ale powiedz mi, co jeszcze zobaczyłeś? – Skupiła na nim uważny wzrok.

– Zobaczyłem Roksanę. – Uśmiechnął się do tych odległych wspomnień, które wydawały się nawet nie wspomnieniami, a życiem kogoś innego, przemalowanym niczym obraz do umysłu Löwefella.

Czarnowłosa piękność szła po złotych kaflach posadzki, mijając uwięzione w kryształach ifryty, które na jej widok pluły ogniem i miały się z jeszcze większą zaciekłością, niż kiedy widziały Narsesa. Roksana miała lśniąca suknię barwy karmazynowej czerwieni, która ciągnęła się za nią długim trenem. Stąpała, jakby była królową, bo rzeczywiście tu, w pałacu Narsesa, była królową. Była drugą po bogu, a jej kaprys rządził życiem niemal każdego człowieka, który miał szczęście lub nieszczęście znaleźć się w zasięgu jej wzroku. Bała się tylko Narsesa, a on czasami leniwie zastanawiał się, co by było, gdyby na oczach wielu gości i sług kazał wydać Roksanę na męki ifrytom, które wcześniej sama lubiła torturować. Wiedział jednak, Löwefell doskonale w tej chwili pamiętał te myśli, że dla chwili zabawy i rozrywki straciłby nie tylko zdolną uczennicę, ale też lojalną i inteligentną towarzyszkę, która pomagała mu zarówno w sprawach natury magicznej, jak też w intrygach na dworze szacha. Poza tym chyba ją lubił, pomyślał Löwefell. Pomyślał to po pewnym wahaniu, wynikającym z faktu, że słowa opisujące pozytywne emocje żywione w stosunku do innych ludzi zdecydowanie nie pasowały do perskiego czarnoksiężnika. Ale do Roksany czuł jakiś sentyment. Może taki, jaki czuje się do dobrze wytrenowanego, inteligentnego psa, którego zdolności potwierdzają kunszt samego nauczyciela. W każdym razie Löwefell widział ten obraz z przeszłości, ukazujący Roksanę kroczącą dumnie, z podniesioną głową i z uśmiechem przez środek złotej, pulsującej ogniem sali. Podziwiał nie

tylko piękno tej scenerii, lecz podziwiał również piękno kobiety będącej w centrum owej scenerii. Nie podziwiał jej jako mężczyzna, lecz jakby był uczestnikiem artystycznego misterium. Czy Narses miał podobne odczucia? Chyba tak, pomyślał Löwefell, gdyż przecież widzę go z przeszłości, jak stoi nieruchomo i przygląda się zbliżającej kobiecie. Nie cofa wzroku, nie odwraca go w stronę szalejących za jego plecami i po jego bokach ifrytów, lecz patrzy właśnie prosto na nią.

We wspomnieniach Roksana zbliżyła się do Narsesa i złożyła uniżony dyg. Teraz zauważył, że jej suknia ma głęboki dekolt, a szyję i górę piersi czarownicy okala migająca setkami rubinów złota kolia.

– Panie mój i władco, Narsesie, jakżeż mam dziękować ci za łaskę, którą wyświadczyłeś mi, wzywając mnie przed swe boskie oblicze. Niech ze szczytów Choransanu spłyną na ciebie...

– Dość, dość – usłyszał głos Narsesa i o dziwo, był to głos zmęczony.

Czyżby w towarzystwie Roksany perski mag pozwalał sobie na chwilę słabości? A może to tylko była gra? Może był to zaledwie specjalny pokaz dla oczu czarownicy? A może nawet nie dla jej oczu, lecz by pobudzić ifryty do dodatkowej wściekłości? By rozochocone pozorną słabością maga, tym usilniej próbowały wydostać się z niewoli?

Roksana dopiero teraz wyprostowała się, lecz głowę miała opuszczoną, a wzrok wbity w podłogę. Löwefell zauważył, że miała niesamowicie czarne i długie rzęsy, a brwi wyskubane i wymodelowane w delikatny łuk. Narses wyciągnął dłoń, tak samo białą i pomarszczoną jak jego twarz. Na tej dłoni lśniła brosza o kształcie czerwonego smoka. Brosza była tak duża, że rozwarty pysk smoka sięgał podstawy kciuka, a skrzydła rozłożone były od nadgarstka aż do podstawy palców.

– Możesz ją wziąć, jeśli chcesz – zezwolił obojętnym tonem.

Kobieta uniosła głowę i spojrzała na przedmiot leżący na otwartej dłoni Narsesa. Otworzyła usta, jakby zamierzała krzyknąć, ale w ostatniej chwili powstrzymała się i tylko zacisnęła mocno wargi. Löwefell zdumiał się jej reakcją, bo przecież tę perską czarodziejkę wychowano wśród intryg, była świadkiem dramatów, tragedii i okrucieństw, świadkiem zmieniających się kolei losu, ludzkiego cierpienia i upadków. Ta kobieta widziała staczające się głowy i zapewne na ucztach u Narsesa zaśmiewała się, oglądając demony pożerające

ludzi. Zdawała się przygotowana na wszelkie niespodzianki, jakie mogą nieść zaskakujące zwroty losu w miejscu tak niebezpiecznym, jak pałac perskiego maga. A teraz była zdumiona i wstrząśnięta. I tych uczuć nie zdołała ukryć. Tymczasem Narses nie wydawał się zwracać na nią uwagi. Po prostu spokojnie trzymał broszę na dłoni, a jego wzrok tym razem spoczywał na jednym z ifrytów. Ku zdziwieniu Löwefella ów ifryt nie miotał się, nie bluźnił, nie otaczał się językami płomieni i nie wybuchał setkami iskier. Siedział, jakby był zastygniętą w ogniu rzeźbą, i wpatrywał się w dłoń Narsesa. Sprawiał wrażenie oszołomionego.

I ten przedmiot, ten klejnot z odległych wspomnień, teraz trzymała w dłoni Katrina. Oczywiście wyglądał on całkowicie inaczej niż w realnym świecie i całkowicie inaczej niż na obrazie przeszłości wymalowanym w pamięci Löwefella.

Inkwizytor wyciągnął dłoń.

– Czy mogę? – spytał.

Katrina bez wahania podała mu czarną, martwą rzeźbę przypominającą kształtem wyschniętą ośmiornicę o powykęcanych kończynach.

– To był czerwony diament – rzekł Löwefell. – To jest czerwony diament – sprostował sam siebie.

Jego towarzyszka skinęła głową.

– Nigdy nie widzieliśmy, czy raczej: nikt nigdy nie widział tak dużego kryształu czerwonego diamentu, by wykuć z niego tej wielkości broszę – powiedziała.

– Jest w niej magia, ale niewielka, niegroźna – stwierdził inkwizytor po chwili wahania. – Ciekawe, czemu widzimy teraz ten klejnot w tak nieprzyjemnej postaci.

Ścisnął ośmiornicę w palcach, myśląc, że może wyczuje coś więcej, lecz nie poczuł nic poza delikatnym tchnieniem ochronnych zaklęć. Ot, kilka niewinnych sztuczek mających na celu spowodować, by los i łut szczęścia sprzyjały właścicielowi. W przerośni mówiąc: powodować, że kiedy właściciel będzie chciał wyrzucić dwie szóstki, to taka para zacznie wypadać znacznie częściej niż inne. Ale nie na tyle często, by wzbudzić podejrzenia.

– Bo to jego magia – wyjaśniła Katrina. – A wszystko, co pochodzi od

niego, jest zepsute, spaczone i zdegenerowane.

– Ja pochodzę od niego – rzekł Löwefell i nieoczekiwanie usłyszał smutek we własnym głosie.

Wyciągnął dłoń z leżącą na niej czarną ośmiornicą.

– Wolę formę, jaką ta błyskotka przybiera w rzeczywistym świecie – stwierdził.

– O mało co jej nie przegapiono – powiedziała Katrina. – Wyobrażasz sobie? – prychnęła i chyba naprawdę była rozeźlona. – Nasz jedyny ślad prowadzący do Roksany wpadłby w ręce jakichś złodziejasków, którzy sprzedaliby go byle paserowi. Klejnot mógłby w końcu utknąć w domu kupca, który nie zdawałby sobie nawet sprawy z jego wartości.

– Można za nią kupić pałac – rzekł Löwefell.

– Można za nią kupić wszystko albo nic. – Katrina wzruszyła ramionami. – Tej wielkości czerwony diament jest już poza kategoriami wyceny. No ale nas interesuje tylko droga, którą nas poprowadzi – dodała.

Możliwość znajdowania ludzi czy magicznych istot lub przedmiotów była jedną z właściwości nie-świata, z której to właściwości inkwizytorzy korzystali nader chętnie. Bo oto, mając przedmiot należący do kogoś, kto był z nim związany więzami emocjonalnymi, można było spróbować przeprowadzić mistyczną nić prowadzącą do właściciela. Oczywiście jak to w nie-świecie i jak to w przypadku zabiegów magicznych: czasami podobne doświadczenie się udawało, a czasami nie przynosiło żadnego efektu. Tym razem jednak Löwefell był podwójnie zdumiony. Po pierwsze, że przypomniał sobie o niezwykłym czerwonym diamencie, po drugie, iż Katrina chciała odnaleźć dzięki temu klejnotowi martwego człowieka.

– Jeżeli gdzieś w tym czy innym świecie jest coś, co może uchodzić za Roksane czy choćby ślad po Roksanie, to rzeczywiście ten smok jest jedynym, co może wysnuć nić do niej – przyznał zamyślony.

– Tak właśnie sędzę – zgodziła się jego towarzyszka. – Więc próbuj, Arnoldzie! – Uśmiechnęła się.

Löwefell spodziewał się, iż rozmowa przybierze taki obrót. Zresztą któż inny był lepiej predestynowany do poszukiwania Roksany niż jej dawny mentor, w dodatku będący ofiarodawcą klejnotu, do którego tak

bardzo się przywiązała.

Inkwizytor zamknął w dłoniach diamentowego smoka, który tutaj w nie-świecie nie wyglądał wcale jak najcenniejszy lub jeden z najcenniejszych klejnotów na Ziemi. Ale kiedy przestał na figurkę patrzeć, kiedy zapomniał o tym, jaki przybrała wygląd w nie-świecie, wtedy wróciły znowu wspomnienia. Brosza w rękach Roksany. Szczupłe, długie palce obejmujące kryształ czerwonego diamentu. Jej radość i zachwyty, których nie ukrywała, chociaż wiedziała, jak bardzo było to niebezpieczne w towarzystwie Narsesa, mogącego tylko po to ją wywyższyć, by zaraz potem tym boleśniej skrzywdzić. Ale Narses jej nie skrzywdził, pomyślał Löwefell z całkowitą pewnością, nie zranił jej ani nie upokorzył. Stał i nawet uśmiechał się swoimi zwiędłymi ustami, jakby ta szczerą radość młodej kobiety na chwilę rozgrzała jego serce i przywróciła mu coś na kształt ludzkich uczuć.

I kiedy pamięć Löwefella przedzierała się przez zamglone obrazy przeszłości, tutaj w nie-świecie poczuł, jak brosza zaczyna drgać w jego dłoniach.

– Nie wypuszczaj jej, Arnoldzie! – nakazała Katrina. Czerwony smok, który tutaj był dziwną, wypaczoną ośmiornicą, usiłował przedostać się pomiędzy dłońmi Löwefella. Inkwizytor czuł jego macki wciskające się pomiędzy palce, wierzące, szukające drogi.

– Myśl o Roksanie – podpowiedziała Katrina. – Połącz wspomnienie o niej ze wspomnieniem o smoku.

Löwefell sam doskonale wiedział, co ma robić, i nie potrzebował w tym wypadku rad towarzyski. Od początku był skoncentrowany i od początku też wiedział, że tylko zadziergnięcie na nowo mistycznej więzi, jaka łączyła klejnot oraz Roksanę, może przynieść jakikolwiek skutek. Sądził, że jeśli właścicielka broszy żyłaby do tej pory, to poszukiwania zakończyłyby się sukcesem, nawet gdyby w rzeczywistym świecie mieszkała daleko za granicami Cesarstwa. Ale Roksana najprawdopodobniej była martwa lub, w najlepszym wypadku, prawie martwa. A jeśli prawie martwa, to z całą pewnością wtedy niemal całkowicie odmieniona. W takich poszukiwaniach Löwefell rzeczywiście nie brał nigdy udziału.

Kiedy jeszcze widział Roksanę wraz z jej diamentowym smokiem?

Uśmiechnął się do własnych myśli, gdyż odpowiedź brzmiała: zawsze. Magini nie rozstawała się z klejnotem. Nawet w nocy, całkiem naga, trzymała broszę na zawieszonym na szyi łańcuszku. Löwefell przypomniał sobie to smukłe nagie ciało, jakby wykute dłutem artysty pragnącego oddać w rzeźbie ideał figury kobiety. Löwefell przypomniał sobie, jak to ciało wiło się pod nim i nad nim, przypomniał sobie, jak w chwilach uniesienia Roksana jęczała i zawodziła, takim głosem, jakby ją właśnie strasznie krzywdzono, a który to dźwięk świadczył tylko o tym, iż wchodziła na najwyższy poziom ekstazy. I ciągle był z nią smok. W łóżu – smok. Na balach – smok. W alchemicznej pracowni – smok. W bibliotece – smok. Ba, smok był z nią nawet w łaźni, nawet w basenie, nawet w czasie wyczerpujących ćwiczeń fizycznych, kiedy trenowała walkę mieczem i sztyletem. Roksana była smokiem i smok był Roksana. Stanowili jedność. Był jej szczęśliwym talizmanem, ale też na pewno dowodem na to, iż jest ulubienicą najpotężniejszego maga Persji. Musiano jej go zazdrościć. Czy ktoś kiedyś próbował go ukraść? Löwefell wiedział, że chciwość potrafi pchnąć ludzi do najgłupszych nawet uczynków, nawet do takich, które są zagrożone długą oraz bolesną śmiercią. Czyż nie zdarzało się często, że w czasie dokonywanych na złodziejach publicznych egzekucji w tłumie inni złodzieje okradali gapiów? Okradali, pomimo że właśnie widzieli tuż przed sobą, na własne oczy, jaka kara spotyka ludzi popełniających podobny występki. Löwefell wyobrażał sobie, że gdyby Roksana schwyciła złodzieja, to zdecydowałaby się uczynić z niego odstraszący przykład dla wszystkich chcących pójść w jego ślady. O tak, ten człowiek cierpiałby długo i straszliwie. Całymi tygodniami miałyby tylko jedno marzenie: aby wreszcie umrzeć. Perscy magowie słynęli z okrucieństwa, bezwzględności i braku skrupułów. Roksana, pomimo że była kobietą i księżniczką, wcale nie stanowiła tutaj wyjątku. Może nawet była bardziej okrutna i bezwzględna, gdyż jako młoda kobieta musiała mocniej udowadniać swoje umiejętności i swoją pozycję.

Ośmiornica zamknięta w dłoniach Löwefella dostała prawdziwego szału. Usiłowała się wydostać za wszelką cenę, drapała wszystkimi odnóżami, rzucała się w konwulsjach.

– Jessst! – krzyknęła Katrina z satysfakcją.

Inkwizytor otworzył oczy. Z jego stulonych dłoni uniósł się kłęb krwistoczerwonego dymu. Ręce Löwefella aż po nadgarstki wyglądały, jakby otoczyły je rozbryzgi krwi albo płomienie.

– Szuka – szepnęła Katrina.

Czerwony dym stawał się coraz większy. Zagarnął ręce Löwefella już aż po łokcie, więc inkwizytor wyciągnął ramiona przed siebie, bo nie chciał, by ten nieprzyjemnie wyglądający obłok dotknął jego twarzy.

– Co stanie się dalej? – spytał Löwefell, gdyż takie zjawisko widział po raz pierwszy.

– Kiedy znajdzie?

– Tak.

– Nie wypuszczaj go z rąk, bo jest zbyt szybki. Ucieknie nam i gdzieś zginie. Trzymaj go mocno, a uniesie cię i zabierze ze sobą w stronę Roksany. Ja będę wtedy tuż obok was.

– Dobrze – odparł Löwefell.

Czerwony dym sięgnął już do jego obojczyków, wił się również tuż przy samych stopach. Był coraz gęstszy i coraz ciemniejszy. Teraz barwą przypominał już nie krew świeżo upuszczoną z żył, a taką, która ściemniała pod wpływem powietrza. Ośmiornica w rękach inkwizytora rzucała się tak intensywnie i tak gwałtownie, że musiał nie tylko uważać, by nie wyrwała się na wolność, ale ledwo dawał radę utrzymywać związane dłonie, tak wielka była siła jej rozpychających te dłonie odnóży.

Zamknął znowu oczy, po pierwsze, gdyż chciał łatwiej przenieść się do obrazów wymalowanych w przeszłości, a po drugie, gdyż zbliżający się do twarzy czerwony dym budził w nim niewytłumaczalną logicznie odrazę. Ale zaraz te oczy otworzył, bo ośmiornica pomiędzy jego palcami rzuciła się gwałtownie, potężnie i konwulsyjnie, ale zaraz potem znieruchomiała. Dym zaczął rzednąć. Löwefell poczuł jeszcze drapanie we wnętrzu dłoni, ale było ono tak słabe, jak spacer pochwyconego w garść chrząszcza.

– Przestał się ruszać – rzekł na głos, zarówno zdziwiony, jak i rozczarowany. – Czy to jakaś sztuczka?

Jego towarzyszka potrząsnęła głową.

– Niestety – odparła. – Sądzę, że umiera... Rozchyl trochę dłonie.

Wsunęła palce pomiędzy dłonie Löwefella i westchnęła.

– Nic tu już po nas – powiedziała zaraz potem ze smutkiem.

Wyciągnęła znieruchomiałą ośmiornicę i przyjrzała jej się uważnie. Potem westchnęła znowu, a na jej twarzy pojawiło się wyraźne rozczarowanie.

– Cóż, nie można mieć wszystkiego – stwierdziła.

Powrót do prawdziwego świata był niczym spokojne wybudzenie się z płytkiego snu. Löwefell najpierw poczuł dotyk ciała Katriny i ciepło jej skóry. Potem jego policzki i nos musnęły włosy kobiety, później wreszcie poczuł jej zapach. Zioła i kadzidła, jeszcze delikatniejsze, niż kiedy kładli się do łóżka. Katrina uśmiechnęła się z ustami przy jego ustach.

– A więc wróciliśmy.

Przekręciła się na łóżku. Wstała i zaczerpnęła głęboko tchu. Położyła sobie prawą dłoń pod piersią, przy sercu, w tym właśnie miejscu, gdzie w nie-świecie widmowy orzeł wbił się i wniknął w jej ciało. Potem spojrzała na Löwefella i rozwarła lewą dłoń. Kryształowy czerwonego diamentu, teraz spopielone, zwęglone i szerniałe niczym grudki węgla, wysypały się z jej palców na podłogę.

– Przykro mi, Arnoldzie – powiedziała.

Löwefell poczuł ukłucie żalu. Ten klejnot, ten smok z czerwonego diamentu, połączył go na chwilę z Narsesem, z Persją i z Roksaną. Inkwizytor nie żałował jego materialnej wartości, gdyż ona nie była tak naprawdę istotna, lecz jedynie więzi, jaką klejnot przez chwilę wytworzył pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. A teraz ta więź bezpowrotnie zniknęła.

Opuścił nogi na podłogę i wstał. Poczul lekki zawrót głowy, który jednak po chwili minął. Podszedł do stołu i sięgnął po kubek z wodą, gdyż miał spieczone, popękane usta i język wyschnięty na wiór. Wypił kilka łyków i dopiero wtedy spojrzał na Katrinę.

– Szkoda, że nam się nie udało – rzekł z prawdziwym żalem.

– To było niestety do przewidzenia – odparła z westchnieniem. – Łudziłam się, że może powie nam za pierwszym razem, ale tak naprawdę, kierując się tylko zdrowym rozsądkiem, wiedziałam, że mamy niewielkie szanse. – Wzruszyła ramionami.

Potem spojrzała na zwęglone grudki rozsypane po podłodze.

– Wybacz mi, że zniszczyłam twojego smoka.

– To za ledwie przedmiot – rzekł Löwefell. – Żałuję jedynie, że nie poprowadził nas do celu. Kiedy wyruszymy znowu?

Przez chwilę wyglądała na zaskoczoną.

– Och, nie bądź w gorącej wodzie kąpany, Arnoldzie! – roześmiała się.
– Ale masz rację: na pewno wybierzemy się w podróż ponownie. Przecież naprawdę nie wiemy, czy tak do końca nam się nie udało. Być może celnie zarzuciliśmy przynętę. I jeśli tylko istnieje ktoś, kto nas obserwuje, to przynęta może mu się wydać interesująca. Pachnie i kusi...

– ...choć wiadomo, że jest przynętą.

– Sprytna ryba zje przynętę i zostawi haczyk. Jeśli mamy przeciwnika, na pewno będzie chciał tak właśnie uczynić.

– Cóż więc dalej?

– Będziemy próbować. Może nie codziennie, ale co drugi, trzeci dzień. Poradzisz sobie?

– Tak. Oczywiście.

Löwefell szczerze ucieszył się z decyzji Katriny. Po pierwsze, polowanie mogło ich doprowadzić do Roksany i umożliwić albo likwidację perskiej czarodziejki, albo pozyskanie jej, po drugie, Löwefell czuł, że obcując z tak doświadczoną i silną istotą jak Katrina, rozwija również swoje zdolności, po trzecie wreszcie, ostatnimi czasy dokuczała mu gnuśność i fakt, że Inkwizytorium nie wykorzystuje jego zdolności, tak jak by sobie życzył. Rzecz jasna Löwefell mógłby nawet siedzieć zamknięty w beczce, gdyby miał przekonanie, że przysłuży się to Sprawie, ale w tym wypadku po prostu go nie miał. Nie sądził, że życie w klasztorze i zabijanie czasu czytaniem ksiąg z biblioteki ma szczególny sens. Zważywszy w dodatku na fakt, że wszystkie dzieła najważniejsze z punktu widzenia jego edukacji i budowania umysłu oraz zdolności tegoż umysłu Löwefell już dawno przeczytał.

– Czy zechcesz mi teraz opowiedzieć historię swojego kota? – zagadnęła.

Löwefell milczał przez chwilę.

– Kiedy prowadziłem śledztwo dotyczące Katarzyny i jej bękarta, kiedy odnalazłem Roksanę zamienioną w starą wiedźmę, kiedy dowiedziałem się o losach Szachor Sefer, wtedy właśnie to wszystko się stało... – zaczął. – Przybiegła do mnie ogniowa salamandra i szepnęła, że

spotkamy się w szkarłatnym płomieniu – kontynuował. – I tego samego jeszcze dnia, kiedy próbowałem przedostać się do nie-świata, zostałem – wzruszył ramionami – porwany...

– Porwany – powtórzyła powoli Katrina.

– Cóż, to chyba najlepsze słowo, by określić sytuację, w której bez własnej woli, udziału i zgody przenosisz się za czyjąś sprawą w całkowicie nieznane miejsce – wyjaśnił.

– Za czyją stało się to więc sprawą?

Löwefellowi stanął przed oczami ten, który prosił, by nazywać go Arsanesem, i który podawał się za perskiego czarnoksiężnika, przed laty dobrze znającego Narsesa. Wówczas, w czasie odwiedzin Löwefella, mężczyzna odziany był w czerwony jedwabny szlafrok haftowany w złote smoki oraz w czerwone pantofle z zagiętymi noskami i złotymi pomponami. A jak wyglądał? Miał smagłą twarz i oczy ocienione długimi rzęsami. Trefione, obsypane złotym pudrem włosy kładły mu się aż za ramiona. Ten zniewieściały obraz zmieniała kwadratowa, władczo wysunięta dolna szczęka. To dzięki niej ta twarz nabierała niepokojącego wyrazu bezwzględności.

– Mag Arsanes – powiedział Löwefell. – Nie wiem, czy to jego prawdziwe miano.

Katrina potrząsnęła głową.

– Nigdy nie słyszałam o kimś takim.

– A powinnaś?

– Arnoldzie, Persja jest co prawda daleko i jest nam wroga, ale nie oznacza to, iż nic nie wiemy o tym, co dzieje się w jej granicach. Dostajemy raporty kupców i szpiegów, czasem zeznania tych, którzy uciekli przez bizantyjską granicę, lub pochwyconych jeńców. A magowie są w Persji znani. Są potężni, mają własne włości i zamki, uczestniczą w dworskich intrygach. Ich imiona nie są żadną tajemnicą.

– Rozumiem. – Löwefell skinął głową. – Marius trzyma mnie z dala od perskich spraw, stąd nie mam informacji, jaki jest stan naszej wiedzy...

– Wiem – stwierdziła Katrina. – I wierz mi, że ma rację. Oczywiście wszystko się zmieni, kiedy odzyskasz pamięć – dodała, uśmiechając się. – Wtedy nie tylko nikt nie będzie cię trzymał na dystans, lecz wręcz przeciwnie, będziemy nalegali, byś jak najusilniej zaangażował się

w problemy związane z Persją.

– Rozumiem – powtórzył inkwizytor.

– Sprawdzę to imię w naszych archiwach.

– Mówił, że znał Narsesa, i twierdził, że się go bał tak, jak bali się go wszyscy. Że Narses był jego panem. Mistrzem? Seniosem? W rozmowie ze mną wykazywał nawet nie szacunek, lecz wręcz zniesmaczające uniżenie...

Katrina zaśmiała się.

– W czym mogę ci usłużyć, nieskalany filarze wiedzy? Nie jestem godzien, by być pyłem u twoich stóp, o, górujący nad światem posągu niezmaconej sprawiedliwości...

Löwefell odpowiedział uśmiechem.

– Bardzo trafne przypuszczenia – odparł.

– Zaoferował ci pomoc?

– Oczywiście.

– Chciał się czegoś dowiedzieć?

– Z całą pewnością. Lecz nie zadawał wielu pytań. Miałem wrażenie, że na razie tylko mnie obserwuje i zależy mu, by zorientować się, z kim w zasadzie ma do czynienia i w jaki sposób mógłby mnie użyć.

– Stworzył tego kota dla ciebie?

– Nie. Kot już był. Znajdował się w należącym do Arsanesa fragmencie nie-świata, które to miejsce przybrało postać pałacowych pokojów i ogrodu. – Löwefell przypomniał sobie, jak wyglądały te wnętrza i dodał: – Ten mag musiał mieć wielką siłę, by tak umiejętnie ukształtować nie-świat.

– Lub ktoś ukształtował go dla niego – zauważyła Katrina. – Co mówił?

– O tym, iż w Persji zniszczono stronników Narsesa, uczniów i wasali...

– To prawda. – Skinęła głową.

– Że ci, którzy uciekli, czekają na powrót gotowi walczyć za sprawę Narsesa pod wspólnym sztandarem.

Potrząsnęła głową.

– Ci, którzy przetrwali, mają szczęście, że żyją. Nie sądzę, by myśleli o walce po tylu latach. Chociaż zapewne nie pogardziliby zemstą, gdyby dano im taką szansę. I co z kotem?

– Kiedy wróciłem do naszego świata, kot po prostu był razem ze mną.

Siedział na łóżku w moim pokoju.

– Zbadałeś go, jak sądzę?

Tym razem Löwefell uśmiechnął się.

– Katrino, poświęciłem naprawdę wiele czasu, by zbadać to stworzenie, posługując się zarówno zdolnościami medycznymi, jak i magicznymi. I zapewniam cię, iż wszystkie wyniki wskazywały, że to najzwyklejszy na świecie kot. Zaręczam ci również, że nie musiałem przeprowadzać sekcji zwłok, by się o tym przekonać. Miał nawet pchły.

– Cóż działo się potem?

– Z Arsanesem? Tak, z Arsanesem. – Pokiwał głową. – Czekałem na niego, przyznam, gdyż zainteresował mnie nie tylko on sam, lecz również zdumiewająca enklawa, jaką stworzył sobie w nie-świecie. Próbowałem nawiązać kontakt lub zrozumieć, w jaki sposób mogę do niego trafić, ale...

– Ale nic?

– Ale nic – potwierdził.

– Nigdy żadnego śladu, żadnego kontaktu, żadnego choćby najśłabszego sygnału, o którym mógłbyś przypuszczać, że pochodzi właśnie od niego?

Löwefell potrząsnął głową.

– Też mnie to zdziwiło, ale tak jak mówisz: nigdy. A wydawał się szczerze zainteresowany moimi sprawami i chętny, by wykorzystać mnie do swoich celów. A jednak już nie próbował.

– Arsanes – powtórzyła. – Sprawdzę to imię, Arnoldzie. Zapytam naszych przyjaciół, którzy lepiej znają Persję niż ja. Czy widziałeś jego prawdziwą postać?

Löwefell pokręcił głową.

– Czarnoksiężnik z taką mocą jak on, zważywszy, iż to on stworzył własny, ukształtowany wedle swojej woli fragment nie-świata, mógł mnie wtedy omamić, gdyby tylko chciał. Miał zniewieściały wygląd, długie włosy, głębokie ciemne oczy. I kwadratowy, szeroki podbródek. Otaczał go przepych. – Löwefell przypomniał sobie kapiący od ozdób i złota pokój pałacu, w którym przyjął go Arsanes.

Podeszła do niego i ujęła go pod ramię.

– Chodź ze mną do skryptorium. Mamy tam wielce utalentowanego

mnicha, który za pomocą kolorowego inkaustu potrafi wyczarować obraz każdej żywej istoty tak wyraźny i tak udany, jakby weszła ona na karty papieru z naszego świata.

– Wiem. Znam chyba tego młodzieńca. – Löwefell skinął głową. – Chętnie opiszę mu Arsanesa tak dokładnie, jak tylko będę potrafił.

Od czasu podróży do nie-świata i od czasu, kiedy Löwefell pomógł zdolnemu rysownikowi stworzyć portret Arsanesa, minęły dwa dni. Katrina nie dawała znaku życia, a on nie starał się jej szukać, wiedząc, że kiedy przyjdzie stosowny czas, kobieta sama go znajdzie. I tak właśnie się stało, zgodnie z przypuszczeniami.

Był wtedy w skromnej, niedużej komnacie przypominającej bardziej wydrążoną w skale jaskinię niż klasztorną kaplicę. Nawet meble: ławy i klęczniki, były topornie wykute z kamiennych brył. Zupełnie inne jednak wrażenie sprawiały ściany kaplicy, które pokryto fantastycznie dokładnymi płaskorzeźbami, cyzelowanymi co do najmniejszego drobiazgu. Löwefell lubił tu zachodzić i przyglądać się owym płaskorzeźbom, które od lewej strony do prawej przedstawiały całe życie Jezusa Chrystusa: od narodzin aż po zdobycie Rzymu. Potem, za obrazem Wiecznego Miasta otwierającego bramy przed tryumfującą Armią Jezusa, nie było już nic. Czysta ściana. Ta pustka lepiej od jakiegokolwiek artystycznego dzieła wyobrażała smutek i niezrozumienie, które pozostały po odejściu Chrystusa. Te pytania, na które nigdy nie uzyskano odpowiedzi: czemu nas zostawił? Dokąd i po co się udał? Kiedy wróci?

Siedział w kaplicy pogrążony w rozmyślaniach i wpatrywał się w kamienny Krzyż Nieskończoności wypełniający główną ścianę kaplicy. W ten kamienny, wielki krzyż wrysowano krzyż ciut mniejszy, w tamten jeszcze mniejszy, w tym mniejszym tkwił jeszcze mniejszy i tak dalej, i tak dalej, aż krzyże, coraz mniejsze i mniejsze, stawały się niewidoczne dla oka. Co symbolizowały? Nieskończoność cierpienia? Nieskończoność poświęcenia? Niemożność poznania?

Katrina weszła tak niepostrzeżenie, jakby była zaledwie podmuchem słabego, bezwonnego powietrza, a nie żywą istotą. Löwefell zorientował się, że jest tuż przy nim, dopiero wtedy, kiedy usiadła obok na ławie.

– Miło cię widzieć, Arnoldzie. – Uśmiechnęła się promiennie, a jej uśmiech jak zwykle spowodował, że Löwefell poczuł się mniej ponuro

niż zwykle. Czy też może lepiej powiedzieć: mniej obojętnie ustosunkowany do świata.

– I ciebie, Katrino – odpowiedział. – Co symbolizuje Krzyż Nieskończoności? – zapytał niespodziewanie dla samego siebie.

Widział, że zaskoczyło ją to pytanie, jednak odparła od razu:

– Niecelowość wnikania głębiej i dalej w poszukiwaniu sensu innego niż chwala Pana Naszego Jezusa Chrystusa. – Uśmiechnęła się i zwróciła twarz w stronę rzeźby. – Zważ, że jakkolwiek długo byś się wpatrywał w ten krzyż, jakkolwiek maleńkie zacząłbyś zauważać detale, nigdy nie dostrzeżesz niczego poza Jezusem i Krzyżem. Bo to wystarcza, by wyznaczyć sens całego świata i sens całej naszej cywilizacji.

Potem położyła dłoń na jego dłoni.

– Każdy z nas kiedyś zastanawiał się nad właściwym znaczeniem Krzyża Nieskończoności – powiedziała. – I każdy z nas pytał o to w końcu kogoś, kto jest w klasztorze dłużej. Cieszę się, że właśnie ja mogłam wyjaśnić ci znaczenie tego symbolu.

– Teraz wydaje mi się ono oczywiste.

Skinęła głową.

– Zawsze tak jest.

Zdjęła dłoń z jego dłoni i splotła palce, kładąc je na kamiennym blacie. Milczeli chwilę, po czym Löwefell zapytał:

– Nie spotykamy się przypadkiem, prawda?

– A jednak niemalże przypadkiem! – powiedziała wesoło. – Co prawda chciałam cię spotkać, ale nie byłam pewna, czy znajdę cię właśnie w kaplicy.

– I w czym mogę ci usłużyć?

– Nie ma i nie było takiego maga jak Arsanes – stwierdziła. – Jedyne potężny Arsanes, o którym wiem, żył cztery wieki przed Chrystusem i był synem króla Persji Artakserksesa Drugiego. Zapamiętano go z mowy, jaką wygłosił przeciw królowi Macedonii, Filipowi, i w ten sposób wszedł do historii.

Löwefell pokiwał głową.

– A więc mag podał mi fałszywe imię – rzekł bez zdziwienia. – Zważywszy na to, co wiem o Persji i co pamiętam z perskich czasów, nie widzę w tym niczego zaskakującego.

– Próbowałam oprzeć się na twoim opisie jego wyglądu, ale to również nic nie dało. Nikt nie przypominał sobie podobnej twarzy.

– Mówiłem, że w nie-świecie mógł mnie omamić – przypomniał inkwizytor.

– Tak zapewne właśnie uczynił – zgodziła się Katrina. – Nie rozumiem tylko jednego: dlaczego nikomu o tym wcześniej nie powiedziałaś? – Przypatrywała mu się uważnie.

Löwefell, zarówno wcześniej, jak i teraz, zastanawiał się nad właściwą i prawdziwą odpowiedzią na tak postawione pytanie. Dlaczego o dziwnym, niepokojącym zdarzeniu nie powiadomił od razu Mariusa lub kogokolwiek innego z inkwizytorów Wewnętrznego Kręgu?

– Zapewne powiedziałbym, gdyby spotkanie się powtórzyło – odparł. – Czekałem, aż coś się wydarzy, ale... – Wzruszył ramionami. – Zupełnie nic się nie wydarzyło.

– Popełniłeś błąd, inkwizytorze – stwierdziła, a jej głos zabrzmiał niespodziewanie zimno. – Powinieneś wiedzieć, które sprawy możesz rozstrzygać sam, a o których jesteś zobowiązany powiadomić Święte Officjum. Sprawa rzekomego Arsanesa niewątpliwie należała właśnie do tej drugiej kategorii.

Löwefell skinął zdawkowo głową.

– Zgadza się – odparł. – Teraz, po twoich słowach, widzę to jaśniej.

Katrina przyglądała mu się uważnie, ale o dziwo, bez niechęci czy nagany we wzroku.

– Zaczarowano cię – oznajmiła wreszcie.

– Słucham?

– Zaczarowano cię, Arnoldzie. Oczywiście, mogłam się tego wcześniej domyślić. – Pokręciła głową z niezadowoleniem.

Löwefell przypomniał sobie niechęć, z jaką za każdym razem myślał o podzieleniu się z kimkolwiek tajemnicą. Zawsze przekonywał siebie samego, że najpierw musi pozyskać więcej informacji, a dopiero potem, będąc lepiej przygotowanym, spróbuje opisać to dziwne spotkanie, do którego doszło w nie-świecie.

– Załóżmy, że to prawda – powiedział ostrożnie. – W jakim celu ktoś miałby spowodować, bym nie chciał mówić o owym zdarzeniu? Nie wydarzyło się w jego trakcie nic niezwykłego ani groźnego, poza

oczywiście niezwykłością samego spotkania.

Katrina zastanawiała się przez chwilę.

– Widzę dwa możliwe cele: pierwszy, iż zamierzano się z tobą kontaktować, ale z jakichś powodów intryga się nie udała i zakończyła się na pierwszym spotkaniu.

Inkwizytor skinął głową.

– Kiedy zastanawiałem się, dlaczego nie mam żadnej wiadomości od maga podającego się za Arsanesa, sądziłem raczej, że wina tkwi po stronie okoliczności, a nie jego odmienionej woli. Wydawał się zainteresowany.

– Może istnieje jednak jeszcze inne wyjaśnienie – rzekła Katrina.

– Badano mnie – domyślił się Löwefell.

– Tak, sprawdzali, ile wiesz i co wiesz, po czym kiedy zorientowali się, że nikomu nie zagrażasz, postanowili się wycofać.

– Sprawdzali. Zorientowali. Postanowili. Kto, Katrino? Kto przeprowadził ten dziwny zamiar?

Rozłożyła dłonie.

– Na razie nie znajdziemy odpowiedzi na to pytanie. – Ściągnęła usta. – Jednak najbardziej z tego wszystkiego intryguje mnie kot...

– Kot?

– Tak, kot. Bo to nie takie proste przywołać do naszego świata twór żyjący w nie-świecie i nadać mu fizyczne cechy całkowicie żywej, normalnej istoty. Jak długo z tobą mieszkał, zanim zniknął?

– Ponad czternaście miesięcy.

Pokręciła głową.

– Zdumiewające.

– Dlaczego jeśli znalazłem się pod wpływem zaklęcia, jak mówisz, to owo zaklęcie ustąpiło?

– Mogę tylko zgadywać.

Wysunęła dłoń i odciągnęła pierwszy palec.

– Jesteś dużo silniejszy niż wtedy, to raz. Byliśmy w nie-świecie, to dwa. Widziałeś moje orły, to trzy. Od dawna czułeś chęć podzielenia się z kimś tym sekretem, to cztery. I wreszcie, po piąte, darzysz mnie sympatią, Arnoldzie. – Uśmiechnęła się. – Więc łatwiej było ci opowiedzieć tę historię właśnie mnie, a nie chociażby Mariusowi.

Löwefell zastanawiał się chwilę.

– Zapewne wszystkie te czynniki odegrały rolę – zgodził się. – Ciekawe, czy ów Arsanes był naprawdę Persem...

– Liczyłeś na to, prawda?

– Oczywiście. – W ostatniej chwili powstrzymał się od westchnięcia. – Intryguje mnie każda możliwość, przybliżająca mnie do odkrycia dawnych sekretów. Nawet jeśli miałyby mnie zwodzić, prowadzić na manowce. Zbłądzenie również jest wskazówką.

– Uwierz mi, że nie zostawimy tego tak, jak jest – powiedziała poważnie.

Löwefell skinął głową i pogrążył się w myślach, znowu wpatrzony w Krzyż Nieskończoności.

– Być może istnieje jeszcze jedno wytłumaczenie – rzekł wreszcie powoli.

– Jakie, Arnoldzie?

– Być może nie pamiętam, że wydarzyło się coś ważniejszego. Być może w czasie spotkania z ową istotą podającą się za Arsanesa nastąpiły zdarzenia, o których kazano mi zapomnieć...

– Byłeś jeszcze wtedy słaby...

– Byłem wtedy słabszy niż dzisiaj – powiedział Löwefell. – Być może nawet, tak, z twojego punktu widzenia: słaby – zgodził się po chwili.

– Cieszę się, że ta myśl przyszła ci do głowy, Arnoldzie – stwierdziła tym razem serdecznym tonem. – To świadczy, iż zachowałeś trzeźwość myślenia, a także skromność każącą ci przypuszczać, że zostałeś pokonany. Pokonany w tak dotkliwy sposób, że nawet o tym nie pamiętasz.

Löwefell z ponurą satysfakcją zdał sobie sprawę z faktu, że słowa Katriny niestety mogą być całkowicie prawdziwe.

– Domyśliłaś się wcześniej ode mnie?

– Domyśliłam się natychmiast – odparła. – Ale czekałam, kiedy i ty się domyślisz. Tobie było trudniej – dodała wielkodusznie. – Jak zawsze, kiedy musimy oceniać samych siebie.

Inkwizytor skinął głową.

– Czy możemy to zbadać? Sprawdzić? Upewnić się w podejrzeniach lub rozwiązać je? – zapytał.

– Twój umysł jest labiryntem pełnym ślepych korytarzy – stwierdziła po chwili. – Być może jednak będziemy mogli dojść do tego, co tak naprawdę wydarzyło się wtedy, w czasie twojej podróży do nie-świata...

– Masz jakieś podejrzenia?

– Mam – odparła i obróciła się w jego stronę.

Przyglądała mu się z wyrazem twarzy, który nieszczególnie mu się spodobał, a który wydał mu się mieszaniną współczucia i politowania.

– Czy mogę wiedzieć jakie? – spytał.

– Na razie nie – odpowiedziała i wstała.

Potem uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Ale dzięki twojej opowieści o spotkaniu w nieświecie pojawiło się przed nami nowe zadanie.

– Chcesz znaleźć to miejsce – powiedział cicho.

– Nie sądzę, by do tej pory jeszcze istniało – odparła. – Ale pragnę znaleźć coś więcej. Pragnę znaleźć tego, kto je stworzył i kto wyprowadził cię na manowce. A także dowiedzieć się, jak daleko na te manowce zabrnąłeś.

Obróciła się w stronę Krzyża Nieskończoności i przeżegnała się. Potem skinęła głową Löwefellowi, odwróciła się i postąpiła w stronę wyjścia.

– Nie przejmuj się, Arnoldzie – dodała jeszcze, wstrzymując na chwilę krok. – Wiedzieliśmy, że prędzej czy później podobna rzecz ci się przytrafi.

Inkwizytor nie skomentował ani słowem tego zdania, zresztą Katrina komentarka wcale się nie spodziewała i nie oczekiwała, gdyż odeszła w stronę drzwi. Löwefell odprowadził ją wzrokiem, póki nie zniknęła w ciemnym korytarzu. Potem pokręcił z niezadowoleniem głową. Wiedział, że odległa przeszłość będzie go prześladować, ta przeszłość z perskich czasów Narsesa. Ale nie przypuszczał, że kłopotem dla niego samego i dla Inkwizytorium może stać się przeszłość z tak nieodległych czasów, z czasów, kiedy był już Arnoldem Löwefellem, inkwizytorem i wiernym sługą Bożym... To była smutna ironia. Katrina odwiedziła Löwefella następnego dnia, a pojawiła się w jego komnacie bez wcześniejszej zapowiedzi.

– Nie będę ci przeszkadzać? – spytała uprzejmie.

– Wejdz, proszę, i usiądź – odpowiedział.

Weszła, lecz nie skorzystała z zaproszenia, by usiąść, tylko podeszła do okna i otworzyła szeroko okiennice. W pokoju zrobiło się jasno, a Katrina stanęła w snopie światła, który wyłocił jej włosy, tworząc połyskliwą aureolę wokół głowy. Była niewysoka i szczupła, w białej, prostej sukni wyglądała jeszcze bardziej krucho, a jednak Löwefell jak nigdy wcześniej poczuł promieniującą od niej siłę.

– Nie można manipulować czymś umysłem, nie pozostawiając żadnego śladu – odezwała się nadal wpatrzona w widok za oknem.

– Oczywiście – zgodził się. – Tak jak po chirurgicznej operacji zostają blizny czy zrosty, które rozpozna inny medyk.

Odwróciła się w jego stronę.

– Jednak zachodzi taka różnica, Arnoldzie, że po bliznach i zrostach nie poznasz, który lekarz i gdzie dokonał operacji.

Löwefell spojrzał na nią uważnie.

– Potrafisz wyśledzić tego, kto wdarł się do mojego umysłu? – zapytał z niedowierzaniem.

Uśmiechnęła się.

– Dlaczego cię to dziwi? Każde działanie w nie-świecie zostawia swój odcisk w widmowej materii. Im działanie było silniejsze, im więcej energii pochłonęło, tym dłużej odcisk się utrzymuje. A jeśli widzimy odcisk, to dojdziemy i do tego, kto go zostawił oraz gdzie się potem udał...

Inkwizytor wiedział i na własne oczy widział, że doświadczenie Katriny w obcowaniu z mocami nie-świata przewyższa o niebo nie tylko jego doświadczenie, ale nawet to, co wyobrażał sobie, że może osiągnąć w niedalekiej czy nawet nieco dalszej przyszłości.

– To stało się tak dawno temu – powiedział.

– Toteż nikt nie twierdzi, że zadanie jest proste – odparła. – Ale z twoim pozwoleniem mogę spróbować...

– Czego będziesz potrzebowała ode mnie? Jakiego rodzaju pomocy? Jeśli w ogóle jakiejś...

– Oczywiście musimy udać się do nie-świata – wyjaśniła.

Wyciągnęła przed siebie rękę i dopiero teraz Löwefell zorientował się, że do tej pory trzymała ją zaciśniętą. Teraz rozłożyła palce, a inkwizytor spostrzegł, że na środku jej dłoni wije się stonoga.

– Czemu przyniosłaś to stworzenie? – zapytał po chwili.

– Zabiorę je do nie-świata i tam włożę do twojej głowy – odparła. – Chciałabym, byś o tym wiedział.

Löwefell, najłagodniej mówiąc, nie był zachwycony faktem, że ten wijący się robak ma zamieszkać w jego głowie. Choć tak naprawdę, w nie-świecie, nie byłaby to ani jego głowa, ani nie byłby to ten robak.

– Dlaczego?

– Ktoś, kto grzebał w twoim umyśle, zostawił w nim magiczną esencję – rzekła Katrina. – Moja stonoga ją zje, po czym złakniona uda się w poszukiwaniu kolejnej porcji. – Uśmiechnęła się. – I w ten właśnie sposób zaprowadzi nas do twórcy owego miłego zakątka w nieświecie, do którego cię ściągnięto...

– To brzmi tak prosto w twoich ustach.

– Cóż... – Wzruszyła ramionami. – Brzmi może prosto, ale czy się uda, tego naprawdę nie wiem.

– Skąd wiesz, że ta... stonoga zrobi właśnie to, co dla niej zaplanowałaś?

– Rzeczy w nie-świecie na ogół robią właśnie to, czego chcę i czego od nich żądam – odparła po prostu.

W wypowiedzianym zdaniu nie było ani przechwałki, ani zadowolenia z własnych umiejętności, wybrzmiało jedynie suche stwierdzenie faktu. Tak, na ogół rzeczy w nie-świecie robiły to, czego chciała od nich Katrina. Po prostu. Löwefell znowu zdał sobie sprawę, jak bardzo ta kobieta wyprzedza go przynajmniej w tym aspekcie znajomości sztuki magicznej. Już sztuczka z mistycznymi orłami była imponująca i niezwykła, a jeśli uda jej się to, co zamierzała teraz...

– Czy Narses poruszał się tak sprawnie w nie-świecie jak ty? – zapytał.

– Nie wiem. – Pokręciła głową. – Nie poznałam go na tyle dobrze, by upewnić się co do jego zdolności w tej akurat kwestii. Ale ponieważ był silnym, sprawnym magiem, więc całkiem możliwe, iż nie-świat nie stanowił dla niego większego wyzwania. Chcesz wiedzieć, czy twoje zdolności się rozwiną, prawda? Do tego zmierzało pytanie, czyż nie?

– Oczywiście.

– Sądzę, że wiele jeszcze przed tobą, Arnoldzie Löwefell – odparła poważnie. – Myślę, że jeszcze nie raz zdołasz zadziwić samego siebie i odkryć wiele dróg, których istnienia nawet sobie w tej chwili nie

wyobrazasz.

– Dziękuję ci – odparł po chwili Löwefell.

– Bardzo proszę! – odparła z nieoczekiwaną wesołością, po czym mrugnęła do niego. – Wskakuj do łóżka, Arnoldzie! Nie pozwól, by kobieta czekała!

Odpowiedział jej uśmiechem. Zdawał sobie doskonale sprawę z faktu, że Katrina nim manipuluje, ale zdawał sobie też sprawę z tego, iż ona wie, że on wie. Był to więc bardzo uczciwy i przejrzysty układ. Chociaż Löwefell miał nadzieję, iż jednak darzyła go czymś w rodzaju sympatii, bo on na pewno odczuwał taką sympatię wobec niej i to, że została wybrana przez Wewnętrzny Krąg, by zyskać jego zaufanie, wcale mu nie przeszkadzało.

Ułożyli się na łóżku tak jak poprzednio i tak jak poprzednio, inkwizytor poczuł zapach jej skóry i włosów. Tym razem nie pachniała jednak dymem kadzideł.

– Powinno nam być jeszcze łatwiej niż zeszłym razem – powiedziała.

Spojrzał w jej oczy i przypomniał sobie to uczucie rozpływania i roztapiania się w oceanie. I było to wspomnienie zarówno przyjemne, jak i kuszące. Tak jak poprzednio splotła jedną dłoń z jego dłonią, a drugą dłoń położyła mu na karku.

– Miłej podróży, Arnoldzie. – Uśmiechnęła się.

Jej oczy też się uśmiechnęły i im dłużej Löwefell w nie patrzył, tym bardziej rozumiał, że nie są dzisiaj oceanem, lecz niebem. Bezkresną niebieską szarością lub bezkresną szarą niebieskością rozciągającą się od północy do południa i od zachodu na wschód, a potem zmierzającą ku nieskończoności, w której nie istniały ani kierunki, ani ciężar, w której powoli zatracała się i niknęła świadomość własnego istnienia...

– Inkwizytorze Löwefell – doszedł go głos, który zarówno płynął z nieba, jak i sam był niebem – pamiętaj o tym, że jesteś, pamiętaj o tym, że istniejesz. Pamiętaj o tym, kim jesteś...

– Tak, pamiętam – odparł cicho po dłuższej chwili i z trudem, a jego głos był przy tym głósie z nieba niczym malutki punkt wobec linii biegnącej od nieskończoności do nieskończoności.

Löwefell zdał sobie sprawę, iż tak naprawdę wcale nie chce istnieć, a jego największym marzeniem byłoby spoić się w jedno z niebem, które

go teraz otaczało i wypełniało.

– Arnoldzie – powiedziało to niebo z wielką troską – proszę cię, nie przestawaj istnieć. Jesteś żołnierzem Jezusa, inkwizytorze Löwefell. Przypomnij sobie tajemnice, które ujrzałeś i których przysiągłeś bronić. To dla nich masz żyć.

– Tak – odparł i chociaż próbował wykrzesać ze swego głosu przekonanie, wiedział, że nie udaje mu się to zbyt dobrze. – Muszę istnieć dla naszej Sprawy. Muszę...

Ale niebo oznaczało przecież spokój, oznaczało rozkosz całkowitego bezistnienia i Löwefell poczuł, że owa myśl o możliwym do osiągnięcia bezistnieniu budzi w nim prawdziwą tęsknotę. Löwefell nie tęsknił za czymś, a jedynie za niczym. Nie tęsknił za przedmiotami i uczuciami, a za ich całkowitym brakiem. Nie tęsknił za przyszłością lub przeszłością, a za nieistnieniem czasu. I wtedy coś szarpnęło go mocno za rękę, a on nagle, niespodziewanie i w sposób jednak dość przykry wylądował na kamiennych kaflach otoczonego balustradą balkonu.

– No, no – pokręciła głową Katrina. – Mało brakowało, Arnoldzie... – Przyglądała mu się z troską, ale też, co zauważył, z wyraźną sympatią.

– Co by się ze mną stało? – zapytał, wstając. – Gdybym nie dał rady powrócić?

– Byłbyś martwy w świecie rzeczywistym – odparła. – A w nie-świecie stałbyś się częścią mnie tak samo jak orzeł, którego poprzednio stworzyłam.

Uśmiechnęła się i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Dostarczyłbyś mi wiele mocy, Arnoldzie – stwierdziła i zbliżyła się o krok. – Więcej, niż zapewne sobie nawet wyobrażasz...

Z trudem powstrzymał się, by nie postąpić do tyłu. Czy kiedy wypowiedała słowa o mocy, zobaczył przez chwilę głód w jej spojrzeniu, czy tylko mu się to zdawało? Roześmiała się i znowu zobaczył w niej tylko delikatną, rozbawioną kobietę.

– Nastraszyłam cię, inkwizytorze Löwefell? – zawołała. – Zupełnie niepotrzebnie!

Zdjęła dłoń z jego ramienia i cofnęła się.

– Ani istnienie apetytu, ani możliwość zaspokojenia go nie oznaczają konieczności działania. Spełnianie żądz jest dobre dla niewolników,

a my przecież nie jesteśmy niewolnikami. Prawda? Nie jesteśmy? – Przyglądała mu się z ironicznym uśmiechem.

I Löwefell z bólem pomyślał, iż niestety okazało się, że on jest niewolnikiem. Gdyby nie Katrina, nie wyrwałby się już z pułapki, którą była jej obecność, czy raczej wszechobecność, jaką stworzyła. Pragnął jej tak mocno jak niczego innego i nigdy na świecie. Pragnął zniknąć w niej i zatracić się. Pragnął przestać istnieć jako samodzielny byt. Zamienić się w kroplę jednoczącą się z oceanem. Świadomość, że mógł aż tak bardzo poddać się czyjejś woli, była dla Löwefella niepokojąca, ale też zainteresowała go jako badacza. Czy Katrina potrafiłaby w ten sposób zniszczyć każdego człowieka? Kto potrafiłby oprzeć się jej w czasie wspólnej podróży do nie-świata? W jaki sposób zmieniałaby się, wchłaniając ludzi w ten sposób? Czy zapłaciłaby za to jakąś cenę? Fizyczną? Duchową? Moralną? Wszystkie trzy? A może żadnej?

– Ciekawe, jak się czuje mój stworek? – odezwała się Katrina i rozłożyła dłoń.

Löwefell zobaczył coś, co siedziało na tej dłoni. Teraz ta istota nie przypominała już stonogi, lecz była czymś w rodzaju meduzy, przezroczystego grzybowego kapelusza, z którego wyrastały dziesiątki, może nawet setki cieniutkich wici, również przezroczystych, a więc niemal niewidocznych. Te niteczki kłębiły się w nieustającym spazmatycznym ruchu, przechodziły przez siebie nawzajem i znikwały, by zaraz potem znowu się pojawić. Dłuższe przypatrywanie się im spowodowało, że Löwefell musiał odwrócić wzrok, gdyż wszystko zaczęło mu migotać przed oczami. Istota powoli, lecz systematycznie rosła, aż w końcu przezroczysty kapelusz zajmował całą dłoń Katriny, a wijące się wypustki zwiesiły się z tej dłoni niczym girlandy rozrośniętych bluszczów z pnia drzewa.

– Chcesz wsadzić to coś do mojej głowy? – spytał Löwefell.

Czuł nie tylko niepokój, ale również obrzydzenie samą myślą, iż te drgające wici oplotą jego mózg. I wcale nie pomagała świadomość, że to przecież tylko nie-świat, gdzie nic nie jest takie jak naprawdę. I że w rzeczywistym świecie stonoga wcale nie wniknie pod jego czaszkę i nie zacznie wyjadać pozostałości magicznej esencji.

– Niestety. Mały żarłoczny potworek – dodała z czułością i spojrzała na

istotę wijącą się na jej dłoni.

Löwefell wiedział, że zrobiła to, by go uspokoić i rozbawić. Był jej oczywiście wdzięczny za te starania, chociaż trudno powiedzieć, by wywarły one jakiś skutek.

– Mogę, Arnoldzie? – spytała.

Stworzenie na jej dłoni jakby usłyszało te słowa i jakby zrozumiało ich znaczenie, gdyż podskoczyło i stanęło na wszystkich swoich odnóżach. Zyskało w ten sposób dobrą stopę wysokości. Przez galaretowate, przejrzyste ciało zaczęły przebiegać czerwone błyski niczym niteczki zabarwione koszenilą.

– Podobasz mu się – powiedziała. – To dobry znak.

– Zaczynaj, skoro tak trzeba... – rzekł Löwefell.

Katrina chuchnęła lekko w stronę swojej dłoni, a istota uniosła się w tym momencie w powietrze. Löwefell musiał przyznać, że uczyniła to nawet z wdziękiem, pofrunęła delikatnie, niczym liść podniesiony podmuchem wiatru i kołyszący się na tym podmuchu. Potwór rozczapierzył wszystkie swoje wici i teraz falowały one wokół niego, ruchem już spokojniejszym, wolniejszym i bardziej monotonnym.

– Stój spokojnie, dobrze? – poprosiła Katrina. – Może cię trochę łaskotać...

Inkwizytor skrzywił usta w uśmiechu. Oczywiście, że perspektywa, iż ta istota wejdzie do jego mózgu, mu się nie podobała, ale łaskotanie naprawdę było uczuciem, które mógł wytrzymać.

Tymczasem meduza podpłynęła przed samą twarz Löwefella i obróciła się do niego podbrzuszem, czy może lepiej powiedzieć: spodem. Teraz jej odnóża wiły się zarówno przy lewym, jak i przy prawym uchu inkwizytora, z drugiej strony sięgając szyi i czubka głowy. Löwefell czekał spokojnie na to, co zdarzy się dalej. Starał się tylko nie przyglądać dziwnym czerwonym rozbłyskom, jakie powstawały w galaretowatym ciele, gdyż od początku wyczuł, że mają one właściwości oszalamiające i oślepiające. Podobnie jak jad, którego zadaniem jest sparaliżowanie ofiary, zanim zostanie pożarta.

Wreszcie poczuł łaskotanie, przed którym ostrzegła Katrina. Najpierw w obu uszach, potem w nozdrzach, potem na dolnej i górnej wardze, wreszcie również na ciemieniu. Ciało istoty rozbłyskiwało teraz

tak silnie, jakby było latarnią sygnalizacyjną odbijającą czerwony ogień od potężnych soczewek. Wici wchodziły w każdy otwór na twarzy Löwefella, coraz głębiej i coraz dalej, aż wreszcie teraz już nie przezryste, lecz świetliste rubinowe, pulsujące ciało przylgnęło do jego skóry, jakby było karnawałową maską, mającą osłonić całą twarz.

Inkwizytor nie bał się bólu, chociaż oczywiście był zadowolony, że nie czuje niczego nieprzyjemnego poza owym łaskotaniem i mrowieniem, powodującym, że w każdej chwili chciał się otrząsnąć lub podrapać. Wiedział, że musi po prostu przeczekać. I w pewnym momencie łaskotanie rzeczywiście ustało, a Löwefell poczuł, jakby coś wyciągano z jego głowy. O dziwo, w czasie tego wyciągania pojawiła się ulga, jaka towarzyszy zwykle pozbywaniu się niepożądanego przedmiotu. Teraz dopiero inkwizytor mógł sobie zadać pytanie, jak mógł żyć z tym czymś i dlaczego nie tylko wcale mu to nie przeszkadzało, lecz nawet nie zdawał sobie sprawy z istnienia nieprzyjemnego intruza. A teraz przecież czuł wyraźnie, że był to obcy twór, że był niczym drzazga zarośnięta pod skórą albo stare odciski na dłoniach. Dopiero po ich pozbyciu się człowiek czuje, że przeszkadzały, że nie były czymś naturalnym, że nie powinno ich tam być...

Potem Löwefell poczuł wielką ulgę, jeszcze później coś pociągnęło go jednocześnie za nos, za uszy i za usta, a jeszcze po chwili meduza oderwała się od jego twarzy i poszybowała w stronę Katriny. Teraz zarówno tułów jak i wici istoty były ciemnoczerwone. Nie pulsowały ani nie migotały, lecz żarzyły się przytłumionym, spokojnym blaskiem.

– Teraz musisz poszukać miejsca, gdzie znajdziesz takie samo jedzenie
– zwróciła się Katriona do szybującego tuż koło jej twarzy stworzenia.

Stwór załśnił i poruszył gwałtownie odnóżami.

– Nie dam ci, bo nie mam – roześmiała się Katriona. – Musisz sam poszukać...

Löwefell poczuł falę zniechęcenia i rozzalenia, która popłynęła od potwora. Ale pod tym zniechęceniem i rozzaleniem rodził się również coraz silniejszy głód. Istota zasmakowała w magicznej esencji i pragnęła dostać kolejną porcję. Inkwizytor zdał sobie sprawę, że ten głód będzie już tylko rosnąć. Dopóty, dopóki potwór nie wypełni zadania zleconego przez Katrinę.

– Radzę ci zacząć szukać – rzekła twardym tonem kobieta. – Bo głód może stać się z czasem nie do zniesienia.

Istota wystrzeliła w górę, a potem spłynęła za balustradę, rozczapierzając wszystkie wici. Były ich tysiące, a na końcu każdej pojawiło się pulsujące maleńkie światełko. Jak kropelka krwi albo rubinowa łezka.

– Dobrze – pochwaliła Katrina.

Smużki światła płynęły w powietrze, jedna po drugiej, ale choć były ich tysiące, to każda załamywała się. Katrina zmarszczyła brwi.

– Twój ciemniejszy nie był taki głupi – stwierdziła. – Starał się ukryć drogę, która mogłaby nas do niego zaprowadzić.

Przyglądała się uważnie potworowi, coraz gwałtowniej miotającemu wszystkimi wiciami. Przypominał teraz rozbłyskującą płomieniami czerwoną kulę.

– Był bardzo mocny i bardzo cierpliwy – dodała jeszcze, trochę z niezadowoleniem, a trochę z szacunkiem.

Potem obróciła twarz w stronę miotającego się potwora.

– Ciiiicho, malutki – szepnęła ciepło i łagodnie.

Wyciągnęła ręce i objęła kadrub istoty. Stworzenie promieniowało światłem tak mocno, że blask zaczął prześwitywać przez ciało i skórę Katriny. Teraz dłonie kobiety zdawały się objęte pożogą.

– Nie denerwuj się – mówiła dalej z tą samą życzliwością w głosie. – Zaraz go znajdziesz, tylko musisz się uspokoić... Jesteś silny i mądry, tylko za szybko chcesz wygrać. – Uśmiechnęła się.

Czy to pod wpływem jej głosu, czy to pod wpływem jej dotyku, spazmatyczny blask kotłujący się wewnątrz istoty przygasł. Teraz cała świeciła spokojnie, jakby wypchano ją płatkami wyblakłych róż.

Löwefell znowu pomyślał, że nie tylko nie potrafiłby powtórzyć tego, co robi Katrina, ale że moc kobiety znajduje się na razie poza obszarem jego zrozumienia. Nie miał pojęcia, jakiego rodzaju magii użyła, by przekształcić żywą istotę z realnego świata w silny magiczny twór, który w dodatku w nie-świecie ma spełnić bardzo konkretne zadanie. Inna sprawa, czyjej się to naprawdę uda, pomyślał.

Istota znowu rozłożyła wici we wszystkie strony i znowu na końcu każdej pojawiło się czerwone światełko. Tym razem jednak wici nie

drgały konwulsyjnie, a ciało meduzy nie buzowało czerwienią. Löwefell patrzył na dzieło Katriny i pomyślał, że nie przypomina ono teraz żadnego istniejącego stworzenia. To była kula, z której wyrastały setki odnóży, a na końcu każdego z tych odnóży tkwiło oko wysyłające snop cieniutkiego jak najcieńsza igła czerwonego światła. Te czerwone promienie przecinały powietrze nie-świata, tworząc natychmiast powstające i natychmiast znikające wzory klatek o wielu krzyżujących się prętach. Löwefell przyglądał im się chwilę, ale zaraz odwrócił wzrok, gdyż ciężko mu było wytrzymać gonitwę tych tnących przestrzeń linii. Zauważył jednak, że Katrina wpatruje się w nie z wielką uwagą. Czyżby potrafiła coś odczytać z tej, wydawałoby się, losowej płataniny?

– Spójrz w tę stronę – powiedziała nagle do istoty i wyciągnęła dłoń, pokazując kierunek palcem.

Wszystkie wici potwora zwinęły się w jednym momencie, a zaraz potem pomknęły w stronę wskazaną przez kobietę i wysłały przed siebie tysiące czerwonych promieni. Ponieważ wszystkie świeciły w jednym kierunku, więc stworzenie wydawało się zamieniać w jeden potężny snop czerwonego światła.

– Oho, poczuł! – krzyknęła uradowana Katrina i chwyciła Löwefella za rękę. – Lecimy za nim, Arnoldzie!

Löwefell, by jej pomóc, sprawił, że jego ciało stało się niemal nieważkie, niczym pył dmuchawca szarpany wiatrem. Zresztą pewnie uciągnęłaby mnie nawet wtedy, gdybym ważył tyle co bazaltowy głaz, pomyślał. A poza tym tu, w nie-świecie kwestie wagi i poruszania się były wyłącznie umowne.

– Musimy pilnować, by coś go nie zjadło po drodze – wyjaśniła, kiedy zbliżyli się do śmigającego przez przestrzeń potwora. – Bo jest tak zajęty tropieniem jedzenia, że jego samego można by teraz bez trudu pokonać i pożreć.

Löwefell rzeczywiście czuł, iż od mknącej tuż przed nimi istoty aż emanuje żądza dopadnięcia źródła pokarmu. Wbicia się wszystkimi wiciami w ofiarę i wyssania jej aż do samego dna, aż do samego końca, aż nie zostanie z niej tylko pusta skorupa, łupina targana wiatrami nie-świata.

Inkwizytor nie wiedział, jak długo lecieli za wężącym potworem,

wytrwale i nieustępliwie goniącym za obiecany mu jedzeniem. W nie-świecie czas płynął inaczej niż w realnym uniwersum. Niekiedy spieszył niczym Achilles ścigający żółwia, a innym znowu razem zamierał niczym woda skuta lodem. To było też jedno z niebezpieczeństw nie-świata. Utrata poczucia czasu, idąca za tym utrata sił, a potem w konsekwencji niemożność powrotu do rzeczywistości.

Wreszcie jednak na horyzoncie, zawieszony gdzieś pod niebem, pojawił się dom. Lub lepiej powiedzieć: coś na kształt domu, coś, co przypominało budowlę wzniesioną nie siłami natury, lecz powstałą z zamysłu istoty posiadającej zdolność wznoszenia konstrukcji.

– Wreszcie – rzekła towarzyszka Löwefella.

Pozwoliła, by potwór, który teraz mknął jeszcze szybciej niż kiedykolwiek, znacząco ich wyprzedził.

– Pozostaw wszystko mnie, Arnoldzie – nakazała Katrina stanowczo.

– Pozostawię wszystko tobie – powtórzył Löwefell.

– Pamiętaj, że istoty takie jak ta, którą zaraz spotkamy, nie są w stanie mnie skrzywdzić. Nie musisz się o nic obawiać.

Löwefell skinął głową, choć Bogiem a prawdą słowa Katriny wcale go nie przekonały. Nie-świat był zbyt nieokreślony i zbyt pełen zagadek, aby ktokolwiek mógł się w nim czuć całkowicie bezpieczny. Arnold oczywiście cenił fakt, że jego towarzyszka jest zdecydowana, pewna siebie i wie, co robi, ale uważał też, że nikomu jeszcze nie zaszkodziła odrobina pokory. Wiedział więc, iż będzie pilnie obserwował, co się wydarzy, aby skutecznie zareagować, gdyby Katrina została jednak narażona na niebezpieczeństwo. Löwefell miał w ogóle ograniczone zaufanie do twierdzeń wypowiedzianych przez innych ludzi, a kiedy owe twierdzenia dotyczyły ich samych, to poziom zaufania inkwizytora spadał jeszcze niżej.

Kiedy Katrina wypowiadała słowo „istota”, Löwefell zastanawiał się, kogo spotkają i z kim przyjdzie im walczyć lub rozmawiać. W nie-świecie bowiem liczba możliwych do spotkania istot i ich rodzajów jest olbrzymia.

Inkwizytor dziwił się nawet, że lecąc tak długo w ślad za potworem Katriny, nie napotkali żadnego rozumnego bytu, ani im wrogiego, ani obojętnego. Ale być może był to wpływ magii wypełniającej tę

przepełnioną głodem meduzę. A może to aura i moc samej Katriny powodowały, że nie-świat ukazywał swoje przyjaźniejsze, czy może lepiej powiedzieć: bardziej neutralne oblicze niż zwykle?

Tak czy inaczej, inkwizytor miał, zaraz po tym, jak stworzenie ich wyprzedziło, zobaczyć, kto siedzi na ławie przed domem. Ten ktoś przypominał spracowanego gospodarza, który przyszedł odpocząć po ciężkiej robocie, oparł się łokciami o blat i oparł głowę na pięściach. Tyle że ten, którego widzieli, jeśli nawet był gospodarzem, to władać musiał isticie piekielnym gospodarstwem. Był mniej więcej dwa razy wyższy od Katriny, a szerokie bary, muskularne ramiona i rozrośnięta klatka piersiowa przywodziły na myśl posąg jakiegoś baśniowego gladiatora, może herosa, może nawet półboga, tak silnego, że samego Heraklesa mógłby wziąć pod pachę lub połamać mu kręgosłup w uścisku. Do tego ów stwór był granatowy, szafirowy, błękitny, kobaltowy i turkusowy w zależności od tego, kiedy i pod jakim kątem na niego spoglądano. W każdym razie mienił się różnymi odcieniami niebieskości.

Spojrzał w stronę nadlatującego potwora Katriny, który to potwór nie tylko pędził pełną szybkością, zostawiając za sobą macki niczym ogon komety, ale wręcz zawodził z podniecenia spowodowanego widokiem takiej ilości pokarmu. Löwefell pomyślał, że pewne jest jedno: ta istota nie została obdarzona instynktem samozachowawczym albo instynkt ten całkowicie zniknął, wypędzony przez uczucie głodu.

Demon tylko wyciągnął rękę i nadlatujące stworzenie zostało w jednej chwili spopielone błękitnym płomieniem, po czym chwilę później zniknęły nawet pozostałe po nim drobinki popiołu.

– Narses – wyrzekł demon donośnym, dźwięcznym głosem. – Witaj, Narsesie, mój przyjacielu, dawno żeśmy się nie widzieli.

Teraz dopiero Löwefell zauważył, że demon ma pałające czerwienią oczy. W mieniącej się błękitem wykrzywionej i zdegenerowanej twarzy sprawiały one tym bardziej niesamowite wrażenie. Co przypominała ta twarz? Może najbardziej przywodziła na myśl spaczzonego człowieka o pogrubionych, topornych rysach, mięsistych wargach, zapadniętych oczodołach i wypukłym czole. Nos tej istoty był szeroki, chociaż krótki, usta rozciągnięte niemal od ucha do ucha, oczy okrągłe niczym spodki, lecz za to zapadnięte w głąb czaszki. Löwefell nie rozpoznawał tego

demon, jego wygląd kompletnie niczego mu nie przypominał. No, ale to oczywiście był nie-świat. Tutaj demon wyglądał najprawdopodobniej zupełnie inaczej, niż wyglądałby, gdyby odwiedził rzeczywisty świat i gdyby go zmuszono do przybrania realnej postaci.

– Witaj i ty, kobieto. – Obrócił płonące spojrzenie na Katrinę. – Wyczuwam w tobie moc – zmarszczył nos – ale niezbyt wielką. Posiłek będzie w związku z tym skromny – zaśmiał się, obnażając stożkowate zęby.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał, aż wreszcie demon spytał:

– Oniemieliście z lęku? Kim jest ta kobieta obok ciebie, Persie?

Löwefellowi przykazano milczenie, więc posłusznie milczał. Widział, że demon jest zdziwiony i być może nawet zaniepokojony. Choć chyba raczej rozzłoszczony faktem, że coś toczy się niezgodnie z jego przewidywaniami.

– Nie wiedziałem, że potrafisz tworzyć takie fikuśne potworki, Narsesie – dodał. – Ale wysłedziłeś mnie na swoją zgubę. I na zgubę tej... tej... – Demon przypatrywał się uważnie Katrinie, a jego górna warga zaczęła drżeć niczym u złoścącego się psa. – Kim ty w ogóle jesteś?

– Nie potrafisz we mnie wnikać ani mnie zbadać? – odezwała się wreszcie towarzyszka Löwefella z pogardą w głosie. – Naprawdę zniszczenie tego małego stworzenia było wszystkim, na co cię stać?

Demon prychnął i wstał z ławy.

– Wygadana jędza. Zanim ją zabiję, będę ją torturował. – Obnażył zębiska aż po czarne dziąsła. – Połamię każdą kosteczkę w jej ciele i zerwę każdy kawałek jej skóry, tak że będzie się wila u moich stóp niczym zakrwawiona glista...

Löwefell zauważył, że Katrina wyrwała sobie włos. Jeden. Potem drugi i trzeci. Cały czas patrzyła w stronę demona, a w prawej dłoni miała już pięć włosów. Wyrwała je spokojnymi, opanowanymi ruchami, lewą dłonią, przekładając następnie do prawej. Demon też dostrzegł, co ona robi, gdyż zamilkł i wpatrzył się w nią. Löwefell nie wiedział, czy zdumienie potwora rozpoznał bardziej po wyrazie jego twarzy, czy raczej po aurze, jaka go przez chwilę otoczyła. Tymczasem Katrina wyrwała sobie dziesiąty włos. Wyciągnęła je na otwartej dłoni. Długie, jasne, migoczące złotym połyskiem włosy leżące na jasnej skórze.

Spojrzała demonowi prosto w pałające ogniem oczy, po czym uśmiechnęła się radośnie i powiedziała:



– Pufff...

Gdyby Löwefell zmrużył na moment powieki, nawet nie dostrzegłby przeistoczenia, jakie nastąpiło. Każdy z włosów pomknął w stronę demona niczym złota igła, ale już w locie pięć z nich zmieniło się w złotej barwy oszczepy, a pięć pozostałych w złotej barwy powrozy. Demon nie zdążył nawet drgnąć, a oszczepy przybiły go do ściany domu. Dwa przeszły przez ręce, dwa przez nogi, natomiast piąty przebił gardło. Powrozy dodatkowo oplątały jego kończyny. Wyglądał teraz niczym dziwna, wypaczona i zdegenerowana karykatura człowieka witruwiańskiego. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że demon nie zdążył nawet ze zdumienia przejść do wściekłości lub strachu, a już był oplątany oraz unieruchomiony.

Löwefell obserwował ten pokaz nieprawdopodobnej siły zarówno z podziwem, jak i niezrozumieniem. Przecież ten demon był naprawdę silny. To nie był jakiś byle złośliwy zły duch, którego inkwizytor może postraszyć krzyżem lub modlitwą i odpędzić albo zmusić bez trudu do postępowania wedle narzuconej woli. To był potężny przeciwnik. Jego aura pulsowała niczym wybuchająca czarna gwiazda. Löwefell niechętnie przyznawał, że w nie-świecie nie byłby w stanie dać rady tak groźnemu przeciwnikowi. Być może w rzeczywistym uniwersum, wspomagany mocą świętych relikwii, potrafiłby mu się oprzeć. Ale o podporządkowaniu lub uwięzieniu takiego żywiołu nie mógłby raczej myśleć. Dlatego to, co uczyniła Katrina, ta wręcz pogardliwa i lekceważąca łatwość, z jaką pokonała demona, Löwefella wręcz oszołomiła. Rzadko targały nim jakiekolwiek emocje, rzadko poddawał się uczuciom, lecz teraz wypełniał go podziw dla tej kruchej kobiety, która dysponowała mocą przewyższającą wszystko, co do tej pory widział w Świętym Oficjum.

– Teraz porozmawiamy – powiedziała Katrina i zbliżyła się do demona. – A ty nie będziesz mnie już obrażał ani mi groził. Dobrze?

Löwefell widział, że demon jest już teraz w pełni skoncentrowany, skupiony i znowu piekielnie groźny. Zapewne zrozumiał, że trafił na przeciwnika dysponującego mocą, której istnienia nawet nie podejrzewał, i postanowił wyrwać się z matni. Katrina też to musiała wiedzieć.

Położyła więźniowi dłoń na głowie, a on wtedy zawył tak, że Löwefell myślał, iż ten ryk wstrząśnie posadami całego nie-świata, tak był przenikliwy, porażający i rozdzierający. Kobieta zdjęła dłoń, a demon zwiotczał w więzach. Löwefell ku swojemu kolejnemu zdziwieniu wyczuł, że w umyśle potwora gniew, nienawiść i wściekłość ustąpiły strachowi. To było również niezwykle. Ból, jaki sprawiła mu Katrina, musiał być naprawdę niesłychany, skoro tak szybko złamał tak silną istotę.

– Możemy się tak umówić? – zapytała raz jeszcze.

– Tak! – odpowiedział szybko.

Wysunęła rękę przed siebie i zawiesiła ją w powietrzu kilka cali od głowy demona. Przybity i przywiązany potwór nie mógł ani się przesunąć, ani nawet drgnąć, ale Löwefell widział, że wszystkie mięśnie więźnia kurczą się, jakby ten pragnął się schować sam w sobie.

– Tak co? – spytała.

– Nie będę cię obrażał i nie będę ci groził – zajęczał.

Właśnie tak: zajęczał. To nie był już butny, dźwięczny głos istoty pewnej siebie i swojej siły. To był przerażony jęk bitego niewolnika. Löwefell miał do czynienia z demonami, czytał również wiele wspomnień z egzorcyzmów i wiele protokołów przesłuchań, ale nie spotkał się chyba nigdy z taką łatwością w złamaniu woli nadprzyrodzonej istoty.

– Miło to słyszeć – powiedziała Katrina.

Cofnęła się, przyciągnęła sobie ławę na odległość mniej więcej trzech stóp od demona i usiadła na niej. Oparła się wygodnie.

– Mam nadzieję, że odpowiesz na moje pytania. Wiem, kim jesteś, i wiem, komu służysz, ale chcę się dowiedzieć, czemu zainteresowałeś się Arnoldem Löwefellem, inkwizytorem ze Świętego Officjum?

Demon spojrzał na nią, a raczej w jej kierunku, gdyż Löwefell widział, że tamten wyraźnie stara się uniknąć skrzyżowania z nią wzroku.

– Nie interesuje mnie Löwefell – odparł. – Interesuje mnie tylko Narses.

– Oczywiście. Ale z jakiego powodu?

– Był potężnym perskim magiem, lecz wtedy, w Persji, nie byłbym w stanie się do niego zbliżyć – zaczął wyjaśniać demon i miał w tej chwili

układny głos spokojnego mężczyzny. – Nad Narsesem czuwała straż, mieszkał w pałacu pełnym pułapek i posiadał wielką moc. Jednak teraz, kiedy jest słaby, mogłem próbować...

– To brzmi całkiem wiarygodnie – pochwaliła go Katrina. – Przyzwałeś go więc do siebie i podałeś się za maga Arsanesa. Czym był biały kot?

– Haczykiem – wyjaśnił bez oporów demon. – Dzięki temu mogłem bez trudu wzywać twojego towarzysza, kiedy tylko chciałem.

Löwefell poczuł zakłopotanie i zawstydzenie. Przede wszystkim faktem, że demon tak łatwo potrafił wykorzystać jego słabość i że opowiadał o tym, wcale nie chełpiąc się, przechwalając, a zwyczajnie opowiadając. Może również zawstydzenie wynikało z tego, że oto przed chwilą był świadkiem popisu ogromnej siły Katriny, a teraz oboje byli świadkami opisu słabości Löwefella. A więc nie wygasły we mnie do końca ludzkie uczucia, pomyślał inkwizytor. Czuję się upokorzony i zastanawiam się, czy ma dla mnie znaczenie fakt, iż przy tym upokorzeniu jest niestety obecna Katrina? Jednak, rozsądnie myśląc, to dobrze dla naszej wspólnej Sprawy, że będzie ona w pełni zdawać sobie sprawę z moich słabości. Źle by było, gdyby miała w głowie mój złudny obraz, niezgodny z rzeczywistością.

– A w jakim celu chciałeś go wzywać?

– Nie chciałem mu zrobić żadnej krzywdy – rzekł demon. – Wręcz przeciwnie, zamierzałem łagodnością i podstępem wyciągnąć z niego, co się da...

– Na jakież to temat?

– Magiczna wiedza jest jak kawał mięcha – stwierdził demon sentencjonalnie. – My i perscy magowie wrywamy sobie ją nawzajem z pysków.

Löwefell w tym momencie miał olśnienie. Obraz z perskiej przeszłości zakwitł mu przed oczyma. Oto widział Narsesa, stojącego jak zwykle w czarnej długiej szacie. Mag w prawej dłoni trzymał swą różdżkę ze smoczej kości i kreślił nią w powietrzu płomieniste linie. W klatce z ogniowych prętów tkwił uwięziony potężny stwór mieniący się różnymi odcieniami niebieskości, granatu i błękitu. Wył za każdym razem, kiedy Narses tworzył kolejną ognistą figurę, jego ryk przypominał ryk sztormowych fal. Twarz perskiego maga była obojętna

i błada. Przyglądał się miotającemu pomiędzy prętami potworowi całkowicie beznamiętnie. Löwefell dostrzegł tylko w tym obrazie z przeszłości, że Narses poruszał ustami. Ale czy mówił coś do demona, czy zadawał mu jakieś pytania, czy też jedynie wypowiadał zaklęcia, tego inkwizytor już nie wiedział.

Demon najwyraźniej dostrzegł ten sam obraz, gdyż chociaż nie mógł odwrócić w jego stronę unieruchomionej przy ścianie głowy, to obrócił ku niemu spojrzenie.

– Tak właśnie było! – rzekł z gniewem. – Porywaliście duchy żywiołów. Porywaliście ifryty i dręczyliście je, by wyjawily wam tajemnicę naszej mocy. A ty sam, Narsesie, znęcałeś się nad nimi również dla samej radości dręczenia...

Katrina roześmiała się.

– Czyli był po prostu taki sam jak wy – powiedziała. – Zabawne więc, że go za to winisz...

– Upokarzał je! – wrzasnął demon, najwyraźniej tracąc pod wpływem gniewu panowanie nad sobą. – Więził magią w kryształowych kulach, by świeciły w jego pałacu jak lampy! Ifryty! Wolne duchy ognia! To my, geniusze i żywioły, zamieszkiwaliśmy ziemię, kiedy wy, marni, podli ludzie żyliście jeszcze w chatkach z trzciny i błota, drżąc przy każdym naszym stąpanięciu, lękając się naszego błysku, jęcząc z grozy, kiedy widzieliście nasz cień...

– Czasy się zmieniają – przerwała mu rozbawionym głosem Katrina. – Mów dalej, ale staraj się nie nadużywać mojej cierpliwości.

Oczy demona błysnęły ogniem, lecz zaraz opuścił wzrok.

– Oni uczą się od nas. Poznają nasze starożytne rytuały, naszą magię, gdyż każdy z geniuszów i każdy z władców żywiołów ma własną, niepowtarzalną moc, każdy z nas łśni niczym klejnot...

– Radziłabym ci, żebyś mnie nie znudził – ostrzegła Katrina.

Demon zawarczał, jednak zaraz pohamował to warczenie.

– Różnimy się tym, że oni badają magię znacznie intensywniej od nas – ciągnął potwór. – Pozyskują nową wiedzę, podczas kiedy my głównie magazynujemy wiedzę starożytną.

Katrina skinęła głową.

– Oczywiście. Jesteście zbyt leniwi i zbyt gwałtowni, by prowadzić

badania, i zbyt nienawidzicie jeden drugiego, by zgodnie współdziałać. Ale nieważne... – Wzruszyła ramionami. – Wróćmy do twoich sprawek z Narsesem. Znałeś go wcześniej?

– A któż nie znał Narsesa? – odpowiedział pytaniem demon.

Odpowiedział tonem, który można by uznać za lekceważący, ale Katrina nie zareagowała.

– Rozmawiałeś z nim kiedyś? Walczyłeś?

– Był zbyt dobrze chroniony, bym go mógł zaatakować, jednak zbyt słaby, by mnie pochwycić.

Pierwsza część zdania zdawała się prawdziwa, lecz co do drugiej Löwefell miał pewne wątpliwości. Ten demon z wizji był tak podobny do obecnego tutaj. Czy mógł być tym samym stworzeniem? Może Narses doszedł z nim do jakiegoś porozumienia? Może zawarł pakt? Układ? Prowadził handel? Kto wie? Magom nie zawsze opłacało się walczyć z demonami. Czasami rozsądniejszym wyjściem stawało się zawarcie z nimi porozumienia. Oczywiście zawsze niebezpiecznego i zawsze opartego na kruchych podstawach, lecz jednak porozumienia. No i poza tym Narses nie musiał i na pewno nie chciał przejmować się moralną stroną swoich układów z demonami, podczas kiedy inkwizytorzy brali ją jednak pod uwagę. Rzecz jasna najbardziej cenili sobie pragmatyzm, jednak nie zawsze byli skłonni na niektóre ustępstwa wobec piekielnych istot.

– Czego jeszcze od niego chciałeś? – spytała Katrina.

– Czy to mało? – prychnął potwór. – Narses dysponował wiedzą pokoleń, znał wielkie sekrety perskich magów. Taka gratka nie trafia się często. W zasadzie – dodał – nigdy nie trafiła się nikomu.

– I jakież były efekty twoich wysiłków?

– To tylko wypalona skorupa po Narsesie – rzekł z pogardą demon. – Nie ma w nim niczego, co mogłoby mnie zainteresować. Strzępy dawnej wiedzy rozrzucone po jego umyśle jak śmieci.

– A więc rozczarowałeś się?

– Bardzo – odparł demon. – Nawet nie wiesz, jak bardzo

– w jego głosie zadrgał gniew.

– Dlaczego go więc nie zabiłeś? Dlaczego nie zemściłeś się za to, co robił kiedyś, skoro teraz mogłeś to uczynić z łatwością?

– Postanowiłem czekać – przyznał demon. – Wiem, że inkwizytorzy chcą wskrzesić jego pamięć. Pomyślałem, że może to oni wyłobią tunel, z którego ja skorzystam...

– Bardzo rozsądnie – przyznała Katrina. – Powiedziałabym, że to nietypowe, jak na demona, zachowanie świadczy bardzo dobrze o twojej inteligencji. Iż nie dałeś się opętać żądzy zemsty na niegdyś potężnym wrogu, lecz postanowiłeś czekać...

Löwefell wyczuł ironię w słowach towarzyszki, ale demon chyba, co dziwne, dał się zwieść jej spokojnemu, życzliwemu głosowi. A więc nie jest aż tak przebiegły, jak sądziłem, pomyślał inkwizytor.

Katrina wstała tak szybko, że wydawało się, iż zniknęła w miejscu, w którym była, i pojawiła się w nowym. A to nowe miejsce było tuż przy boku demona. Kobieta ujęła łeb stwora w obie dłonie i wpatrzyła się w jego oczy. Potem stała z uśmiechem na delikatnych ustach, a przypominający raz człowieka, raz zwierzę, raz demona kształt obok niej wił się i krzyczał w męce. Ten wrzask był tak nieludzki, tak przejmujący i tak bardzo zdawał się wypełniać cały nie-świat, że nawet przyzwyczajonemu do oglądania cierpienia Löwefellowi zrobiło się nieswojo.

– Och, nudzą mnie twoje krzyki – rzuciła Katrina i wykonała gest dłonią.

Wrzaski demona ucichły jak nożem uciął. Nadal wił się niczym krocionóg na rozpalonej patelni, ale tym razem w kompletnej ciszy. Jednak inkwizytor wciąż czuł jego mękę. Była niczym turkot wozu na kocich łbach dla kogoś, kto przyłożył ucho do ulicy. Tylko turkot tysięcy razy zwielokrotniony, poruszający każdą cząstkę ciała i każdą strunę duszy. Löwefell nie wiedział dotąd, że można zadawać komuś ból tak intensywny, tak czysty i tak potężny. Czy potrafiłem robić takie rzeczy, kiedy byłem jeszcze Narsesem, zadał sobie pytanie. Czy umiałem w podobny sposób wymuszać zeznania z ifrytów, czy znęcałem się nad nimi w podobnie dojmujący sposób, dla samej przyjemności znęcania się lub by je rozeźlić, by uczynić jeszcze bardziej zagniewanymi, zdesperowanymi i pełnymi nienawiści?

– Powiedz mi, co chcę wiedzieć, a wypuszczę cię – obiecała łagodnie Katrina demonowi. – I nie będziesz już musiał więcej cierpieć...

Rozłożyła dłonie. Oszcypy i sznury puściły demona, a potem wleciały w jej dłonie już z powrotem pod postacią złotych włosów. Demon upadł na ziemię i tam niemal znieruchomiał, wstrząsany tylko ledwo dostrzegalnymi drgawkami.

– Czyż nie lepsze jest życie bez bólu? – zapytała Katrina. – Bez strachu, że cierpienie przekroczy za chwilę wszelkie granice pojmowania? Wiedz, że to, czego zaznałeś do tej pory, to jedynie łagodna perswazja wobec tego, czym mogę cię doświadczyć, jeśli nie będziesz mi posłuszny...

Uklękła obok istoty i ujęła jej głowę w swoje dłonie.

– Spójrz na mnie – nakazała łagodnie. – Spójrz i sam oceń, czy mówię prawdę. Spójrz!

Demon podniósł posłusznie łeb, skrzyżował wzrok z Katriną i wzdrygnął się.

– Człowiekowi bym powiedziała, że będę dręczyć go tak strasznie, iż z bólu utraci zmysły – powiedziała. – Ale ty jesteś demonem. Nie możesz stracić zmysłów, nie możesz oszaleć, ba, nie możesz nawet zemdleć, by choć na chwilę wyzwolić się od cierpienia. Nie możesz, prawda?

Löwefell mógłby niemal przysiąc, że istota w objęciach Katriny wydała z siebie coś na podobieństwo zduszonego szlochu.

– Nie jesteśmy wrogami. Ty i ja – kontynuowała Katrina spokojnie. – Mamy tylko rozbieżne cele i ponieważ właśnie ty przegrałeś, to właśnie ty musisz zrezygnować ze swojego celu na rzecz mojego. Nie ma między nami nienawiści ani zemsty, ani morderczego zapалу. – Poglaskała potwora po łbie. – Będę cię torturować bez przyjemności i bez namiętności. Jedynie po to, by osiągnąć mój cel. Rozumiesz?

Odsunęła się i znowu usiadła na ławie.

– Ale jeżeli umożliwisz mi osiągnięcie tegoż celu bez dręczenia cię, to chętnie się zgodzę na podobne rozwiązanie. Co ty na to?

Skulony demon nie odzywał się. Löwefell był ciekaw, jak długo potrwa jego opór.

– Nie rób tego – poprosiła Katrina z prawdziwą troską w głosie. – Tak czy inaczej, prędzej lub później, poddasz się, a zawziętym uporem zmusisz mnie przedtem do wysiłku. Sam natomiast narazisz się na trudno wyobrażalne cierpienie, którego wcale nie musisz przecież

doświadczać...

Przez chwilę panowała cisza. Potwór leżał na posadzce, kompletnie już znieruchomiały, a jego ciałem nie szarpały nawet niedawne drgawki. Tylko pazury wbiły się kamienne kafle, zostawiając w nich dziury jak w drewnie rzeźbionym przez korniki.

– Arnoldzie, czy spotkałeś kiedyś demona, który potrafił przetrzymać tortury zadawane przez wytrawnego inkwizytora?

Löwefell mimowolnie uśmiechnął się.

– I ty, i ja wiemy, że nigdy nie było takiego przypadku – rzekł. – Chociaż wyrwanie prawdy z ich trzewi trwa czasami dłużej, a czasami krócej. Niekiedy potrzeba więcej starań, niekiedy mniej. Jednak w końcowym efekcie to my zawsze wygrywamy...

Inkwizytor nie mijał się bynajmniej z prawdą. W Świętym Officjum od wieków studiowano metody radzenia sobie z demonami. Nie tylko, by bronić się przed nimi, lecz by je chwytać, pozyskiwać ich sekrety oraz utrzymywać w niewoli. Umiano też sprawiać tym istotom naprawdę wielki ból. Umiano je przesłuchiwać tak, by odsiewać ziarno prawdy od plew kłamstwa. To zresztą było zawsze najtrudniejsze. Zrozumieć, kiedy demon jest już tak pognębiony i zdesperowany, by mówić prawdę, a kiedy nie został jeszcze doprowadzony do ostateczności i decyduje się dalej kłamać...

– Słyszałeś, co mówi mój przyjaciel, prawda? – zagadnęła Katrina z życzliwością w głosie. – Nie możesz wygrać. Pamiętaj, że nie możesz też mnie przetrzymać. Nie jestem tak jak niektórzy ludzie ograniczona czasem, ja mogę przebywać w nie-świecie. Ja nie muszę stąd szybko wychodzić, nie muszę wracać do tamtego świata...

Znowu przyklęknęła przy demonie. Ujęła jego bezwładną łapę i ku zdumieniu Löwefella położyła ją sobie pod piersią.

– Dobrze mnie pocuj – poprosiła. – A wtedy zrozumiesz, kim jestem...
– Mocno przyciskała jego łapę do siebie. – Rozumiesz już, demonie? Rozumiesz, czym jestem?

I wtedy, kiedy wypowiedziała te słowa, potwór podniósł łeb, a Löwefell zobaczył w jego oczach coś, co prawdziwie nim wstrząsnęło. Była to pełna zrozumienia rozpacz.

– Będę mówił – zajęczał. – Proszę, powiem ci wszystko, co chcesz, tylko

odejść ode mnie. Zostaw mnie...

Löwefella uderzyła ta pokora i ten strach. Był pewien, iż nie są one częścią jakiejś dziwnej taktyki, mającej omamić Katrinę. Wydawały się naprawdę szczerze.

– Zacznijmy od inkwizytora Löwefella – zdecydowała Katrina, siadając na ławie. – Powiedz, czy chciałbyś o coś zapytać, Arnoldzie, naszego upartego przyjaciela?

– Owszem. – Löwefell skinął głową. – O Roksanę. Chciałbym wiedzieć, co się stało z Roksaną?

– Oczywiście – zgodziła się Katrina i spojrzała na demona. – Słyszałeś? – Szturchnęła go czubkiem buta. – Co stało się z perską wiedźmą?

– Przysięgam, że nie wiem – zajęczał demon. – Proszę, nie torturuj mnie już, naprawdę nie wiem...

– Nie jestem pewna, czy mam ci wierzyć... – zawahała się Katrina.

Löwefell doskonale zdawał sobie sprawę, że to tylko gra, że Katrina tak naprawdę sonduje umysł i reakcję demona, by wiedzieć, czy ten mówi prawdę. Ciekaw był, czy potwór również zdaje sobie z tego sprawę.

– Oczywiście, że znam historię Roksany – powiedział szybko demon. – I wiem, że zdechła na ulicy jak bezpański pies. Ale nie mam pojęcia, w jaki sposób się ukrywała przez tyle lat, jak to zdołała uczynić...

– Nie interesuje mnie jej życie – przerwała mu Katrina. – Interesuje mnie, czy wiesz, co stało się z nią w Koblencji?

– Nie sądziłem, że coś w ogóle się z nią stało poza tym, że umarła – rzekł demon, a Löwefell usłyszał w jego głosie ostrożne zdziwienie. – Przecież ty, Narsesie, widziałeś, jak umarła na ulicy. Sam mi o tym mówiłeś!

– Nie każda śmierć jest końcem – stwierdziła Katrina. – Czyż nie? – Przypatrywała się uważnie demonowi.

– Nic o tym nie wiem!

Löwefellowi wydawało się, że demon jest nie tylko zaniepokojony, ale również przestraszony. Perspektywa, iż kobieta, tak przecież biegła w sztuce torturowania, będzie go dręczyć, by wydobyć od niego tajemnice, których on wcale nie zna, najwyraźniej wzbudziła w nim przerażenie. Cóż, słusznie. Demony rzeczywiście nie mogły umrzeć (a

przynajmniej zadanie im śmierci nie było ani łatwe, ani wiecznotrwale), lecz mogły cierpieć. I tak jak każde żywe stworzenie zarówno nienawidziły cierpienia, jak się go bały. A w tym wypadku potwór miał nieszczęście trafić na kogoś, kto cierpienie umiał zadawać z prawdziwie mistrzowską perfekcją.

Kiedy Katrina skończyła zadawać pytania, z demona został jedynie rozedrgany i kulący się ze strachu strzęp niebieskiego mięsa. Bo towarzyszka Löwefella nie dokońca dowierzała demonowi, więc kilka razy wyduszała od niego zeznania, zsyłając kolejną mękę. Inkwizytorowi wydawało się co prawda, że demon zdecydował się mówić prawdę i nic nie ukrywać, ale oczywiście nie interweniował. Jeśli Katrina uznawała, że w interesie przesłuchania jest torturowanie przesłuchiwanego, to najpewniej miała rację i wtrącanie się w jej plan byłoby zarówno niegrzeczne, jak i zwyczajnie niemądre. Wreszcie jednak doszła do wniosku, że dowiedziała się tego, czego chciała się dowiedzieć. Czy Löwefell był zaszokowany, zdumiony lub zaintrygowany zeznaniami demona? Otóż na ten temat trudno by mu było cokolwiek powiedzieć, gdyż Katrina w czasie przesłuchania demona posługiwała się dziwnym śpiewnym językiem, a on odpowiadał jej w charkotliwej, zduszonej mowie pełnej warknięć, chrząknięć i nawet gwizdów. Najwyraźniej jednak świetnie rozumieli jedno drugie. Inkwizytor podejrzewał, a raczej był pewien, że przesłuchanie jest prowadzone w tej formie, by on sam nie poznał jego treści. W żaden sposób go to nie dziwiło ani nie martwiło. Był przyzwyczajony, iż Wewnętrzny Krąg miał swoją hierarchię tajemnic, i wiedział też, że on sam nie do wszystkich jest dopuszczany i zapewne długo jeszcze dopuszczony nie będzie. Można powiedzieć, że w środku Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium były wewnętrzne kręgi, w tych kolejne i w tamtych następne. Zupełnie jak w przypadku symbolicznego Krzyża Nieskończoności. Tylko ciekawe, jak wiele jest tych kręgów w kręgach, zadał sobie pytanie.

– To chyba byłoby wszystko – rzekła wreszcie Katrina po łacinie.

– Czy wypuścisz mnie teraz? – zapytał potwór już w zrozumiałym dla Löwefella języku, ale tonem słabym i żalonym albo przynajmniej takim, który Löwefellowi wydał się słaby i żalony.

Katrina uśmiechnęła się promiennie.

– Oczywiście, że nie – odparła lekko.

Skinęła dłonią, a korbacze, stworzone przez Katrinę z jej włosów, zaczęły smagać demona, tnąc jego ciało niczym brzytwy. Ale ciało to, zarówno dlatego, że przebywał w nie-świecie, jak i dlatego, że był demonem, momentalnie się zrastało i przybierało dawną formę. Demon co prawda tym razem nie wył, lecz skowyczał z wściekłości i cierpienia, a jego oczy płonęły ogniem. Był jednak za słaby, zbyt wyczerpany długimi torturami, by się bronić. Nie był nawet w stanie uciec.

– Moje włosy niedługo znikną – stwierdziła Katrina. – Ale jeszcze chwilę na pewno to potrwa. – Obróciła się w stronę Löwefella. – Wracajmy, Arnoldzie. – Przyjrzała mu się uważnie. – I tak jesteś tu dużo dłużej, niż powinieneś.

– Oszukałaś mnie! – wrzasnął demon, a jego krzyk był przepełniony nie tylko bólem, lecz pełną rozżalenia złością.

Katrina roześmiała się tylko i pociągnęła za sobą inkwizytora.

– Nie wiesz, kim ona jest, nie wiesz, że... – zaczął wołać demon.

Tym razem Katrina obróciła się szybko niczym atakujący wąż. Skinęła w powietrzu dłonią i jeden z korbaczy zwinął się w kulę, która zatkała demonowi pysk i rozrosła się w nim, niemal urywając mu szczęki.

– Za dużo gadasz – mruknęła.

Löwefell nie zareagował na to zdarzenie ani słowem, ani gestem, choć oczywiście musiał się zastanawiać, co takiego demon zobaczył w Katrinie, kiedy ta pozwoliła mu się dotknąć, i co chciał teraz wyjawiać. Oczywiście mógł opowiadać kłamstwa, celowo zwodząc inkwizytora lub pragnąc zasiać pomiędzy nim a Katriną ziarno nieufności. Ale jego reakcja, kiedy dotknął ciała towarzyszkę Löwefella, była jak najbardziej nieudawana. Był naprawdę wtedy przerażony i zdumiony. A co mogło przerazić i zdziwić tak potężną magiczną istotę? No i w jakich językach rozmawiali ze sobą, że Löwefell nie tylko ich nie rozumiał, ale nawet nie poznawał, z którego rejonu świata mogą pochodzić?

Ocknęli się oboje w tym samym czasie, leżąc przytuleni do siebie niczym para kochanków, którą zmorzył sen po upojonej nocy. Noga Katriny była przerzucona przez biodro Löwefella, a jej usta niemal dotykały jego ust. Uśmiechnęła się.

– Dom, słodki dom – powiedziała, a Löwefell poczuł, że jej usta

połaskotały jego usta. A może to był tylko oddech?

Odwinęła się na drugi bok, szybkim, zręcznym ruchem, po czym wstała z łóżka.

– Zgłodniałam. Bardzo, bardzo zgłodniałam...

Ostatnim, co mógł powiedzieć o sobie inkwizytor, byłoby to, że zgłodniał. Miał mdłości, kręciło mu się w głowie, a całe ciało było tak osłabłe, że nie był pewien, czy gdyby wstał, to mięśnie nóg utrzymałyby go w pionowej pozycji. Katrina odwróciła się w jego stronę.

– Uhuu – mruknęła ze współczuciem i pokręciła głową. – Za długo cię przetrzymałam, Arnoldzie. Wybacz mi, proszę.

– Nie ma się czym przejmować – rzekł Löwefell i sam usłyszał, jak słaby jest jego głos. – Najważniejsze, że dotarłaś do niego i wydobyłaś od niego, co chciałaś.

Katrina zbliżyła się, przechyliła nad łóżkiem i przyjrzała uważnie inkwizytorowi.

– Musisz odpoczywać – rozkazała. – Co najmniej dwa dni w łóżku. Każę, aby przynoszono ci jedzenie i napoje. Dużo jedzenia – dodała.

Löwefell, słysząc słowa „dużo jedzenia”, miał wielką ochotę wymiotować. Każda myśl o jakimkolwiek pokarmie wywoływała zawroty głowy i skurcze żołądka.

– Wiem, wiem – powiedziała Katrina. – Nic nie ma za darmo. Ale musisz jeść, żeby żyć. Po takich przygodach tym bardziej.

– Nigdy się tak nie czułem – przyznał.

– Nigdy nie byłeś tak długo w nie-świecie – odparła.

– Tak długo, czyli w zasadzie... – Zmarszczył brwi, po czym spojrzał uważnie w stronę okiennic, ale po słabym blasku dnia trudno było rozeznaczyć, która dokładnie jest godzina. – Jak długo?

– Kiedy byliśmy w nie-świecie, tutaj upłynął cały dzień. Zbliżyła się wieczór, Arnoldzie.

– Cały dzień? – Löwefell przymknął oczy. – Nie dziwię się już więc, czemu czuję się tak, jak się czuję. Dziwne raczej jest to, że nie umarłem... – dodał, starając się wykrzesać z głosu żartobliwy ton.

– W moim towarzystwie nie umiera się tak łatwo – powiedziała Katrina, po czym roześmiała się. – No chyba że ktoś jest dla mnie bardzo niedobry. Wtedy się umiera, ale nadal niełatwo.

– Po tym, co zobaczyłem, mogę się domyślać – odparł.

– Dobrze, mój drogi, muszę już iść. Powagą Świętego Officjum nakazuję ci nie wychodzić z pokoju przez dwa następne dni – rzekła co prawda lekkim tonem, ale Löwefell wiedział, że należy jej słowa potraktować poważnie. – Pięć razy dziennie przyniosą ci posiłek i masz go zjadać do ostatniego okruszka. – Uścisnęła dłoń Löwefella. – I bardzo ci dziękuję za wspólną przygodę.

– To ja ci dziękuję – odparł inkwizytor ze szczerą wdzięcznością.

Już stała na progu, kiedy zdał sobie sprawę, że przecież chciał ją o coś jeszcze zapytać.

– Katrino, jeśli pozwolisz...

– Tak?

– Czy nie boisz się, iż to, że nie dotrzymałaś słowa, utrudni ci w przyszłości negocjacje z demonami?

Katrina spojrzała na niego wyrozumiale.

– Oczywiście, że nie Arnoldzie. Jesteś przecież inkwizytorem, więc wiesz, że od bólu potężniejsza jest tylko jedna siła: pragnienie, by ból wreszcie się skończył. I nadzieja na zakończenie męki jest tak silna, iż przełamie każdy opór i wszystkie zasady logiki. To prawo dotyczy zarówno ludzi, jak i demonów.

Löwefell zgodził się z nią.

– Zresztą przyznam ci, że nie zawsze tak robię... – dodała. – Lecz skazanie na długotrwałe tortury demona tak potężnego i doświadczonego jak ten, którego właśnie zostawiliśmy, ma też swoje zalety.

– Nie rozpoznał cię. Nie rozpoznał twojej prawdziwej mocy. – Löwefell pokręcił głową. – Zasłoniłaś się tak skutecznie, że kiedy zaczął coś podejrzewać, było już za późno.

– Od kiedy go znaleźliśmy, było już dla niego za późno – powiedziała z uśmiechem Katrino, a inkwizytor wiedział, że ona wcale się nie przechwala, a po prostu stwierdza oczywisty fakt.

– Kiedy przyłożył rękę do twojego ciała, zrozumiał, z kim ma do czynienia...

Przyglądała mu się cały czas z tym samym łagodnym uśmiechem.

– Ciekawe, co takiego zobaczył, że złamało go to i wypruło z niego

nadzieję nie tyle na zwycięstwo, ile nawet na przeczekanie...

Uśmiechnęła się.

– Drogi Arnoldzie, usłyszysz odpowiedzi na swoje pytania, kiedy przyjdzie na to czas – powiedziała. – Na razie musisz przyzwyczać się do myśli, że ja wiem o tobie więcej niż ty o mnie.

Löwefell westchnął.

– Oczywiście – rzekł. – Tak czy inaczej, wiedz, że jestem zachwycony, iż mogłem widzieć w działaniu i walce kogoś takiego jak ty. Że mogłem zobaczyć emanację tak wielkiej mocy.

Inkwizytor wiedział, że fakt, iż połączono go z Katriną we wspólnym przedsięwzięciu, nie jest przypadkowy. Ktoś chciał, by nie tylko przywiązał się do niej (oczywiście w ograniczonym stopniu, w takim, w jakim w ogóle ktoś taki jak on był zdolny do przywiązania), ale by poznał jej siłę i by poczuł dla niej szacunek. Wewnętrzny Krąg Inkwizytorium popełniał rzecz jasna błędy, czasem kosztowne i niebezpieczne, ale zazwyczaj nie były one skutkiem chaosu, lecz błędnego lub błędnie realizowanego planu. Jednak ów plan powstawał niemal zawsze. Dlatego Löwefellowi trudno byłoby wierzyć, że w jego akurat przypadku, przypadku tak przecież zajmującym Święte Officjum, zdano by się na łut szczęścia.

– To bardzo miłe, Arnoldzie. – Pokiwała mu dłonią na pożegnanie i już po chwili zniknęła za drzwiami.

Inkwizytor ułożył się wygodniej i przymknął oczy. Ten dzień był długi, trudny, ale i owocny. Katrina nie wiedziała też jednego. Löwefell zapamiętał każde słowo wypowiedziane w czasie przesłuchania. Nie rozumiał tych słów, ale je zapamiętał i potrafiłby odtworzyć. Oto była jedna z unikalnych, nowych cech Arnolda Löwefella, warto dodać: jedna z cech, których posiadaniem nie uznał za stosowne pochwalić się w Świętym Officjum. Zapewne powtórzenie nieznanych głosek, zwłaszcza w wypadku języka, którym posługiwał się demon, nie byłoby w wykonaniu Löwefella perfekcyjne. Ale był przekonany, iż gdyby przytoczył treść przesłuchania komuś, kto zna języki, w jakim ono się toczyło, to ten ktoś byłby w stanie dużo zrozumieć. Może nie wszystko (zwłaszcza że język demona był naprawdę dziwny), lecz na tyle dużo, by Löwefell mógł zrozumieć, na jaki temat rozmawiała z demonem jego

tajemnicza towarzyszka.

Ale to kwestia przyszłości, pomyślał Löwefell, przyszłości, która kto wie czy w ogóle kiedykolwiek się zdarzy. Na razie muszę pomyśleć o czym innym. Muszę wrócić tam, gdzie wszystko się zaczęło. Muszę wrócić tam, gdzie starucha użyła magii krwi i ognia i gdzie potem zdechła, gdzie Szahor Sefer zakłęto w ciele i duszy bękarta Katarzyny i gdzie do swej siedziby w nie-świecie przywołał mnie Arsanes, łamiąc bariery dzielące rzeczywistości...

Wciągnął głęboko powietrze w płuca i poczuł, że wypełniają go energia oraz nadzieja. I dziwnie silne przeczucie, że koblencki węzeł będzie można rozsypać. Jeśli nie jednym silnym szarpnięciem, to może spokojnym i cierpliwym rozplątywaniem.



Roksana



Jaka była Koblencja latem? Kolorowa, tłumna i rozkrzyczana. Pełna nie tylko mieszkańców, którzy zwabieni ciepłem wylęgali na place i ulice, pełna nie tylko kupieckich kramów, ale przede wszystkim pełna przybyszy z najdalszych stron Cesarstwa. Kupców, pielgrzymów, cyrkowców, rzemieślników, sprzedajnych kobiet, a także zwykłych ciekawych świata wędrowców i włóczęgów, liczących, że w Koblencji polepszą swój los, chociaż sami jeszcze nie wiedzieli, w jaki właściwie sposób zamierzają to osiągnąć. Koblenckie dzwony dzwoniły, koblenckie kościoły i katedry wypełniały się wiernymi, a koblenckie oberże i zamtuzy wypełniały się tymi, którzy w kościołach oddali już cześć Bogu, a teraz zamierzali oddać cześć bożkom porubstwa, żarłoczności oraz opilstwa. Tak czy inaczej, w Koblencji wrzało życie. Niektórzy mówili, że wrzało niczym na soczystym pastwisku pełnym rozbrykanych owiec, inni z przekąsem twierdzili, że to życie wygląda raczej niczym kłębienie się larw na gnijącym mięsie. Do któregokolwiek zdania by się przychylić, jedno było pewne: Koblencja w szczycie lata stawała się miastem, w którym nie sposób było się nudzić.

Löwefell odwiedził Koblencję nie po jednak, by uczestniczyć w żywiołowej letniej radości przetaczającej się przez miasto. Pragnął raz jeszcze przejść tymi samymi ulicami, którymi przechodził, prowadząc

śledztwo w sprawie Pięknej Katarzyny, chciał też stanąć w tym samym zaułku, w którym patrzył na umierającą staruchę. Może tam w ścianach, murach, bruku ulicy została pamięć dawnych chwil? Inkwizytor był oczywiście pewien, że zarówno Koblencja, jak i sam zaułek, w którym zdychała wiedźma, zostały wielokrotnie sprawdzone przez przedstawicieli Wewnętrznego Kręgu, lecz nie widział powodu, by samemu nie przekonać się o tym, czy jego poprzednikom nie umknął przypadkiem żaden szczegół. W klasztorze poinformował, że udaje się do Koblencji, i przyjęto to do wiadomości bez żadnych pytań oraz bez żadnych komentarzy. Oczywiście inkwizytor zdawał sobie sprawę, iż Wewnętrzny Krąg świetnie wie, jaki jest cel jego wizyty, ale wydawało się, że albo ten cel zaaprobowano, albo przynajmniej uznano, że nie może zaszkodzić Sprawie.

Löwefell nie musiał szczególnie trudzić się nad odtworzeniem w pamięci dnia, kiedy wiedźma umarła niemal na jego rękach. Miał tę chwilę ciągle przed oczami. Pamiętał upalny dzień, kiedy znalazł się w, wydawałoby się, pustym zaułku. Na początku sądził, że widzi przed sobą tylko kupę brudnych, śmierdzących łachmanów, lecz potem zauważył siwe kłaki wynurzające się z barłogu. I rękę przypominającą korzeń starego, chorego drzewa. Zaraz później ujrzał pomarszczoną twarz staruchy, która zamiast oczu miała krwawiące rany. Inkwizytor pamiętał również magiczne ptaszki, przypominające baśniowe kolibry, które zaprowadziły go do wiedźmy. Wtedy owe ptaszki przysiadły na policzkach kobiety i wsunęły się w głąb ran. A na Löwefella w tym samym momencie spojrzały kaprawe oczy wiedźmy. Do dzisiaj pamiętał to spojrzenie. Przepełnione miłością i oddaniem. I rozpaczą, kiedy dowiedziała się i pojęła, że mistrz, któremu oddała całe swoje życie, kompletnie jej nie pamięta. Usiadł wtedy obok staruchy, chociaż smród zgnilizny był tak mocny, że czuł się, jakby zakopano go w grobie z kilkunastodniowymi zwłokami. Kiedy wiedźma otwierała usta, Löwefell dostrzegał, że jej język pokrywają ropne wrzody. Mówienie musiało sprawiać jej straszny ból, a jednak mówiła. I wtedy właśnie wyjawiała mu sekret Czarnej Księgi, znanej jako Szachor Sefer, wtedy przypomniała, że trzymał to dzieło w rękach. Wtedy opowiedziała, że posłużyła się zaklęciami ognia i krwi.

– Ukryłam ją – zdradziła. – Użyłam magii. Twojej magii płomieni. Ale magia zabrała mi wszystko: młodość, urodę, siłę. Twoja straszna magia, mistrzu. Tylko ty potrafiłeś tańczyć wśród płomieni z otchłani. Ale musiałam, musiałam spróbować... Żeby ocalić. Nasz dar, nasz skarb, naszą mądrość...

Bełkotała z rozpaczą, uniesieniem i dumą, a Löwefell dzisiaj słyszał jej głos sprzed lat tak wyraźnie, jakby był echem powtarzającym słowa w jego głowie. Wiedźma opowiedziała, że ukryła Szachor Sefer w umyśle syna Pięknej Katarzyny. Wtedy był on dzieckiem, wiele lat potem został inkwizytorem. Wiedźma stworzyła też mu obrońców, dwie obrzydliwe istoty ulepione z magii i nieczystości. Przypominali z wyglądu zdeformowanych ludzi, lecz w istocie byli tworamii spaczzonego umysłu i spaczony sztuki czarnoksiężskiej. Bowiem umierająca starucha przypuszczała, że śmierć tego, który nosi w sobie Szachor Sefer, może spowodować zniknięcie lub zagładę samej księgi, a tego z nieznanym Löwefellowi przyczyn obawiała się najbardziej na świecie.

Jednak inkwizytorowi najmocniej w pamięć wryły się ostatnie chwile, które spędził z wiedźmą. Ten szept przerywany dygotem.

– Narsesie, Narsesie... – jęczała.

Wtedy spojrzał na jej twarz uważniej. Coś widział pod tą obrzydliwą maską, zniekształconą starością i chorobami. Widział coś z dawnych lat, coś... Taaak... Wtedy nie wiedział jeszcze, że sięgnął na ułamek chwili do przeszłości, do tego, kim była niegdyś starucha. Piękną Roksaną, Fiołkiem Kaviru, perską księżniczką i dumną maginią ognia. Tą, Która Tańczyła z Ifrytami. Wtedy na ulicach Koblencji zostało z tej dawnej piękności mniej niż z płomienia po zdmuchnięciu świeczki.

– Obiecaj, że przyjdiesz po mnie, mój mistrzu. – Löwefell pamiętał, że to zdanie wyrzekła z jakąś niezwykłą łagodnością, a jej głos był mniej zdarty i chropawy niż poprzednio. – Ty jedyńy, który schodziłeś do piekieł. Uwolnisz mnie od męczarni, Narsesie? Od wiecznego ognia, który po kres świata będzie palił moje ciało? Przyjdiesz odebrać mnie demonom, Narsesie?

Wtedy inkwizytor obiecał, że przyjdzie ją uratować. Dlaczego to zrobił? Cóż, wydawało się, że zwiedzionanadzieją przeżyje kilka chwil dłużej i być może wyjawii jeszcze ważne informacje. Niestety, nic takiego

się nie wydarzyło. Starucha, słysząc obietnicę Löwefella, uśmiechnęła się tylko. Ale krótko trwał ten uśmiech. Zaraz potem jej zdeformowana twarz wykrzywiła się w grymasie pełnym lęku oraz bólu.

– Lecą po mnie! – wrzasnęła z rozdzierającym trzewia przerażeniem.

Umarła, a w jej wybałuszonych oczach inkwizytor dostrzegł obraz piekła. Pamiętał ten obraz do dzisiaj tak doskonale, jakby go wymalowano mu pod powiekami.

Tak więc znowu był w Koblencji. W miejscu, w którym po raz kolejny sięgnął w głąb swojej przeszłości i pamięci. Ale właśnie koblencki epizod był najważniejszy. Roksana, Szachor Sefer, dziecko, w którego umyśle zatopiono magiczną księgę – wszystkie ścieżki splatały się w tym mieście. Czy Koblencja spełniła już swoje zadanie, czy zagrała ostatnią rolę, czy umilkła na zawsze? Czy też wręcz przeciwnie, gdzieś na ulicach tego miasta zatopiona i ukryta była kolejna z nitek prowadzących przez labirynt? Löwefell wiedział, że nie odzyska spokoju umysłu, póki nie zbada tego sam. I chociaż nigdy nie używał słów „ponad wszelką wątpliwość”, to liczył chociaż, że dzięki śledztwu bardziej uprawdopodobni jeden z możliwych wariantów.

Zatrzymał się w tym samym zajeździe co poprzednio i udało mu się nawet dostać ten sam pokój, zresztą płacąc okrągłą sumkę za to, żeby oberżysta wyrzucił mieszkającego w pokoju gościa. Koszty nie miały najmniejszego znaczenia, gdyż członkowie Wewnętrznego Kręgu zawsze mieli na własne wydatki tyle pieniędzy, ile potrzebowali, oczywiście w ramach hołdowania zdrowemu rozsądkowi. A gdyby Löwefellowi z jakichś powodów pieniędzy zabrakło, to w każdej chwili mógł się zgłosić do lokalnego oddziału Inkwizytorium i otrzymać tyle gotówki, ile by zechciał. Albo po prostu, stosując znane mu metody perswazji i wpływu, najzwyczajniej w świecie zażądać pieniędzy od jakiegokolwiek człowieka i z ogromnym prawdopodobieństwem można założyć, że by je otrzymał.

Tak czy inaczej, usiadł na łóżku (stało ono nawet w tym samym miejscu, co wtedy), na którym obudził się tamtego dnia, i wspomniał, jak na parapecie usiadły dwa ptaszki. „Szachor” – zaćwierkał pierwszy z nich, „Sefer” – odpowiedział mu drugi. To właśnie one zaprowadziły go do konającej wiedźmy. Teraz magicznych ptaszków oczywiście nie było,

a jedynym śladem ptasiego życia były wróble, które przemknęły za oknem w pełnej świergotliwego hałasu pogoni. Löwefell wstał i wyszedł z pokoju, kazał podać sobie skromny obiad w alkierzu na parterze, po czym opuścił zajazd. Postępował dokładnie w taki sam sposób, jak wtedy, tyle że wówczas szedł, śledząc magiczne ptaki, a teraz wystarczyło mu podążać za obrazami pochodzącymi z własnej pamięci. Przechodził przez najuboższą, najbardziej zaniedbaną dzielnicę Koblencji. Czyszowe rudery wyglądały jeszcze gorzej, niż zapamiętał to z czasów poprzedniej wizyty. Ich rozpadające się dachy i zmurszałe mury pochylały się nad wąskimi uliczkami, jakby za chwilę zamierzały je ścisnąć, by wydusić wszystkich ludzi siedzących w cieniu. Ludzi, którzy ledwo oddychali ze spiekoty, wpatrzeni martwym wzrokiem gdzieś przed siebie. Może we własną nieszczęśliwą przeszłość, może w rysującą się na horyzoncie jeszcze mroczniejszą przyszłość. A może po prostu wpatrywali się w pustkę, pogrążeni w żebraczym otępieniu i beznadziei. Löwefellowi przez całą drogę towarzyszył nieodłączny kompan biedy: smród. Teraz, w lecie, kiedy dawno już nie padał deszcz, odór nieczystości wyrzucanych wprost na ulice niemal zatykał oddech. Inkwizytor mijał kolejne uliczki, aż wreszcie dotarł do ciemnego, dusznego zaułka. Teraz w tym samym miejscu, gdzie skulona w stosie łachmanów zdychała stara wiedźma, nie było nic poza zaschniętym błotem.

Löwefell przypomniał sobie, że kiedy już rozmawiał ze staruchą, to potrącił go jakiś nieuważny lub nieuprzejmy przechodzień. Co ona wtedy powiedziała?

– Kiedyś spaliłbyś człowieka, który ośmielił się ciebie dotknąć, mistrzu Narsesie. Kiedyś spopieliłbyś go kawałek po kawałku, każąc mu patrzeć i czuć, jak jego ciało powolutku pożerają płomienie.

Tak, tak właśnie brzmiały słowa wiedźmy, słowa pełne okrutnego zadowolenia z faktu, że miała mistrza, który w ten właśnie sposób traktował nawet nie wrogów, lecz po prostu ludzi, którzy mu się nie spodobali. Löwefell przypomniał sobie również, że zastanawiał się wtedy, czy to prawda, czy zmyślenie. Tak jak i później, kiedy spotkany w nie-świecie rzekomy perski czarnoksiężnik opowiadał: „Ludzi tak nieostrożnych, iż odważyli się obrazić twój majestat, najpierw kazałeś

obdzierać ze skóry, a potem czerwonych niczym kielichy najpiękniejszych róż w ogrodzie Semiramidy rozkazywałaś gotować we wrzącym oleju. Dzięki twej niemającej równych magii nie tracili oni świadomości, a umierali dopiero wtedy, kiedy w swej łasce pozwalałaś im umrzeć. Pytasz więc, czy się ciebie boję, czcigodny mistrzu? Ja lękam się nawet echa powtarzającego twe westchnienie”. Teraz inkwizytor wiedział, że słowa Roksany i słowa Arsanesa były prawdziwe. Choć Arsanes okazał się tak naprawdę nie być Arsanesem, to nieważne, pod jakim imieniem występując, perskich magów oraz ich zachowania znał znakomicie. I taki właśnie był naprawdę Narses. Próżny, głupi, okrutny, opętany... A jednocześnie mądry i potężny. Przez całe lata utrzymujący się przy władzy i bogactwie. Teraz Löwefell, by odgadnąć prawdę o Narsesie, by przejrzeć sekrety perskiego maga i dotrzeć do kotwic utopionych w przeszłości, musiał zastosować wszelkie możliwe metody. Nawet gdyby niosły ze sobą niewiele szans na odkrycie prawdy. Odwiedziny w najobrzydliwszych zaułkach Koblencji do takich metod właśnie należały.

Przysiadł pod ścianą, nie przejmując się, że brudzi ubranie. Musiał wyglądać dziwnie i obco w tym zatęchłym, opuszczonym zaułku. Porządnie odziany, dobrze ogolony i ostrzyżony mężczyzna, siedzący w zeschniętym błocie pod zetknięciem murem.

Nieszczęście chciało, że na zaułek spoglądał ktoś, komu spodobały się solidne buty Löwefella, i ten ktoś postanowił stać się ich nowym właścicielem. A może nawet potraktować je jako spadek po tragicznie zmarłym starym właścicielu i chociaż tej śmierci nie traktował jako koniecznej, to bez wahania dopuszczał, że będzie musiał posunąć się na tyle daleko.

Inkwizytor oczywiście od kilku dobrych chwil wiedział, że jest obserwowany, i wiedział również, że zostanie zaatakowany. Nie widział złoczyńcy i nie słyszał go, ale rozumiał jego myśli. A może nie tyle rozumiał je, ile przyływały do jego umysłu, jakby były głuchym, przytłumionym pomrukiem zza ściany, rozłożonym na kilka, może kilkanaście nachodzących na siebie wzajemnie głosów. Buty, zabierz, zabij, buty, buty, ubranie, SAKIEWKA??? Boże, spraw, sakiewka, buty, buty, uciec, Alojz kupi... W tych myślach była zatopiona nie tylko wielka

nadzieja, nie tylko mnóstwo strachu, ale też całkowita bezwzględność. Życie Löwefella teraz i tutaj było warte zaledwie tyle, ile nosił na swoim grzbiecie, stopach i w kieszeniach.

Zobaczył tego człowieka, kiedy przemknął on przez bramę. Cichy, skulony, sunący przy murze niczym szczur. Mężczyzna miał w dłoni nóż, zwykle poszczerbione ostrze niechlujnie wsadzone w drewnianą rękojeść, owiniętą sznurkiem, by metal nie wypadł z obudowy. Klinga była stępiona od wieloletniej pracy, lecz czubek wystarczająco ostry, by przebić skórę i mięśnie. A sam metal na tyle długi, by uszkodzić wewnętrzne narządy.

Gdybym był osłabłym w upale przechodniem, to już za chwilę zapewne bym nie żył, pomyślał Löwefell. Mój biedny przyjacielu, zwrócił się w myślach do złoczyńcy, polując na ofiarę, trafiłeś na drapieżnika, którego pokonanie jest nie tylko ponad twoje siły, ale który znajduje się nawet poza zakresem twojego pojmwania. Ale oszczędzę cię, jeśli sam wykażesz odrobinę miłosierdzia. Niech to będzie mój dar dla ciebie...

Löwefell przygarbił się i odwrócił wzrok w drugą stronę, by napastnik poczuł się pewniej. Było mu naprawdę smutno, gdyż nie usłyszał „oddawaj, co masz”, nie poczuł ostrza noża dotykającego pleców czy szyi, nie było żadnej groźby. Ten człowiek nawet nie próbował okraść inkwizytora. Od razu usiłował go zabić, by następnie obedrzeć zwłoki do naga i sprzedać łup (to Löwefell świetnie teraz wyczytywał w jego rozpalonych, gorączkowych myślach).

A więc sam zdecydowałaś o własnym losie, pomyślał i zatrzymał dłoń z nożem w momencie, kiedy pędzące ostrze znalazło się tuż przy jego karku. Złamał temu człowiekowi rękę w łokciu i obalił go w pył ulicy. Potem zatkał mu usta lewą dłonią, a prawą położył na jego klatce piersiowej. Mężczyzna był mały, chudy i zabiedzony, twarz miał zrytą dziobami i pokrytą nierównymi kępkami siwego zarostu. Jego serce tłukło się jak u kury z obciętą głową. Dłoń Löwefella sięgnęła ku temu sercu poprzez kości, ścięgna i mięśnie, lekko, widmowo i nie natrafiając na żaden opór. Inkwizytor ścisnął serce napastnika i cały czas patrzył w jego oszalałe z przerażenia oczy, póki nie stały się szkliste, aż wreszcie póki nie umarły razem z właścicielem. Wstał i odciągnął ciało

w najciemniejszy kąt. Miał tu jeszcze kilka spraw do przeprowadzenia, więc nie chciał, by zainteresowano się, czemu porządnie ubrany mężczyzna siedzi obok trupa nędzarza.

– Zostań ze mną – rozkazał, kiedy zobaczył, że esencja życia opuszcza ciało mężczyzny.

Esencja miała kształt utkanego z dymu pająka o znikających i pojawiających się odnóżach. Wiła się i drgała spazmatycznie, jakby dusiła się w konwulsjach.

– Nie masz się dokąd spieszyć – rzekł Löwefell. – Tam dokąd zmierzasz, będziesz cierpieć dużo bardziej.

Pająk próbował schować się w jak najgłębszym cieniu, lecz nie mógł znaleźć tak gęstego mroku, by potrafił ukoić jego ból. Löwefell czuł ukłucia tej boleści, lecz przede wszystkim czuł rozpacz istoty. Rozpacz spowodowaną również zrozumieniem faktu, że wszystko, co ją czeka, będzie dużo gorsze od wszystkiego, co już ją spotkało.

– Ofiaruję ci ulgę. Może nie na długo, ale...

W dłoni Löwefella pojawiło się Pudełko z Prawdziwą Ciemnością. Widmowy pająk zaskowyczał z przeraźliwą tęsknotą i nadzieją, ale inkwizytor zamknął Pudełko, zanim istota zdążyła się do niego zbliżyć. Teraz pająk wył z bólu i rozpaczy i miotał się między ścianami.

– Zrób coś dla mnie, a wpuszczę cię do Pudełka – obiecał inkwizytor. – Usłuż mi, a zostaniesz nagrodzony.

Pająk przycupnął w najciemniejszym kąciuku. Drżał i podrygiwał, jak gdyby ktoś niewidzialny od tyłu nakłuwał go ostrzem lub boleśnie szturczał kijem. Ale wyraźnie chciał wysłuchać Löwefella.

– Idź drogą martwych – rozkazał mu inkwizytor. – Ta ciemna studnia obok ciebie. Widzisz ją? Widzisz ją teraz?

Pająk niemal podskoczył, może z zaskoczenia, że coś pojawiło się w polu jego postrzegania, może z radości, że widzi coś, co skalą ciemności nie może się co prawda równać z Pudełkiem, ale przynajmniej jest znacznie mroczniejsze niż jakikolwiek mrok w świecie ludzkiego słońca.

– To studnia umarłych, pająku. Wskocz do niej i szukaj ich dla mnie. Szukaj głęboko...

Każde miejsce, w którym zginął człowiek, ma swoją własną Studnię

Dusz. Tam, gdzie zginęło ich wielu, studnie są tak głębokie, że zdają się schodzić do środka Ziemi, i tak ciemne, jakby zjadły pustkę pomiędzy gwiazdami. Są też pełne przerażających ech przeszłości, pełne bólu i rozpacz, pełne śladów dawnej chwały, nadziei i radości obróconych wniwecz, zetlałych niczym jedwab, w który obleczone trupa.

Żaden żywy człowiek nie mógł przemierzać Studni Dusz, nie mógł nurkować w jej głębi. Gdyby ludzi, którzy umarli w tym zaułku, było więcej, to tak słaba esencja jak ta, która przybrała kształt pająka, zagubiłaby się wśród nich, a samo wspomnienie owych umarłych zbiłoby ją z tropu, kazało pobłądzić. I nigdy nie wróciłaby już ani do Löwefella, ani do świata dnia, ale udała się tam, gdzie od samego początku miała się udać, czyli przed oblicze najsroźszego Sądu Pańskiego. Inkwizytor miał jednak nadzieję, że w tym wypadku pająkowi uda się dotrzeć do wspomnienia o śmierci wiedźmy. Że pająk, spoglądając w przeszłość, zobaczy coś więcej niż to, co zapamiętał Löwefell. Może będzie to zaledwie drobiazg, szczegół, ślad czyjejs obecności, nawet nie wyraźny ślad, a choćby ulotne tchnienie. Tylko to. Ten początek nitki, który odpowiednio potem szarpnięty może otworzyć szansę na pojawienie się nowej drogi.

Pająk zanurkował w studni i Löwefell odczuł wręcz ekstatyczną ulgę, jaką dało tej istocie zanurzenie się w magicznym mroku. Pająk nie chciałby już nigdy wrócić do Löwefella, gdyby nie dwie sprawy: po pierwsze, wiedział, że inkwizytor mógłby go do tego boleśnie zmusić, po drugie, pająk widział Pudełko z Prawdziwą Ciemnością w ręku przyzywającego, a ten widok budził w nim nadzieję na to, że dotkliwy ból zamieni się we wnętrzu Pudełka w słodkie ukojenie.

– Nurkuj, pająku, nurkuj – przykazał Löwefell. – I mów mi, co widzisz.

– Zabili go – zajęczał nagle pająk w myślach inkwizytora. – Stali tu we dwóch i udusili go garotą. Usiedli potem przy nim... – Istota umilkła na dłuższy czas. – Rozmawiali z nim – dodała.

– Kim byli ci ludzie? – spytał Löwefell, choć już podejrzewał, o co chodzi.

– Byli tacy jak ty – zakrzyczał pająk. – Byli wielcy i migotali światłem.

A więc bracia inkwizytorzy zabili tu jakiegoś biedaka, by wysłać go do Studni Dusz, pomyślał Löwefell. No cóż, trudno było się spodziewać, że

wpadnę jako pierwszy na ten pomysł. Problem tylko, że żaden z tych inkwizytorów nie był przy śmierci wiedźmy, a więc żaden z nich nie mógł porównać obrazów z własnej pamięci z opowieścią trupa.



Inkwizytorzy zapewne przywlekli tu jakiegoś nieszczęsnego bandytę i zamordowali go, Löwefell miał nadzieję, że nie wybrali po prostu kogoś losowo z ulicy. A zresztą, szczerze mówiąc, cóż to miało za znaczenie, jeśli mogło się przysłużyć chwale Pana?

– Idź dalej – rozkazał Löwefell. – Dalej, w głąb...

Pająk był zadowolony z zadania, bo po pierwsze, schodził w coraz większy mrok, a po drugie, nawet świetliste obrazy inkwizytorów z przeszłości wywoływały ból w jego groteskowym ciele, czy raczej jego pozorze, w który był obleczony.

Co znaleźli inkwizytorzy, wysyłając trupa do galerii zdarzeń odmalowanej przez przeszłość? Czy natrafili na jakiś ślad?

– Dziecko. Krzyczało bardzo, bardzo krzyczało. Matka je tu wyrzuciła. Zostawiła. Głód, straszny głód. W jasność! Poszło w jasność! Nie bało się jej! – wyjęczał pająk z zazdrością i nienawiścią tak wielką, że Löwefell poczuł mimowolny dreszcz.

– Dziecko nie jest ważne. Idź dalej – rozkazał.

W zaułku nie umarł w ostatnich latach już nikt poza człowiekiem zabitym przez inkwizytorów i poza dzieckiem wyrzuconym przez matkę, więc pająk schodził coraz głębiej w studnię i mroki przeszłości.

– Starucha! – wrzasnął nagle rozdzierająco. – Siedzi czarna i straszna. Nie pójdę, nie podejść – w głosie pająka zaczęła rozbrzmiewać panika.

Inkwizytor wiedział, że może się to skończyć tym, iż pająk ucieknie gdzieś w otchłań i on, Löwefell, straci nad nim kontrolę.

– To tylko przeszłość – rzekł łagodnym tonem. – To jest tylko jak portret człowieka, który już dawno nie żyje. Portrety nie mogą zrobić nam krzywdy prawda?

– Mmm, no – niechętnie zgodził się pająk. – Zbliża się ktoś – odezwał się po chwili. – Kłęb dymu i brudnego ognia. Parzy, boli, migocze. Jest jasno w środku! Booli!

– Milcz! – krzyknął Löwefell bardzo mocno i pająk momentalnie zamilkł. Tylko jęczał, skowyczał i bełkotał z przerażenia.

Zobaczył mnie w momencie, kiedy podchodziłem do Roksany pomyślał Löwefell. Dym, ogień, ale i jasność, tak jak twierdził. Oto świadectwo tego, czym byłem, ale oto również świadectwo tego, w co się

zmieniam. Mam nadzieję, że teraz tej jasności byłoby więcej...

– Patrz uważnie. Oglądaj. Widzisz staruchę i widzisz tego, który cię przeraża. Ale patrz obok, patrz w górę, patrz w dół. Co widzisz? Czy kogoś widzisz?

– Nie ma nikogo! Jest tylko ta starucha i ten straszny!

– Rozglądaj się!

– Nic nie widzę! Chcę wracać!

– Rozglądaj się!!!

– Nie widzę! Ślepnę! Puść mnie!

– Wracaj – rozkazał zrezygnowany Löwefell, widząc, że niczego już nie dowie się ani nic nie wydobędzie od zdesperowanego pająka.

Zalala go wręcz fala ulgi bijąca od tego stworzenia i fala nadziei, że będzie mogło wskoczyć chociaż na chwilę do Pudełka z Prawdziwą Ciemnością. Pająk dość łatwo wygrzebał się w górę studni i oto pojawił się z powrotem na powierzchni, drżący ze strachu, bólu, ale też podniecenia na widok Pudełka trzymanego w dłoni Löwefella. Pobiegnął, trzymając się cienia, w stronę Pudełka, ale w tym momencie inkwizytor poruszył dłonią i Pudełko, które było jedynie ułudą, mającą mu zapewnić posłuszeństwo nędzarza, zniknęło w jednej chwili i bez śladu. Pająk zajęczał rozdzierająco, a z jego ciała emanowała fala bólu, gniewu oraz przerażenia.

– Uwalniam cię – rzekł obojętnie Löwefell.

Esencja złoczyńcy przepoczwarzyła się, skłębiła, uderzyła w mury niczym kłęb szmat targany podmuchem wichury, po czym rozwiała się i zniknęła, zostawiając po sobie zaledwie wspomnienie po cierpieniu i lęku. Zresztą tam, gdzie pająk zmierzał, przed najsurowszy Sąd Boga, nie czekało go nic innego.

Cóż, w tym wypadku można się było spodziewać klęski, pomyślał z rezygnacją Löwefell. Ta esencja była zbyt słaba, zbyt rozproszona i zbyt pochłonięta własnym cierpieniem i własnym strachem, by mi pomóc. W każdym razie skorzystałem z nadarzającej się okazji i wykorzystałem tego, kogo mogłem wykorzystać w tym właśnie momencie. Zastanowił się, kogo by tak naprawdę potrzebował. Czarownicy lub czarownika? A może po prostu silnego, zdeterminowanego człowieka, który zostawiłby po sobie esencję będącą

czymś więcej niż rozedrganym pod wpływem grozy pajakiem? Może potrzebuję po prostu inkwizytora, zapytał sam siebie Löwefell pół żartem, pół serio. I to nie pierwszego z brzegu szeregowego funkcjonariusza Świętego Officjum, lecz wytrawnego bojownika, silnego duchem, zdecydowanego i pewnego siebie. Taki człowiek mógłby zbadać dla mnie precyzyjnie i trzeźwo obrazy przeszłości, nie wpadając przy tym ani w szal, ani w panikę.

Hmmm... Inkwizytor. To nie jest tak, że Święte Officjum nigdy nie poświęca swoich członków, niekiedy trzeba to zrobić dla dobra Sprawy. Owszem, takie poświęcenie czasem jest konieczne, choć naprawdę nie zdarza się często, a zazwyczaj lojalnie informuje się inkwizytora, iż naraża życie. Ale zaszlachtowanie z zimną krwią wytrawnego funkcjonariusza, by zbadać zaledwie mgliste i niejasne podejrzenia – to mogłoby się nie spodobać w Officjum. Zresztą samemu Löwefellowi pomysł niezbyt się podobał, gdyż gdyby esencja nie odkryła niczego w Studni Dusz, okazałoby się, że Löwefell zmarnował życie człowieka, popełnił błąd i podjął nieuzasadnioną rozumem decyzję. To nie podobałoby się nie tylko w Inkwizytorium, lecz to nie podobałoby się przede wszystkim samemu Löwefellowi.

Ale gdybym znalazł silnego czarownika lub czarownicę albo inkwizytora-renegata, to właśnie to mogłoby mi pomóc, a nie wywołałoby żadnych materialnych czy moralnych implikacji, pomyślał jeszcze.

Rzadko kiedy miał ochotę na jakiegokolwiek jadło lub trunek, ale tym razem, o dziwo, jego umysł wyczarował mu przed oczami wizję szklanicy pełnej piwa. Chłodnego, koloru ciemnego bursztynu i o zdecydowanej goryczce. Löwefell nieczęsto miał chęć czy też czuł konieczność podążania za własnymi zachciankami (bo w ogóle nieczęsto miewał jakiegokolwiek zachcianki), więc tym razem postanowił pofolgować apetytowi. Zwłaszcza że owa zachcianka była przecież całkiem niewinna. Znalazł oberżę, która wyglądała na w miarę przyzwoitą i w której goście sprawiali wrażenie mających nieco zasobniejsze kieski, a co za tym idzie – również większe wymagania i większe oczekiwania.

I kiedy tak siedział w kącie sali (a jakimś dziwnym trafem, od kiedy

usiadł, w tej części pomieszczenia zrobiło się pusto), popijając piwo i zastanawiając się nad dalszymi wypadkami, poczuł wyraźnie czyjąś dominującą otoczenie obecność. Podniósł błyskawicznie głowę i zobaczył kilka kroków od siebie Mariusa van Bohenwalda sunącego niczym przeładowana beczkami krypa po rozkołysanej tafli jeziora.

– Coraz lepiej, Arnoldzie! – krzyknął tłuścioch zamiast powitania. – Już nie na odległość noża, już nie na odległość miecza czy oszczepu, ale przynajmniej na odległość długiej włóczni. Dobrze!

– Na wieki wieków, amen, Mariusie – rzekł z przekąsem Löwefell.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – zgodził się van Bohenwald i klapnął na brzeg ławy z takim impetem, że ciężki dębowy mebel aż podskoczył i opadł potem z jękiem i hurgotem.

Löwefell upił łyk z kubka.

– Dają tu wyśmienite piwo – powiedział, unosząc naczynie. – Dubeltowe jopejskie. Wyobrażasz sobie? W takiej dziurze...

Van Bohenwald, jakby nie dowierzając, zajrzał towarzyszowi do kubka i wciągnął aromat nosem.

– Dubeltowe jopejskie – powtórzył. – Nawet nie rozcieńczone, nie oszukane, a prawdziwie kunsztownie uwarzone... Dwa miesiące fermentowane, rok leżakowane. – Przymknął oczy z rozmarzeniem. – O tak, to jest prawdziwe piwo... Dziewko – zwrócił się do posługującej, która akurat przemykała obok niego i która w momencie, kiedy przemówił do niej, zatrzymała się, jakby jej ściągnięto cugle. – Przynieś mi tu kwartę piwa, tego samego, które pije mój przyjaciel. Ale – podniósł palec wielkości i grubości ugotowanej kielbasy – bądź gotowa podać mi z tacy kolejną kwartę natychmiast, gdy przełknę ostatni łyk tej pierwszej... Potem natomiast...

– Tak czy inaczej, przynieś mu cztery kwarty – przerwał te wywody Löwefell. – I idź już.

Dziewczyna wyrwała się ze stuporu i pomknęła w stronę beczek, mając w głowie wpisane tylko jedno: że musi jak najszybciej przynieść tym mężczyznom, czego chcą, choćby wszystko wokół waliło się i paliło.

– To nie było grzeczne, Arnoldzie – mruknął Marius.

– Przejdźmy do rzeczy, Mariusie, jeśli pozwolisz. Kogo zabiliście w tym zaułku?

– W jakim znowu zaułku?

Löwefell przyglądał mu się znudzonym wzrokiem tak długo, aż van Bohlenwald wzruszył wreszcie ramionami.

– Złodziej, morderca, okradł kościół, splugawił monstrancję – wyjaśnił niedbale. – Uduszenie było łaską w porównaniu z tym, co wyszykowała dla niego miejska ława.

– Domyślam się – uśmiechnął się Löwefell.

Bo miejskie ławy nie dość, że wydawały najbardziej okrutne wyroki, to jeszcze dostawały iście morderczego szału, kiedy przychodziło karać za bluźnierstwa przeciw wierze czy za kradzież lub profanację naczyń liturgicznych. Czy wynikało to z prawdziwego religijnego zapału, czy z chęci udowodnienia, iż jest się dobrym chrześcijaninem, nie wiadomo. Wiadomo jednak, że ludność uczestnicząca w publicznych kwalifikowanych egzekucjach świętokradców (a potrafiły one nawet trwać przez pół dnia, jeśli kat był zręczny i nie dawał skazańcowi szybko umrzeć) uczyła się w ten sposób szacunku dla wiary oraz boskich przykazań.

– Nic wam nie powiedział?

– No idzie ta leniwa dziewczka z piwem – prychnął van Bohlenwald. – Wreszcie! Wychłostać by ją za opieszałość...

O dziewczynie można było powiedzieć wszystko, lecz nie to, że była teraz niechętna lub opieszala. Patrząc na zachwycony wyraz jej twarzy i szybkie ruchy, można było wręcz pokusić się o stwierdzenie, że usłużenie Mariusowi jest dla niej niczym wielka łaska i niezасłużona nagroda.

Postawiła pierwszą kwartę przed inkwizytorem i zastygła w oczekiwaniu z radosnym uśmiechem przyklejonym na twarzy. Marius ujął kubek, zakołysał nim z lekka, zbliżył go do nosa i wciągnął aromat głęboko w nozdrza.

– To jest właśnie to, co nazywam prawdziwym piwem – powiedział tonem pełnym satysfakcji. – Przynajmniej jeśli chodzi o zapach. Ale jakież będzie smak, Arnoldzie? – zaniepokoił się teatralnie. – A raczej, lepiej wyrażając myśli, jakież będzie bukiet smaków, które na mnie czekają? Najpierw ten pierwszy smak na ustach i języku, potem ten drugi smak, kiedy napój spływa do gardła, i wreszcie smak trzeci, kiedy opróżniłeś

naczynie i w ustach zostaje nie sam trunek, lecz zaledwie pamięć o trunku, który przecież bulgocze już wesoło w twoich trzewiach. – Uśmiechnął się. – Ale wierz mi, że ten trzeci smak – Marius zdecydowanie machnął wskazującym palcem – może popsuć wszystko, co zyskały dla ciebie dwa poprzednie. Bo jeśli zmieni się w niesmak lub absmak, to czyż nie popsuje pamięci o swoich dwóch wcześniejszych braciach, choćby oni na początku wywołali szczery zachwyty?

– Jak wypijesz, to się dowiesz. – Löwefell wzruszył ramionami.

– Jakież plebejskie stwierdzenie – wręcz zgorszył się Marius. – Nie kosztowanie potrawy, lecz rozważanie na temat jej hipotetycznego i nieznanego jeszcze smaku jest cechą prawdziwego smakosza.

Potem jednak, wbrew własnym słowom, szybkim ruchem wlał w siebie pierwszy kubek piwa. Właśnie tak powinno brzmieć to słowo: wlał. A nie wypił. Bowiem van Bohenwald po prostu uniósł głowę, przechylił naczynie nad rozwartymi ustami i wlał napój, jak gdyby przelewał ciecz z jednego wiadra do drugiego. Jego przełyk nawet nie drgnął w czasie tego procesu, zresztą szczerze mówiąc, Löwefellowi pewnie ciężko byłoby takie drgnięcie zauważyć zza tych wszystkich nabrzmiałych podbródków i skóry opuchniętej od otyłości. Potem van Bohenwald momentalnie przyjął z dłoni służącej następny kubek i uczynił z nim to samo, co z pierwszym, potem trzeci, który wypił już nie w jednym wlewie, lecz w dwóch głębokich łykach, wreszcie wziął kubek czwarty, którego zawartością wypłukał dokładnie usta, by potem przełknąć płyn.

– Niezłe – stwierdził.

Zerknął na stojącą obok dziewczynę.

– Wracaj do pracy – rzekł. – Nie jesteś już mi potrzebna.

Dziewczyna drgnęła, potrząsnęła głową, rozejrzała się nieco nieprzytomnym wzrokiem, po czym szybko ruszyła w stronę szynkwasu. Tymczasem van Bohenwald przeniósł wzrok na Löwefella.

– Nic, czego byśmy nie wiedzieli wcześniej – odparł tak, jakby to pytanie zostało zadane przed momentem.

Nie była to odpowiedź, jaką chciałby usłyszeć Löwefell, lecz rozumiał, że nie powinien się spodziewać bardziej precyzyjnego wywodu.

– A ty na co niby liczyłeś, wysyłając do studni tego nędznika? – Van

Bohenwald spojrział krytycznie na towarzysza. – Sądziłeś, że taki mały przerażony pająk doprowadzi cię do wielkich tajemnic?

– Zjawił się przypadkowo. Jedynie wykorzystalem jego śmierć. Nie planowałem jej – odparł krótko i obojętnie Löwefell, bo wiedział, że gdyby w jakikolwiek sposób okazał zniecierpliwienie faktem, że musi się tłumaczyć, to van Bohenwald znalazłby kolejny sposób, by mu dopiec.

– Przypadki nie istnieją. – Van Bohenwald ziewnął głęboko, odsłaniając w ten sposób wielkie jak u krowy zębiska i język obłożony szarymi plamami. – Sam go do ciebie wysłałem, żeby cię zaatakował...

No tak, podobnych postępów rzeczywiście można się było spodziewać po van Bohenwaldzie. Oczywiście nie zrobił tego bezcelowo, dla samej zabawy czy ze złośliwości. Jakiś zamysł musiał tkwić w jego uczynku. I nie wiadomo dlaczego, lecz Löwefell był pewien, że kiedy dowie się szczegółowo, jakiż to zamysł, to wcale mu się szczegóły nie spodobają. Na razie spokojnie wypił dwa łyki piwa, które rzeczywiście było znakomite. I nawet obecność grubego inkwizytora nie była w stanie zepsuć Löwefellowi przyjemności rozkoszowania się wytrawnym smakiem.

– Co mu tam obiecałeś? Temu pająkowi? Czarne pudełko?

– Pudełko z Prawdziwą Ciemnością – odparł Löwefell.

– O, bardzo ładnie je nazwałeś. – Van Bohenwald uśmiechnął się życzliwie. – Oni zawsze nabierają się na tę sztuczkę. – Wzruszył ramionami. – Tak jakbyśmy ośmielili się ingerować w boskie wyroki i mogli pozwolić im na uniknięcie Sądu... – Pokręcił głową.

– Wielkie cierpienie potrafi wywołać szalone nadzieje – stwierdził Löwefell. – Nie dziwi mnie więc, że umarli, których wykorzystujemy, chcą wierzyć w cud, który ich uratuje. Nie bawi mnie, że korzystam z ich wywołanej bólem i strachem łatwowierności.

– To byli źli ludzie. Ten twój pająk też był zły.

– Oczywiście, że tak – zgodził się Löwefell. – Jednak wykorzystujemy ich i zwodzimy, dlatego że jest to przydatne do naszych celów, a przez tę przydatność również jawi się jako słuszne. A nie dlatego, że jest zabawne.

– A czy słuszność i przydatność nie może być również figlarna? Hmmm, Arnoldzie? A wiesz przecież, że Narses nie był taki poważny jak

ty. Bardzo lubił bawić się nie tylko z umarłymi, lecz i z całkiem żywymi ludźmi. – Z twarzy van Bohenwalda zniknął uśmiech.

Löwefell nie rozumiał na razie, jaki cel miało przypomnienie mu dawnego wcielenia oraz grzechów, które popełniał jako perski mag. Z których to obrzydliwości, nawiasem mówiąc, sam doskonale zdawał sobie sprawę. Ale rozmowy z van Bohenwaldem często właśnie tak wyglądały, że trudno było wyłowić z nich sens. I czasami rzeczywisty brak sensu jednej czy drugiej kwestii miał ukrywać fakt, że w kwestii trzeciej czy czwartej jakiś sens, morał lub nawet ostrzeżenie się jednak kryje. Löwefell nie lubił tego kluczenia, zwodzenia, półsłówek, żartów ukrywających poważny problem i powagi ukrywającej żart. Lecz van Bohenwald był, jaki był, a ponieważ również był, kim był, to należało się przyzwyczaić do jego stylu wysławiania i postępowania z braku innego wyboru.

– Podejrzewam, że znacznie lepiej znasz Narsesa i znacznie lepiej rozumiesz jego uczynki niż ja sam – stwierdził Löwefell.

Mariusz skinął głową.

– Też tak sądzę – zgodził się. – Chociaż zapewne nadejdzie dzień, w którym to zdanie nie będzie już prawdziwe – dodał.

A ja jestem ciekaw, czy mówiąc te słowa, stwierdzasz tylko fakt, czy też ostrzegasz, grozisz lub wyrażasz nadzieję na podobny rozwój wypadków, pomyślał Löwefell.

– Nie mnie to oceniać – rzekł jedynie. – W każdym razie mój pajak nie przydał się na nic niezależnie od tego, jak ocenilibyśmy stopień satysfakcji spowodowany jego cierpieniem oraz śmiercią.

Mariusz uśmiechnął się nieznacznie.

– Widzisz, Arnoldzie, szkopułeś w tym, że do Studni Dusz należy posłać kogoś silnego i bystrego – stwierdził.

– Myślałem o czarowniku lub czarownicy – przyznał Löwefell.

– Ha, ha, ha. – Grubas pokiwał wskazującym palcem niczym wahadłem zegara. – Założę się, że myślałeś nie tylko o wiedźmach. Co, Arnoldzie?

– Rzeczywiście przemknęło mi przez myśl, że do tego celu mógłby się również nadać doświadczony inkwizytor, który jednak zbłądził, stał się renegatem i grozi mu kara śmierci.

– Wiesz, że mamy nawet kilku takich łapserdaków? – Van Bohenwald wykonał oszczędny gest szyją.

Miało być to zapewne skinięcie głową, ale wielkie, tłuste podgardle i podbródki pozwalały inkwizytorowi jedynie na bardzo ograniczone ruchy.

– W obliczu szkód, których narobili lub próbowali narobić niektórzy z nich, byłaby to pożyteczna odmiana w ich życiu – dodał.

– To smutne, że wciąż zdarzają się czarne owce w naszym stadzie – rzekł Löwefell.

– Ano smutne. Ale co gorzej, wręcz niepojęte. Bo wyobraź sobie, że oni wzywali demony, składali im ofiary i uważali, że na świat powrócą Starzy Bogowie. Naprawdę w to wierzyli. – Tym razem van Bohenwald starał się potrząsnąć głową. – O czym to świadczy?

– O niskiej jakości edukacji w Akademii Inkwizytorium oraz o niesprawnym systemie selekcji? – poddał Löwefell.

– O tym pewnie też – przyznał Marius po chwili i niechętnym tonem. – Jednak przede wszystkim uderzyła mnie ich porażająca głupota. W dzisiejszych czasach, w sercu Cesarstwa, pod samym nosem Świętego Officjum szukać łaski Starych Bogów?

– Może to właśnie było dla nich ekscytujące? Niebezpieczeństwo?

– Rozumiem, że w Mrocznych Wiekach można było zastanawiać się, na którą stronę przeważy szala zmagania – kontynuował van Bohenwald z wyraźnym niesmakiem w głosie. – Czy wygrają prawowierni obrońcy Jezusa, czy zatriumfują poganie. Brytania, Północne Bałkany, Germania, potem Sklawinia i Ruś to były polawalki. Strasznej walki, Arnoldzie. Morderczej, okrutnej walki.. – Grubas umilkł na moment. – Pewnie nawet gorszej niż ta, którą Rzym i Bizancjum toczyły z Persją. Wtedy rozumiałem, rozumiałbym i rozumiem logikę i nadzieje stronników dawnej wiary, wyznawców demonów, które nazywali bóstwami. Ale teraz? Pfff...

Prychnął ostentacyjnie i z obrzydzeniem. Potem odwrócił się i spojrzał badawczo na Löwefella.

– Myślisz, że istnieje coś, co może w rzeczywisty sposób zagrozić chrześcijaństwu?

– Nie – odparł natychmiast inkwizytor. – Spory wewnątrz samego

chrześcijaństwa nie są korzystne, ale nie zagrażają istocie wiary, lecz jedynie hierarchii rządów i sposobowi sprawowania władzy. Czy Europa opanowana przez Palatynat, tak chętnie nazywany przez nas heretyckim, byłaby gorsza niż ta opanowana przez Watykan i Cesarstwo? – Inkwizytor wzruszył ramionami. – Nie sądzę. Po prostu byłaby trochę inna.

Marius van Bohenwald zarechotał.

– Mniej odważne słowa uznawano za zdradę i wieszano za nie lub palono.

– I bardzo słusznie – rzekł Löwefell. – Tolerancja wobec wrogów jest słabością i nigdy nikomu nie wyszła na dobre.

– No, wy w Persji rzeczywiście wszystko o tym wiecie, co trzeba... – znowu zarechotał van Bohenwald.

Löwefell zdołał już tak bardzo przyzwyczaić się do wtępotów starszego inkwizytora dotyczących perskiej przeszłości, że nie robiło to na nim żadnego wrażenia.

– Mariusie, w starciu systemów wygra ten, który jest bardziej opresyjny dla wrogów i bardziej przyjazny dla stronników. W pierwszej części chrześcijaństwo od początku istnienia wykazywało znaczną przemyślność oraz aktywność, nad częścią drugą warto by jeszcze popracować. – Löwefell uśmiechnął się ironicznie.

– A Persja? – Tłuszcioch zmrużył oczy.

– Persja jest chaosem. Jest wrzącym kotłem z odpadkami. Nigdy nie będzie miała tyle siły, by przedrzeć się przez Bizancjum. I tak już połknęła więcej, niż jest w stanie strawić. Powiem ci, Mariusie, że osobiście uważam za cud, iż Persowie jeszcze rządzą w całej Azji Mniejszej.

Marius van Bohenwald smętnie przyjrzał się swoim czterem pustym kubkom.

– Wrócimy tam – powiedział zamyślony. – Znowu postawimy fortece w górach Zargoz, znowu staniemy między Morzem Chazarskim i Zatoką Farsów. A potem... – Grubas przymknął otłuszczone powieki. – Potem pójdziemy dalej, tak jak niegdyś szli Macedończycy i Rzymianie. Tylko my już tam zostaniemy na zawsze.

Zostaniecie metr pod ziemią, chciał dodać Löwefell, lecz jednak nie

dodał. Bo przecież też życzyłby sobie, by władza wyznawców Jezusa sięgnęła po Indus, a może dalej, po Chiny, po dzikie stepy Rusi władane przez Mongołów. Ale do tego wszystkiego chrześcijaństwo potrzebowało zjednoczenia. Wspólnej myśli, wspólnego celu. Musiało być zarówno ostrzem, jak i młotem. A przede wszystkim musiało być jednością. A czym naprawdę było w takim porównaniu? Może najwyżej stertą zardzewiałych sztyletów... Nawet heretycki Palatynat, choć wydawać by się mogło, iż jest tak mały, że można go zgnieść w garści, drwił sobie w najlepsze z potęgi prawowiernego świata.

– Ale dajmy pokój wielkiej polityce. – Grubas machnął upierścienioną dłonią. – Nie my zdecydujemy o losach świata, więc próbujmy chociaż nieco odmienić własny los.

– Rozumiem, że skoro się zjawileś, na pewno zamierzasz odmienić mój los – zauważył ironicznie Löwefell.

– A przyglądasz się temu z niepokojem? Z nieufnością? A może z nadzieją? – ostatnie słowo van Bohenwald wypowiedział kpiącym tonem.

– Z zainteresowaniem. Cóż takiego spowodowało, że mając tyle obowiązków, postanowiłeś zerknąć w moim kierunku i poświęcić mi czas?

– Ano widzisz. Problem w tym, że musimy zabić jakiegoś inkwizytora. Po prostu – rzekł van Bohenwald, pstrykając palcami. – No i wysłać go na wyprawę w głąb studni.

– Myślę, że ochotnicy pojawią się tłumnie i będą zachwyceni...

– Powątpiewasz w sens oddania życia dla Sprawy?

– Powątpiewam w sens oddania życia wartościowego chrześcijanina, by zbadać hipotezę, co do której sam uważam, że jest jedynie w małym stopniu wiarygodna.

– Czyli sądzisz, że posłany przez nas człowiek niczego nie dostrzeże w Studni Dusz?

Löwefell chwilę się zastanawiał.

– Nawet jeśli cokolwiek dostrzeże, to może nie umieć porównać oglądanego obrazu z rzeczywistością sprzed lat, gdyż jedynie ja byłem jej świadkiem. Albo zobaczy za dużo i wysnuje mylne wnioski, albo zobaczy za mało i uzna, że nie miało miejsca nic nadzwyczajnego.

– Słusznie! Czyli po prostu musimy opuścić do studni człowieka, który był tam również wtedy i widział wszystko na własne oczy! Arnoldzie, jesteś moim natchnieniem! Uściskałbym cię jak syna...

Löwefell skrzywił usta i pokręcił głową z zadziwieniem.

– Jak mogłem wcześniej się nie domyślać, że wpadniesz na szalony pomysł zabicia mnie.

– A co ty sam sądzisz na ten temat? – przyjrzał mu się ciekawie van Bohenwald.

– Że jest to kompletna niedorzeczność, co ważne: szkodliwa z punktu widzenia zysków i strat.

– Potrafisz to określić, odrzucając instynkt samozachowawczy, każący ci bronić własnego życia?

– Mój instynkt samozachowawczy chętnie poddałby się dobru wspólnemu – powiedział Löwefell najzupełniej szczerze, bo dokładnie w ten sposób zawsze myślał. – Jednak ośmielałem się stwierdzić, że Inkwizytorium zainwestowało we mnie tak wiele czasu oraz sił, że utrata tego wszystkiego w imię niesprawdzonej hipotezy, prowadzącej w dodatku do niepewnego efektu, byłaby marnotrawstwem.

– Zaiste tak właśnie by było – pokiwał głową van Bohenwald. – Muszę przyznać, że przedstawiłeś sprawę tak rozumnie, że ja sam nie potrafiłbym wyrazić tego lepiej...

A teraz padnie słowo „ale”, pomyślał Löwefell.

– ...ale warto, byś wiedział, że nigdy nie ośmielilibyśmy się proponować ci ostatecznego poświęcenia. Nigdy nie rzucilibyśmy na szalę twego życia w imię szalonej i, przyznajmy szczerze, jednak dość mało prawdopodobnej hipotezy.

– Miło mi to słyszeć...

– A raczej powiem dokładniej: nie rzucilibyśmy na szalę twego życia, gdybyśmy nie mieli pewności, że bez trudu będziemy je mogli z tej szali z powrotem zabrać.

– No, no, robi się coraz ciekawiej – pokręcił głową Löwefell.

– Zabijemy cię, a stan twojej śmierci potrwa kilka minut, najwyżej pięć do sześciu – tłumaczył dalej van Bohenwald. – Ty w tym czasie zejdziesz do Studni Dusz i przyjrzysz się dokładnie śmierci więdźmy. Kiedy zobaczysz, co trzeba, my przywrócimy cię do życia.

Inkwizytor wiedział, że jest to możliwe. Wielkie zdolności magiczne pozwalały na przywrócenie do życia człowieka, który umarł przed chwilą. Oczywiście jeśli nie zaleczono jego ran lub nie usunięto choroby, to i tak umierał zaraz po wskrzeszeniu. Sprawy miały się podobnie, jeśli był stary. Ale jeśli na przykład ktoś utonął i został wyciągnięty z wody niby już martwy, lecz zaraz po ustaniu życia, to medyk tak biegły jak Löwefell mógłby go przywrócić do pełni zdrowia i sił. Oczywiście nie było mowy, by przywrócić życiu osobę zmarłą kilka godzin lub kilka dni wcześniej. To, co potrafił bez trudu uczynić Jezus, wymykało się nie tylko zdolnościom inkwizytorów, ale nawet teoretycznej możliwości ich pojmowania. Löwefell w ogóle nie rozumiał, jak można było przywrócić do życia człowieka, który umarł kilka dni wcześniej i w którego ciele procesy obumierania i gnicia zdążyły zniszczyć wszystkie narządy wewnętrzne. No ale między innymi dlatego Löwefell był tylko inkwizytorem, a Chrystus był aż Bogiem.

– Jak zamierzacie mnie zabić?

– Dokładnie w ten sam sposób, w jaki ty zabiłeś owego złodzieja. Zatrzymam działanie twojego serca.

– A kto mnie ożywi?

– Nie mamy nikogo tak biegłego jak ty sam w sztuce leczenia ciała – przyznał ze smutkiem van Bohenwald.

Löwefell, słysząc te słowa, był ciekaw, czy są prawdziwe. Czy naprawdę spośród wszystkich inkwizytorów Wewnętrznego Kręgu, spośród wszystkich wtajemniczonych mnichów, to właśnie on, dawny perski mag, posiadał najwyższy kunszt w sztuce uzdrawiania? Byłoby to bardzo dziwne, ale przecież nie niemożliwe. Löwefell sam wiedział, że jego zdolności rozumienia, jak działa ludzkie ciało, i umiejętności zarówno rozumowego, jak i intuicyjnego naprawiania tegoż ciała są czymś absolutnie wyjątkowym. Przynajmniej w dzisiejszych czasach, bo może kiedyś było inaczej... Chociaż, szczerze mówiąc, Löwefell przypuszczał, iż sztuka uzdrawiania nigdy nie była dla inkwizytorów priorytetem, niezależnie od czasów, w których żyli.

– Cóż, sam siebie na pewno nie przywrócę do życia – odparł lekkim tonem Löwefell.

Mariusz zastukał pierścieniami po blacie.

– Twoja ulubienica Katrina podejmie się tego zadania – oznajmił.

Löwefell nie zareagował na sformułowanie „twoja ulubienica”, lecz prawdopodobnie było ono nawet zgodne z rzeczywistością. Bo jeżeli kogokolwiek w Wewnętrznym Kręgu darzył czymś na kształt sympatii, to tym kimś była właśnie jasnowłosa kobieta, w której towarzystwie podróżował do nie-świata i której moc oczarowała go, zachwycała i wzbudziła podziw. Doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że powodem wybrania Katriny do tej misji, oprócz jej niewątpliwych umiejętności, była właśnie nić porozumienia łącząca ją z Löwefellem. Grubas wiedział, że jeśli użyje Katriny, łatwiej mu będzie przekonać samego Löwefella. Czy mogliby mnie zmusić, zastanowił się inkwizytor, czy mogliby mi na teoretyczne! Ale przecież nie zamierzam go sprawdzać w praktyce, gdyż sam jestem ciekaw, co odkryję w Studni Dusz. Pomysł van Bohenwalda jest w jakiś sposób szalony, lecz nie jest niemądry. Oczywiście pod jednym warunkiem: że Katrina naprawdę potrafi przywracać ludzi do życia.

– Katrina jest kobietą wielkich zdolności i wielkiej mocy – stwierdził Löwefell. – Kiedy widziałem ją w nieświecie, byłem... – urwał na moment – pod ogromnym wrażeniem.

Marius van Bohenwald skinął głową na znak, że zgadza się z tą opinią.

– Jednak umiejętność badania, leczenia, nie mówiąc już o wskrzeszeniu, to... – Löwefell zawahał się na moment, jakiego użyć słowa. – Niezwykle złożony problem.

– Zdajemy sobie z tego sprawę – odparł poważnie Marius. – I nie sądzę, że przychodzimy nieprzygotowani. Katrina dużo praktykowała, by nabrać doświadczenia i zapewnić ci w ten sposób jak największe bezpieczeństwo.

– Ach tak.

– Na kilkanaście prób, które podjęła, zaledwie jedna zakończyła się niepowodzeniem. – Van Bohenwald zmarszczył brwi. – I też ośmielę się stwierdzić: niepowodzeniem wywołanym raczej niefortunnymi okolicznościami, a nie brakiem leczniczej biegłości.

– Rozumiem.

– Katrina nie dopuściłaby do twojej śmierci, gdyby wiedziała, że nie będzie potrafiła łatwo cię z niej wyrwać. – Van Bohenwald spojrział

bardzo poważnie wprost w oczy Löwefella. – Zależy jej na tobie, Arnoldzie – rzekł dobitnie, akcentując słowa. – Nam wszystkim bardzo na tobie zależy. Jesteś naszą kosztowną inwestycją. Wychuchanym i wydmuchanym jedynakiem. Nie zmarnujemy cię z byle powodu.

Löwefell uśmiechnął się życzliwie i podziękował skinieniem głowy. Najprawdopodobniej słowa Mariusa o tym, iż Löwefell jest cenny dla Świętego Oficjum, były całkowicie prawdziwe, jednak zwrócił też uwagę na jedno sformułowanie: „Nie zmarnujemy cię z byle powodu”. Hmm... A jeśli powód nie będzie „byle”, tylko „ważny”? To co stanie się wtedy?

– Rozumiem, że Katrina jest już w Koblencji?

– Oczywiście. Tak jak i ja czeka na twoją decyzję.

– Och... A więc mam w ogóle jakąś alternatywę? – teatralnie zdziwił się Löwefell.

– Nie zmusimy cię przecież – rzekł van Bohenwald i wydawało się, że jest najzupełniej szczery. – Wiesz świetnie, Arnoldzie, iż z uwagi na złożoność samego procesu, niezwykłość podróży oraz konieczność precyzyjnej obserwacji przeszłych wydarzeń skłonienie cię do udziału w tym przedsięwzięciu wbrew twojej woli nie przyniosłoby nikomu nic dobrego. Musisz sam podjąć decyzję, rozważając wszystkie za i przeciw. Jeśli chcesz więcej czasu do namysłu, damy ci go – obiecał, przykładając dłoń do piersi. – Dzień, nawet dwa... Nie spieszy nam się aż tak bardzo.

– Dziękuję za propozycję, ale nie trzeba – rzekł Löwefell. – Stawiam tylko jeden warunek.

– Tak?

– Muszę sam na sam porozmawiać z Katriną.

– Kiedy tylko zechcesz.

– Kiedy ostatni raz... praktykowała?

– Szesnaście dni temu. Uprzedzając twoje kolejne pytanie: Katrina jest wypoczęta i w dobrym nastroju. Doskonale wiemy, że zdolność leczenia spada wraz z intensywnością i częstotliwością stosowania tej sztuki.

To była święta prawda. Nawet tak zdolny uzdrowiciel jak Löwefell musiał odpoczywać po szczególnie skomplikowanych zabiegach, a jego moc wyraźnie wymagała regeneracji. Gdyby Katrina wskrzesiła kogoś wczoraj, to jutro zapewne nie dałaby rady pomóc Löwefellowi.

I powędrowałbym przed Tron Pana, pomyślał inkwizytor. Ciekawe, jak zostałbym osądzony. Czy widziano by we mnie więcej z perskiego maga, czy też więcej z członka Świętego Officjum, szczerze wierzącego w chwałę Jezusa?

– W takim razie chodźmy do Katriny – zdecydował Löwefell. – Gdzie się zatrzymaliście?

– Wynajęliśmy piętro kamienicy przy rynku – odparł Marius. – Zostaniesz z nami do jutra, Arnoldzie. A jutro – zatarł dłonie – wóz albo przewóz...

Löwefell rzeczywiście otrzymał możliwość zostania sam na sam z Katriną. Nie tyle chodziło mu o rozmowę, lecz o możliwość przebadania kobiety i określenia jej sił witalnych. Bo doskonale wiedział, że aby przywrócić go do życia, będzie potrzebowała ich bardzo, bardzo wiele.

– Zadowolony? – zapytała z uśmiechem, kiedy już skończył.

– Fizycznie masz siłę pociągowego konia – odpowiedział jej również z uśmiechem.

– Och, Arnoldzie, każda kobieta chciałaby słuchać bez końca podobnych komplementów!

Roześmiana znowu wyglądała jak zwyczajna, wesoła dziewczyna. Kto by pomyślał, że w tym umyśle czaiła się moc, którą niewielu ludzi na świecie było w stanie pojąć, jeszcze mniej byłoby w stanie jej dorównać, a jedynie nieliczni mogliby się starać ją przełamać. Nieliczni, powtórzył własne słowa. A może lepiej powiedzieć: nikt? W każdym razie ja na pewno nie...

– Nie wiem, Katrino, czy dasz radę mnie wskrzesić – powiedział poważnym tonem. – Podejrzewam, że w moim wypadku może to być zadanie znacznie trudniejsze niż w wypadku ludzi, na których do tej pory eksperymentowałaś. Chociaż – zawahał się – równie dobrze może być odwrotnie. Może się okazać, iż moje ciało jest tak silne, a wola przetrwania tak skoncentrowana i jasna, że przywrócenie mi sił witalnych okaże się łatwiejsze niż w przypadku zwykłego człowieka. – Pokręcił głową. – Po prostu nie wiem...

– Myśl o mnie – nakazała. – Myśl o mnie i o tym, że chcesz do nas wrócić. To powinno stać się dla ciebie kotwicą. Przysięgam, że zrobię

wszystko, by cię stamtąd wyciągnąć.

Tak, ona mówi całkowicie szczerze, pomyślał Löwefell. Problem w tym, że dobre chęci mogą w tym wypadku nie wystarczyć. Katrina nie ma ani moich zdolności, ani mojej praktyki w badaniu ludzkiego ciała. A każdy człowiek, choć jeden podobny do drugiego, jednak jest inny. A tu, w tak delikatnej sprawie, trzeba zarówno wielkiego doświadczenia, jak i, być może, nagłego natchnienia, intuicji, przebłysku geniuszu... Czy Katrina je ma? A jeśli nie, to czy zdoła je w sobie obudzić?

– Wyciągnęłam cię z nie-świata, wyciągnę cię i teraz – obiecała.

– Dobrze.

– Boisz się, prawda? – spytała cicho.

Skinął głową.

– Boję się – przyznał. – Boję się, że wszystkie wysiłki podjęte, by mnie przywrócić na łono chrześcijaństwa i by mnie wykorzystać w walce z wrogami Jezusa, teraz w jednej chwili mogą zostać zmarnowane. A najbardziej boję się, że może to być ofiara pozbawiona jakiegokolwiek korzyści dla naszej Sprawy.

Ujęła jego rękę.

– Jestem dobrej myśli – powiedziała ciepło. – Poradzę sobie, Arnoldzie, i wskreszę cię.

Ścisnęła jego palce.

– Bo Marius urwie mi głowę, jeśli zawiodę – dodała już ze śmiechem.

Inkwizytorzy wezwali straż miejską, by usunęła z domów w zaułku wszystkich mieszkańców, a całą ulicę odgrodziła i tego ogrodzenia pilnowała. Nawet na dachach umieszczono łuczników ze straży zamkowej, których zadaniem było zestrzelić każdego, kto by się na ten czy inny dach próbował wspiąć. Marius van Bohenwald wyraźnie chciał być pewien, że żadne głupie czy przypadkowe zdarzenie nie odbierze im szansy na pomyślne zbadanie Studni Dusz. No i oczywiście, że nie zostanie zmarnowane życie Löwefella. Bo co prawda inkwizytor był pewien, że van Bohenwald poświęciłby jego życie bez żadnych skrupułów, ale tylko wtedy, gdyby było to opłacalne z punktu widzenia Sprawy. A głupia, przypadkowa śmierć, niedająca żadnej korzyści? O, co to, to nie. Marius był pragmatykiem i mógł wymieniać towary, lecz na pewno nie zamierzał ich rozdawać lub, co gorzej, marnotrawić.

– Dawno nie zabiłem już żadnego inkwizytora – rzekł ze śmiechem van Bohenwald i wszystkie jego podbródki zatrzęsły się od tego śmiechu.

– Pamiętaj, Arnoldzie, żebyś schodził od razu głęboko – przykazała Katrina. – Nie zajmuj się tymi wszystkimi ludźmi, którzy umarli wcześniej, chociaż zapewne obrazy będą próbowały cię zatrzymać chociaż na chwilę.

– Rozumiem. Pająk mi mówił, że poza tym mordercą, który okradł kościół, wcześniej umarło tu tylko dziecko. No i teraz oczywiście zobaczę tego złodzieja, który próbował mnie zabić.

– Zobaczysz również samego siebie. Zarówno tego z wczoraj, jak i tego z dawnych lat. To może być dziwne uczucie.

– Czy ktoś kiedyś zobaczył już siebie w Studni Dusz?

Kobieta spojrzała w stronę van Bohenwalda.

– Ja próbowałem zejść w takim właśnie miejscu – przyznał niechętnie gruby inkwizytor. – I jak widzisz, wyszedłem z tego bez szwanku, chociaż moje zadanie było znacznie trudniejsze.

Löwefell nie zamierzał dopytywać, dlaczego zadanie było „znacznie trudniejsze”, gdyż nie sądził, by mu odpowiedziano. Ale o dziwo, nie trzeba było wcale pytać.

– Marius schodził nie tylko znacznie głębiej, lecz w dodatku schodził w miejscu, gdzie całymi latami mordowano ludzi niczym w rzeźni – wyjaśniła poważnie Katrina. – To była naprawdę bardzo trudna podróż. Wierz mi, że twoja jest przy niej zaledwie spacerem.

– To naprawdę pocieszające – odparł szczerze Löwefell.

Był ciekaw, w jakim celu Marius wchodził do Studni Dusz, o jakim miejscu mówiła Katrina, że „mordowano w nim ludzi niczym w rzeźni”. No i kto zabił oraz kto wskrzesił tak potężnego inkwizytora jak van Bohenwald?

– Nie wysłałbym nigdy ciebie – dodał jeszcze van Bohenwald – gdyby nie nadzieja, że możesz dojrzeć więcej niż ktokolwiek inny. Zresztą, jeśli ty nic nie zobaczysz, kto wie, może – wzruszył ramionami – i ja wtedy się skuszę...

Löwefell odetchnął głęboko.

– Chyba już czas, prawda? – Spojrzał w niebo, zastanawiając się, czy widzi je po raz ostatni. – Mam usiąść albo...

Nie zdążył dokończyć pytania, kiedy grube, wielkie dłonie van Bohenwalda wystrzeliły w jego kierunku. Nigdy by nie przypuszczał, że Marius potrafi być aż tak szybki. Prawą dłonią chwycił Löwefella za kark, lewą wbił mu w żebra. A ponieważ był to widmowy dotyk, taki sam, jaki Löwefell zastosował, kiedy atakował go złoczyńca, więc nie zostawił oczywiście żadnych śladów. Tylko, a może lepiej powiedzieć: aż pozbawił inkwizytora zdolności tchu i sparaliżował. No to teraz wiem, że zwycięstwo w walce z Mariusem również byłoby poza moim zasięgiem, pomyślał. I zaraz potem zobaczył, że stoi dwa kroki od Katriny, Mariusa i swojego leżącego na ziemi ciała. Ależ jestem chudy i mały w porównaniu z tym tłusciochem, pomyślał trochę złośliwie.

– Arnoldzie, czy widzisz studnię? – dobiegł go tubalny głos van Bohenwalda.

Löwefell nie zareagował, gdyż chciał się najpierw przyjrzeć samemu sobie. Bardzo go interesowało, jaki kształt przybrała jego esencja po śmierci, ale nie widział nic poza przejrzystą mgiełką. Dobrym objawem było przynajmniej to, że światło dnia nie przeszkadzało mu tak jak pajakowi. Nie czuł też żadnego strachu na myśl o tym, iż mógłby się udać przed Tron Pański. A wręcz przeciwnie, wydawało mu się to nawet całkiem zadowalającym rozwiązaniem.

– Nie widzę siebie – poskarżył się.

– Arnoldzie, nie zobaczysz sam siebie – wyjaśniła łagodnie Katrina. – Zapewne widzisz tylko mgłę, może co najwyżej dym. Czyż nie jest tak?

– Właśnie tak – odparł Löwefell i był rozczarowany.

– Znajdź studnię, inkwizytorze – nakazał van Bohenwald. – Nie marnuj czasu!

Löwefell pomyślał, że ten człowiek ma nieprzyjemny, drażniący i odpychający głos. Pomyślał również, że najlepiej by zrobił, gdyby spróbował znaleźć się jak najdalej od tego głosu. Cóż, w końcu był martwy i mógł robić, co zechce! Van Bohenwald nie miał przecież ani mocy, by utrzymać go przy sobie, ani odpowiedniej przynęty, by skłonić go do posłuszeństwa.

– Arnoldzie, rozejrzyj się – poprosiła Katrina. – Proszę cię, zobacz Studnię Dusz. Pamiętaj, że nie możesz tu długo zostać. Musisz wracać do mnie...

To wydawało się przekonującym argumentem, a i głos kobiety brzmiał ciepło, łagodnie i miło. Budził zaufanie. Löwefellowi co prawda bardzo nie chciało się rozglądać za czymkolwiek, ale postanowił posłuchać Katriny. Przekręcił głowę i nagle coś go tknęło. Wpatrzył się w miejsce, gdzie przed chwilą zaledwie drżało gorące powietrze, i zobaczył teraz smoliście czarną wyrwę w ziemi. Jak dziura wypełniona połyskliwą smołą, pomyślał.

– Widzę ją – odparł. – I wcale mi się nie podoba – dodał po chwili.

– Nic ci się tam nie stanie – zapewniła Katrina.

– Mogę się zgubić – rzekł Löwefell i naprawdę się przestraszył. – Co będzie, jeśli się zgubię i nigdy nie trafię na Sąd Boży?

– Do licha... – zaczął gniewnym tonem van Bohenwald, lecz Katrina chwyciła go i ścisnęła za rękę na znak, żeby zamilkł.

– Nie zgubisz się, przyjacielu – powiedziała serdecznie, chociaż z naciskiem. – Przecież wiesz, że każde stworzenie musi trafić przed najświętszy Tron Boga. Jeśli umrzesz, jeśli nie wrócisz do nas, na pewno staniesz przed obliczem naszego Pana. O to nie musisz się zupełnie obawiać!

– Na pewno? – spytał nieprzekonany.

– Na pewno, Arnoldzie. Przysięgam.

– Cóż...

Zbliżył się do studni i spojrzał w głąb niej. A raczej próbował spojrzeć w głąb, gdyż jakkolwiek by się starał, to tak czy inaczej, nie widział niczego poza czarną, połyskliwą powierzchnią. Powierzchnią, w której nic się nawet nie odbijało.

– Jeżeli wszystko będzie szło tak, jak idzie, to nigdy go nie odzyskamy – usłyszał głos van Bohenwalda.

Tym razem, o dziwo, ton tego głosu nie był nieprzyjemny czy opryskliwy, lecz zrezygnowany.

– Arnoldzie, musisz zanurzyć się w studni – powiedziała Katrina z naciskiem. – Musisz zejść jak najszybciej i jak najgłębiej.

Löwefell nachylił się, wyciągnął rękę i skierował wskazujący palec w stronę czarnej powierzchni. Zgodnie z tym, czego się spodziewał, palec uderzył w twardą powłokę.

– Ona jest zamknięta – stwierdził trochę ze zdziwieniem, jednak

najbardziej z zadowoleniem spowodowanym tym, że nie będzie musiał zanurzyć się w tej tajemniczej i nieprzyjemnej głębi.

– Arnoldzie, zamykasz ją własnym umysłem – wyjaśniła łagodnie Katrina. – Studnie są zawsze otwarte, lecz ty sam stworzyłeś na jej powierzchni zaporę.

Löwefell zastanawiał się przez chwilę.

– Taaak, to możliwe – przyznał niechętnie. – Co więc mam robić?

Tak naprawdę zapytał o to tylko, by nie zmartwić Katriny. Nie zależało mu ani na podróży w głąb Studni Dusz, ani na tym, by wrócić. Spojrzał w niebo, które postrzegał jako obłoki przyjaznego błękitu. Mimo że było błękitne, a nie białe, to w jakiś sposób przywodziło na myśl puchową pierzynę, pod którą może zanurkować ktoś niewyspany i strudzony, by wreszcie pograć się w słodkim odpoczynku.

– Löwefell, zamknij oczy i wskakuj do Studni Dusz! – rozkazał opryskliwie van Bohenwald.

– Arnoldzie, proszę cię, zrób, jak on mówi – usłyszał ciepły głos Katriny. – Zrób to dla mnie. Jeśli nie posłuchasz, możesz już nigdy nie wrócić. I nigdy się już wtedy nie zobaczymy. Nigdy wspólnie nie rozwikłamy tajemnic, nie będziemy badać świata w poszukiwaniu jego sekretów. Nigdy nie dowiesz się, kim byłeś, co wiedziałeś, dokąd zmierzałeś... Czy chcesz iść przed Sąd Boga, nie wiedząc, kim jesteś?

Löwefell z nieoczekiwaną trzeźwością umysłu pomyślał, że ten akurat argument jest chybiony. Bo gdzie indziej miałby się dowiedzieć wszystkiego o swojej przeszłości, jak nie na Sądzie, na którym wszystkie uczynki oraz myśli zostają z człowieka wywleczone niczym wnętrzości z upolowanej zwierzyny. Ale myśl o tym, że Katrina tak się paskudnie pomyliła, wprawiła go nawet w dobry humor, gdyż oznaczała, że kobieta naprawdę jest przejęta powodzeniem jego misji. Tak więc zamknął oczy i dał nura do Studni Dusz.

Spodziewał się, że ogarnie go ciemność, ale ciemności wcale nie było. Wręcz przeciwnie. W studni wszystko było świetnie widoczne. Löwefell został otoczony obrazami przedstawiającymi dokładnie ten sam zaułek, w którym się znajdował wraz z Katriną i Mariusem. Tyle że pory dnia i nocy oraz pory roku mijały niczym drzewa obserwowane z okien rozpędzonego powozu. Nagle Löwefell zobaczył cierpiące, porzucone

dziecko. Poczuł jego rozpacz, jego głód i jego niezrozumienie, czemu musi cierpieć, w czym zawiniło, że zostało tak strasznie ukarane. Miał ochotę zatrzymać się i wziąć dziecko na ręce, ale powstrzymał się, bo wiedział przecież, że to tylko obraz z przeszłości, że to tylko smutna historia ożywiona przez Studnię Dusz, historia dawno minioną. Z ulgą poczuł w pewnym momencie radość dziecka, które nagle zobaczyło jasność i popłynęło w stronę tej jasności, już roześmiane, szczęśliwe i wyciągające dłonie ku świetlistym postaciom, które na nie czekały.

Löwefell nurkował dalej. Jeszcze przed tym, nim zobaczył umierającą staruchę, wiedział, że zbliża się do właściwego momentu w historii. Przystanął. Roksanę postrzegał jako kłęb czarnego dymu, w którym to kłębie poruszały się, migotały, zmieniały i przechodziły jedna w drugą twarze. Twarz pięknej Roksany i twarz odrażającej koblenckiej czarownicy. Ale te oblicza tak rozmywały się i tak wnikały jedno w drugie, iż Löwefell nie mógł skoncentrować na nich wzroku. Wiedział i rozumiał w każdym razie, że starucha umiera. I nagle dostrzegł również siebie. Pojawił się w zaułku niczym kroczący posąg zbudowany z kryształowych pryzmatów. Światło słońca odbijało się w nim i załamywało, tworząc tęczowe rozbłyski od czerwieni poprzez żółć i zieleni aż po fiolet. Pająk nie tak mnie widział, pomyślał Löwefell, ciekawe więc, czemu ja sam postrzegam siebie właśnie w tak zdumiewający sposób? Trochę go ten obraz zdziwił, trochę zaniepokoił, lecz postanowił więcej nie poświęcać mu uwagi. Nie miał czasu na zastanawianie się nad swoim wyglądem. Nie skupiał się na własnej rozmowie z wiedźmą, a skoncentrował się raczej na tym, by śledzić, co działo się w czasie tej wymiany zdań. Czy pojawiły się gdzieś drgnienia magicznej aury? Czy jakieś postaci ukryły się w pobliżu? W pewnym momencie zobaczył, że wiedźma umiera. Wirujący dym ze zmieniającymi się twarzami przekształcił się w coś w rodzaju kałuży wrzącej, ciemnej brei, w której nie widać było już żadnego oblicza, a jedynie ciecz bulgoczącą niczym błoto w poruszonym stopą bagnisku.

Teraz Löwefell musiał tym pilniej, tym uważniej przyglądać się światu z przeszłości. Co się wydarzyło po śmierci wiedźmy? Czy jej słowa „leczą po mnie!” były zaledwie krzykiem rozpaczliwej umierającej grzesznicy, czy też coś przeczuwała, przewidywała lub nawet może już zobaczyła.

Inkwizytor wiedział, że nie ma wiele czasu, wiedział, że za chwilę Katrina zacznie przywracać jego ciało do życia, a co za tym idzie, że on w tej formie, w jakiej istnieje w tej chwili, zniknie ze Studni Dusz. Trzeba więc było bardzo, ale to bardzo się skupić...

– Mało brakowało – mruknął van Bohenwald i pokręcił głową z niezadowoleniem. – Jednak przeceniłem cię, Arnoldzie, nie jesteś tak silny i wprawny, jak sądziłem.

– O takim powitaniu marzy każdy człowiek, który właśnie uciekł przed dotykem śmierci – odparł Löwefell i nie próbował nawet wstać, gdyż kręciło mu się w głowie.

Katrina siedziała pod ścianą domu, miała zmęczoną, poszarzałą twarz i zlepione potem włosy. Lecz kiedy usłyszała słowa Mariusa, spojrzała na grubasa karcąco i pokręciła głową.

– To nie ma nic wspólnego z siłą – powiedziała.

– A z czym? – prychnął van Bohenwald.

– Z kotwicami, które zarzucamy w świecie żywych. Arnold tak naprawdę wolałby umrzeć, prawda, Arnoldzie? – Zwróciła na niego jasne, współczujące spojrzenie.

– Nie wiem – odparł niepewnie Löwefell. – Chyba jednak nie. Może...

– Dobrze, darujmy sobie rozmowy o uczuciach Arnolda, jeśli łaska – zdecydował Marius stanowczym tonem. – I niech lepiej opowie nam, co widział.

– Nic – rzekł Löwefell i wzruszył ramionami. – Widziałem siebie samego i widziałem staruchę, która zmieniała postać z Roksany w wiedźmę i z wiedźmy w Roksanę. Potem widziałem jej śmierć. Widziałem również mój własny niezwykle wygląd z tamtej chwili, którego wcale zobaczyć się nie spodziewałem i który nie pasował do opisu, jaki przedstawił mi pajak. Nic poza tym...

– Jak to nic? – Van Bohenwald nie ukrywał rozczarowania i gniewu. – Jak to nic nie widziałeś?

– Rozglądałem się naprawdę uważnie. Szukałem wszystkiego, co mogłoby być podejrzane. Światła, ciemności, rozbłysku magicznej mocy. – Löwefell nadał swojemu głosowi wyraz smutku. – Nie znalazłem niczego.

– Nie mów, że nie spodziewaliśmy się tego – zwróciła się Katrina do

tłustego inkwizytora.

– Może nie zauważyłeś? – Van Bohenwald zignorował słowa Katriny. – Może nie zwróciłeś uwagi? Może za bardzo zajmowało cię przyglądanie się samemu sobie? Co?

– Proponuję, abys sam sprawdził, skoro nie wierzysz moim obserwacjom – rzekł chłodno Löwefell. – Katrina jest doskonała w przywracaniu życia i z całą pewnością bez trudu wyciągnie cię ze Studni Dusz.

Van Bohenwald wzruszył ramionami, potem wyraźnie zniesmaczony odwrócił się plecami do Löwefella.

– Idę coś zjeść – rzekł. – Może przynajmniej w ten sposób dzień nie okaże się kompletnie stracony.

Oboje odprowadzili go wzrokiem, jak odchodził, krzywo stawiając stopy i kolebiąc się niczym przekarmiona kaczka.

– Każdy by pomyślał, że ktoś taki może być łatwą ofiarą – rzekł Löwefell.

– Wielka pomyłka – odparła Katrina.

– Dziękuję ci. – Odwrócił twarz w jej stronę.

– Nie masz za co dziękować, Arnoldzie. To był mój obowiązek i moja misja. Nawet gdybym wcale nie czuła do ciebie sympatii, i tak bym cię wyciągnęła ze Studni Dusz. – Uśmiechnęła się lekko.

Inkwizytor próbował wstać, ale już kiedy usiadł, poczuł, że nogi i kręgosłup ma miękkie niczym z ciepłego wosku. Cóż, nikt nie umiera bezkarnie, pomyślał. Katrina, która tymczasem zdążyła się już podnieść i wyglądała ciut lepiej niż jeszcze przed chwilą, zbliżyła się do niego.

– Pomogę ci wstać – zaoferowała się, widząc jego słabość.

Nachyliła się do Löwefella i ujęła go pod ramię. Jej usta znalazły się tuż przy jego policzku.

– Wiem, że kłamałeś, Arnoldzie – tchnęła mu szeptem w ucho. – I wiem, że Marius ci uwierzył – zachichotała. – Ale bardzo chciałabym się dowiedzieć, co tak naprawdę zobaczyłeś w Studni Dusz. A jeszcze bardziej chciałabym wiedzieć, czemu zamierzałeś to przed nami zataić...



Enya



Niektórzy twierdzą, że wicie nie istnieje przypadek, a wszystko, co się dzieje, dzieje i dzieć będzie, jest emanacją woli Boga realizowaną za pomocą wszelakich dostępnych środków. Czy to za pomocą działania ludzi, czy za pomocą działania sił przyrody. Löwefell wierzył raczej, iż Bóg pozostawił pewną zdolność dziania się przypadku w granicach zakreślonych swą wolą. Inkwizytor nie zamierzał jednak z nikim się o to kłócić, nawet gdyby trafił się ktoś, kto chciałby na ten temat dyskutować.

Tak czy inaczej, zdumiał się, niespodziewanie dostrzegając znajomą twarz. Była to dziewczyna o imieniu Irmina, młoda, zaufana służąca Pięknej Katarzyny, niegdyś potężnej wiedźmy, a dzisiaj kobiety pełniącej misję dla Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium i odgrywającej w nim wielką, choć nie do końca dla Löwefella zrozumiałą rolę. Löwefell spotkał niegdyś Irminę, rozmawiał z nią o przeszłych zdarzeniach, a nawet uleczył ją ze szkód fizycznych, jakich doznała w wyniku brutalnych śledztw prowadzonych przez inkwizytorów. Irmina nie była w żaden sposób powiązana z wiedźmami praktykami swojej pani, ale oczywiście zanim inkwizytorzy uwolnili ją od winy i kary (co już samo w sobie było zaskakująco łagodnym potraktowaniem), minęło sporo czasu i dziewczyna zaznała wiele bólu, krzywd i uszczerbku na zdrowiu i urodzie. Löwefell dzięki nadzwyczajnym zdolnościom medycznym

doprowadził ją do stanu wręcz lepszego niż przed przesłuchaniami i w ten sposób ta niegdyś ładna, ponętna dziewczyna stała się dzięki niemu jeszcze ładniejsza i jeszcze ponętniejsza. Jedyne, czego uczynić mu się nie udało, to przywrócić jej zdolności do macierzyństwa. Wtedy nie potrafił jeszcze tak poskładać organów wewnętrznych zniszczonych przez okrutną torturę kozła, by przywrócić im pełną funkcjonalność. Teraz, kiedy upłynęło kilka lat od ich spotkania i kiedy zdolności Löwefella znacznie wzrosły, zapewne zdołałby dokonać z powodzeniem podobnego zabiegu. Chociaż zdawał sobie również sprawę, że nawet największe zdolności, wspomagane świętą magią, mogą okazać się bezradne w konfrontacji ze spustoszeniem dokonany w ciele człowieka. Löwefell nie potrafił sprawić na przykład, by ludziom kończyny odrastały niczym ogony jaszczurkom. Czasami zastanawiał się, czy podobna zdolność jest jeszcze przed nim, czy też doszedł już do kresu swych umiejętności i pozostanie mu co najwyżej nie tyle odkrywanie nowych lądów, a jedynie zagospodarowywanie tych, na których się osiedlił.

Chwilę wcześniej Löwefell przystanął na rynku, by zerknąć na kukielkowe przedstawienie, w czasie którego bezradny i przerażony cesarz Tyberiusz Klaudiusz miotał się na scenie, słysząc okrzyki żołnierzy Armii Jezusa zdobywającej Rzym. Inkwizytor przez moment przyglądał się niezbyt zręcznie wykonanym lalkom, ale gdyby tego nie zrobił, gdyby nie zmarnował tej chwili, to kto wie czy przydarzyłyby mu się te rzeczy, które się przydarzyły, i czy po raz kolejny uratowałyby ludzkie życie.

Zobaczył bowiem Irminę, i to zobaczył ją w nieszczęśliwym dla niej momencie, gdyż ujrzał ją idącą ulicą Koblencji w towarzystwie dwóch inkwizytorów oraz pachołków miejskiej straży. Ręce miała skrępowane na plecach, poza tym jednak wyglądała całkiem dobrze, a zważywszy na bogactwo i elegancję stroju, można by powiedzieć: bardzo dobrze. Tłum będący świadkiem zajścia wznosił wrogie okrzyki, skandował „spalić czarownicę” czy „do ognia z nią”, ale od chwili, kiedy jakiś mężczyzna usiłujący szarpnąć Irminę za włosy oberwał od strażnika pałką po palcach (a cios był na tyle silny, że te palce mu połamał), ludzie nie próbowali już żadnych sztuczek. Z kolei błotem czy kamieniami nie

rzucano z oczywistego powodu: obaj inkwizytorzy szli tuż przy Irminie. A nie było chyba w Koblencji człowieka tak śmiałego czy tak pijanego, by chciał trafić kamieniem lub nawet zgniłym burakiem w jakiegokolwiek inkwizytora.

Löwefell umiał przechodzić przez tłum w taki sposób, że ludzie jakby dziwnym trafem i przypadkowo rozstępowali się tuż przed nim i usuwali mu z drogi, sami w zasadzie nie wiedząc (i zapewne nie potrafiliby tego wytłumaczyć), czemu postąpili krok w tę czy inną stronę. Tak więc bez trudu znalazł się tuż przy Irminie oraz prowadzących ją inkwizytorach.

– Jestem Arnold Löwefell, inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu – przedstawił się.

Löwefell był oczywiście kimś znacznie ważniejszym i wyższym rangą niż biskupi inkwizytor, ale członkowie Wewnętrznego Kręgu dysponowali dokumentami wystawianymi właśnie w taki sposób. Sama funkcja osobistego inkwizytora biskupa Hez-hezronu (a biskup był przecież nominalnym szefem wszystkich inkwizytorów Cesarstwa) już i tak czyniła z Löwefella postać, z którą każdy lokalny inkwizytor musiał poważnie się liczyć. Teoretycznie taki biskupi przedstawiciel mógł nawet objąć komendę nad całym lokalnym oddziałem Świętego Officjum, chociaż oczywiście nie działało się to ku zachwytowi miejscowych funkcjonariuszy. Ale i też z dużym umiarem podobne rozwiązania stosowano, gdyż inkwizytorzy biskupa wiedzieli, że nie należy przesadzać z manifestowaniem zakresu władzy.

Inkwizytorzy zatrzymali się.

– Jestem Hans Muller – powiedział pierwszy. – Miło cię poznać, Arnoldzie.

– Dietmar Bucholtz – odezwał się drugi i już nie powiedział, że jest mu miło, tylko przyglądał się podejrzliwie Löwefellowi.

Obaj strażnicy Irminy nie przypuszczali oczywiście, by mieli do czynienia z samozwańcem czy z oszustem. Za fałszywe podawanie się za inkwizytora groziły kary tak surowe, że odstraszały nawet największych śmiałków. W zależności od prowincji Cesarstwa karą mogło być zarówno gotowanie w oleju, jak i rozerwanie końmi. Löwefell wiedział też, że na przykład pod samą śląską granicą lubiono raczej wieszać

takiego oszusta-samo zwańca w żelaznej klatce na miejskich murach, póki nie skonał z głodu i pragnienia. Wcześniej obcinano mu dłonie i stopy...

Poza tym potwierdzenie pełnienia funkcji inkwizytora stanowiły dokumenty, których sfalszowanie było naprawdę niełatwe. A Löwefell rzecz jasna dysponował dokumentami całkowicie prawdziwymi.

– Pozwólcie, że będę wam towarzyszył do siedziby Inkwizytorium – rzekł grzecznie.

– Oczywiście – odparł Muller.

Irmina poderwała głowę i wpiła wzrok w inkwizytora już na samym początku, kiedy tylko przedstawił się imieniem i nazwiskiem. Zapamiętała je, pomyślał Löwefell, przypominając sobie, że przedstawił się wtedy jako prawnik jej dawnej pani. Teraz dostrzegł w spojrzeniu dziewczyny, że go rozpoznała, zresztą nic dziwnego, bo przecież zewnętrznie nieszczególnie zmienił się przez tych kilka lat. Ale nie odezwała się, a i wzrok z powrotem zwróciła po prostu przed siebie, obojętny i znieruchomiały. Löwefell pochwalił ją w myślach za to nieuzewnętrznianie uczuć.

– Czy Maurycy jest teraz obecny w Inkwizytorium? – spytał Löwefell koblenckich inkwizytorów.

– Mistrz Zeisig jest na miejscu – odparł zimno Bucholtz.

Mistrz Maurycy Zeisig był od kilku lat przełożonym koblenckiego Świętego Oficjum. Löwefell nie znał co prawda dobrze jego poprzednika, ale za to sam go zabił. Czy może lepiej powiedzieć: sprowadził na niego śmiertelną chorobę, wykorzystując fakt, że nie tylko był znakomitym medykiem, ale potrafił tajemnicie funkcjonowania ludzkiego ciała wykorzystywać również do zadawania śmierci lub bólu. Ten poprzedni przełożony nazywał się Zygmunt Schongauer i był weteranem walk z heretykami, odpowiedzialnym za wiele zakończonych z powodzeniem śledztw i wiele rozpalonych stosów. Jednak Löwefell ukarał go za złodziejstwo oraz fałszowanie dokumentów. Nie wypadało i nie byłoby stosowne wywlekać tej sprawy na zewnątrz, więc poradził sobie w sposób równie szybki, co niepozostawiający wątpliwości, iż śmierć nastąpiła z naturalnych przyczyn. Zapewne nawet sam Schongauer nie miał pojęcia, iż jego

śmierć została tak naprawdę spowodowana samodzielną decyzją Löwefella. Który to Löwefell zastanawiał się, czy opisać w raporcie do Wewnętrznego Kręgu, co i z jakich powodów uczynił, lecz po namyśle uznał to za niecelowe. Nie żeby nie był przekonany do własnych racji, ale nie chciał publicznie ujawniać mocy, którą dysponował, a która pozwalała mu nie tylko okiełznać śmiertelne choroby, lecz przenosić je z człowieka do człowieka niczym szczury z klatki do klatki.

– Nie odprowadzajcie jej do celi, ma zostać w westybulu – rozkazał Löwefell obojętnym tonem.

Bucholtz zmarszczył szerokie brwi.

– Nie sądzę, abyś...

– Nie sądzę, abyś życzył sobie w jakikolwiek sposób sprzeciwić się moim poleceniom – przerwał mu ostrym tonem Löwefell. – Ale jak chcesz, to siedź tu i pilnuj jej, póki nie skończę załatwiać spraw z twoim przełożonym.

Irmina spoglądała na pomagającego jej inkwizytora z kamienną twarzą, lecz Löwefell zauważył, że nie miała już wystraszonego wzroku, jak wtedy, kiedy spotkał ją prowadzoną ulicami miasta. Teraz był to wzrok rozbawiony.

Przełożony koblenckich inkwizytorów był szczupły, szpakowaty i bladolicy. Wyglądał, jakby pościł i modlił się całymi dniami, a wieczorami umiłał sobie czas śpiewaniem pobożnych psalmów. Löwefell nie widział go nigdy wcześniej, lecz oczywiście wiedział o nim co nieco, gdyż Wewnętrzny Krąg dysponował ścisłą dokumentacją dotyczącą każdego ze zwierzchników lokalnych oddziałów. Dlatego też wiedział, że Maurycy Zeisig był człowiekiem ambitnym, dla którego Koblenca miała stać się jedynie przystankiem do wielkiej kariery. Skądinąd Löwefell wiedział również, iż Zeisig nigdy tej wielkiej kariery nie zrobi z uwagi na pewne ograniczenia umysłowe, których przed oczami inkwizytorów Wewnętrznego Kręgu zamaskować się nie dało.

– Arnold Löwefell, inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu – przedstawił się Löwefell.

– Tak, tak, wiem już. – Zeisig uśmiechnął się serdecznie i wyciągnął dłoń w stronę gościa. – Cóż cię sprowadza w nasze skromne progi? Czy możemy cię ugościć? W czym pomóc?

Jego głos był tak szczerze serdeczny, że Löwefell nabrał nieco większego wyobrażenia o Zeisigu, niż miał tylko na podstawie dokumentów dotyczących przełożonego inkwizytorów z Koblencji.

– Do Koblencji sprowadzają mnie sprawy prywatne, niezwiązane z interesem Świętego Officjum – rzekł.

– Siadaj, proszę, siadaj. – Zeisig wskazał gościowi fotel przed biurkiem, uprzejmie zaczekał, aż ten wygodnie się umości, i dopiero wtedy sam usiadł. – Czy mogę ci zaproponować wino, owoce? Może za godzinę zjesz z nami kolację?

– Uprzejmie dziękuję – pokręcił głową Löwefell. – Muszę jeszcze dzisiaj opuścić Koblencję. Jednak szczęśliwy traf chciał, że natknąłem się na ulicy na twoich inkwizytorów...

– Tak, szczęśliwy traf – powtórzył Zeisig.

Najzabawniejsze jest to, iż mówię prawdę, pomyślał Löwefell, to rzeczywiście był tylko traf. A czy szczęśliwy, czy nie, to się jeszcze okaże. I dla kogo...

– Prowadzili kobietę, którą znam i która znajduje się na służbie Świętego Officjum, o czym doskonale wiem, gdyż wcześniej wypełniała zadania, które jej zleciłem. Chciałbym się dowiedzieć, z jakiego powodu tu trafiła. Co się jej zarzuca, jeśli w ogóle cokolwiek?

Zeisig przerzucił kilka kart z dokumentami i zmrużył oczy.

– Jakieś donosy... Co to za bzdury? Poczekaj, Arnoldzie.

Wstał, otworzył drzwi i wychylił się do westybulu.

– Dietmar, chodź no tu – rozkazał.

Kiedy już wszyscy trzej byli w gabinecie (Löwefell zauważył, że Bucholtza nie poproszono, by usiadł), Zeisig zapytał:

– Co to za kobieta?

– Doniesiono kilka dni temu, a tych donosów, jak widzisz, pojawiło się kilka – Bucholtz wskazał dłonią na dokumenty na biurku przełożonego – że ta kobieta zmieniła się za pomocą czarnoksięskiej czy diabelskiej magii...

Löwefell ostentacyjnie westchnął.

– Posłuchajcie. – Dietmar uniósł palec. – Kilka lat temu ta kobieta, o imieniu Irmina, była przesłuchiwana przez nasz oddział Świętego Officjum w sprawie o czarostwo...

Löwefell zauważył ku swojemu niezadowoleniu, że wzrok Zeisiga zaostrzył się, a on sam pochylił się lekko w fotelu. Sprawa zaczynała go interesować. Niedobrze.

– Zwolniono ją po kilku miesiącach, ale przesłuchania zostawiły pewne ślady na jej ciele...

Pewne ślady, pomyślał szyderczo Löwefell, zrobili z niej niedojdę i kalekę, a ty mówisz o tym tak, jakby miała na tyłku siniaki od kilku mocniejszych klapsów.

– Sąsiedzi i świadkowie mówią, że nie wyglądała dobrze, poza tym była biedna, dużo chorowała. A potem zniknęła. Puff. – Inkwizytor strzepnął palcami. – Rozwiała się bez śladu. I oto wraca. Piękna, zdrowa, wystrojona i bogata... Czyż nie jest to podejrzane? Czy niesłusznie sąsiedzi i znajomi zaniepokoiли się, że może w tym tajemniczym tyglu mieszka pazurzasta ręka diabła?

Cóż, najbardziej zapewne zaniepokoiли się tym, że ktoś, kim pogardzali, stał się nagle szczęśliwy i bogaty, pomyślał Löwefell. A swoją drogą miała pecha ta mała Irmina. W dużej, ludnej Koblencji natknąć się akurat na kogoś, kto ją rozpoznał z dawnych lat...

– Rozumiem, że potwierdzono bezspornie, iż przesłuchiwana kilka lat temu kobieta i kobieta, którą zatrzymaliście, to ta sama osoba.

Bucholtz nie odpowiedział, tylko spojrział w stronę Zeisiga.

– Nie utrudniaj, Dietmar, odpowiadaj – nakazał przełożony.

– Ta sama z całą pewnością. Mamy zeznania świadków, a i ona sama przyznała, kim jest.

– Cóż, wykurowała się jak widać – wzruszył ramionami Löwefell. – To, że ją szturchnięto tu i ówdzie, nie oznacza, że z pomocą pieniędzy oraz medyków nie mogła dojść do zdrowia.

– Mam protokoły z jej przesłuchań – rzekł ponuro Dietmar. – To nie były szturchnięcia, jak chciałbyś to widzieć, Arnoldzie. Charakter zastosowanych i opisanych środków wskazuje, że ostro się za nią zabrano. Była przesłuchiwana pod osobistą kontrolą mistrza Schongauera, poprzedniego zwierzchnika Koblencji, a on nie patyczkował się z czarownicami...

– A jednak wcale nie była czarownicą – rzekł twardo Löwefell. – Wypuszczono ją.

– Pracowała jako służąca czarownicy. To była głośna sprawa kiedyś tutaj, w Koblencji. Mnie wtedy jeszcze nie było...

To akurat wiem, bo po zakończonej sprawie Pięknej Katarzyny stopniowo wymieniono całą załogę koblenckiego Inkwizytorium. Łącznie z sekretarzami, archiwistami i pisarzami. Nawet medyka przeniesiono do Akwizgranu, pomyślał Löwefell.

Löwefell mógł oczywiście, klucząc, odwołując się do solidarności zawodowej i obiecując profity w przyszłości czy wstawiennictwo Hezhezronu w sprawach, na których zależało Koblencji, w sposób niekonfliktowy wymóc przekazanie mu Irminy. Ale szczerze mówiąc, dość miał tych małych inkwizytorków z lokalnych oddziałów, z ich kompleksami, ambicjami i urojeniami. Ani nie miał ochoty bawić się w uprzejmości, ani nie miał na to czasu.

– Tak czy inaczej, zabieram tę kobietę – stwierdził obojętnym tonem – pod moją osobistą opiekę i przekazuję pod jurysdykcję biskupa.

W gabinecie przez chwilę panowało milczenie.

– Dziękuję ci, Dietmar, możesz odejść – nakazał Zeisig.

Inkwizytor skinął mu głową, zignorował Löwefella i wyszedł. Przełożony koblenckiego Inkwizytorium obrócił się w stronę gościa.

– Cóż, Arnoldzie, jesteś biskupim pieskiem, więc nie mogę ci niczego zabronić – rzekł obraźliwym tonem. – Zabieraj sobie tę czarownicę, skoro chcesz, tylko bądź tak łaskaw i wystaw mi wszelkie konieczne dokumenty. Spodziewaj się też, że złożę na ciebie skargę do biskupa.

A więc naprawdę jesteś idiotą, Maurycy, pomyślał Löwefell. Człowiek rozumny, widząc, że przegrał i że klęska jest nieodwołalna, starałby się zminimalizować jej koszt i zminimalizować własne upokorzenie. Ty zamiast tego jeszcze potęgujesz konflikt. Sam własnym postępowaniem sprawiasz, iż porażka stanie się tym bardziej przykra i tym dłużej o niej będziesz pamiętał.

– W pełni szanuję twoje prawo do złożenia podobnej skargi – stwierdził na głos, starając się, by jego ton brzmiał uprzejmie. – Jestem też przekonany, że biskup odpowie na nią najszybciej, jak tylko pozwoli mu obowiązki – dodał, a przełożonemu inkwizytorów z Koblencji aż drgnęła szczęka ze złości.

Zeisig wstał.

– Pozwól, że wrócę do obowiązków – rzekł zduszonym głosem. – Wszelkie formalności zostaną przeprowadzone w kancelarii, mam nadzieję, że ku twojemu zadowoleniu.

– Nie wątpię, Maurycy, i uprzejmie dziękuję za pomoc, jakiej udzieliło mi koblenckie Święte Officjum.

Tym razem nie podali sobie rąk, a Löwefell jeszcze tylko od drzwi skłonił zdawkowo głowę na pożegnanie. Kiedy wszedł do westybulu, zobaczył, że Irmina siedzi na krześle tak, jak ją zostawił. Uśmiechnęła się promiennie, widząc Löwefella wychodzącego z gabinetu.

– Proszę za mną, mistrzu Löwefell – odezwał się kancelista, który wyszedł zza przymkniętych drzwi. – Będę potrzebował waszych podpisów na dokumentach.

Formalności kancelaryjne potoczyły się nadspodziewanie sprawnie i to przynajmniej trzeba było Zeisigowi poczytać za rozumne: nie utrudniał. Inna sprawa, że gdyby spróbował jakichś drobnych złośliwości, to Löwefell na pewno by o tym nie zapomniał. Ale teraz zmarnowałyby więcej czasu, którego marnować wcale sobie nie życzył.

– Pozwól ze mną – zwrócił się do Irminy, kiedy wszystkie sprawy biurowe zostały pomyślnie zakończone.

– Tak, panie. – Zerwała się z miejsca.

Hans Muller, uprzejmiejszy z dwóch inkwizytorów, którzy prowadzili wcześniej Irminę, tym razem odprowadził ich do drzwi.

– Z Bogiem, Arnoldzie – rzekł. – Mam nadzieję, że podróż będzie bezpieczna. – Obrócił wzrok na kobietę. – Cieszę się, że trafiacie, pani, pod opiekę biskupa – dodał.

– A czemuż to? – zainteresował się nagle Löwefell.

– Bo i ty, i ja, Arnoldzie, wiemy, że to czarownica albo przynajmniej, że czary pomogły jej dojść do zdrowia – stwierdził zimnym tonem inkwizytor. – Bowiem nikt nie wychodzi bez śladu i bez szwanku z takich ran, jakie zadano jej w czasie śledztwa. A ponieważ czytałem protokoły oraz raport medyka, więc wiem, co mówię. W związku z tym rozumiem, że albo w Hez-hezronie pragniecie szczegółowo zbadać sprawę i cieszę się, iż przejrzycie sekrety czarownicy, albo też czarownica pracuje już dla nas, co oznacza, że wyda lub wydała w ręce Świętego Officjum wielu współników. Tak czy inaczej, wszystko układa

się dla dobra Inkwizytorium...

– Ciekawe... Naprawdę ciekawe... – odparł Löwefell.

Zapamiętał nazwisko tego człowieka i zapamiętał również, że należy uważnie przyglądać się jego karierze. A może, jak wszystko dobrze pójdzie, popchnąć ją o cal czy dwa do przodu.

– Do zobaczenia, Hans – dodał jedynie.

Wyszli na dziedziniec, a zaraz za furtą wmieszali się w popołudniowy tłum.

– Naprawdę jesteście inkwizytorem, panie? – zapytała Irmina bez strachu, ale za to z wielką ciekawością.

– Fałszywe podawanie się za inkwizytora jest karane okrutną śmiercią – odrzekł. – A dokumenty są niemal nie do podrobienia. Więc tak: jestem inkwizytorem, choć jak podejrzewam, nie w tym znaczeniu, do którego cię przyzwyczajono.

– Dokąd idziemy i co ze mną zrobicie?

– Wynająłem pokoje w zajeździe, więc zjesz ze mną kolację. A co zechcesz zrobić później, zależy już tylko od ciebie. Jeśli chcesz, wywiozę cię z Koblencji, choć nie przypuszczam, by inkwizytorzy narzucali ci się jeszcze po dzisiejszym dniu...

Jednak z drugiej strony nigdy nie wiadomo, ile dawek głupoty wchodzi na jedną dawkę zawziętości, dodał, myśląc o Maurycym Zeisigu.

– Dziękuję wam. Dziękuję wam, panie, że znowu mnie uratowaliście – usłyszał w jej głosie szczerą wdzięczność i przywiązanie. – Zaprawdę, jesteście moim aniołem.

Löwefell uśmiechnął się i pomyślał, że towarzysząca mu kobieta zapewne zmieniłaby zdanie na temat Aniołów, gdyby zobaczyła jednego z nich. Tym bardziej gdyby miała nieszczęście spojrzeć mu prosto w oczy i runąć w studnię obłąkanego mroku, która się w nich czaiła. Właściciel oberży sam pofatygował się, by przynieść im kolację oraz wino. Życzył smacznego, a spojrzeniu Löwefella nie mógł umknąć wzrok, z jakim karczmarz przypatrywał się Irminie (choć udawał, że wcale nie patrzy). Ale kobieta rzeczywiście nie dość, że przyciągała wzrok urodą, to jeszcze była dostatnio i ze smakiem ubrana. A poza tym emanowała z niej jakaś... magia, jakiś urok pozostający bez związku z ładną buzią czy bogatym strojem.

Kiedy zostali sami, inkwizytor poprosił ją, by czuła się swobodnie i jadła, a sam wlał sobie do szklanki tylko wino, bo nie miał ochoty na kolację. Irminie nie trzeba było dwa razy powtarzać i zabrała się z zapalem do jedzenia.

– To przez tych inkwizytorów tak zgłodniałam – wyznała. – Boże mój, jak ja się bałam, dopóki was nie zobaczyłam! Ale kiedy tylko ujrzałam na ulicy waszą twarz i kiedy tylko zobaczyłam, że i wy mnie widzicie, to i cały strach zaraz ustąpił. Już wiedziałam, że wszystko będzie dobrze!

Löwefell z rozbawieniem pomyślał, że to prawdziwie miłe słyszeć podobne słowa. I choć był jak najdalszy od tego, by łatwo wierzyć ludziom (a dzięki magii potrafił bez problemu wychwytywać fałsz w ich słowach), to w tym wypadku nawet pomoc magii nie była konieczna, by pojąć, że dziewczyna mówi z całkowitą i żarliwą szczerością.

– Opowiesz mi, co się z tobą działo przez cały ten czas od naszego ostatniego spotkania?

– Z radością – odparła. – Tylko błagam, dajcie mi jeszcze chwilę, żebym nie musiała mówić z pełnymi ustami.

– Daję! – obiecał rozbawiony Löwefell.

– Bo mówię wam, od kiedy mnie uleczyliście, mam taki apetyt, że niejednego mężczyznę przejem. A jednocześnie wierzcie lub nie – rozłożyła dłonie – przez tych kilka lat przytyłam może z pięć funtów, najwyżej. A i wszystko poszło tam, gdzie pójść powinno – zaśmiała się z satysfakcją.

Inkwizytor przyglądał się nie nachalnie, lecz z przyjemnością, jak jego gość zmiata kolejne potrawy z talerzy i półmisek. Była w tej dziewczynie witalna radość życia i pełnia jego przeżywania. Coś, co w Löwefellu wypaliło się dawno temu, ale co lubił oglądać u innych. Bez zawiści, lecz z zadowoleniem, że inni mają coś, czego on już niestety mieć nie może.

Wreszcie dziewczyna skończyła jeść, wypła szklankę zmieszanego z wodą wina, wytarła usta w serwetkę i westchnęła głęboko.

– Teraz mam siły, żeby opowiadać całą noc – powiedziała. – Najpokorniej wam dziękuję, że byliście tak mili i zaczekaliście.

– Zamieniam się w słuch.

Zastanawiała się chwilę, najwyraźniej zbierając myśli i słowa.

– Po tym, jak mnie uleczyliście, uciekłam z Koblencji, by ludzie nie widzieli, jaka nastąpiła we mnie zmiana, i by nie zaczęli pytać... – zaczęła.

Löwefell skinął głową. To była słuszna decyzja. Sam co prawda radził wtedy dziewczynie, by udawała uzdrowioną przed ołtarzem kościoła słynącego z cudów, teraz jednak sądził, że sama wybrała lepiej. Zapewne bała się udawać cudownie uzdrowioną, bała się, że nie sprosta tej teatralnej roli, i uznała, że ucieczka będzie lepsza. I chyba okazała się lepsza. Tylko nie trzeba było wracać do Koblencji.

Löwefell od dawna wiedział, że żaden rozsądny człowiek nie powinien obnosić się z cudownościami, które go spotykają. Bo zazdrośni sąsiedzi zaraz mogą zacząć pytać, czy aby na pewno owe cudowności pochodzą od Boga? Czy aby na pewno są emanacją Bożej łaski? Czy aby na pewno służą sprawie dobra i światła i zostały przyznane w nagrodę za prawe postępowanie? A jeśli jest odwrotnie? Sobie i innym zadawali pytania zawistnicy. A jeśli to wcale nie Bóg i nie Jego wola stoją za owymi niezwykłościami? Ale ktoś zupełnie Inny i mroczna wola tego Innego? No i tak plotka powtarzana przez zazdrosne języki zaczynała krążyć i potęgnać, aż wreszcie prędzej czy później (raczej prędzej) trafiała do uszu inkwizytorów, którzy zaczynali badać, czy mają do czynienia z cudownością, czy może wręcz przeciwnie: z paskudnością. A kiedy inkwizytorzy byli bardzo gorliwi lub bardzo niecierpliwi, to owe poszukiwania i badania przybierały postać oficjalnego śledztwa, by na koniec rozgorzeć płomieniem stosu. Tak, tak, niebezpiecznie było wyróżniać się spośród tłumu...

– Byłam w Bonnie i w Kolonii, i w innych miejscach. Dzięki wam byłam znowu piękna, silna i nawet czasami szczęśliwa. – Uśmiechnęła się promiennie.

– Tym lepiej, Irmino, że mieszkałaś w miejscach, w których nikt cię nie znał.

– Wybaczcie, że sprostuję, panie, ale nie Irmina. Mój Boże, jakżeż ja nienawidziłam tego imienia. Jeszcze moją panią prosiłam, by mnie tak nie nazywała, ale ona mówiła, że skoro na chrzcie mi dano Irmina, to jestem Irmina i koniec – w głosie dziewczyny nie było jednak słyhać pretensji. – No i skoro pojechałam tam, gdzie nikt mnie nie znał, to

pomyślałam: czas rozstać się z okropną Irminą! Czas wybrać nowe życie i nowe imię! – zawołała i uśmiechnęła się zaraz potem. – I wybrałam!

– Jakież to imię?

– Zastanawiałam się, czy najładniej brzmi Anna, Anja czy może Enya?

– Spojrzała bystro na Löwefella. – A wy które wybralibyście?

– Enya – odparł natychmiast inkwizytor, nie dlatego, by to imię podobało mu się najbardziej, ale dlatego, że po tonie jej głosu poznał, które wybrała ona sama.

– Tak jest! – Klasnęła zadowolona. – Właśnie to imię wybrałam.

– Cóż działo się dalej?

– Jak słusznie mówiliście, to dobrze, że mieszkałam w miastach, w których mnie nie znano. Bo szczęście, które pojawia się nagle u sąsiada, jest dla wielu niczym wściekły pies. Zaraz chętnie by go utłukli.

Löwefell skinął głową.

– A czasem wzywają do tego hycli – dodał.

– Jak widzieliśmy dzisiaj, prawda? – zapytała z goryczą.

Potem znowu chwilę milczała, wreszcie machnęła dłonią, jakby chcąc wymazać z pamięci obraz niedawnego aresztowania.

– W Kolonii wyszłam za męża. – Wyprostowała się dumnie. – I zostałam panią Baldung. Mój mąż był właścicielem kamienicy, browaru i dwóch oberży, znaczącym członkiem cechu piwowarów. Traktował mnie jak królową. – Nagle posmutniała i otarła oczy wierzchem dłoni.

– Umarł?

– Zabito go – Enya wypowiedziała te słowa z tak wielką nienawiścią, że nawet gdyby Löwefell magicznie nie poznawał, iż nie miała z tą śmiercią nic wspólnego, to wystarczyłaby mu znajomość ludzkiej natury, by wiedzieć, że dziewczyna tej śmierci ani nie chciała, ani się do niej nie przyczyniła.

– Kto?

– Rywale. Był taki jeden... – splunęła na ziemię – któremu Konrad najbardziej załazł za skórę. Nazywał się Rode. Hans Rode. Przeklęty partacz! A i we mnie się lajdak zapatrzył. – Splunęła po raz drugi.

Potem westchnęła.

– Nigdy nie wiedziałam, jak wielka panuje nienawiść w świecie piwowarów, a pewnie i we wszystkich cechach jest tak samo. Jeden

drugiego w kropli piwa by utopił, nie tylko wykradł receptury czy najbieglejszych majstrów, ale kadzie zatrul, sklepy spalił.. – Pokręciła głową.

Milczała przez chwilę, pustym wzrokiem zapatrzona w okno.

– Konrad był inny od nich wszystkich – odezwała się znowu. – Chciał być najlepszy, ale nie dlatego, że inni będą gorsi, tylko że on wzniesie się na tak nadzwyczajny poziom. – Uśmiechnęła się z rozmarzeniem. – We wszystkim chciał być najlepszy, bo i... – Nagle urwała i obląła się rumieńcem. – No ale co ja o tym czy tamtym będę mówiła... – dokończyła trochę nieskładnie.

Löwefell domyślił się, w jakimże to zajęciu Konrad chciał być najlepszy, i uśmiechnął się tylko.

– Tajemnice ludzkiej natury i ludzkiego ciała są mi znajome, jak sama zapewne pamiętasz.

Złożyła dłonie na piersiach.

– Wszystko, co miałam, każdą iskrę szczęścia, zawdzięczam wam – wyznała gorąco. – Nigdy, przenigdy tego nie zapomnę.

Löwefell wiedział, że zapewnienia o dozgonnej wdzięczności są często mniej warte od papieru i atramentu, którymi by je zapisano. Ale akurat ta dziewczyna wypowiadała je z żarliwą pasją i z głęboką wiarą. Inkwizytora intrygowała ona zresztą coraz bardziej. Było w niej coś budzącego zaufanie, coś emanującego witalnością i szczerą pasją myśli oraz uczynków. Nie miała w sobie ani odrobiny prawdziwej magii, ale Löwefell wyczuwał ten rodzaj właściwej niektórym ludziom mocy, która wypływa po prostu z silnego charakteru.

– Opowiadaj dalej – poprosił.

– Zwabili go na spotkanie i zabili. Niby opowiadali, że napadli ich jacyś obcy łajdacy, że to byli uliczni rabusie, że nikt nie widział twarzy pod osłoną nocy... – Wzruszyła ramionami. – A to byli ludzie Rodego, dobrze wszyscy wiedzieli, że on za tym stoi.

– A śledztwo?

– Jakież mogło być śledztwo? Mało ludzi dostanie nożem w bok, kiedy wraca z karczmy do domu? Tamci dwaj, Rode i ten drugi, a jakże, zadbali, żeby wina nie spadła na nich. Jeden miał przeciętą dłoń, drugi guza od ciosu pałką. Że niby walczyli z napastnikami. Śmiechu warte! –

prychnęła.

– Co zrobiłaś pozbawiona męża? Próbowiałaś prowadzić dalej interes?

– Nie, nie. – Pokręciła głową. – Nie mam ani zdolności Konrada, ani nie miałam jego umocowań, koneksji, nie znałam wszystkich sekretów prowadzenia interesu. Nie żeby nie chciał mi o czymś mówić – zastrzegła od razu. – Pomimo że byłam żoną piwowara, uważałam wtedy, że wiedza o pewnych detalach handlowych czy rzemieślniczych nie jest mi do niczego potrzebna. Wiedziałam zatem, że rywale wykorzystaliby mój brak doświadczenia i zniszczyliby mnie. Zmarnowałabym wszystko, co osiągnął mąż, a tego naprawdę nie chciałam przez szacunek dla jego pamięci.

To była bardzo rozsądna odpowiedź, świadcząca, że Enya znała swoje własne ograniczenia i potrafiła wyrzec się ambicji w imię rozsądku. Umiała podejmować trudne decyzje.

– Wszystko sprzedawałam za całkiem dobrą cenę, choć pewnie mogłaby być lepsza. No, zwykle tak jest...

– A przynajmniej tak zwykle się myśli już po transakcji – wtrącił Löwefell.

– Byłam zadowolona, wierzcie mi. – Uśmiechnęła się. – A wszystkie zarobione pieniądze ulokowałam w Banku Akwizgrańskim.

– Znakomity wybór – pochwalił ją inkwizytor.

Bank Akwizgrański zyskał zaufanie klientów tym, że zawsze dysponował rezerwą równą sumie depozytów i gotów był wypłacić pieniądze na każde żądanie. W niepewnym świecie lichwy i bankructw, jakie czasem wstrząsały nawet wielkimi spółkami, Bank Akwizgrański był ostoją solidności i bezpieczeństwa. Zresztą, jak wiedział Löwefell, a nie wiedział nikt poza wtajemniczonymi osobami, należał w całości do Świętego Officjum. Czy raczej, lepiej mówiąc, należał do ludzi ściśle podporządkowanych Świętemu Officjum. Tak właśnie było w wielu przypadkach, bo ileż to nie tylko wielkich spółek, banków czy kantorów należało do ludzi powiązanych z Inkwizytorium! Sklepami, zajazdami, manufakturami, setkami mniejszych czy większych przedsięwzięć często zarządzali ludzie, którym Święte Officjum niegdyś pomogło lub teraz pomagało w interesach. I ludzie ci mieli dług wdzięczności. A oprócz oddawania pewnej części dochodów dla Inkwizytorium wiedzieli

również doskonale, że kiedy przyjdzie pora, trzeba będzie dług spłacić czymś więcej niż tylko pieniędzmi.

– Wynajęłam ładne mieszkanie w kamienicy i niczym nie musiałabym się pewnie martwić do końca życia. Bo starczyłoby jeszcze mi pieniędzy i na piękną, wiejską posiadłość, i na to, by wygodnie w niej mieszkać, gdybym tylko zechciała.

– Ale coś jeszcze miałaś do załatwienia – poddał Löwefell.

– Ano miałam – odparła zimno.

Milczeli dłuższą chwilę i wreszcie Enya spojrzała wprost w oczy inkwizytora i powiedziała:

– Wyjawię wam całą prawdę. Wszystko od alfy do omegi, jak było. Bo nie jesteście człowiekiem, który mnie wyda, prawda?

– Nie wydam cię nikomu, cokolwiek byś uczyniła – obiecał poważnie Löwefell.

Po prostu jeśli uznam, że przekroczyłaś nieprzekraczalne granice, sam cię zabiję, dodał w myślach.

– Tak myślałam. – Skinęła głową. – Że właśnie takim jesteście człowiekiem.

Ściągnęła usta i zastanawiała się chwilę.

– Zostałam kochanką Rodego. Myślał, że ożeni się ze mną, a potem zabierze mi majątek. No i pewnie by się mnie pozbył jak mojego Konrada. Ale na razie był dobry i uprzejmy, bardzo mu zależało, żeby mnie oczarować. – Uśmiechnęła się nagle. – Nie powiem, że nie użyłam z nim sobie różnych przyjemności życia. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i z rozmarzeniem. – Ale cały czas myślałam tylko, jak go... – włożyła kciuk do ust i spojrzała na Löwefella spod rzęs – pogiębić.

– Bardzo jestem ciekaw.

– Myślałam, czyby go nie otruć albo nie wbić mu szydła do ucha. Ale śmierć przez otrucie można rozpoznać...

Nie zawsze można rozpoznać, sprostował w myślach Löwefell, lecz rzeczywiście, by otruć kogoś, nie zostawiając śladów, trzeba się dobrze znać na trucicielskim fachu.

– ...a ja nie chciałam, żeby mnie ugotowali w oleju – parsknęła.

Löwefell pamiętał jeszcze z dawnych czasów, z perskich czasów, że Narses kazał żywcem gotować ludzi w oleju, i wiedział, jak straszna jest

to męka. W Cesarstwie nie stosowano tej tortury dla zabawy, jednak rzeczywiście skazywano na nią trucicieli oraz fałszerzy pieniędzy.

– Cóż więc wymyśliłaś?

– Chciałam, żeby cierpiał, zanim umrze – przyznała. – Żeby zapłacił za śmierć mojego Konrada i za moje cierpienie, mój żal i mój smutek. I wiecie, czego jeszcze chciałam?

– Aby wiedział, komu to cierpienie zawdzięcza, jak mniemam – rzekł Löwefell.

Klasnęła uradowana.

– Rozumiecie mnie tak, jakbyście byli w mojej skórze. Zyskałam jego zaufanie – kontynuowała. – I opowiedziałam mu, że zainwestowałam dużo pieniędzy w pewien interes handlowy. Chwaliłam się, ile przynosi mi zysku z tantiem.

– Więc i on włożył. Trochę na próbę... – domyślił się bez trudu Löwefell.

– I dostał pięciokrotne przebicie.

– Od razu potem włożył więcej czy już dał wszystko, co miał?

– Za drugim razem więcej, ale nadal nie wszystko. Był bardzo ostrożny.

– Więc potem powiedziałaś, że teraz zbliża się ostatnia szansa i że wkładasz w spółkę wszystkie swoje oszczędności. Powiedziałaś, że będziesz bardzo bogata i wyjedziesz z kapitałem.

– I kupię tytuł szlachecki – dodała.

– Włożył wszystko?

– Błagał mnie o to – roześmiała się. – Bo utrudniałam mu, ile mogłam. Powiedziałaś, że spółka nie potrzebuje już kapitału, więc że nie tylko nie musi niczego dawać, ale nawet nie widzę takiej możliwości, by uczynić go inwestorem.

– Bardzo roztropnie – pochwalił ją inkwizytor. – W końcu najbardziej cenimy rzeczy nieosiągalne.

– Oddał mi prawie wszystko. Zastawił nieruchomości, zaciągnął pożyczki w weneckich i florentyńskich kantorach. Myślał, że będzie bogaty niczym król – roześmiała się znowu. – Już nie tylko sobie roił, że kupi szlachectwo, ale tytuł barona i dobra ziemskie.

– No i jego pieniądze zniknęły razem ze spółką, a on został z kwitami

i z dokumentami, którymi mógł palić w kominku – dopowiedział Löwefell. – A jak ty się wykpiłaś?

– Rozpaczałam! – Uniosła dłonie do nieba w geście Niobe biadającej po utracie dzieci. – Powiedziałam, że prze padły wszystkie moje oszczędności, a że miałam na to dokumenty fałszywej spółki, to uwierzył, że jesteśmy jednakowo poszkodowani.

– Znakomicie.

– Wyjechałam. W poszukiwaniu pożyczki na nasze wspólne życie i by błagać o pomoc krewnych, jak mu obiecałam... Nie było mnie miesiąc.

Akurat dobry czas, by nieco opadł bitewny pył, pomyślał z rozbawieniem Löwefell.

– Wróciłam do Kolonii z hajdukami, służącymi i poczwórną karetą. Niczym wielka pani.

Inkwizytor wyobraził sobie tę scenę i uśmiechnął się.

– Posłałam po niego, bo mieszkał kątem u kuzyna i pracował u niego w kantorze, by mieć za co jeść – tym razem jej śmiech był pełen złośliwości, ale i satysfakcji. – Florentyńczycy i Wenecjanie cisnęli go o zwrot długów, a wiecie, jak bardzo oni potrafią być niemili...

Jak każdy, kto traci inwestycję, pomyślał Löwefell.

– Dałam mu prezent, kiedy podszedł do karety. Ach, a wiecie, jaki był szczęśliwy, kiedy się do mnie zbliżał? – Oczy Enyi zajrzały w nieodległą przeszłość i wypełniły się okrutnym rozbawieniem. – Myślał, że już wszystko będzie dobrze. Że czeka nas świetlana przyszłość. Jakiż on był wzruszony i rozczulony!

– Co dostał w prezencie?

– A co wy byście mu dali na moim miejscu? – Enya spojrzała figlarnie na Löwefella.

– Portret twojego męża – odparł.

Dziewczyna znieruchomiała.

– Boże mój – powiedziała wreszcie zduszonym głosem. – Wy naprawdę jesteście czarownikiem.

Potem milczała długą chwilę.

– Tak. To był portret Konrada – rzekła już pewnym głosem. – W złoconych ramach, kunsztownie namalowany przez jednego z najlepszych malarzy w Akwizgranie. Powiedziałabym: Konrad jak

żywy.

– Wygłosiłaś na koniec kwestię, aby mógł ją pamiętać przez resztę życia, czy odjechałaś w milczeniu?

– A jak sędzicie?

– Sądzę, że nie powstrzymałaś się od podkreślenia słusznego i należnego triumfu z takim przecież trudem wypracowanego. – Uśmiechnął się.

– Właśnie tak! – Skinęła radośnie głową. – Powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy: „Oto jedyny człowiek, którego kochałam. Od kiedy zginął, marzyłam tylko, by pognębić jego zabójców”.

– Zapadające w pamięć – pochwalił Löwefell.

– Nie uwierzylibyście, jak głupią miał minę. Stał wpatrzony w ogromny portret, z którego spoglądał na niego mój Konrad, i przenosił wzrok na mnie, jakby nie wiedział, co się dzieje, na jakim świecie żyje i jak wszystko poukładać sobie w rozumie, by miało sens... – Zaśmiała się złośliwie. – Wcześniej sądziłam, że będzie się może awanturował, że rzuci się na mnie, więc kazałam hajdukowi, by go w takiej sytuacji tego obili. Ale on tylko stał i patrzył... A potem zaczął płakać. – Wzruszyła ramionami. – No to odjechałam. I nigdy później moja stopa nie postąpiła już w Kolonii.

– Co się stało z tym człowiekiem? Interesowałaś się nim jeszcze?

– Miło byłoby powiedzieć, że powiesił się albo dźgnął nożem w rozpacz, albo chociaż zapił na śmierć czy zginął w pijackiej burdzie. – Skrzywiła się. – Ale niestety, nic takiego się nie stało. Doniesiono mi, że uciekł przed dłużnikami na Śląsk. I już nic więcej nie wiem. Pewnie, gdybym popytała Wenecjan, dowiedziałabym się czegoś jeszcze, ale powiem wam szczerze, że jak dla mnie może sobie żyć, gdzie chce, z kim chce i jak chce. Ja swoje zwycięstwo już osiągnęłam.

Löwefell zdawał sobie sprawę, że w opowieści dziewczyny otrzymał jedynie znacznie skróconą wersję wydarzeń. Nie mówiła przecież o precyzyjnym tkaniu sieci zaufania, o stopniowym oplątywaniu ofiary, o budowaniu przyjaźni. Nie wspominała o tych wszystkich koniecznych uśmiechach, obietnicach, półsłówkach, intrygach, dawanych mimochodem nadziejach. Nie mówiła o rozdmuchiwaniu ambicji, o podsycaniu marzeń, o roztaczaniu wizji świetlanej przyszłości. A to

wszystko w tej relacji musiało być, bo by pokonać nieprzyjaciela na jego własnym polu bitwy, trzeba świetnie się przygotować. I Enya nie popełniła błędu. Zniszczyła życie wrogowi, nie odbierając mu tego życia, lecz zostawiając go na pastwę wspomnień. Zostawiając go na pastwę tego, że dzień w dzień będzie myślał o swojej ruinie, o zawiedzionych nadziejach, no i oczywiście o osobie, której to wszystko zawdzięcza. Będzie wspominał, gryzł się, przeklinał, w myślach cofał w przeszłość i dokonywał zupełnie innych wyborów. Będzie się zastanawiał, co by się stało, gdyby był mądrzejszy, będzie żałował słów i uczynków, będzie poniewczasie znajdował świetne rozwiązania, które mogłyby mu przynieść zwycięstwo. A wszystko tylko, by omamiony wizjami udanej przeszłości, tym gorzej czuć się w biednej i smutnej teraźniejszości, w której z szanowanego i bogatego kupca zamienił się w zwierzynę łowną dla wierzycieli.



- Dzielnie sobie poradziłaś – rzekł tylko.
- No ale licha podkusiło mnie, by wrócić do Koblencji. – Aż pokręciła głową, tym razem ze zdumienia nad własną głupotą. – A drugie licha tak

pokierowało sprawami, by dawni znajomkowie, którzy pamiętali mnie oszpeconą i kulawą, zobaczyli, jak wyglądam teraz. – Nagle poderwała się i zakręciła się na pięcie niczym fryga. Jej suknia podniosła się wysoko, obnażając zgrabnie ukształtowane łydki i smukłe uda. – A piękna jestem, prawda? Powiedźcie? Piękna?

Inkwizytora rzadko kiedy coś naprawdę bawiło, ale ta dziewczyna, tak łatwo przechodząca od powagi do figlarniej beztroski, szczerze go rozbawiła. Na ile oczywiście w ogóle można w moim wypadku użyć słów „szczerze rozbawiony”, pomyślał.

– Oczywiście, że jesteś piękna – stwierdził z przekonaniem.

Irmina czy też Enya, jak prosiła, by ją nazywać, nie była może piękną, której rodzaj urody przemówiłby do Löwefella (nawet w czasach, kiedy kobiety w ogóle go interesowały), ale miała zgrabną figurę, delikatną buzię, ładny głos oraz wiele uroku w oczach i uśmiechu. Tak, z całą pewnością zdobycie niemal każdego mężczyzny nie stanowiłoby dla tej dziewczyny żadnego problemu. A że była wygadana, bystra i miała poczucie humoru, to i tym lepiej. Oczywiście było wielu mężczyzn, którzy woleli kobiety ciche i posłuszne jak trusie. Kobiety obleczone w suknie od stóp do głów, a głośniej odzywające się jedynie przy modlitwie. Ale Löwefell zawsze uważał, że prawdziwy mężczyzna powinien pragnąć kobiety z krwi i kości, z silnym charakterem i bystrym umysłem. Kobiety, która nie tylko stanie się dobrym sprzymierzeńcem, lecz którą trzeba szanować, bo w sporze może się okazać groźnym przeciwnikiem. Löwefell żałował, że Enya nie ma w sobie nawet cienia uzdolnień magicznych, bo zapewne z jego protekcji przyjęto by ją na edukację w klasztorze Amszilas. Oczywiście jeśli by chciała...

Kobieta opadła na fotel. Była zarumieniona i to dodało tylko uroku jej jasnej twarzy. Odetchnęła głęboko.

– Powiem wam szczerze, nie wiem, co teraz mam robić z własnym życiem – powiedziała nagle posmutniałym tonem. – Najchętniej... poszłabym z wami, gdybyście mnie wzięli ze sobą...

– To niemożliwe – odparł. – Nie dlatego, że bym tego nie chciał, ale dlatego, że nie byłoby to dobre dla ciebie.

– A może bym sama zadecydowała, co jest dla mnie dobre? – odważyła

mu się przerwać.

Uniósł rękę.

– Moje zadania nie przewidują obecności towarzysza lub towarzyszki i ktoś taki nie jest mi wcale potrzebny. Masz majątek, prawda? Jesteś młoda, jesteś piękna, wyjedź stąd, dokąd tylko chcesz. Do Italii, do Hiszpanii, do Bizancjum. Korzystaj z życia. Jeśli chcesz, wystawię ci glejt Świętego Officjum, który pozwoli ci uniknąć jakichkolwiek kłopotów z władzami.

– Jesteście bardzo uprzejmi. – Uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Ale powiem wam szczerze: o wszystkim tym, o czym mówicie, już myślałam wcześniej. I żadna z tych możliwości nie wywołuje żywszego bicia mojego serca. Może gdybym mogła mieć dzieci. – Wzruszyła ramionami. – Może wtedy miałabym po co i dla kogo żyć. Ale nie mogę mieć...

– Tego nie byłem w stanie wtedy naprawić – przyznał Löwefell ze smutkiem.

– Zrobiliście dla mnie i tak więcej niż jakikolwiek człowiek na świecie – zapewniła z żarem. – Ale skoro żeście mnie od nowa stworzyli, to powiedzcie teraz: po co?

Zdumiewające, że ta dziewczyna zadaje mi to samo pytanie, jakie ja zadaję moim twórcom. Pytanie, jakie zadaję Mariusowi van Bohenwaldowi, chociaż może zadawać powinienem je komuś innemu, i na które nie doczekałem się dobrej odpowiedzi. Pełnej odpowiedzi, która jasno i szczegółowo nakreśliłaby mi ścieżkę życia. Jednak ja mam przynajmniej moją misję dla Jezusa oraz chrześcijaństwa. Może to jedynie ogólne zadanie, lecz zadanie o ogromnej wadze. A smutna dziewczyna, która siedzi przede mną, ma w sercu tylko pustkę. Czy mogę ją jakoś zapełnić? Czy powinienem to uczynić? Czy wolno mi to uczynić?

– Natknąłem się na ciebie dwa razy – powiedział wolno Löwefell. – I dwa razy potrzebowałaś mojej pomocy. Być może to znak od Boga, bym zaprowadził cię dalej...

– Dokąd chcecie mnie zaprowadzić? – zapytała po chwili cichym głosem, bo chyba przestraszyła ją powaga w głosie inkwizytora.

– Do ludzi, którzy pomogą ci znaleźć cel w życiu. Którzy dadzą ci walkę, ekscytację, uniesienie, przygodę. Nie licząc, kto wie, majątku i poważania. – Uśmiechnął się.

– Boże mój, mówicie, jakbym miała zostać wojownikiem! – roześmiała się, ale chyba była trochę przestraszona.

– Wojownikiem? Tak, to dobre określenie, choć nie w dosłownym znaczeniu słowa. – Löwefell wstał i podszedł do niej.

Położył jej dłonie na ramionach. Przyciągnął ją do siebie i poczuł zapach migdałowego olejku do włosów i rozgryzionego liścia mięty.

– Wojownikiem światłości można być w wielu miejscach i na wiele sposobów – rzekł. – Czeką cię ciężka nauka i wyczerpujące szkolenie, ale w zamian za to życie bardziej ekscytujące od egzystencji większości ludzi na świecie. Chciałabyś spróbować, moja droga?

Zaczerpnęła głęboko tchu.

– Na to czekałam całe życie! – krzyknęła mu prosto w twarz z taką radością, jakby obiecał jej właśnie wieczność w Raju.



Matylda



Löwefell usłyszał pukanie do drzwi, lecz już wcześniej, po dźwięku ciężkich kroków na korytarzu, poznał, że zbliżającą się osobą jest Marius van Bohenwald. Zresztą poznać to najwyraźniej miał, gdyż van Bohenwald, jeśli tylko zapragnął, potrafił poruszać się bezszelestnie. Więc to, że chciał, by Löwefell wcześniej usłyszał jego kroki, mogło o czymś świadczyć. Albo nie świadczyć kompletnie o niczym. Albo tylko pobudzić samego Löwefella do rozważań na temat tego, jakie Marius miał intencje. Czyli: jak zwykle.

– Proszę – rzekł i zgodnie z oczekiwaniami ujrzał w progu zwalistą postać.

Gość zasapał ciężko, skinął Löwefellowi dłonią, po czym z ulgą opadł na fotel, który niebezpiecznie zaskrzypiał pod ciężarem. Potem Marius westchnął z wyraźnym ukontentowaniem i uśmiechnął się bardzo, bardzo szeroko, odsłaniając przy tym poszczerbione łopaty całkowicie żółtych zębów. Löwefell obserwował tę komedię na stojąco i z uprzejmym uśmiechem na ustach, usiadł dopiero wtedy, kiedy van Bohenwald wygodnie się umościł.

– Czym mogę ci służyć, Mariusie? Może łyk wina?

– Ymym – zamachał gość upierścienioną dłonią i inkwizytor zrozumiał, że to odmowa.

– Skoro nie winem, więc konwersacją – rzekł na poły poważnie, na poły żartobliwie.

Tym razem Marius skinął głową. W trakcie tego ruchu jego podgardle rozlało się na szyję niczym kiszka wypełniona białym mięsem.

– Właśnie tak. Rozmową – odparł. – Ale nie tylko rozmową. – Zamrugał powiekami. – Miło tu u ciebie, Arnoldzie – powiedział, obracając głowę najpierw na ułamek cała w lewo, a potem na ułamek cała w prawo, co miało zapewne zastąpić rozejrzenie się wokół. – Zapach starych murów i książek, o tak, to właśnie lubię...

Löwefell nie widział celu w tym, by przypomnieć, że dokładnie tak samo pachnie większość pomieszczeń w klasztorze Amszilas. Może z wyjątkiem tych, które znajdowały się w podziemiach, gdyż one pachniały całkowicie inaczej.

– A więc słucham uważnie – poddał Löwefell.

– Jakże się czujesz po naszych koblenckich przygodach?

– Zważywszy na fakt, że mnie zabiłeś, to znakomicie...

Marius van Bohenwald zaparaskał.

– Tak było, tak właśnie było – powiedział z zadowoleniem. – A powiedz mi, jak znalazłeś uzdrawiające umiejętności Katriny?

– W najwyższym stopniu zadowalające.

– A więc nie: nadzwyczajne, nie: nieprawdopodobne, wreszcie nie: zachwycające lub oszałamiające, a zwyczajnie i pospolicie: zadowalające – zmarszczył brwi Marius. – W czym więc Katrina mogłaby być jeszcze lepsza?

– Czy mogę ci służyć czymś konkretnym, Mariusie, czy też będziemy rozmawiać o Koblencji? – zapytał Löwefell, uznając, że nie da się wciągnąć w dyskusję na temat znaczenia słów. – Tamtejsze wydarzenia, jak zapewne doskonale wiesz, opisałem szczegółowo w moim raporcie.

– A właśnie: raport. – Marius podniósł palec. – Nie podoba mi się ten twój raport.

– Jestem wręcz zdruzgotany. Z jakich powodów?

– Oczywiście. – Van Bohenwald wyciągnął nogi przed siebie i przez chwilę przyglądał się spiczastym czubkom swoich butów. – Otóż dlatego nie podobał mi się twój raport, że nie było w nim ani słowa o tym, kogo zobaczyłeś w Koblencji, ani słowa o tym, kto oporządził zwłoki Roksany.

To niedobrze. – Marius pokręcił głową.

– Nie było nic do opisywania, bo jak dobrze wiesz, nikogo nie zobaczyłem – odparł spokojnie Löwefell. – Zresztą, jak się zapewne domyślasz, ku mojemu ubolewaniu, bo skoro już umarłem, to chciałem chociaż, żeby ta śmierć przyczyniła się do czegoś korzystnego. A niestety efekt był jednoznacznie i całkowicie niezadowolający.

– No, w tym jednym akurat się doskonale zgadzamy – burknął van Bohenwald.

Chwilę milczeli.

– Czy Katrina zabierze cię jeszcze do nie-świata? – spytał wreszcie Marius.

– Katrina uważa, iż mamy problem spowodowany faktem, że brosza z czerwonego diamentu to jedyny przedmiot, o którym można powiedzieć, iż Roksana była do niego naprawdę przywiązana – wyjaśnił spokojnie Löwefell, wiedząc, że van Bohenwald doskonale zna powód, dla którego nie zdecydowali się na kolejną wizytę w nie-świecie. – W związku z tym istnieje jedynie minimalne prawdopodobieństwo, iż inna rzecz wysnuje nic na tyle silną, by nas do niej doprowadzić.

– Taaak, to możliwe – mruknął gruby inkwizytor. – Czyli poddajemy się, Arnoldzie?

– Użyłbym raczej słowa: czekamy.

– Jakie przedmioty należące do staruchy są jeszcze w naszym posiadaniu?

Po co on mnie o to pyta? – zastanowił się Löwefell. Przecież wie lepiej niż ja, co inkwizytorzy znaleźli i skonfiskowali w kwaterze więdźmy. Do czego ma prowadzić ta rozmowa?

– Znaleziono jedynie przedmioty codziennego użytku, ubrania. Nie rozpoznano niczego, co pochodziłoby z Persji.

– Co się stało z jej perskimi ozdobami, z odzieniem, z magicznymi księgami? Hm?

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób Roksana znalazła się nie tylko w Koblencji, ale w ogóle na terenie Cesarstwa – odparł Löwefell. – Więc tym bardziej nie mogę odpowiedzieć na pytanie, czemu nie zabrała ze sobą rzeczy pochodzących z Persji. A ty wiesz, Mariusie? – Zwrócił twarz w stronę van Bohenwalda i zmierzył się z nim spojrzeniem. – Wiesz,

w jaki sposób i z jakich powodów uczennica Narsesa znalazła się na naszej ziemi?

– Oczywiście, że wiem. – Grubas wzruszył ramionami.

– Rozumiem, że mi o tym opowiesz – stwierdził Löwefell, rzecz jasna zupełnie pozbawiony nadziei, iż cokolwiek ciekawego usłyszy.

– Jeszcze nie – odparł Marius zgodnie z oczekiwaniami. – Jeszcze nie dzisiaj... A czekaj, Arnoldzie, po co ja do ciebie przyszedłem, pamiętasz może?

– Na pogawędkę przy szklance wina – odparł Löwefell bez zmrużenia powiek.

– Taaak... – uśmiechnął się van Bohewald. – Na pogawędkę, oczywiście... A tak naprawdę, drogi towarzyszu, przybyłem do ciebie w sprawie pilnej, niezwyklej wagi i nie ukrywajmy tego: kłopotliwej.

– Zamieniam się w słuch.

– Otóż pragnę wykorzystać twoje nadzwyczajne zdolności medyczne, Arnoldzie.

Löwefell skinął głową.

– Oczywiście – rzekł tylko.

– Mamy chorego, którego należy pilnie zdiagnozować oraz uleczyć – wyjaśnił Marius.

– Oczywiście – powtórzył inkwizytor. – Uleczyć, jeśli to możliwe – dodał.

– Uleczyć, nawet jeśli to niemożliwe – sprostował stanowczym i nieoczekiwanie nieprzyjemnym tonem van Bohewald.

– Wybacz, Mariusie, lecz tylko Bóg nie zna ograniczeń. Ja oraz sztuka medyczna znamy je aż nazbyt dobrze. – Löwefell skrzyżował wzrok z gościem i do końca wytrzymał jego gniewne spojrzenie.

– Bardzo nam zależy na tych ludziach – odezwał się już pojednawczo grubas. – Więc musisz wyżyć wszystkie siły, by ich uratować.

– A więc będę miał więcej pacjentów niż jednego?

Van Bohewald wykrzywił usta w czymś na kształt ni to złośliwego grymasu, ni to uśmiechu.

– Jak sam się przekonasz, odpowiedź na twoje pytanie nie jest wcale ani prosta, ani jednoznaczna.

– Chodźmy więc. – Löwefell uznał, że wszystkiego dowie się na

miejscu, i postanowił nie narażać się na szyderczo-zagadkowe odpowiedzi towarzysza.

Wyszli na korytarz i skierowali się w stronę schodów prowadzących na krużganek.

– Czy dobrze poznałeś Narsesa, Mariusie? – zagadnął Löwefell.

Tłuścioch poruszył ramionami.

– Poznałem go zapewne tak dobrze, jak jeden człowiek może poznać drugiego.

– Czy Narses dysponował zdolnościami leczenia?

Van Bohenwald zachichotał. Ten cienki śmieszek sprawiał dziwne wrażenie w zestawieniu ze zwalistym, otłuszczonym cielskiem i wielką, nalaną twarzą z policzkami drgającymi niczym dwa garnki białej galarety. Wreszcie Marius wyśmiał się, po czym raz jeszcze wzruszył ramionami.

– Nie sędzę, by Narses chciał marnować czas na pomoc jakiegokolwiek żywej istocie, jeśli tylko nie przyniosłoby mu to wymiernych korzyści – powiedział już poważnym tonem.

– Jedno jednak nie wyklucza drugiego, prawda? To, że nie chciał nikomu pomagać, nie znaczy, że nie znał sztuki uzdrawiania.

Van Bohenwald niecierpliwie strzepnął palcami.

– Po prostu chcesz wiedzieć, czy swe niezwykle zdolności odziedziczyłeś po Narsesie, czy też zostały one ci ofiarowane w trakcie procesu tworzenia Arnolda Löwefella? Czyż nie?

– Właśnie tak.

– Więc mogę z całym przekonaniem oświadczyć, że twoje zdolności, które jak wierzę, podlegają procesowi ciągłego rozwoju oraz doskonalenia – zerknął uważnie na Löwefella – zawdzięczasz tylko pracy inkwizytorów. To my stworzyliśmy cię takiego, jakim jesteś dzisiaj.

On kłamie, zrozumiał Löwefell z całą pewnością i z całym przekonaniem, na gwoździe i ciernie, on najzwyczajniej w świecie, bezczelnie i całkowicie kłamie! Tylko w jakim celu to robi? Aby poczuł, że nie zawdzięczam niczego swemu poprzedniemu wcieleniu, a wszystko inkwizytorom? Aby w jak najmniejszym stopniu czuł się związany z Narsesem? A może kłamie, gdyż doskonale wie, że ja to kłamstwo poznam i będę sobie zadawał pytania na temat tegoż

kłamstwa sensu? Takie właśnie myśli przeleciały Löwefellowi przez głowę, ale na zewnątrz nie dał po sobie niczego poznać.

– Jestem szczerze wdzięczny za zdolności, którymi mnie obdarzono – odparł. – Gdyż to właśnie dzięki nim czuję się potrzebny naszej Sprawie.

– Bardzo słusznie – skinął głową Marius.

– Widziałeś Narsesa, kiedy go pochwycono, prawda?

Van Bohenwald zatrzymał się.

– Dokąd zmierzają te pytania?

Löwefell postanowił zignorować gniewne zniecierpliwienie brzmiące w głosie Mariusa.

– Dlaczego Narses wyglądał, jak wyglądał? – zapytał. – Dlaczego tak potężny mag pozwolił, by jego ciało poddało się upływowi czasu oraz fizycznej słabości?

– Sądzisz, że ja mógłbym wyglądać inaczej, gdybym tylko zechciał? – odpowiedział van Bohenwald pytaniem na pytanie.

– Och, stosowna dieta, dużo ruchu i wysiłku, i tak... byłbyś skoczny i szczupły jak młody jelonek.

Marius nawet się nie uśmiechnął. Wręcz wydawało się, że słowa Löwefella w ogóle do niego nie dotarły.

– Uważam, że Narses z sobie znanych powodów chciał być tak postrzegany – rzekł.

– A ja uważam, że trwonił magię z takim zapalem, iż wolał przekonywać zarówno innych, jak i samego siebie, że jego wygląd jest celowym zamierzeniem – odparł Löwefell.

– Nie potrzebowałyby znowu tak wiele mocy, by dodać sobie trochę sił – skrzywił się Marius.

– Skąd wiesz, czy już sobie nie dodawał? Ile miał lat?

– Co?

Löwefellowi wydawało się, że tym razem naprawdę zaskoczył towarzysza.

– Ile miał lat? – powtórzył.

– Dużo.

– Dużo... – Löwefell ironicznie zaakcentował słowo. – Nie pomagacie mi w odkryciu sekretów przeszłości.

– Wręcz przeciwnie – prychnął Marius opryskliwie. – Jeżeli czegoś nie

mówimy, to dlatego, byś doszedł do tego sam. I by drzwi do przeszłości otwierały się dzięki twoim wysiłkom, a nie naszym.

Löwefell skinął głową.

– Cóż, kiedyś pewnie się otworzą... Jedne, drugie i trzecie w gmachu, który ma tysiąc zamkniętych komnat.

Ku jego prawdziwemu zdumieniu van Bohenwald położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie zgrzesz pochopnością – ostrzegł. – Wszystko nastąpi w swoim czasie. Kto wie czy w przyszłości te drzwi nie będą otwierać się tak szybko, iż zapragniesz, by przestały.

Życzliwość w głosie Mariusa nagle nabrała jakiegoś złowrogięgo odcienia (albo Löwefellowi tylko się tak zdawało), a sam grubas zdjął dłoń z ramienia towarzysza.

– Chodźmy – rozkazał. – Bo jeśli w wielu wypadkach wydaje się, że mamy dużo czasu, to akurat w wypadku, który zaraz poznasz, pośpiech jest kwestią kluczową.

Przeszli kruzgankiem do jednego z bocznych skrzydeł budynku, potem skręcili w krótki korytarz i wreszcie weszli na wąskie spiralne schody prowadzące na górę. Löwefell nigdy nie był w tej części, bo po pierwsze, klasztor był naprawdę ogromną budowlą o skomplikowanym labiryncie komnat i korytarzy, a po drugie, inkwizytor nigdy nie miał żadnego interesu, by znaleźć się właśnie tutaj. Ale potem ku swojemu zdumieniu zobaczył, że w niewielkiej sali u szczytu schodów strażuje Anioł. Był mniejszy niż ten opiekujący się Katarzyną, ale również odziany w srebrzysty pancerz. Siedział na drewnianym krześle z długim oparciem i wydawał się spać z pochyloną głową i brodą dotykającą piersi. Oczywiście nie spał, lecz obserwował ich spod zamkniętych powiek.

Marius nie zwrócił uwagi na strażnika i skierował się od razu za jego plecy, do kolejnego, tym razem ślepego korytarza, na którego końcu znajdowały się drzwi. Zwyczajne, drewniane drzwi. Anioł nawet nie drgnął, kiedy go mijali. Van Bohenwald zastukał pierścieniem i niemal natychmiast usłyszeli szcęk odsuwanej zasuwki. Drzwi uchyliły się. Na progu stała kobieta, jedna z zaufanych służących klasztoru.

– Dobrze, że już jesteście – powiedziała z ulgą, ale i z widocznym

smutkiem.

– Możesz nas zostawić – nakazał van Bohenwald, odsuwając się, by mogła wyjść na korytarz.

Potem obaj weszli do komnaty. Było to spore, jasne pomieszczenie o ścianach, co było bardzo nietypowe dla Amszilas, wyłożonych malowanymi deskami z jasnego drewna. Podłogę wyścielał gruby dywan. Całość utrzymana była w jaskrawych, wesołych kolorach. Najwięcej miejsca w tym pokoju zajmowało wielkie łóżko w formie kwadratu. A na łóżku...

– Poznaj Trójniaka, Arnoldzie – zawołał van Bohenwald wesołym tonem. – Oto Matylda, Piotr oraz Paweł, nasi mili sprzymierzeńcy i prawdziwie dobrzy chrześcijanie.

Löwefell postąpił krok ze wzrokiem utkwionym w istotę zajmującą łóżko. Był zafascynowany i zdumiony, nie tylko jako znawca medycyny i ludzkiego ciała, ale po prostu jako człowiek, który niejedno już w życiu widział. A czegoś takiego jednak nie widział.. Nie wyobrażał sobie, by istota mogła powstać inaczej niż w wyniku urodzenia przez jedną matkę. Lecz cóż za niezwykła spotkała ją deformacja! Wiele rzeczy widywano na świecie, zwłaszcza kiedy kogoś interesowały wszelkiego rodzaju anomalie, lecz ta anomalia zdawała się wyjątkowa. Oczywiście inkwizytor nie mógł wykluczyć, iż stworzenie zostało wykreowane za pomocą nieznanego mu magii, jednak na razie wolał uznać, iż jest ono zadziwiającym dziełem natury.

Ciekawe było również, iż w odróżnieniu od zazwyczaj spotykanej cechy bliźniaczego rodzeństwa, osoby wchodzące w skład leżącej na łóżku istoty wcale nie były podobne jedna do drugiej. Dziewczyna miała brązowe włosy i jasną cerę upstrzoną ledwo widocznymi piegami, a dwaj bracia różnili się zarówno od niej, jak i od siebie nawzajem. Pierwszy bowiem był ciemnorudy o szerokiej, rozlanej twarzy i mięsistym nosie, drugi natomiast miał rzadkie krucze włosy i twarz jakby wyrzeźbioną za pomocą ostrego noża. Różnicy dopełniał czarny, przypominający sznurek wąsik, który wyrastał mu spod nosa i przechodził niemal na środek policzków. Może więc jednak nie są trojaczkami, przeszło przez myśl inkwizytorowi. Albo są jakąś zdumiewającą formą trojaczków, w której każde z nich pochodzi

z innego ojca?

Jednak najbardziej fascynująca nie była wcale różnica pomiędzy osobami wchodzącymi w skład Trójniaka, a to, co osoby te łączyło. Bowiem głowy mężczyzn zrastały się skrońmi, natomiast obie łączyły się z głową dziewczyny nie jakimś zwykłym spojeniem kości czy wspólnym ciemieniem, a czymś, co przypominało wielkością sporą sakwę. Löwefell nie widział, z czego zbudowano to połączenie, czy jest to jedynie skóra, czy też kości obleczone skórą, tworzące jakby czwartą czaszkę. Podejrzywał, że to coś, co znajduje się w środku owego łącznika, po pierwsze, uniemożliwia bezpieczne rozdzielenie istoty, a po drugie, stanowi o jej wyjątkowości.

Czyżby był to mózg współdzielony przez każdego z trzech partnerów? Jeśli tak, Löwefell był niezwykle ciekawy, jakie mogą być właściwości dodatkowego umysłu.

Bez trudu można było poznać, że w Inkwizytorium dbano o wygodę Trójniaka. Rodzeństwo leżało na wielkim łożu i w czystej pościeli, a sam pokój był widny, przestronny. Poza tym dziewczyna miała starannie uczesane włosy.

– Pilnie dbamy o wygodę naszych gości – stwierdził Marius, jakby odgadując, o czym myśli Löwefell. – Mają zapewniony komfort natury fizycznej, umysłowej oraz duchowej.

– W czym więc leży problem, do którego mnie wezwano?

– W bólu – odezwał się czarnowłosa mężczyzna przygaszonym głosem. – Od kilku tygodni odczuwamy wielce drażniący ból w moim żołądku, na który nie pomagają ani zioła, ani przepisywane diety, ani żadne wywary, ani żadne mikstury, chociaż Bohenwald każe nas truć nimi od rana do nocy...

Van Bohenwald westchnął.

– To prawda, próbowaliśmy literalnie wszystkiego, a wiesz sam, że nasi mnisi dysponują wielkimi umiejętnościami.

Löwefell skinął głową. Nie dlatego, by się zgadzał z tym zdaniem, lecz dlatego, że tak wypadalo. Zresztą, może w tym twierdzeniu była i racja? Przecież mnisi z Amszilas naprawdę umieli dokonywać w materii medycznej cudów, a raczej tego, co w umysłach prostych ludzi mogło za nie uchodzić. Gdyż prawdziwych cudów potrafił dokonywać jedynie

Löwefell. Inkwizytor nigdy nie słyszał ani nie czytał o kimkolwiek, poza nim samym, kogo zdolności tak dalece wykraczałyby poza znane granice tradycyjnej sztuki medycznej, jak i tej, którą kultywowano w Amszilas i która była tak mocno powiązana z Chrystusową, boską magią. Bo Löwefell osiągnął w dziedzinie leczenia niezwykle wręcz stopień kunsztu. Co ciekawe, nie miał pojęcia, skąd wziął się ten stale potężniejszy dar.

– Jedyne, co nam się udało, to mocno ograniczyć ból, jednak doskonale wiemy, że leczymy zaledwie skutek, nie przyczynę – dodał van Bohenwald.

– W dodatku osłabia nas to i ogłupia – dorzucił czarnowłosej tonem na poły zrezygnowanym, a na poły zirytowanym. – W związku z czym w żaden sposób nie jesteśmy w stanie wykonywać naszych obowiązków.

A jakież to są obowiązki, bardzo chętnie zapytałby Löwefell, lecz oczywiście nie odezwał się ani słowem. Po pierwsze, nikt by mu nie odpowiedział, po drugie, w klasztorze Amszilas i w Wewnętrznym Kręgu nie istniał zwyczaj zadawania pytań, jeśli wcześniej wyraźnie ci na to nie zezwolono. A i tak czasem lepiej było grzecznie odmówić wysłuchania odpowiedzi.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zostanę, prawda? – Van Bohenwald, nie czekając nawet na odpowiedź, zwałił się z westchnieniem na szeroki fotel.

– Przykro mi, Mariusie – odparł Löwefell ze spokojem. – Niestety, skuteczna koncentracja wymaga samotności.

– Tak, oczywiście, oczywiście... – zgodził się Marius niespodziewanie łatwo.

Potem, sprawiając wrażenie zupełnie nieprzejętego odmową, podniósł się z siedziska. Tym razem zrobił to już bez wzdychania oraz posapywania, a wręcz z zadziwiającą lekkością.

– Najważniejsze, byś czuł się całkowicie swobodnie, mój drogi chłopcze – dodał przyjacielskim, choć protekcyjnym tonem i ruszył w stronę drzwi.

Oczywiście inkwizytor mógł zbadać pacjenta w obecności van Bohenwalda, lecz po pierwsze, rozdrażniła go pewność siebie wręcz emanująca z towarzysza i zapragnął nieco przytrzeć mu nosa. Po drugie

i najważniejsze, Löwefell nie do końca był pewien, jak dużo Marius wie o jego zdolnościach, i usilnie sobie życzył, by tamten wiedział jak najmniej. Bowiem sam inkwizytor doskonale widział, jak wielkie postępy uczynił przez ostatnie lata, jak wiele rzeczy, niegdyś niewyobrażalnych, teraz przychodziło mu bez najmniejszego trudu. Van Bohenwald musiał zdawać sobie sprawę z rozwoju umiejętności podwładnego, ale czy wiedział, że ten rozwój jest aż tak intensywny? A jeśliby wiedział, czy byłby zadowolony, rozzłoszczony, czy też zaniepokojony, zapytał Löwefell samego siebie na pewno nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni.

– Będę w gabinecie, Arnoldzie – oznajmił van Bohenwald. – Kiedy tylko zakończysz oględziny, bardzo proszę, byś mnie odwiedził.

– Oczywiście, Mariusie.

Van Bohenwald zatrzymał się jeszcze przy drzwiach.

– Czy badanie jest całkowicie bezpieczne?

On jest naprawdę zaniepokojony, zrozumiał Löwefell. To nie gra prowadzona w tym czy innym celu, a prawdziwa obawa. Z jakich powodów stan zdrowia leżącej na łożu istoty jest tak ważny, by budzić obawę jednego z najpotężniejszych przywódców Wewnętrznego Kręgu?

– Samo badanie nie zakłada żadnej ingerencji natury fizycznej lub duchowej – odparł. – To zaledwie obserwacja, która w żaden sposób nie zmieni jego... ich – poprawił się – stanu ani na lepsze, ani na gorsze.

Grubas sapnął.

– Dobrze więc – rzekł. – W takim razie zostawiam cię i w żadnym wypadku nie spiesz się. – Uspokajającym gestem uniósł wielką dłoń. – Zostań tak długo, jak będziesz uważał za konieczne do zdobycia kompletnego obrazu.

– Oczywiście, Mariusie.

Inkwizytor usiadł na łożu obok Trójniaka, pomiędzy dziewczyną a czarnowłosym mężczyzną.

– Widzę, że jesteś wielkim przyjacielem Mariusa – zagadnął pogodnie. – Bardzo się o ciebie troszczy.

– Raczej wielce użytecznym narzędziem – odezwała się tym razem dziewczyna.

Miała dźwięczny, pogodny głos, którego brzmienie zdziwiło Löwefella,

zwłaszcza w porównaniu ze zmęczonym, stłumionym głosem jej brata. Otworzyła powieki i uważnie spojrzała na inkwizytora. Zauważył, że ma ciemnoniebieskie oczy z kilkoma jaśniejszymi plamkami, nadającymi spojrzeniu bystrości.

– Lepiej wyglądasz. Inaczej – zauważyła.

– Inaczej niż kiedy? – Inkwizytorowi zaświtała w głowie szalona myśl, że Trójniak mógł go widzieć w czasach, kiedy Löwefell nie był jeszcze Löwefellem, a Narsesem.

– Niż przed chwilą, kiedy oglądałam cię oczami brata – wyjaśniła dziewczyna, a inkwizytor zachował obojętną twarz, chociaż oczywiście był niemile rozczarowany.

– Zdumiewające – mruknął tylko, gdyż coraz bardziej intrygowała go niezwykłość leżącej przed nim istoty. A był pewien, iż po badaniu to zdumienie i zaintrygowanie tylko wzrosną. – Więc każdy obraz możesz widzieć na trzy sposoby, czyż nie?

Dziewczyna uśmiechnęła się, a w tym uśmiechu Löwefell dostrzegł cień czy to wyższości, czy pobłażliwości.

– Zbadaj mnie najpierw, Arnoldzie, gdyż tylko wtedy będziemy mogli porozmawiać bez długich i zbędnych tłumaczeń – odparła.

– Oczywiście. Myślę, że masz najzupełniejszą rację. – Löwefell skinął głową.

Uświadomił sobie, że jest nie tylko pod wielkim wrażeniem tej zdumiewającej istoty (czy może raczej istot), lecz również podekscytowany tym, co wykryje w jej ciele. I nie chodziło tu bynajmniej o narządy wewnętrzne, które najwyraźniej każda z istot składająca się na Trójniaka miała własne i osobne, a o mózg, który zdawał się w niezwykle sposób współdzielony przez wszystkie trzy jestestwa. I Löwefell nie mógł sobie nie zadać pytania, czy na skutek owego współdzielenia nie zachodzi przypadkiem rodzaj jakiegoś niezwyklego współmnożenia, potęgującego zdolności umysłowe tych ludzi. A może nawet, kto wie, pozwalający im na przekroczenie granic, których człowiek o normalnie zbudowanym mózgu nigdy przekroczyć by nie zdołał.

– Mnie zbadaj, proszę, najpierw – odezwał się czarnowłosy. – Przecież to mnie boli.

Co ciekawe, Löwefell odniósł wrażenie, że słowo „proszę” nie odnosi się do niego samego, ale ma przekonać Matyldę.

– Tak właśnie zrób – rzekła dziewczyna, potwierdzając jego przypuszczenia.

Inkwizytor poświęcił sporo czasu na dokładne zbadanie mężczyzny (ten z braci miał na imię Piotr), a potem na wszelki wypadek jeszcze powtórzył oględziny.

– I co? – spytał Piotr zmęczonym głosem.

– Jesteś zdrow jak koń – odparł Löwefell sam zdziwiony wynikiem badania. – Twoje narządy wewnętrzne są w idealnym stanie. Wierz mi, że leczyłem wielu ludzi i rzadko spotyka się kogoś, kto przedstawiałby sobą tak idealny obraz.

– A jednak mnie boli! – warknął Piotr tak samo rozzłoszczony, jak i zdumiony słowami inkwizytora.

– Jesteś niezwykłym człowiekiem, czy lepiej mówiąc, jesteście niezwykłymi ludźmi, a więc badanie musi być kompletne – powiedział spokojnie Löwefell. – Dopiero kiedy przyjrę się twojemu bratu i siostrze, będę mógł pełniej wypowiedzieć się o naturze problemu...

Mężczyzna westchnął.

– Rób, co uważasz – zgodził się zrezygnowany. – Skoro Marius cię przysłał, to chyba wiedział, co robi.

– Zaczynaj od Pawła, potem zbadasz mnie – zdecydowała stanowczym tonem dziewczyna.

Löwefell nie oponował, gdyż tak naprawdę z medycznego punktu widzenia było mu obojętne, w jakiej kolejności będzie diagnozował ludzi wchodzących w skład Trójniaka.

Inkwizytor zbadał drugiego z mężczyzn, który w czasie dokładnych oględzin nie odzywał się ani nawet nie otwierał oczu. Sprawiał wrażenie, że śpi. Stan Pawła nie był tak idealny jak brata, ale w jego organizmie nie znajdowało się nic, co mogłoby budzić podejrzenia najbardziej nawet skrupulatnego lekarza. Tak jak funkcjonowanie narządów pierwszego z mężczyzn można było określić jako idealne, tak w przypadku drugiego nasuwały się słowa „świetne” lub „bardzo dobre”. Nie było kompletnie żadnego powodu, by któryś z nich odczuwał ból. Oczywiście Löwefell wiedział, że ból nie musi powstawać jako wynik

fizycznej anomalii narządu. Ból rodził się w mózgu, a więc również mózg mógł produkować ból. I zmysły mogły zwodzić człowieka, iż czuje któryś z narządów. Czyż nie słyszano o ludziach, którzy skarżyli się na dolegliwości odciętych kończyn? Którzy czuli mrowienie w palcach, mimo że palców tych wcale nie mieli? Dlatego do skończenia oględzin i wystawienia diagnozy była jeszcze długa droga. Jeśli w ogóle będę potrafił to uczynić, pomyślał Löwefell, gdyż zbadanie mózgu tej zdumiewającej istoty jawiło mu się jako zadanie z jednej strony fascynujące, a z drugiej zaś budzące respekt możliwymi komplikacjami oraz rysującą się złożonością problemu.

Na razie zajął się ciałem dziewczyny i po skrupulatnym badaniu okazało się, iż znajduje się ono w podobnie fantastycznej kondycji jak ciała jej braci. To świadczyło zarówno o pozytywnych cechach wrodzonych, jak i o dobrej opiece sprawowanej w klasztorze. Oczywiście, że w wypadku osób, które są zmuszone do leżenia, następują mniejsze lub większe degenerujące zmiany w budowie oraz funkcjonowaniu chociażby mięśni i ścięgien, ale w wypadku Trójniaka zostały one ograniczone do minimum. A wszystkie najistotniejsze narządy wewnętrzne, czy to serce, czy wątroba, żołądek, nerki, trzustka lub płuca działały i wyglądały idealnie.

Löwefell skończył badanie Matyldy i wyprostował się.

– Każdy mógłby wam pozazdrościć – rzekł. – Jako ideał zdrowia jesteście marzeniem lekarza i jednocześnie jego przekleństwem, gdyż żaden lekarz nie naciągnąłby was na honorarium.

– Mówiąc teoretycznie – rzekła chłodnym tonem dziewczyna.

– Mówiąc teoretycznie – zgodził się z nią Löwefell. – Gdyż, chociaż teoria pokazuje nam, że jesteście zdrowi, to jednak praktyka nie zgadza się z tą teorią. I ową niezgodę niestety manifestuje poprzez ból.

– Bardzo zabawne – odezwał się zduszonym głosem czarnowłosa.

– Nie, nie uważam, by to było zabawne – odparł poważnie Löwefell. – Uważam, że jest to przede wszystkim zaskakujące. Ale stan waszych narządów cieszy mnie jako lekarza.

– Zbadaj wreszcie ten najważniejszy – burknął mężczyzna. Ano tak, pomyślał Löwefell, czas zabrać się za mózg tej istoty. Czas zabrać się za anatomiczny twór, którego nie widziałem nigdy wcześniej i o którym nie

sądziłem, że może istnieć. Zwłaszcza, iż nie przybrał formy degeneracji, lecz pozytywnej mutacji. A przynajmniej takie sprawia wrażenie z uwagi na zainteresowanie, jakie okazuje mu Święte Officjum.

– Właśnie zamierzam to zrobić – rzekł.

By dostać się w pobliże połączonych głów Trójniaka, musiał zdjąć buty i wejść w głąb łóżka. Klęknął, mając po lewej stronie Piotra, po prawej Matyldę, a przed sobą ten obleczony skórą, lecz nie chroniony kośćmi, bezwłosy i delikatny worek, pełniący rolę wspólnego mózgu wszystkich trzech istot wchodzących w skład Trójniaka. Delikatnie położył dłonie na skórze Trójniaka i przez mgnienie oka poczuł strach istoty przed jego dotykiem. Cóż, nic dziwnego, gdyż dotknął przecież najbardziej narażonej na niebezpieczeństwo i najbardziej wrażliwej części jej ciała.

Löwefell czuł się pewnie, badając ludzkie narządy. Dokonanie analizy funkcjonowania organizmu działającego jako całość, jako ludzka maszyna, w której każde narzędzie miało zaplanowaną rolę i musiało współgrać z innymi narzędziami, nie sprawiało mu kłopotów. Zarówno wiedza, intuicja, jak i święta magia pomagały mu w ocenie, w ewentualnej diagnozie i w leczeniu. Jednak mózg stanowił najbardziej tajemniczą i najtrudniejszą do spenetrowania część ludzkiej istoty. Owszem, Löwefell radził sobie w leczeniu mózgow, które zostały uszkodzone lub w obrębie których występowały zatory, skrzepy czy guzy. Gorzej było z badaniem anomalii skutkujących na właściwości samego umysłu. Gorzej było z odpowiedzią na pytanie, dlaczego taka lub inna zmiana samej materii będzie oddziaływała na kwestię ducha i w jaki dokładnie sposób będzie oddziaływała? Dlaczego poddany zabiegowi człowiek przypomni sobie przeszłe wydarzenia lub je zapomni? Dlaczego przestanie odczuwać wyrzuty sumienia po popełnieniu grzechu? Dlaczego zacznie płakać? Dlaczego zakocha się lub znienawidzi? Löwefell wiedział, że operując na tej niezwykle wrażliwej materii, jaką jest mózg, może spowodować radykalne zmiany w zachowaniu człowieka i w jego postrzeganiu świata. Domyślał się, że w podobny sposób zajmowano się jego umysłem, kiedy rozpoczęto proces przemiany Narsesa w Löwefella. A swoją drogą, było to ciekawe pytanie: dlaczego opieki nad Trójniakiem nie powierzono komuś, kto dbał wcześniej o Löwefella? Czyżby moje zdolności były już większe niż

tego kogoś? – zapytał sam siebie.

W tym wypadku sprawa była dużo, dużo bardziej skomplikowana niż w wypadku zwykłego ludzkiego mózgu. Löwefell już po pierwszych minutach badania poznał, że ma przed sobą maszynę tak skomplikowaną, iż zrozumienie jej działania będzie wymagało wiele czasu, jeśli w ogóle będzie kiedykolwiek możliwe. Niektóre części tego wspólnego mózgu oraz połączenia między nimi były tak zagadkowe, że inkwizytor nie miał bladego pojęcia, czemu mogą służyć i jaką pełnią rolę w funkcjonowaniu całego umysłu. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że jakiś problem natury anatomicznej lub fizjologicznej przerasta go w takim stopniu, jak wszystkich ludzi świata antycznego przerastałorozsupłanie węzła gordyjskiego. Tyle że w tym wypadku nie wchodziło w grę zastosowanie śmiałego pomysłu Aleksandra... Nie mówiąc już o tym, że Aleksander nie chciał przecież poznać struktury splotów węzła i tajemnicy jego zaplecenia, a tylko po prostu i zwyczajnie go rozciąć.

– A teraz, Arnoldzie Löwefell, będziemy kontynuować miłą pogawędkę wewnątrz naszych umysłów – usłyszał głos dziewczyny w swojej głowie. Głos był silny i zdecydowany. – Pomyśl coś, tak jakbyś chciał się zwrócić do mnie wyraźnie artykułowanymi słowami.

– To niezwykle – pomyślał inkwizytor.

– O tak, to istotnie niezwykle, iż możemy rozmawiać za pośrednictwem naszych umysłów, i to przekazując sobie nawzajem konkretne słowa, a nie zaledwie wrażenia, obrazy lub emocje. Czy dzieliłeś już z kimś podobną niezwykłość?

– Nie, nigdy. – Zawahał się. – Chyba...

Przez chwilę się nie odzywała.

– Tak, wiem, że w twoim wypadku nic, co dotyczy przeszłości, nie jest do końca pewne – odparła wreszcie.

– Kim jesteś, rozmawiając ze mną? Słyszę kobiecy głos rozbrzmiewający w głowie, ale czy jesteś tylko Matyldą, czy całym Trójniakiem? Czy twoi bracia wiedzą i słyszą? Czy przemawiacie we wspólnym imieniu?

– Nie – odparła. – Jestem tylko ja. Ta część umysłu należy tylko do mnie. Będę mogła podzielić się z nimi naszą rozmową, jeśli będę chciała

i w zakresie, który uznaję za stosowny.

– A więc czego ode mnie sobie życzysz? – spytał. – W jaki sposób mogę ci pomóc?

– Na początek rozwiążę twoją zagadkę związaną z bólem żołądka mojego brata.

– Będę wdzięczny.

– To ja sprawiałam mu ten ból.

– Czemu?

– Aby wezwano cię do mnie – wyjaśniła.

– Nie mogłaś po prostu poprosić lub zażądać? – zapytał po chwili.

– Wolałam, aby pomysł i inicjatywa wyszły ze strony Mariusa. I stało się tak, jak oczekiwałam.

– Czy twój brat wie, w jakim celu został użyty?

– Oczywiście, że nie. I mam nadzieję, że nie będę musiała więcej mu szkodzić z tego czy innego powodu... Jak również mam nadzieję, że zechcesz zachować tę informację dla siebie.

Löwefella uderzyły słowa „z tego czy innego powodu”. No cóż, coś się szykowało...

– W takim razie wróć do mojego pytania: w czym mogę ci pomóc? Czego sobie ode mnie życzysz?

– Chcę wyzwolenia! – tym razem głos dziewczyny w jego głowie odezwał się wyjątkowo mocno. W zasadzie może lepiej powiedzieć, że zahuczał, a nie „odezwał się”.

Inkwizytor poczuł nieoczekiwany, dość mocny ból i trochę go to zaniepokoiło. Czy mogłaby mu zranić lub nawet zabić, pomyślał. Gdyby tylko wystarczająco intensywnie przesłała swoje myśli?

– Tak, mogłabym to zrobić – odpowiedziała natychmiast. – Może nie zabić, bo pewnie zdołałbyś się oderwać, ale na pewno sprawiłabym ci intensywny ból. Jednak nie ma żadnego powodu, żebym coś takiego zrobiła. Chcę się z tobą zaprzyjaźnić, Arnoldzie Löwefell, a nie z tobą walczyć, krzywdzić cię i narażać się w ten sposób na twoją zemstę.

– Nie mściłbym się – odparł spokojnie.

– Tak... naprawdę nie mściłbyś się... – usłyszał po chwili i w tym przekazie było zawarte również zdziwienie.

– Jeśli wolno spytać, cóż oznacza słowo „wyzwolenie” w twoim

wypadku? – zapytał, wracając do przerwane go wątku.

– Chcę żyć jak zwykli ludzie.

A więc to tak, pomyślał Löwefell. Prędzej czy później podobna chwila musiała nadejść. Ciekawe, czy opiekunowie Trójniaka zdawali sobie sprawę, iż bunt jest nieodwołalny.

– Nie jesteś zwykłym człowiekiem – stwierdził. – W pewien sposób nie jesteś w ogóle człowiekiem. Jesteś istotą ułomną fizycznie, lecz za to gigantem umysłu. Nie tylko nie widziałem, lecz nawet nie słyszałem o nikim podobnym do ciebie...

– Arnoldzie, ty tak naprawdę nie słyszałeś nawet jeszcze o mnie – odparła z politowaniem. – Nic nie wiesz ani o moich zdolnościach, ani o tym, czemu te zdolności służą.

To akurat była prawda. Löwefell mógł za ledwie snuć przypuszczenia. Tak jak wędrowiec stojący przed gigantycznym pałacem mógł zastanawiać się, ile w środku jest pokojów, jak są urządzone i ilu mieszka w nim ludzi, lecz niczego nie mógł być pewien i mógł się opierać za ledwie na wcześniejszych obserwacjach innych budynków oraz z nich wnioskować o wyglądzie tego, na który patrzył.

– Możesz mi więc o tym opowiedzieć – rzekł.

– Nie, nie mogę – odparła natychmiast. – Ani nie mogę, ani nie chcę tego zrobić. Przynajmniej na razie. Może kiedyś, kiedy poznamy się bliżej, kiedy nawzajem sobie zaufamy. – Wyczuł nutę rozbawienia w jej myślach.

– Wróćmy zatem do użytego przez ciebie słowa „wyzwolenie”, zanim przejdziemy dalej – poprosił.

– Wyzwolenie z tej podłej namiastki egzystencji! Chcę być normalna! – odezwała się z mocą. – Chcę chodzić i biegać. Chcę jeździć konno, chcę zanurzyć się w rzece, chcę wyjść i ogrzać twarz w promieniach zachodzącego słońca. – Tym razem Löwefell nie tylko słyszał jej żarliwe słowa, ale widział też wymalowane fantastycznymi kolorami obrazy wytwarzane przez jej marzenia. Wszystko na nich było nieco pełniejsze, nieco barwniejsze niż w rzeczywistości. – Chcę być kiedyś sama! – kontynuowała. – Sama, rozumiesz? Bez dwóch braci połączonych ze mną umysłem oraz ciałem. Chcę robić to, na co mam ochotę... Już nie chcę być niewolnikiem. – Tym razem w jej myślach była rozpacz.

Rozpacz, ale również przygniatający, ponury lęk, że Löwefell nie zrozumie tej rozpacz albo ją wyśmiej.

– Nigdy nie ośmieliłbym się z ciebie szydzić – zapewnił gorąco i szczerze inkwizytor. – I sędzę, że potrafię zrozumieć zarówno twoje marzenia, jak i twój smutek.

– Więc nie odchodź, proszę. Porozmawiaj ze mną. Wysłuchaj mnie.

– Oczywiście, że cię wysłucham – odparł Löwefell. – Mam zrobić wszystko, by ci pomóc...

– Pomoc, o jakiej ja myślę, a pomoc, jaką obiecałeś Mariusowi, to zapewne dwa zupełnie różne rodzaje pomocy – stwierdziła Matylda. – I w dodatku obawiam się, iż wykluczają się nawzajem.

Niestety, ja też się tego obawiam, pomyślał Löwefell i te myśli natychmiast, rzecz jasna, dotarły do kobiety.

– Chcę, żebyś po badaniu powiedział mi szczerze, czy istnieje szansa, by nas rozdzielić. Czy można sprawić, by nasze ciała i umysły zaczęły funkcjonować oddzielnie?

Löwefell zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Nigdy nie spotkałem się z takim przypadkiem jak wasz. Nie wiem, czy będę potrafił udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

– Ale spróbujesz, prawda?

– Skoro tego chcesz, to tak: spróbuję.

I jak rozumiem, jeśli odpowiedź będzie pozytywna, to niestety, przejdziemy do kolejnego etapu rozmowy, pomyślał. A ona, oczywiście, znowu natychmiast te myśli odebrała.

– Niestety? – spytała.

– Bo obawiam się, że twoje marzenia i życzenia będą stały w sprzeczności z interesem Inkwizytorium.

Przez chwilę nie słyszał niczego, tak jakby kompletnie zniknęła z jego umysłu. Ale potem znowu się pojawiła.

– Najpierw badanie – zdecydowała. – Bo jeśli twoja odpowiedź będzie zdecydowanie i bez wątpliwości brzmiała: nie, nie możesz zostać rozdzielona, to i cała rozmowa, jaką wymyśliłam, nie będzie miała już sensu.

Löwefell nigdy jeszcze nie przeprowadzał badania tak intensywnego i tak jednocześnie wyczerpującego, w czasie którego musiałby

zaangażować pełnię swojej wiedzy oraz zdolności nabyte dzięki świętej magii. Owszem, wszystkie trzy mózgi istot wchodzących w skład Trójniaka można było zbadać. I chociaż w pewnych miejscach dało się znaleźć poważne anomalie, to jednak nie ulegało wątpliwości, iż są to ludzkie mózgi. Dotknięte zmianami, ale nadal ludzkie. Najciekawszy wydawał się mózg dziewczyny, najbardziej rozwinięty, z obszarami, których działania i roli Löwefell nie potrafił jednoznacznie wytłumaczyć.

Niemniej dzięki wiedzy oraz kunsztowi doszedł do pewnych wniosków, przynajmniej w sprawie możliwości dokonania operacji, bezpieczeństwa tego zabiegu i jego ewentualnych skutków. Matylda natychmiast zorientowała się, kiedy przestał ją badać, kiedy pozwolił własnemu skoncentrowanemu, skupionemu umysłowi na chwilę odpoczynku.

– Jaka jest twoja diagnoza, Arnoldzie? – zapytała i wyczuł w jej myślach strach, zaniepokojenie, lecz jednocześnie nadzieję i tęsknotę.

– Nie jestem pewien – odparł. – I chyba zdajesz sobie sprawę, że w tak zdumiewającym przypadku najbardziej zdumiewające byłoby to, gdybym był czegokolwiek pewien.

Udało mu się leciutko ją rozbawić, lecz strach zniknął jedynie na moment i zaraz wrócił.

– Mów – zażądała.

– Samo rozdzielenie kości i skóry nie jest żadnym problemem. Mogę to zrobić szybko i bez obaw o wynik zabiegu. Skóra się zrośnie, z kośćmi powstanie pewien problem, ale powiedzmy, iż mógłbym sobie z nim poradzić.

– Teraz padnie słowo „ale” – westchnęła Matylda.

– Ale mózg... – powiedział zgodnie z jej obawami. – Nie mam pojęcia, co się stanie z twoim mózgiem, kiedy zostanie dokonany podział. Z całą pewnością nie będziesz już dysponowała zdolnościami, które posiadasz w tej chwili, ba, nie jestem nawet pewien, czy nie stoczysz się do poziomu uniemożliwiającego samodzielną egzystencję...

– Stanę się idiotką? Pomyleńcem? – W jej myślach była rozpacz i gniew.

– Nie wiem. Poddaję ci pod rozwagę, iż tak właśnie mogłoby się stać.

Jest to jedna z możliwości. Moim zdaniem nieduża, choć istnieje.

– Istnieje jednak również szansa, że będę normalna, tak? Że będę zwykłą kobietą. Ani szczególnie mądrą, ani rażąco głupią, po prostu zwykłą... Tak właśnie jest?

– Tak również może się stać – zgodził się Löwefell.

– Co z moimi braćmi?

– Nie ma najmniejszych szans, żebym ich rozdzielił – stwierdził kategorycznie inkwizytor. – Ich mózg wydaje mi się jednością, prawdopodobnie zabiłbym ich obu lub obu doprowadził do umysłowej tępoty, gdybym próbował ich rozłączyć.

– Ha...

– Twoja indywidualna część jest dobrze wykształcona i na ile mogę to określić, w pewien sposób odseparowana. Teoretycznie mogę się pokusić o jej oddzielenie. Twoi bracia być może nawet nie utracą mocy, którą wspólnie dysponujecie, gdyż nadal pod ich kontrolą będzie ten wielki obszar mózgu, który w tej chwili współdzielicie.

– Czyli wszystko odbędzie się bez żadnych strat? – Tym razem jej myśli były pełne nadziei. – Oni będą pracować dla Officjum, mając te same zdolności co do tej pory, a ja będę wreszcie wolna!

– Tego niestety nie powiedziałem – nie zgodził się inkwizytor. – Twoi bracia może zachowają zdolności, może je częściowo utracą, a może bez twojej części umysłu i bez twojego kierowania nimi po prostu staną się bezwartościowi. Każda z tych ewentualności jest prawdopodobna.

Zamilkła na długo, a inkwizytor nie przerywał tej ciszy, ale też nie odchodził od dziewczyny. Wiedział, iż nie skończyli jeszcze rozmowy, i wiedział też, że najlepiej, by była ona kontynuowana tak jak do tej pory: w myślach.

– Posłuchaj mnie uważnie, Arnoldzie. – W jej przesłaniu była wielka, dramatyczna powaga. – Jestem zdesperowana, by osiągnąć wolność. Wolę umrzeć, niż żyć tak dalej. Jestem w stanie zniszczyć własny umysł i zniszczyć umysły moich braci. Wypalę je. Uczynię z nas mniej niż nawet zwierzęta. Zrobię z nas rośliny...

Ona na pewno spróbuje to zrobić, słyszę tę desperację wyraźnie, pomyślał Löwefell, pytanie tylko, czy naprawdę jest w stanie coś takiego uczynić.

– Będę próbować tak długo, póki mi się nie uda – odpowiedziała na jego myśli. – Moi bracia oszaleją z bólu. A wiedz, że ja mój ból potrafię całkowicie wyeliminować. – Była bardzo zadowolona z siebie. – Nie zmniejszyć, lecz kompletnie zlikwidować.

Inkwizytor wiedział, że podobna zdolność ochrony przed cierpieniem jest do wytrenowania za pomocą modlitwy oraz medytacji. Wiedział również, że niezwykle rzadko rodzą się ludzie, którzy nigdy nie odczuwają bólu. I wbrew pozorom wcale nie ułatwia im to życia. Gdyż ból jest nie tylko przykrym doznaniem, a również ostrzeżeniem. Jest niczym warczenie psa skradającego się za plecami, jest jak swąd zaproszonego ognia, jest podobny do smrodu zgniłego mięsa. Nikt nie lubi bólu, lecz ludzie, którzy go nigdy nie odczuwają, najczęściej szybko umierają. Jednak zdolność sterowania własnym bólem to już było kompletnie co innego. Korzystająca z podobnej umiejętności Matylda byłaby niczym armata ustawiona na zamku, bombardująca szturmujące oddziały wroga. Sama bezpieczna za murami i tylko rażąca ogniem wszystkich wokół.

– Nie żał ci ich? – zapytał nie po to, by spróbować na nią wpłynąć, ale po prostu był ciekawy.

– Żał mi tylko samej siebie – odparła z goryczą.

Oboje milczeli przez chwilę.

– Wiesz, że Marius van Bohenwald decyduje tutaj o wielu sprawach. Dlaczego więc rozmawiasz ze mną, a nie z nim?

– Chcę, byś został moim pośrednikiem – odparła. – Byś go przekonał, iż sprzeciwianie się mojej woli przyniesie wszystkim ogromne kłopoty. A jednocześnie, byś uświadomił mu, że kompromis nie jest zagrożeniem.

– Kompromis? To, co nazywasz kompromisem, a co tak w rzeczywistości jest nagięciem się do twoich życzeń, w oczywisty sposób tworzy zagrożenie. I na pewno nie zamierzam kłamać w tej materii.

– Większe zagrożenie stworzę, kiedy zacznę działać przeciwko wam – w myślach Matyldy zabrzmiała zawziętość i gniew.

– To prawda – zgodził się Löwefell po chwili. – A w każdym razie nie mam podstaw, by ci nie wierzyć. Co jednak powie van Bohenwald, tego nie wiem.

- Będziesz z nim pertraktował?
- Oczywiście – rzekł. – W tej sytuacji to mój obowiązek.
- A więc dobrze, możesz teraz zejść z mojego łóżka...

Oderwał dłonie od jej ciała i uśmiechnął się, kiedy otworzyła oczy. Nie istniała już pomiędzy nimi ta zdumiewająca więź umysłów, lecz przetrwało uczucie zrozumienia i... – Löwefell zastanowił się – współczucia, życzliwości?

Założył buty i stanął przy łożu.

– Czy przestanie nas wreszcie boleć? – odezwał się czarnowłosy mężczyzna głosem pozbawionym nadziei.

– Tak, przestanie was boleć – odparł zdecydowanie inkwizytor i spojrzał na Matyldę, która po chwili przymknęła powieki na znak zgody.

– Naprawdę? – tym razem w głosie Piotra był już entuzjizm, chociaż jeszcze z domieszką obawy i niedowierzania. – Nic nam nie jest? Wyleczyłeś nas?

– To była tylko nieznaczna anomalia – wyjaśnił Löwefell. – Porównałbym to do czegoś na kształt drzazgi pod paznokciem. Dokuczliwy przypadek, lecz ani nie zmuszający do poważnego zabiegu, ani tak naprawdę nie zagrażający zdrowiu.

– Jeśli to prawda... jeśli to prawda... to zaiste jesteś wielkim lekarzem, Arnoldzie Löwefell – rzekł z emfazą czarnowłosy.

– Jestem zadowolony, iż mogłem wam się przysłużyć – odparł inkwizytor. – Nie wahajcie się mnie wzywać, kiedy tylko uznacie to za konieczne.

– Oczywiście!

Skinął im głową i kiedy naciskał klamkę drzwi, usłyszał jeszcze głos Matyldy.

– Będę bardzo szczęśliwa, jeśli zobaczymy się niedługo – powiedziała.

– Na pewno – odparł z przekonaniem Löwefell.

Wyszedł, zastanawiając się nad tym, czy to dobrze, czy źle, że został wmieszany w ten zdumiewający i niepokojący konflikt. Z jednej strony tajemnica Trójniaka była kolejnym zamkniętym pokojem z sekretami, który otwierał podwoje przed Löwefellem, jednak z drugiej strony nikt nie mógł być pewien, czy ten pokój jest wart tego, by go otwierać. Czy

Matylda mogła przybliżyć go do znalezienia właściwych odpowiedzi na pytania z przeszłości? Ba, pytanie brzmiało, czy dziewczyna, która powstanie z rozłączenia potężnej umysłowo istoty, jaką jest Trójniak, będzie w stanie cokolwiek pamiętać czy cokolwiek rozumieć!

Marius van Bohenwald oczywiście nie czekał na korytarzu. Można się było spodziewać, że nie pozwoli sobie na przyjęcie roli pokornego petenta. Ale Löwefell był też pewien, że Mariusa nie znajdzie w gabinecie, pomimo że ten zapowiadał, by właśnie tam go szukać. Wiedział więc, że będzie musiał poszukać grubego inkwizytora, by zdać mu sprawę ze swych badań, obserwacji i płynących z nich wniosków. Uwolnił umysł i niczym w transie wyobraził sobie klasztor, a przynajmniej te jego części, które poznał, tak jakby rozpostarł przed oczami kartę z rysunkiem architekta. Przez chwilę błądził wzrokiem po piętrach i pomieszczeniach, aż w końcu coś go tknęło, gdy przyglądał się rysunkowi dolnej kaplicy.

– Cóż – mruknął sam do siebie. – Sprawdźmy, czy intuicja mnie nie zawodzi...

Zajęło mu dłuższą chwilę dotarcie do dolnej kaplicy, gdyż klasztor, po pierwsze, był budynkiem ogromnym, a po drugie, schody, korytarze oraz drzwi nie zawsze były położone tak, by umożliwić mieszkańcom pokonanie drogi w najkrótszy ze sposobów. Klasztor był rozbudowywany, przebudowywany i remontowany na przestrzeni wieków. Niewiele pozostało z małej warowni wzniesionej w barbarzyńskim kraju przez Rzymian, teraz Amszilas był kilkunastokrotnie większy niż pierwszy budynek, jaki powstał tu przed bez mała tysiącem lat. Klasztor przypominał stary zamek w jednym: nadal zachował właściwości obronne, a raczej wielokrotnie je spotęgował. Chociaż Löwefell nie bardzo wyobrażał sobie, kto ośmieliłby się zaatakować najświętsze miejsce chrześcijaństwa i główną siedzibę Świętego Oficjum. Nie wiedział też, czy mieszkańców klasztoru w ogóle wystarczyłoby do obsadzenia murów, ale też przypuszczał, iż w Amszilas posiadano o wiele bardziej skuteczne sposoby obrony niż strzelanie z łuków lub armat.

Zgodnie z tym, co podpowiedziała mu intuicja, znalazł van Bohenwalda w dolnej kaplicy. Gruby inkwizytor siedział w pierwszej

ławie, która została chyba wykuta specjalnie dla niego, gdyż miała tak głębokie siedziszce, że zmieściły się w nim jego ogromne pośladki. Marius miał przymknięte do połowy oczy, a jego nabrzmiące usta poruszały się tak, jakby bezgłośnie się modlił.

– Długo cię nie było – rzekł głośno, nie otwierając oczu.

– Życzyłeś sobie, by badanie było dokładne.

– Siadaj i mów – rozkazał Marius i klepnął ławę obok siebie.

Löwefell nie skorzystał z zaproszenia i usiadł nie obok niego, lecz po przeciwległej stronie przejścia biegnącego pomiędzy siedziskami. Całą drogę zastanawiał się nie tylko nad tym, w jaki sposób przedstawić van Bohenwaldowi problem, ale również jakie stanowisko zająć w obliczu tegoż problemu. Wreszcie doszedł do wniosku, iż szczerowość, oczywiście dozowana w stosownych dawkach, będzie najlepszym rozwiązaniem.

– Stan fizyczny tej istoty nie pozostawia nic do życzenia – stwierdził. – Organizm wydaje się funkcjonować idealnie pod każdym względem. Oczywiście, biorąc poprawkę na to, że spędzają życie, leżąc.

– No i dobrze – ucieszył się van Bohenwald. – Czyli nie mamy się czym martwić?

– Dziewczyna chce zostać rozłączona – oznajmił Löwefell prosto z mostu.

– Nie ma żadnej „dziewczyny” – rzekł Marius, akcentując słowo „dziewczyna” w taki sposób, jakby było nieprzyzwoite. – Jest Trójniak, jednocześnie cud natury i kreatura służąca naszym celom. Dziewczyna, też mi coś...

– To trzy osobowości, z których Matylda jest najsilniejsza – powiedział Löwefell. – Jej bunt zniszczy możliwość skutecznego funkcjonowania całej istoty.

– Jej bunt? – prychnął van Bohenwald. – O czym mówisz, Arnoldzie? Karmimy ją, pozwalamy jej wydalac, kąpiemy, masujemy i pielęgnujemy. Edukujemy, czytamy jej książki i rozmawiamy z nią. W każdym aspekcie swojego życia zależy od nas... Bunt sobie wymyśliła... – warknął na koniec.

Oczywiście wszystko, co mówił Marius, było prawdziwe. Ale poza jego prawdą istniała druga prawda, a ta była znacznie mniej miła...

– Nie doceniasz Matyldy – stwierdził Löwefell. – Zapowiedziała, że jeśli

prośba nie zostanie rozważona, to wypali mózgi swoim braciom. Czy to jest groźba wystarczająco buntownicza według ciebie, czy jeszcze niezasługująca na takie miano?

Gruby inkwizytor milczał dłuższą chwilę.

– Naprawdę potrafiłaby to uczynić? – spytał w końcu.

– Zniszczyć ich umysły? Nie jestem pewien. Na pewno doprowadziłaby ich do szachu zadawanym bólem. Jeśli potrwałaby wystarczająco długo, to... – Löwefell wrzucił ramionami. – Poza tym byłaby całkowicie nieefektywna, skoro poświęciłaby czas walce z Inkwizytorem zamiast pracy na rzecz Inkwizytora.

– Co wiesz o jej pracy dla nas? Co ci powiedziała?

– Nic – odparł Löwefell zgodnie z prawdą. – Widząc twoje zaangażowanie oraz opiekę, jaką jest otoczona, podejrzewam jednak, że nie są to zadania błahe.

– W istocie – skinął głową van Bohlenwald. – Nie są to zadania błahe – powtórzył. – Taaak... A jej umysł? A jej ból? Co z nimi?

– Potrafi kontrolować ból. Może nie całkowicie eliminować, jak twierdzi, lecz powiedzmy, że ból piłowania kości umie zamienić w ból po użądleniu komara. Czyli w ten sposób szantażować jej nie można. Nie przestraszy się cierpienia.

Van Bohlenwald westchnął i wpatrzył się w Krzyż Nieskończoności.

– Co można zrobić człowiekowi, który nie boi się bólu? – zapytał Löwefell. – Który nie ma nikogo bliskiego, czyją krzywdą mógłbyś go szantażować, który nie ma żadnego celu w życiu, który nie boi się ani śmierci, ani potępienia? Nic.

– Nic – powtórzył Marius i znowu westchnął. – To prawda: nic. Nie możemy jej w żaden sposób kupić?

– Chce zostać oddzielona. To jest jej cena.

– Czy taki zabieg da się w ogóle przeprowadzić?

– Pod względem anatomicznym i fizjologicznym? Jak najbardziej. Pod względem zachowania integracji oraz dotychczasowej mocy umysłowej i duchowej, zapewne nie.

– Czyli twierdzisz, że Trójniak nie pochwalił ci się, do czego go wykorzystujemy?

– Tak właśnie było.

– Wykorzystujemy tę istotę do bardzo ważnych celów, Arnoldzie. Bardzo, bardzo ważnych – powtórzył Marius z naciskiem. – Jak na pewno wiesz – kontynuował – posiadamy wiele potężnych figur w Świętym Officjum, które to figury mają zapewnić nam ostateczne zwycięstwo w bitwie toczonej na szachownicy świata – stwierdził z patosem. – Ale mamy też wiele figur, o których nawet jeszcze nie słyszałeś. Trójniak pomaga nam w istotnych przedsięwzięciach i nie chcemy się go pozbywać ani rezygnować z możliwości, jakie zyskujemy dzięki jego działaniom.

– Rozumiem.

– Skoro rozumiesz, to doprowadź sprawy do miłego nam wszystkim ładu oraz porządku.

Löwefell wzruszył ramionami. Żądanie van Bohenwalda było całkowicie pozbawione zarówno sensu, jak i poczucia rzeczywistości.

– Obawiam się, że mleko już się rozlało – stwierdził. – Teraz pozostaje zaledwie kwestia zminimalizowania strat.

– Mleko się rozlało – prychnął szyderczo van Bohenwald. – Cóż za prymitywne, prostackie sformułowanie!

– Czy sformułowanie: Matylda jest zdeterminowana, by cały wasz projekt doprowadzić do zagłady, jeśli nie zostaną spełnione jej żądania, wydaje ci się mniej prymitywne i prostackie? – spytał zimno inkwizytor.

Marius, o dziwo, roześmiał się.

– Pomyśleć, że taki mały odmieniec chce szantażować Święte Officjum. No dobrze, powiem ci, co zrobimy. Uśpimy jej braci, uśpimy ich umysły i ich ciała. Spowolnimy wszelkie procesy życiowe. A wtedy z nią samą porozmawiamy w taki sposób, że następnym razem zastanowi się dziesięć razy, zanim postawi jakiegokolwiek żądania Inkwizytorium.

– Mówiąc „uśpimy” i „spowolnimy”, masz na myśli, że to ja uśpię i spowolnię? – dopytał Löwefell, będąc pewnym odpowiedzi.

– Oczywiście. A któż by inny? – teatralnie zdziwił się Marius.

– Nie zrobię tego.

Van Bohenwald obrócił się w jego stronę i spojrzał na niego ciężkim wzrokiem.

– Nie zrobisz tego – powtórzył opryskliwym tonem. – A czemuż to podjąłeś taką decyzję, mój perski przyjacielu?

– Bo twój plan jest błędny oraz szkodliwy – odparł Löwefell obojętnym tonem. – W związku z czym nie mogę ci pomóc w jego przeprowadzeniu.

– Coś takiego. Błędny oraz szkodliwy. – Van Bohenwald zmrużył powieki. – Może więc zaproponuj swój plan. Taki, który będzie słuszny oraz pomocny...

Ach, więc w tę stronę zmierzasz, Mariusie, pomyślał Löwefell. Celowo zaproponowałaś plan, o którym wiedziałaś, że go odrzucę, bym teraz to ja wziął na siebie odpowiedzialność. O nie, z całą pewnością nie zamierzam tego robić.

– Przedstawiłem ci, jak widzę oraz oceniam sytuację. Jako medyk jestem w stanie przeprowadzić zabieg, jeśli takie zadanie przede mną postawisz – rzekł. – Ale mam zbyt mało wiedzy na temat działań Trójniaka i jego roli w Świętym Officjum, bym ośmielił się przedstawiać własny plan postępowania.

Przez dłuższą chwilę Marius stukał pierścieniami w ławę. Wyraźnie zastanawiał się albo przynajmniej udawał, że się zastanawia.

– Czego ona chce? – spytał wreszcie.

– Być normalna – odparł Löwefell.

– Normalna? Czyli jaka? Taka jak ty czy taka jak ja? – zadrwił van Bohenwald.

– Dobrze rozumiesz. Ona chce chodzić, poznać świat, decydować o sobie, doświadczyć samotności, a przynajmniej móc samemu wybierać między samotnością a wspólnotą.... Wszystko to, na czym kiedyś, kiedy byliśmy jeszcze ludźmi, zależało również nam samym.

Marius w żaden sposób nie zareagował na sformułowanie „kiedy byliśmy jeszcze ludźmi”, co zresztą wcale nie oznaczało, że się z tym sformułowaniem zgadzał. Chociaż pewnie właśnie w ten sposób sam nas ocenia, pomyślał Löwefell.

– Co się stanie z umysłem Trójniaka?

– Nigdy nie widziałem podobnego – inkwizytor przez chwilę szukał słowa – instrumentu – dokończył. – Iskoro nie rozumiem jego działania, ciężko mi prorokować, jak zmieni się on w przyszłości. Mogę zaledwie spekulować...

– Spekuluj więc.

– Podejrzewam, że część zdolności pozostanie przy braciach, których

zresztą możemy oddzielić od Matyldy, ale rozdzielić jednego od drugiego w żadnym wypadku się nie da, chyba że zgodzilibyśmy się na uczynienie z nich umysłowych kalek. Natomiast sama Matylda może po operacji okazać się normalną kobietą, magicznie uzdolnionym geniuszem albo śliniącym się debilem. – Löwefell wzruszył ramionami. – Każde z tych rozwiązań jest możliwe, chociaż ja obstawiałbym pierwsze.

– Czyli z cudu natury przekształci się w zwykłą, bezwartościową istotę, której celem będzie zaspokajanie głodu i pragnienia, wydalanie, kopulowanie oraz rozmnażanie – rzekł złym tonem van Bohenwald.

– Tym właśnie chce zostać – odparł Löwefell.

– Albo tym wydaje się jej, że chce zostać.

– Możesz próbować ją przekonać. – Inkwizytor rozłożył dłonie. – Ja też wiem, że Matylda dostrzega jedynie zalety rozdzielenia i nie zdaje sobie sprawy z zagrożeń, lecz wątpię, by dyskusja z nią przyniosła jakąkolwiek zmianę w jej nastawieniu...

Mariusz kichnął, po czym wysmarkał się na podłogę kaplicy i wytarł nos w rękaw. Odetchnął głęboko.

– Wiesz, co mnie zawsze doprowadza do szału, Arnoldzie? Doprowadza mnie do szału, do wściekłości i do furii ta chwila, w której pionki ustawione na szachownicy, pionki, których jedynym celem i powinnością jest poddawanie się palcom oraz rozumowi gracza, zaczynają wykonywać własne ruchy! W dodatku owa chwila, ten, nazwijmy to: gambit pionków, zdarza się zazwyczaj w najmniej odpowiednim momencie!

– Nie wierzę, że nie przewidzieliście takiego rozwoju sytuacji – stwierdził Löwefell.

Van Bohenwald obrócił w jego stronę ściągniętą gniewem twarz.

– Oczywiście, że przewidzieliśmy – rzekł. – Ale do tej pory mogliśmy z czystym sumieniem twierdzić, iż alternatywą dla Trójniaka jest albo bycie Trójniakiem, albo śmierć. A potem pojawiłeś się ty ze swoimi nadzwyczajnymi zdolnościami lekarskimi...

– Przecież moje zdolności nie pojawiły się od razu – powiedział po chwili namysłu Löwefell. – One ewoluowały od czasu, kiedy zostałem przyjęty na służbę Inkwizytorium. Ktoś więc musiał zdradzić Trójniakowi, jaką dysponuję mocą i że mogę mu pomóc. Kto to był?

Grubas nie odzywał się i tylko przyglądał się swemu rozmówcy z krzywym uśmiechem na otłuszczonych ustach.

– Przykro mi, Mariusie, ale z samego twojego milczenia nie zgadnę odpowiedzi na to pytanie.

– Nikt mu nie powiedział – westchnął van Bohenwald. – Po prostu zażądał, by przyprowadzić cię, i twierdził, że ty jeden jesteś w stanie go uleczyć.

– Skąd mógł to wiedzieć?

– Ano właśnie... Skąd mógł to wiedzieć? – powtórzył szyderczym tonem van Bohenwald. – Czyż ty sam nie powiedziałeś przed chwilą, że umysł Trójniaka jest niepojętym instrumentem?

– Taaak – pokiwał głową Löwefell. – Chcesz mnie przekonać, że ta istota, nigdy mnie nie widząc, a w każdym razie nie wtedy, kiedy miałem już wystarczające zdolności, i nigdy nie przebywając w mojej bliskości, potrafiła spenetrować mój umysł? Nie, Mariusie, prawda jest o wiele bardziej banalna. Trójniak dowiedział się, czy też Matylda dowiedziała się, o istnieniu kogoś z moimi umiejętnościami od inkwizytorów, którzy ją odwiedzali. Wyczytała to w ich słowach, a może w ich umysłach. I nie założyłbym się nawet o parę starych butów, czy to nie był przypadkiem twój umysł, Mariusie.

Grubas, o dziwo, nie rozgniewał się.

– Trójniak nie jest w stanie czytać w moim umyśle – stwierdził.

– Może tego nie czujesz?

– Uwierz mi, że nie jest – powiedział bardzo spokojnie Marius i Löwefell uwierzył mu. – Niemniej w ogólnym zarysie twoje podejrzenie jest całkiem trafne.

– Czyli?

– O tobie Trójniak oczywiście wiedział od samego początku, o twoich uzdolnieniach dowiedział się od któregoś z naszych inkwizytorów, tak jak podejrzewasz. Ale o dokładnym zakresie twoich wyjątkowych zdolności Trójniak przekonał się w czasie spotkania z nikim innym, jak z tobą samym – rzekł van Bohenwald. – Spenetrował twój umysł w czasie badania i zorientował się, iż jest szansa, byś mu pomógł...

Löwefell milczał dłuższą chwilę, odtwarzając każdy moment swego obcowania z Trójniakiem, po czym skinął głową.

– Nie ośmieliłbym się wykluczyć podobnej hipotezy – stwierdził.

– Co zresztą nie posuwa nas nawet o krok do przodu – van Bohenwald odwrócił się bokiem i z sapnięciem wyciągnął nogi przed siebie – w rozwiązaniu problemu.

– Na ile poznałem sytuację, nie widzę rozsądnej alternatywy dla operacji – zdecydował się powiedzieć Löwefell. – Oczywiście mówię to z zastrzeżeniem, iż dane, jakimi dysponuję, mogą być niepełne. Być może wiesz więcej ode mnie, a więc masz również inny ogląd i inne propozycje rozwiązań.

– Czy zamiast jednego genialnego Trójniaka możemy mieć po zabiegu trójkę skowyczących idiotów?

– Nie – stanowczo zaprzeczył Löwefell. – Bracia będą funkcjonować. Nie mogę przewidzieć, jakie wrażenie psychiczne wywrze na nich oddzielenie siostry, ale kto wie czy nawet nie będzie to dla nich korzystne... Oczywiście inną sprawą są ich uzdolnienia nadnaturalne. W jakiej formie przetrwają, nie jestem w stanie nawet spekulować...

– Trójniak jest bronią, Arnoldzie – rzekł poważnie van Bohenwald. – A ty przedstawiasz nam plan jej demontażu. Niedobrze... – Pokręcił głową.

Löwefell nawet nie zaprzeczył. Obaj doskonale sobie zdawali sprawę, że Löwefell niczego nie przedstawia ani niczego tak naprawdę nie proponuje. On powtarzał tylko żądania istoty, która będąc czymś dużo więcej niż człowiekiem, zapragnęła jednak zostać zwyczajnym człowiekiem.

– Nie mogę podjąć sam takiej decyzji – powiedział wreszcie Marius. – Rozumiem jednak, że mogę przedstawić twoje zapewnienie, iż nie uśmiercisz go w czasie zabiegu?

Löwefell postanowił nie zgodzić się z takim postawieniem sytuacji.

– Trójniak, którego znacie, umrze – rzekł stanowczo. – W zamian za to narodzi się coś zupełnie nowego. Dwa odrębne byty, które, i o tym mogę rzeczywiście zapewnić, będą fizycznie funkcjonowały jednak na niewiadomym w tej chwili poziomie.

– Dobrze, Arnoldzie. – Marius podniósł się ciężko z ławy. – Tak właśnie przedstawię twoje stanowisko. Jak długo możemy liczyć na jej cierpliwość?

A więc proszę bardzo, Marius powiedział „jej”, pomyślał Löwefell. Może więc zrozumiał, że ta dziewczyna jest nie tylko odrębnym bytem, lecz i godnym przeciwnikiem?

– Zapewne nie będzie pochopna w działaniu. Niszcząc braci, wyrzuciłaby swój jedyne atut. A ponieważ wtedy stałaby się bezwartościowa, więc uczyni tak jedynie w wielkiej desperacji. Na pewno może jednak odmówić współpracy, a potem, kiedy to nie wystarczy, zacznie dokuczać braciom, by i oni wywarli na was wpływ.

– Czyli mamy trochę czasu...

– Ja tego nie wiem. – Löwefell rozłożył ramiona. – Odniosłem jednak wrażenie, że nie będzie skłonna do żadnej pomocy, jeżeli nie usłyszy jasnej deklaracji waszych zamiarów.

– Naszych zamiarów, naszych, Arnoldzie – sprostował van Bohewald łagodnym tonem.

– Naszych zamiarów – powtórzył posłusznie Löwefell.

– No dobrze, możesz już iść – zdecydował gruby inkwizytor. – W najbliższym czasie powiadomię cię o decyzji klasztoru.

– Będę czekał – odparł Löwefell.

Kiedy był już na progu, dobiegł go głos Mariusa:

– Ach, jeszcze jedno pytanie, jeśli pozwolisz. Czy możesz mi powiedzieć, w jaki sposób dowiedziałeś się tego, czego się dowiedziałeś, skoro nie zamieniłeś z Trójniakiem żadnych zdań poza zwykłą rozmową o zdrowiu fizycznym?

Löwefell nie został zaskoczony ani tym pytaniem, ani informacją, iż ktoś pilnie przyglądał się jego obecności w komnacie Trójniaka. Od początku było to bowiem dla niego oczywiste.

– Matylda w czasie trwania fizycznego kontaktu potrafi nawiązać ze mną kontakt umożliwiający formułowanie i przekazywanie kompletnych zdań bez konieczności ich werbalizacji – odparł.

– Czyli rozmawiacie ze sobą w myślach? – Van Bohewald pokiwał głową. – Bardzo interesujące, nieprawdaż?

– Owszem, bardzo interesujące – zgodził się Löwefell.

– Zastanówmy się, na czym polega taka rozmowa? – Van Bohewald podniósł się z ciężkim sapnięciem i stał teraz pośrodku kaplicy, wspierając się dłońmi na kamiennych poręczach ław. – Wydaje mi się, że

na tym, iż myśl mknie niczym łódeczka z kory z jednej kałuży do drugiej, gdyż Matylda połączyła te kałuże strumyczkiem o bystrym nurcie.

– Nie widzę powodów, by się z tobą nie zgodzić.

– Taaak... – Grubas potarł knykciami podbródek. – Zastanawiam się jednak, i może będziesz potrafił rozwiązać moje wątpliwości w tej mierze, czy taka łódeczka może nie tylko wpłynąć do drugiego jeziora, ale przy okazji, choć niepostrzeżenie, zrzucić do niego ładunek, jaki zapakowano na nią na pierwszym jeziorze. Hmmm? Jak sądzisz, Arnoldzie? Może tak się stać?

Löwefell milczał przez chwilę i zastanawiał się nad słowami Mariusa.

– Prowadząc każdą rozmowę, oddziałujemy na naszego rozmówcę – powiedział wreszcie. – Bardzo często w taki sposób, iż on sam nie jest świadom owego oddziaływania. Co do tego zgadzam się z tobą w pełni. Jednak w głoszonej przeze mnie opinii na temat problemów Matyldy oraz ich rozwiązania nie widzę nic sprzecznego z zasadami, którymi kieruję się w życiu, oraz z dobrze pojmowanym interesem Świętego Officjum. Mam nadzieję, że ty również nie widzisz podobnej sprzeczności?

– Nie, oczywiście, że nie... – Van Bohenwald potrząsnął głową i uśmiechnął się. – Do zobaczenia wkrótce, Arnoldzie.

Löwefell skinął mu głową i wyszedł z kaplicy. Nie do końca był przekonany, czy Marius przestrzegał go przed nadnaturalnymi możliwościami Matyldy, czy też jedynie próbował zasiać w nim nieufność w stosunku do tej istoty. Ale jak zwykle było całkiem prawdopodobne, że część prawdy tkwi tu, a część prawdy tkwi tam... Minęło kilka dni, a Löwefell nie zaprzętał sobie w ich czasie umysłu sprawą konfliktu Trójniaka z Inkwizytorem, gdyż nie zwykł przejmować się sprawami, na które nie miał i nie mógł mieć wpływu. Wreszcie jednak piątego dnia po badaniu dziewczyny i jej braci inkwizytor w czasie spaceru za murami klasztornymi natknął się na Mariusa. Rzecz jasna nawet nie łudził się, iż może to być spotkanie przypadkowe.

– Podjęliśmy decyzję – obwieścił van Bohenwald zamiast powitania.

– Pilnie słucham.

– Przeprowadzisz zabieg i czynię cię osobiście odpowiedzialnym za

jego powodzenie.

Löwefell roześmiał się.

– Wybij to sobie z głowy – odparł lekkim tonem.

– Co... co takiego? – Marius sprawiał wrażenie, że nie dowierza własnym uszom.

– Powiedziałem, drogi towarzyszu, że nawet mowy nie ma, byś obarczył mnie odpowiedzialnością za tak niezwykły zabieg i jego możliwe konsekwencje. Oczywiście przeprowadzę operację wedle mojej najlepszej wiedzy i zdolności, ale tylko tyle... – Inkwizytor wzruszył ramionami. – Nic poza tym.

– Kiedy będziesz gotów?

Łatwość, z jaką van Bohenwald przeszedł od ustalania odpowiedzialności do ustalania terminu, podpowiedziała Löwefellowi, iż próba obarczenia go tą odpowiedzialnością była zaledwie złośliwością. Chociaż, gdyby Löwefell taką propozycję czy takie żądanie zaakceptował, to zapewne Marius byłby więcej niż zadowolony.

– W każdej chwili, w której ty będziesz gotów.

– A więc jutro?

– Dobrze – skinął głową Löwefell. – Jutro. Oczywiście będę potrzebował pomocy. Przyślij do mnie kogoś, komu będę mógł wydać szczegółowe dyspozycje dotyczące koniecznych przedmiotów. Będę potrzebował również dwóch pomocników, najlepiej spośród mnichów biegłych w anatomii i medycynie.

– Dobrze.

– Pamiętaj, Mariusie – rzekł stanowczo Löwefell. – Chcę takich ludzi, którzy będą wykonywali natychmiast i bez pytania każde moje polecenie, oraz takich, którzy nie przelęką się widoku krwi.

– No, akurat widok krwi i wnętrzości nie jest niczym niezwykłym w podziemiach naszego klasztoru. – Grubas uśmiechnął się. – Więc i mamy mnichów nieźle obeznanych z tą perspektywą...

Wbrew temu, co mogłoby się zdawać komuś słuchającemu Mariusa, w klasztorze Amszilas raczej nie torturowano więźniów. Owszem, Löwefell wiedział, że wśród inkwizytorów, krążyły takie plotki, jednak tutaj przesłuchania prowadzono w inny sposób. Rzeczywiście do Amszilas trafiali nieprawomyślni inkwizytorzy, szczególnie cenni

czarnoksiężnicy lub wprawione i groźne wiedźmy. Przede wszystkim Święte Officjum pragnęło ich poznać. Ich samych, ale również ich metody, pobudki, środki działania, ewentualne związki z innymi odstępcami. To wszystko wymagało precyzji myślenia i mówienia, a nie oszalełego od bólu bełkotu. Inkwizytorium nie musiało udowadniać winy tych ludzi, więc też nie oczekiwało ich przyznania się, a jedynie opowieści o tym, co czynili. Starano się ich przekonać lub wpłynąć na nich siłą świętej magii czy mocą umysłu, a torturami raczej grożono, niż w rzeczywistości je przeprowadzano. Chociaż oczywiście podobne przypadki zdarzały się. W Amszilas badano również pochwycone demony i chociaż nikt nie miał moralnych oporów przed zadawaniem im cierpienia, to też uważano, że lepiej jest je przechytrzyć, posłużyć się intrygą, wzajemnie skłócić, odesłać potem do ich własnego świata otumanione i niepewne. Czasami zdarzało się, że niektóre demony przesłuchiowano w wyjątkowo brutalny sposób, ale zawsze było to motywowane konkretną korzyścią, a nie powstawało jako wynik bezmyślnej żądzy dręczenia. Generalnie, jak od początku zauważył Löwefell i co wywoływało jego aprobatę, zarządzający Wewnętrznym Kręgiem Inkwizytorium oraz klasztorem Amszilas byli przede wszystkim w swych działaniach racjonalni. W tym wypadku, w wypadku Trójniaka, również wydawało się, że Inkwizytorium jest w stanie bez trudu wznieść się ponad urazę czy chęć ukarania nieposłusznego poddanego. Bo lepiej poświęcić mieszek złota, by uratować życie, niż broniąc majątku, stracić i mieszek, i życie. Trzeba po prostu wiedzieć, kiedy lepiej walczyć, a kiedy lepiej ustąpić. I doświadczenie wielu lat nauczyło inkwizytorów, że ustąpienie nie jest niczym hańbiącym, a wręcz przeciwnie, może w konsekwencji przynieść korzyści sprawie, o którą walczą.

– Sądziłem jednak – zmarszczył brwi van Bohenwald – że twoje zdolności polegają między innymi na tym, że obywasz się bez narzędzi oraz potrafisz dokonywać ingerencji w ludzkie ciało, nie upuszczając przy tym krwi.

– To prawda – skinął głową Löwefell. – I tak właśnie będę się starał postępować, póki będzie to możliwe. Zważ jednak, Mariusie, że nigdy nie dokonywałem podobnego zabiegu i nie jestem pewien, na jak długo

starczy mi sił. Zapewniam cię natomiast, że równie precyzyjnie jak modlitwą oraz boską magią, posługuję się zwykłymi narzędziami chirurgicznymi. Będę miał je również w pogotowiu na wszelki wypadek.

– Cóż, ty wiesz najlepiej, co robić – przyznał Marius. Matylda i Piotr mieli otworzone oczy, trzeci z rodzeństwa, rudowłosy Paweł, którego głosu do tej pory Löwefell nie słyszał, teraz również się nie odzywał i nie uchylał nawet powiek. Znowu wydawał się spać. Piotr powitał inkwizytora słabym, spłoszonym uśmiechem, a Matylda uśmiechem szerokim i pełnym prawdziwej radości.

– Jak miło was widzieć, mistrzu Löwefell! – zawołała.

– Cóż, miejmy nadzieję, że kiedy zbudzisz się po operacji, wypowiesz dokładnie te same słowa – rzekł, odpowiadając jej uśmiechem.

– Czy będzie nas bolało? – spytał z obawą w głosie czarnowłosy mężczyzna. – Czy będziemy cierpieć w czasie operacji?

– Oczywiście, że nie – odparł Löwefell zdziwiony, że nikt im o tym do tej pory nie powiedział.

Cóż, a może i powiedziano im, lecz Piotr jednak wolał się upewnić.

– Niemniej cięcie mięsa i piłowanie kości wydają się bolesne...

– Mistrz Löwefell jest czymś więcej niż chirurgiem – rzekła stanowczo Matylda.

– My to oczywiście dobrze wiemy – odezwał się Piotr. – Niemniej widzieliśmy te straszne narzędzia...

– Nie będę z nich zapewne korzystał – przerwał mu Löwefell. – Są przygotowane na wypadek, gdyby z powodu niezwykłości waszej operacji zawiodła mnie moc duchowa. Ale najpewniej nic takiego w ogóle się nie wydarzy. To jedynie zabezpieczenie.

– Rozumiem.

– Potrafię składać oraz naprawiać części ludzkiego ciała – wyjaśnił mu spokojnie inkwizytor – jedynie za pomocą siły woli, pobożnych myśli oraz na podstawie znajomości działania ludzkich narządów. Nie przecinam skóry, nie dziurawię, nie piłuję. Posługuję się mistycznym dotykiem i mistycznym spojrzeniem. To mój dar od Boga, niestety, bardzo rzadko spotykany...

– A może nawet nigdy niespotykany – powiedziała Matylda. – Może jesteście, mistrzu Löwefell, wyjątkiem, białym krukiem, dziwadłem, tak

jak i my troje...

– Matyldo, proszę cię... – odezwał się Piotr zmęczonym głosem.

– Każdy z nas wypełnia Boży Plan, jedni w taki sposób, pozostali w inny – rzekł Löwefell. – Mam nadzieję, że zarówno ja, jak i wy przydadamy się Bogu.

– Och, z całą pewnością – odparła Matylda.

– Czy będziemy spali? – spytał Piotr.

– Tak, uspię was, a nawet wprowadzę was w stan całkowitego zneruchomienia – wyjaśnił Löwefell. – Nie z uwagi na ból, bo on nie powinien się w ogóle pojawić, lecz uwagi na to, byście nie przeszkadzali mi żadnym ruchem, mimowolnym drgnieniem kończyn, wypowiedzianym słowem... Każda operacja jest procesem wymagającym ogromnej precyzji. A to, że nie trzymam w dłoni noża, lecz posługuję się jedynie myślą oraz widmowym dotykiem, wcale nie oznacza, iż nie potrzebuję skupienia.

– I wcale nie oznacza, że nie możesz popełnić błędu – dopowiedziała Matylda.

– Oczywiście – zgodził się Löwefell. – Ludzkie ciało łatwo uszkodzić na wiele różnych sposobów. Jednak... – Wzniósł dłoń, widząc, że spłoszony Piotr już otwiera usta. – Duchowa operacja jest znacznie bardziej bezpieczna niż zwyczajna operacja chirurgiczna dokonywana za pomocą noży, pił czy kleszczy. Wierz mi, że nie zabiłem jeszcze żadnego mojego pacjenta – dodał, uśmiechając się uspokajająco.

Przypomniawszy sobie, jak idealnie doprowadził do zdrowia zdeformowaną torturami Irminę, a przecież nie było to ani pierwsze, ani ostatnie jego działanie tak potężnie ingerujące w ludzkie ciało. Oczywiście, że tam miał do czynienia głównie z kośćmi, ścięgnami, mięśniami, a tutaj będzie miał do czynienia z mózgiem, a więc z najdelikatniejszym z ludzkich organów, wrażliwym na każdy bodziec, na każdą ingerencję. Jeśli w ciele człowieka było coś, czego Löwefell nie potrafił naprawić, to tym czymś był zniszczony mózg. Przy dużym wysiłku woli można było odtworzyć zgniecione kości, połączyć rozszarpane mięśnie, zesztukować rozerwane ścięgna, bez śladu złączyć i wygładzić pociętą skórę. Ale zniszczonego mózgu uratować nie było można. Dlatego Löwefell wiedział, że jeśli popełni błąd, to tego błędu nie

będzie w stanie już naprawić. Czy ci, którzy w Świętym Officjum wydali zgodę na zabieg Trójniaka, zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa? Löwefell był pewien, że tak. Ale zwyciężył rozsądek. A może również zaufanie do zdolności medycznych samego Löwefella. A i tak przecież nie wiedzą wszystkiego, pomyślał inkwizytor.

– Nie podoba mi się to wszystko – rzekł Piotr żalonym głosem. – Prosiłem, by tego nie robić.

– Czasami operacja jest konieczna, by ratować życie – odparł Löwefell. – Nikt tego nie lubi, ale na pewno lepiej trochę się bać przez jeden dzień niż cierpieć fizycznie i psychicznie przez resztę życia, prawda?

– No niby prawda – zgodził się niechętnie czarnowłosy mężczyzna. – Ale dlaczego nie ma być tak, jak było? Co to, źle nam tak, jak jest teraz?

– Decyzja zapadła i jak rozumiesz, nie ja ją podejmowałem i nie ja jestem władny ją cofnąć – stwierdził Löwefell stanowczym tonem. – Ale teraz nie kłopotuj się niczym.

Inkwizytor zdjął buty i wszedł na łóżko. Znowu uklęknął przy głowach Trójniaka i położył dłonie na zrosniętych czaszkach Piotra i Pawła. Przymknął oczy, starając się wniknąć jak najgłębiej w ten przerażony i jednocześnie zniechęcony umysł. Zakłęcia, które były modlitwą, i modlitwa, która była zaklęciami, spłynęły z jego ust. Piotr i Paweł byli wdzięcznymi obiektami i Löwefellowi poszło nawet lepiej, niż się spodziewał. Potem upewnił się, że obaj śpią głębokim, letargicznym snem, że ich procesy życiowe zwolniły do absolutnego minimum, po czym przeniósł dłonie na czaszkę Matyldy.

– Czas na podróż do krainy Morfeusza – pomyślał.

Nie odpowiedziała, lecz poczuł, że uśmiecha się w myślach.

Powtórzył ten sam rytuał co przy Piotrze i Pawle, ale tym razem zaraz zorientował się, że chociaż puls i serce zwolniły swój rytm, to cały organizm nie pogrążył się w głębokim letargu, jak stało się to w przypadku obu braci.

– Ja nie śpię – powiedziała wtedy wyraźnie Matylda w jego głowie.

– Na gniew Pana! – Löwefell naprawdę się przestraszył, gdyż było to tak niespodziewane i tak niewytłumaczalne, że naprawdę do głębi nim wstrząsnęło.

– Ale nic się nie martw, Arnoldzie, nie będę ci przeszkadzać.

– Dlaczego nie zasnęłaś? Oparłaś się mojemu zaklęciu?

– Tak – powiedziała z lekceważeniem. – Oczywiście.

– Nie używałem zaklęcia służącego do walki, nie chciałem nikogo niewolić siłą – wyjaśnił niezadowolony Löwefell. – Użyłem prostego zaklęcia kojącego zmysły. Dlaczego się opierałaś? Przecież robiłem to dla waszego dobra!

– No i moi bracia z tego dobra skorzystali, a ja nie skorzystałam i skorzystać nie zamierzam – wyjaśniła. – Chcę widzieć i wiedzieć.

Inkwizytor zaczął się zastanawiać, czy nie zrezygnować z operacji. Skoro na samym początku sprawy poszły niedobrze i niezgodnie z planem, to może nie było sensu ciągnąć tego dalej?

– Och nie, proszę cię, nie rób tego! – Chyba naprawdę ją przestraszył, zważywszy, że musiała odczytać, iż te myśli są całkowicie szczerze. – Nie będę ci przeszkadzać, nie będę się ruszać, nie będę nawet myśleć, postaram się, wierz mi... A może, a może przydam ci się na coś? – dodała szybko. – Skąd wiesz, może kiedy będziesz miał kłopoty, to ja ci coś podpowiem, skoro będę przytomna...

Löwefell na chłodno zważył wady i zalety faktu, że dziewczyna będzie przytomna w czasie zabiegu. Wad było zdecydowanie więcej, ale kto wie, może miała trochę racji? Może będzie w pewnym momencie potrzebował informacji o jej odczuciach i ta właśnie informacja pozwoli mu podjąć prawidłową decyzję?

– No dobrze – zgodził się i poczuł wyraźną ulgę w jej myślach. – Z jednym jednak zastrzeżeniem...

– Wszystko, czego tylko chcesz! – zapewniła go gorąco.

– Skorzystasz z własnej umiejętności likwidacji bólu.

– Dobrze. Ale przecież mówiłeś, że nie będzie bolało.

– Nie powinno boleć – zgodził się z nią. – Lecz gdybym się mylił i jednak by zaboląło, to wolałbym, byś nie zaczęła szarpać się i krzyczeć.

– Oczywiście. Zrobię, jak sobie życzysz – zapewniła.

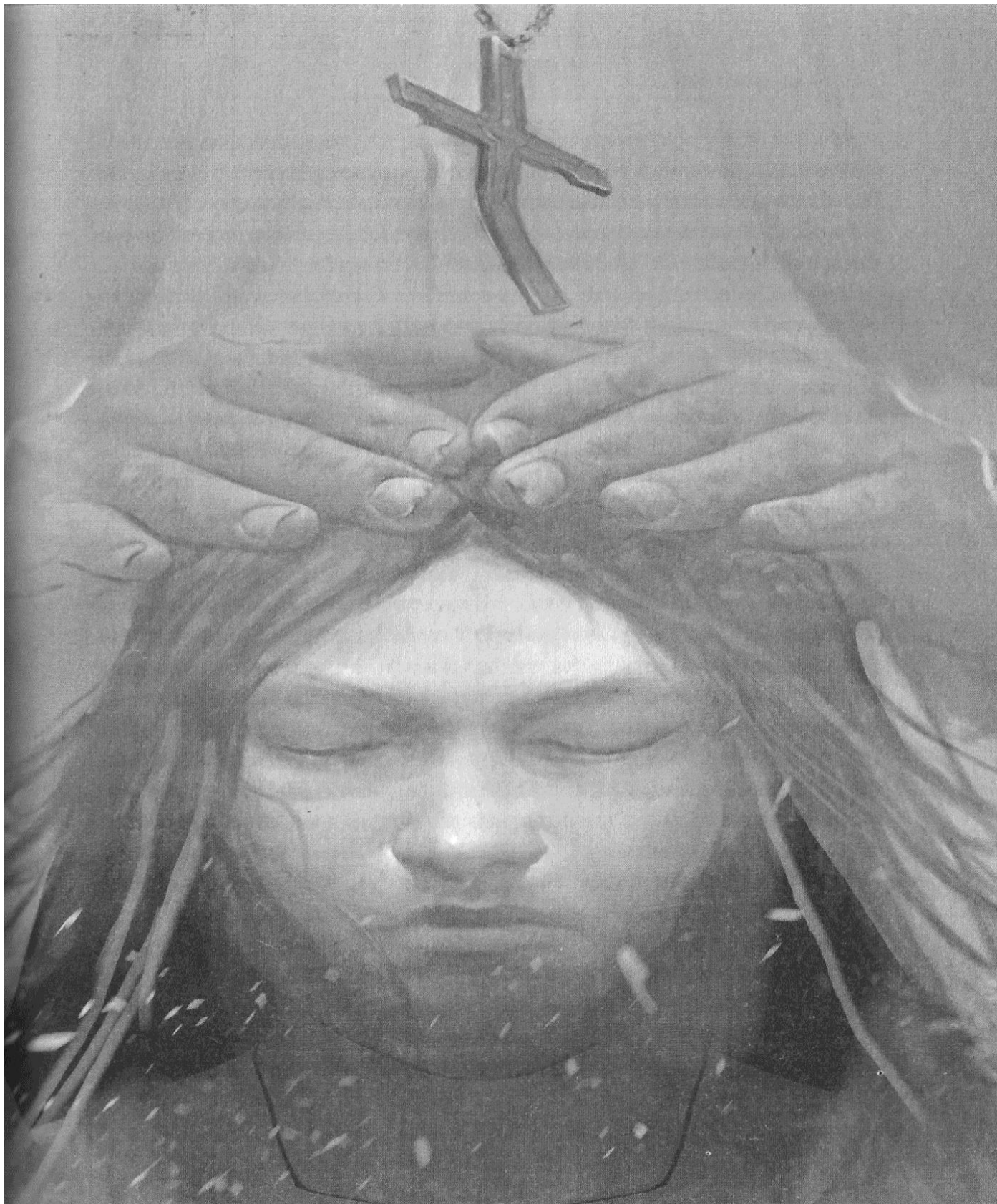
Inkwizytor położył znowu dłonie na czaszce Matyldy i skupił się, pogrążył w mistycznym transie, by móc obserwować, jak działa ten zdumiewający mózg. Pozwolił, aby jego intuicja i wyobraźnia podpowiedziały mu, w jakiej postaci zobaczy mózg dziewczyny. I zaraz potem ujrzał go niespodziewanie jako maszynę pełną przekładni,

zębatych kółek i sprężynek. Spodziewał się raczej palety barw, może dźwięków, z których trzeba będzie ułożyć melodię, tak by nie zniszczyć instrumentu lub nie doprowadzić do kakofonicznego rozgardiaszu. Ale nie spodziewał się, że wyobraźnia podpowie mu obraz tak dziwny i jednocześnie tak niezgodny z jego zainteresowaniami. Löwefella nie zajmowały bowiem kwestie mechaniki. Wiedział, że istnieją ludzie zajmujący się tworzeniem mniej lub bardziej skomplikowanych maszyn, wiedział, że teoretycznie zastanawiano się nawet nad możliwością skonstruowania metalowego człowieka, poruszającego się nie dzięki sile mięśni, a dzięki sile przekładni, kół i tłoków. Ale podobne rozważania ani go szczególnie nie zajmowały, ani nie uważał ich za znaczące dla przyszłości wiary oraz dla spodziewanego triumfu chrześcijaństwa. A tutaj nagle imaginacja spletała mu całkowicie nieoczekiwanego figła. Wiedział jednak, że należy się tej wizji poddać, że nie należy z nią walczyć, ponieważ najwyraźniej tkwił jakiś sens w takim, nie innym przedstawieniu rzeczywistości. Walka o odmienny wygląd wizji mogłaby jedynie zaszkodzić, spowodować, że drugi obraz byłby niepełny lub wypaczony. Löwefell mógł więc nie być zachwycony tym, że w mistyczny sposób będzie musiał wcielić się w rolę konstruktora czy mechanika, ale życie przyzwyczało go już do niespodzianek i nauczył się, iż należy je umieć wykorzystywać, a nie uciekać przed nimi.

Na początek tylko obserwował. Próbował zrozumieć, jak ten skomplikowany mechanizm, składający się z wielu tysięcy małych, malutkich i całkowicie malusieńkich części, w ogóle funkcjonuje. Który element jest zależny od którego, w jakiej tkwią one konfiguracji, jak nawzajem są sobie podporządkowane. Po długim czasie zaczęło mu się wydawać, że nabiera pewnej wiedzy o funkcjonowaniu tego mechanizmu. Wtedy przeszedł do kolejnego etapu. Utworzył w swoim umyśle model konstrukcji, na którą spoglądał (miał szczerą nadzieję, że jest to model identyczny!). Zajęło mu to sporo czasu i wymagało niespotykanego wręcz skupienia. Co gorsza, czuł wyraźnie, że zaczyna słabnąć. A przecież był dopiero w poznawczej części operacji, zaledwie badał, przyglądał się i wyciągał wnioski. Czas na ingerencję miał dopiero przyjść.

Teraz Löwefell zajął się zmianami w modelu, który utworzył we

własnym umyśle. Był niczym szachista, tworzący obrazy spodziewanych ruchów zarówno swoich, jak i przeciwnika, tyle że w wypadku zmian czynionych w tym mechanizmie sprawa była tysiąckroć trudniejsza, gdyż tak wiele było alternatywnych możliwości. Starał się rozdzielić tę skomplikowaną konstrukcję, tak by po rozdzieleniu mogła funkcjonować jako dwie niezależne maszyny. Odejmował, przekładał, zmieniał lokalizacje elementów... Raz doprowadził do katastrofy tak wielkiej, że cała konstrukcja rozpadła się na tysiące kawałeczków, a Löwefellowi aż zahuczało w głowie jakby setką zbitych naraz kryształowych dzbanów. Po tej próbie odzyskiwał siły przez dłuższy czas. Wiedział, że jeśli dalej tak pójdzie, będzie musiał zrezygnować. Problem tkwił jednak w tym, że cały dzisiejszy wysiłek inkwizytora poszedłby wówczas na marne. Przy kolejnym badaniu mózg Trójniaka mógłby się objawić jako wielowymiarowa kolorowa mozaika, jako symfonia dźwięków, jako paleta barw, a może jako kolekcja pryzmatów lub coś jeszcze bardziej zdumiewającego.



I całą pracę należałoby zaczynać od początku. Löwefell przez moment słabości zastanawiał się, czyjego zdolności po prostu nie są zbyt małe (a

może wyobraźnia zbyt wąska i nieumiejąca rozszerzyć się na bardziej złożony plan egzystencji?) i czy nie powinien wycofać się, by nie narobić szkód.

– Arnoldzie, miej ufność – usłyszał w głowie głos Matyldy. – Miej ufność zarówno w sobie, jak i w woli Boga. Widzę, w jaki sposób postrzegasz nasze umysły, i żałuję, że nie jestem w stanie ci pomóc. Ale wiem, że próbujesz. Teraz również doskonale wiem, jak trudne postawiono przed tobą zadanie... Chyba nie spodziewałam się, że ono jest aż tak trudne – dodała ze smutkiem.

Inkwizytorowi te słowa dodały otuchy, bo ucieszyło go, że operowana dziewczyna widzi, przed jak niezwykłym stanął zadaniem. Wzmocniło go to poczucie wspólnoty, świadomość, że może swoje obawy dzielić z kimś, kto je rozumie i kto rozumie niezwykle komplikację sytuacji.

Przeniósł się do własnego umysłu, gdzie funkcjonował wyobrażony model maszynerii, i jeszcze raz uważnie mu się przyjrzał. Tysiące elementów, a jedne kryjące się za drugimi. Niektóre tak dokładnie schowane, iż odsłaniały się jedynie na czas krótszy niż mgnienie oka, zanim nie zostały zakryte przez większe od siebie części. Löwefell spowodował, że maszyna zwolniła. Najpierw dwukrotnie, potem dziesięciokrotnie. Teraz tryby poruszały się niczym człowiek śniący o tym, że próbuje biec z nogami utopionymi po kostki w smole. Löwefell obejrzał dokładnie maszynerię jako całość. Teraz, kiedy działała w ślimaczym tempie, mógł przyjrzeć się uważnie poszczególnym jej częściom i zobaczyć, jak zachowują się w zależności od zachowania innych części.

Nie wiedział, jak długo studiował ten obraz w swojej głowie, czas dla niego samego też wydawał się zwalniać. Sam Löwefell czuł się tak, jakby leżał zanurzony w ciepłej wodzie i kołysał się zgodnie z powolnym, monotonnym i jednostajnym rytmem ruchów tej wody. Wiedział, że to nie jest dobry objaw. Zdawał sobie sprawę, że kiedy podda się rytmowi kołysania, kiedy odpłynie, by ukończyć myśli, to jednocześnie straci przytomność. Inkwizytor Arnold Löwefell po prostu zwalił się na pościel obok Trójniaka, wyczerpany i nieprzytomny.

Zacisnął zęby i starał się wykrzesać te resztki silnej woli, jakie mu jeszcze pozostały.

– Teraz albo nigdy – zdecydował.

W swoim umyśle przełożył jedno małe kółeczko, rozdzielił kilkanaście trybów, wyjął kilka dźwigni, zmienił położenie przełączników. W końcu rozdzielił konstrukcję na dwie części, tak jak było to od początku jego celem. I obie te części znieruchomiały. Zastygły zupełnie martwe, niepotrzebne, nienadające się do niczego pożytecznego. Gdyby takim efektem zakończyła się prawdziwa operacja, to najprawdopodobniej oznaczałoby to śmierć całego mózgu Trójniaka. Być może nie śmierć w sensie fizycznym, lecz na pewno śmierć w sensie umysłowym oraz duchowym. Od tej pory cała ta przedziwna istota miałaby światu równie dużo do powiedzenia i zaoferowania, co główka kapusty.

– Poddam się – pomyślał Löwefell.

I wtedy maszyna ruszyła. Pełnią sił, w sposób idealnie zsynchronizowany. A raczej ruszyły obie maszyny, gdyż teraz przecież konstrukcja składała się z dwóch suwerennych części. Matylda w głowie Löwefella krzyknęła z radości. Inkwizytora ten wybuch entuzjazmu przeląkł, gdyż był tak niespodziewany, ale jednocześnie orzeźwił i otrzeźwił swoją żywiołową gwałtownością.

– Teraz powtórz to na mnie! – powiedziała uskrzydłona nadzieją.

– Tak właśnie zrobię – rzekł Löwefell.

Zapamiętał każdy swój ruch oraz każde miejsce każdego z elementów, które zmieniły miejsce w modelu stworzonym w jego umyśle. Ryzyko było tylko jedno. Jeśli model był nieprawidłowy, jeśli istniała nawet minimalna różnica pomiędzy nim a mózgiem Trójniaka, to również sposób rozdzielenia tego modelu na dwie części okaże się błędny.

– Wierzę w ciebie, wierzę w ciebie... – zaszepotała gorączkowo Matylda.
– Zrób to!

– Dobrze – odparł Löwefell.

I zrobił.

Niemal boleśnie poczuł, jak jej myśli zgasły, i przez jedną straszną chwilę pomyślał, że ją zabił. Dla każdego szanującego się medyka zabicie pacjenta na stole operacyjnym nie jest powodem do chluby, lecz w tym wypadku inkwizytorowi zależało również, by przekonać się, jak będzie funkcjonować Trójniak zamieniony w Dwójniaka i Jedynaka. Oraz na

pewno śmierć dziewczyny nie byłaby po myśli Świętego Officjum. Wreszcie Löwefell naprawdę chciał zaspokoić jej życzenie wolności, skoro już owo życzenie zostało przez wszystkich zaakceptowane. Na szczęście strach potrwał zaledwie moment, gdyż Löwefell niemal natychmiast zrozumiał, że dziewczyna tylko straciła przytomność. Nie z bólu, gdyż to na pewno by poczuł. A więc nastąpił ten sam efekt co w skonstruowanym modelu. Maszynaria się zatrzymała. I w prawdziwym ludzkim ciele zaowocowało to utratą przytomności. Na jak długo? Jaka będzie Matylda, kiedy już tę przytomność odzyska?

Bogu dziękować, że obyło się bez krwi oraz bez używania narzędzi, westchnął w myślach.

Ale skomplikowana, długa i angażująca myśli operacja kosztowała go więcej, niżby pragnął, i więcej, niż kiedykolwiek by podejrzewał. Właściwie nie zszedł z łóżka, lecz stoczył się z niego na dywan. Zaraz pomogły mu się podnieść silne ręce.

– Zaprowadzę cię do twojej kwatery, bracie Arnoldzie – rzekł mnich z troską w głosie.

– Nie, nie – zaprotestował Löwefell, starając się wykrzesać stanowczość. – Lepiej, żebym wszystkiego pilnował.

– Ależ... – zaczął zdanie mnich, lecz w jego dokończeniu przerwał mu trzask otwieranych drzwi.

Do komnaty wszedł van Bohenwald, wyraźnie zaniepokojony i z twarzą pokrytą czerwonymi plamami.

– Już? Już po wszystkim?

– Już po wszystkim – odparł Löwefell i opadł na fotel. Zakręciło mu się w głowie.

– I jak poszło?

– O tym się dopiero przekonamy – powiedział Löwefell.

– Ale czy w trakcie zauważyłeś jakieś anomalie? Czy był powód do niepokoju?

Löwefell przez dłuższy czas zbierał myśli, by zrozumieć jego pytanie, a potem zbierał myśli, by sformułować odpowiedź. Fakt, że widział przed sobą dwóch van Bohenwaldów, nie pomógł mu w koncentracji.

– Mariusie, cała ta operacja była jednym wielkim powodem do niepokoju, a cały Trójniak był jedną wielką anomalią – rzekł wreszcie,

słyszając swój własny głos, jakby dobiegał zza ściany. – Nie jestem w stanie odpowiedzieć teraz na twoje pytanie.

Grubas zamruczał coś gniewnie pod nosem, wreszcie prychnął i spoglądał dłuższy czas na pacjentów.

– Kiedy się obudzi? – zapytał, nie odrywając wzroku od leżących postaci. – Kiedy się obudzą? – poprawił się.

– Mam nadzieję, że nie wcześniej niż jutro – odparł Löwefell, czując, z jakim trudem przychodzi mu artykułowanie każdego słowa.

– Dziwnie tak patrzeć na nią, kiedy jest sama. Kiedy leżą, nie tworząc gwiazdy ze swych ciał, lecz obok siebie – rzekł van Bohenwald i pokręcił głową. – Wpłynęliśmy na nieznane wody, Arnoldzie, miejmy nadzieję, że się na nich nie zagubimy.

Jego słowa zabrzmiały nieoczekiwanie szczerze i zabrzmiała w nich równie nieoczekiwana szczerza troska. Co oczywiście wcale nie znaczyło, że Marius był szczery lub troskliwy, nawet w tej chwili... Löwefell zebrał siły, by mu odpowiedzieć.

– Pod względem technicznym operacja udała się znakomicie – stwierdził. – Kości i skóra zostały rozdzielone, potem bez śladu połączone. Nie doszło do uszkodzenia żadnych narządów ani do krwotoku – zapewnił. – Lecz co stało się z umysłem tej istoty i jak zniesie ona fakt, że nie jest już jednością, o tym przekonamy się dopiero po przebudzeniu.

– Taaak – van Bohenwald westchnął głęboko. – Bardzo, bardzo jestem ciekaw, co uda nam się ocalić, a co przepadnie bezpowrotnie. Bo straty poniesiemy na pewno, pytanie tylko, jak wielkie one będą.

– Niezbadane są wyroki Pana – powiedział cicho Löwefell.

– No niby tak – zgodził się z nim Marius. – Jednak trudno mi sobie wyobrazić, byśmy w wyniku tego podziału cokolwiek zyskali.

Löwefell oparł się o ścianę i zamknął oczy. Starał się zmusić organizm, by funkcjonował jeszcze chociaż przez chwilę...

– A jeżeli połączenie tych ludzi w jedność było tak naprawdę ich ograniczeniem? – zapytał, marząc o tym, by nie musieć już ani słuchać, ani mówić, lecz jednocześnie starając się przezwyciężyć tę słabość. – Wyobraź sobie trzy konie zaprzęgnięte do bryczki. One nie przeskoczą rowu, prawda? Nie wjadą również w wąską, leśną ścieżkę, nie uniosą na

grzbiecie kawalerzysty...

Grubas podniósł palec.

– Nie musisz tłumaczyć dalej, rozumiem. – Zastanawiał się przez chwilę. – Przyznam, że odmalowałeś przed moimi oczami bardzo interesujący obraz. Pociuszająca jest ta twoja wizja przyszłości. – Pokręcił głową. – No cóż, zobaczymy...

– Ano zobaczymy.

– Na razie zdecydowałem o jednym – rzekł Marius. – Będiesz się nimi zajmował – przede wszystkim zagadnieniami natury medycznej, choć jeśli chodzi o dziewczynę...

Urwał na chwilę i zamyślił się.

– Dziewczyna wydaje się do ciebie przywiązana. Twoim zadaniem będzie więc nie tylko dbałość o jej fizyczną i mentalną kondycję, lecz również wybadanie, co w niej zostało z Trójniaka. Jeśli w ogóle coś zostało...

– Przywiązana? – zdziwił się Löwefell. – Połączyła nas więź łącząca pacjenta i lekarza, nic więcej – powiedział, chociaż sam zdawał sobie sprawę, że jednak jest to, czy też lepiej mówiąc: może to być coś więcej. – Ale oczywiście chętnie się nią zajmę...

– Dobrze. – Marius skinął głową. – Muszę cię prosić, Arnoldzie, byś został w tym pokoju, póki twoi pacjenci nie odzyskają świadomości. Zaraz zostanie ci przyniesione łóżko. Brat Adalbert – van Bohenwald wskazał podbródkiem szczupłego mnicha – będzie strażował z tobą na zmianę.

– Jak sobie życzysz – rzekł Löwefell i był nawet zadowolony z takiego rozwiązania, gdyż wolał mieć na oku Trójniaka.

Czy też raczej, pomyślał, Matyldę oraz Dwójniaka. Czy Święte Oficjum zacznie tak właśnie oficjalnie czy też potocznie nazywać tę istotę? Dwójniakiem? Löwefell spał całą noc twardym snem kompletnie pozbawionym marzeń czy koszmarów. Był to sen nie tylko długi i nieprzerwany, lecz również wskrzeszający siły umysłowe i fizyczne. Inkwizytor miał wielkie zdolności regeneracji, więc zazwyczaj bardzo szybko dochodził do siebie po wyczerpujących zadaniach. Nie inaczej było i tym razem. I chociaż nadał odczuwał podobny rodzaj słabości oraz znużenia jak po długotrwałym wyczerpującym marszu, to jednak

wiedział, że wszystko zmierza ku lepszemu.

Mnich zobaczył, iż Löwefell podnosi się z łóżka, i zerknął w jego stronę.

– Wszystko dobrze, mistrzu Arnoldzie?

– Wszystko dobrze – odparł. – A jak mają się nasi pacjenci?

– Śpią. Puls wolny, lecz wyraźny.

Löwefell skinął głową, gdyż tak być właśnie powinno.

– Zbadam ich i posiedzę teraz przy nich – stwierdził. – Jeśli chcesz, możesz odpocząć.

Mnich ustąpił mu miejsca na łożu, a Löwefell rzeczywiście zaraz zabrał się do badania. Nie minęła nawet minuta, nie zdążył nawet porządnie wniknąć w Matyldę, kiedy usłyszał otwierane drzwi. Już chwilę wcześniej wiedział, że korytarzem zbliża się Marius, a widok zwalistej postaci na progu tylko potwierdził jego podejrzenia. Van Bohenwald uśmiechnął się szeroko.

– Młode, jędrne piersi. – Cmoknął, przyglądając się koszuli Matyldy. – Aż proszą się o porządne wymiętoszenie, co?

– Prosiłbym cię, byś powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy, póki badam pacjenta – rzekł chłodno Löwefell.

Nie dlatego, by mu to naprawdę przeszkadzało w koncentracji, ale od czasu do czasu lubił odegrać się na Mariusie za jego wszystkie złośliwości. A może zresztą tylko udawał, że to lubi, by van Bohenwald dostrzegał w nim więcej ze zwykłego człowieka, targanego emocjami, niż go było tak naprawdę?

– Oczywiście, oczywiście – powiedział szybko Marius. – Zapomniałem, że tobie wszystko jedno, czy miętosisz cycki, czy worek z kaszą.

Na Löwefellu rzeczywiście nie robiły wrażenia atrybuty ani męskości, ani kobiecości, ale szyderstwo grubego inkwizytora również nie robiło na nim wrażenia. Spokojnie, metodycznie i niespiesznie zbadał rodzeństwo, z ulgą jak i zadowoleniem przyjmując, że nic się nie zmieniło: od strony fizycznej byli w znakomitej kondycji. Van Bohenwald przez cały ten czas, o dziwo, ani mu nie przerywał, ani nie dogryzał. Dopiero kiedy Löwefell zakończył badanie i kiedy spuścił stopy z łoża, Marius odezwał się:

– Nadal możemy być zadowoleni?

– Nadal – odparł Löwefell. – Od strony fizycznej wszystko funkcjonuje tak, jak powinno funkcjonować.

– Dobrze w takim razie. – Marius zatarł dłonie. – Zwalniam cię z opieki nad Dwójniakiem...

A więc jednak! – Löwefell pomyślał z czymś na kształt rozbawienia. Zmienił imię, jakim będą nazywać tę istotę.

– ...którym zajmiemy się już sami – kontynuował van Bohenwald.

– Oczywiście – zgodził się Löwefell.

Zrozumiał, że najpewniej inkwizytorzy życzą sobie przeprowadzić badania umysłu Piotra oraz Pawła i nie chcą, by Löwefell w tych badaniach uczestniczył. Bynajmniej mu na tym nie zależało, gdyż o wiele bardziej interesowała go dziewczyna.

– Przygotowaliśmy dla was, dla ciebie i Matyldy, nowe pokoje. Będziesz miał do dyspozycji salon z dwiema sypialniami we wschodnim skrzydle. Kazałem już przenieść wszystkie twoje rzeczy.

– Dziękuję – odparł Löwefell.

Nie był bynajmniej zniecierpliwiony czy poruszony tym, że bez jego wiedzy i zgody dokonano przenosin całego jego dobytku i zmieniono mu lokum. Rozumiał, że skoro tak jest, to tak właśnie musi być. A poza tym w sferze przedmiotów materialnych nie miał żadnych tajemnic i nie miał nic przeciwko temu, by każdy, kto chce, oglądał należące do niego rzeczy. Aby mu tylko nic nie zgubiono. No, ale w tym wypadku na pewno można było ufać w skrupulatność i sumienność tych, którzy przeprowadzali przenosiny.

– Robercie – zwrócił się Marius do kogoś za drzwiami – zaprowadź mistrza Löwefella do jego kwatery.

– Nie – zaprotestował Löwefell. – Chcę być przy tym, jak przenoszona będzie dziewczyna. Muszę dopilnować, by zrobiono to bezpiecznie.

Van Bohenwald wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo – rzekł. – Jednak miej na uwadze, że będziemy trząść się nad nią jak nad kryształowym dzwoneczkiem. Wszyscy są bardzo ciekawi, kim Matylda jest teraz, więc nie zamierzamy dopuścić, by w czasie przenosin upadła na podłogę, rozbijając sobie ten śliczny łypek, bez żadnego pożytku dla Inkwizytorium.

Löwefell zerknął na Matyldę, kiedy van Bohenwald wypowiedział

słowo „śliczny”. Sam bym chyba nie użył podobnego sformułowania, pomyślał. Dziewczyna rzeczywiście jest świeża i niepozabawiona wdzięku, ale... śliczna? Nie, chyba nie.

– Jak długo będę się nią zajmował?

– Dokładnie tyle, ile będzie trzeba. Ani jednego dnia dłużej i ani jednego dnia krócej – odparł Marius, zgodnie zresztą z przewidywaniami Löwefella, który właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał. Kwatera Löwefella i Matyldy znajdowała się w tej części budynku, której Löwefell do tej pory nie poznał. Nie dlatego, że wstęp tam był w jakikolwiek sposób ograniczony lub zastrzeżony, lecz po prostu nigdy go ani do tej części nie zapraszano, ani też on nie miał żadnego interesu, by tam bywać. Mieszkanie składało się, jak powiedział van Bohenwald, z dwóch sypialni i salonu. Jedna z sypialni była niewielka, z wąskim prostym łóżkiem, stołem, kufrem, regałem na książki i szafą. Okna w niej były wąskie, a widok wychodził na mur wieży. Löwefell domyśliłby się oczywiście, że ten pokój przeznaczono jemu, nawet gdyby nie zobaczył, iż właśnie tam przeniesiono wszystkie jego rzeczy, układając je bardzo starannie na podłodze. Druga sypialnia była zupełnie inna. Przestronna, jasna, z wielkim łóżkiem i wygodnymi fotelami. Stojące w niej drewniane meble wyrzeźbiono z jasnego orzecha, a ściany pokryto jedwabnymi, złotymi tapiseriami. Podłogę wyścielały dywany o długim miodowozłotym włosiu. Löwefell pokiwał głową z uśmiechem, gdyż podejrzewał, że Matyldzie spodoba się ten jasny, pogodny pokój, na tyle duży, by dziewczyna nie czuła się, jakby zamknięto ją w klatce.

– Będziecie mieszkać razem, jeść razem, spać razem i spacerować razem. Będziecie rozmawiać, a ty w czasie tych rozmów wybadasz, kim jest teraz Matylda i co może nam oferować w zamian za to, że daliśmy jej tak pożądaną wolność. – Słowo „wolność” Marius wypowiedział z wyraźną ironią.

– Oczywiście – odparł Löwefell i spojrzał na pogrążoną we śnie kobietę. – Mam tylko nadzieję, że będzie z kim rozmawiać – dodał.

Grubas skinął głową.

– Kiedy się obudzi?

– Teraz może to nastąpić w każdej chwili – odparł Löwefell. – Czy jej

bracia ocknęli się?

Van Bohenwald pokręcił głową.

– Z tego, co wiem: nie – odrzekł.

– Jeśli pozwolisz, chciałbym zostać poinformowany, jak przebiegło ich wybudzenie oraz w jakim stanie byli zaraz po nim. Po pierwsze, sądzę, że Matyllda o to zapyta, po drugie natomiast, jakiegokolwiek nieprawidłowości byłyby dla mnie ważną wskazówką.

– Zostaniesz powiadomiony – odparł krótko Marius. – Aha, jeszcze jedno. – Van Bohenwald odwrócił się na pięcie, zadziwiająco zgrabnie i szybko, jak na swoją posturę. – Usłyszałem o tej dziewczynie i o tym, co z nią zrobiłeś...

– O jakiej dziewczynie? – zapytał Löwefell, chociaż doskonale wiedział, kogo Marius ma na myśli.

– O owej Irminie, która każe, by nazywać ją teraz Enyą – wyjaśnił Marius, nie okazując zniecierpliwienia.

– Czy uważasz, że postąpiłem niewłaściwie?

Gruby inkwizytor wzruszył ramionami.

– Nie. Czemu? Sądzę, że najwyraźniej miałeś ku temu jakieś powody. Istotne powody? – Zmrużył oczy.

– Z tego, co wiem, nauczyciele są z niej zadowoleni – stwierdził Löwefell, nie odpowiadając wprost na pytanie.

– Tak, wiem. Jest pełna zapału – zgodził się Marius.

– Czy Katarzyna wie, co dzieje się z jej dawną służącą? – zainteresował się Löwefell.

Van Bohenwald skrzywił usta.

– Powinieneś się już nauczyć, że Katarzynę niewiele obchodzi poza nią samą – odpowiedział.

Tak, to prawda, że Löwefell odniósł podobne wrażenie, choć najprawdopodobniej było ono mylne. Katarzyna była zawsze zapatrzona w siebie i pogrążona w planach, jak uczynić świat wygodniejszym dla siebie samej. Ale to była jedynie ta pierwsza warstwa, obraz, jaki chciała przedstawić. A tak naprawdę nie była ani głupia, ani ślepa.

– Skoro tak twierdzisz – odparł gładko Löwefell.

– Ciekawe, ciekawe – mruknął Marius. – Mam rzeczywiście jakieś

przecucia co do owej służącej. Dziwne przecucia, że kiedyś może nam się bardzo przydać. A wtedy, drogi Arnoldzie, cała zasługa znalezienia jej opromieni tylko i tylko ciebie – dokończył z uśmiechem, po czym odwrócił się i odszedł bez pożegnania.



Löwefell doskonale wiedział, jak czytać te słowa. Ani to nie była pochwała, ani to nie była nadzieja na przyszłość. To było ostrzeżenie, że

za postępowanie Enyi będzie odpowiadał nie kto inny jak Löwefell. Ale czy tak naprawdę należało go o tym ostrzegać? Przecież Wewnętrzny Krąg Inkwizytorium był niczym księga buchalteryjna. Każdy zysk i każdą stratę pieczołowicie zapisywano, by potem biegły rachmistrz mógł dokonać bilansu. Problem tkwił tylko w tym, że bohater księgi nie zawsze i nie do końca wiedział, który jego uczynek zapisany jest jako zysk, a który jako strata. Czy Marius naprawdę miał dobre przeczucia co do roli, jaką odegra Enya? Bardzo wątpliwe. Bardzo wątpliwe, by w ogóle zwrócił na nią uwagę, gdyby nie fakt, że przechodziła szkolenie z rekomendacji Löwefella. Chyba tylko to zainteresowało w niej Bohenwalda. Nie ona sama, a raczej dlaczego tę właśnie, nie inną kobietę wybrał Löwefell. On zresztą też nie do końca potrafił odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Może to było przeczucie? Intuicja umożliwiająca krótkie i szybkie zerknięcie poza bariery oddzielające teraźniejszość od przyszłości? Kto wie... Czy taka dziewczyna może kiedykolwiek odegrać jakąkolwiek rolę w dziejach świata? Cóż, Löwefell znał historię na tyle dobrze, by wiedzieć, że nieistotne z pozoru wydarzenia i nieistotni z pozoru ludzie bywają niczym małe kamyczki na gołoborzu. Kiedy trącić go stopą, zaczyna się toczyć i toczyć, coraz szybciej i szybciej, potracając i zabierając ze sobą coraz więcej innych kamyków. Aż wreszcie po zboczu gna śmiertelna lawina zagarniająca pod siebie wszystko, na co się tylko natknie. Szkopuł w tym, że aby wszystko w ogóle się rozpoczęło, musi być kamyczek i musi być stopa, która wie, z jaką siłą i w jakim kierunku ów kamyczek popchnąć. Kto wie, jak teraz odpowiedzieć na pytania, jaki byłby świat, gdyby Wielki Aleksander nie umarł w wieku trzydziestu trzech lat, lecz kontynuował podboje i umacnianie imperium? Co by się stało, gdyby cesarz Gabriel nie utonął w czasie kąpieli i dalej prowadził olśniewający podbój Ziemi Świętej? Oczywiście pozostawały też pytania, które zadawał sobie każdy chrześcijanin. Jak zmieniłby się świat, gdyby Jezus Chrystus nie opuścił go zaraz po wielkim triumfie? A jak straszny los czekałby cywilizację, gdyby Jezus rzeczywiście umarł na krzyżu? Löwefell doskonale pamiętał, iż istniała bluźniercza sekta, której członkowie twierdzili, że misją Chrystusa była śmierć na krzyżu za grzechy ludzkości. Trudno było wyobrazić sobie większe głupstwo, bo

któż chciałby oddawać cześć słabemu Bogu? Jezus Chrystus postąpił dokładnie tak, jak postąpić powinien. Oddał się w ręce wrogów i udał słabość, by dać tym wrogom szansę na okazanie litości.

Mogli ją okazać w czasie procesu przed sanhedrynem, mogli ją okazać w czasie śledztwa przed obliczem Poncjusza Piłata, mogła wreszcie wściekła tłuszcza nie wołać „uwolnij Barabasza!”. A na koniec mogli wysłuchać ostatniego ostrzeżenia, które Jezus wygłosił, już będąc rozpiętym na krzyżu. Wtedy była ostatnia chwila, by uzyskać przebaczenie i by sprzymierzyć się z przyszłym triumfatorzem. Jakżeż wielki był ten właśnie prawdziwy Jezus, Jezus Zwycięzca i Jezus Mściciel w porównaniu z tą żalną istotą, która zdaniem heretyków powinna umrzeć na krzyżu jak byle pospolity przestępca, obwieś i włóczyki. W myśleniu o takim dziwnym Bogu nie było żadnej chwały, żadnej wzniosłości, a jedynie wstyd...

– Jestem – usłyszał cichy głos i odwrócił się błyskawicznie w stronę, z której ten głos dobiegał.

Matylda miała otwarte oczy i te wpatrywały się w Löwefella z niepokojem, strachem i jednocześnie nadzieją.

– Jestem – powtórzyła już nieco pewniej. – Wiem, kim jestem, i wiem, kim ty jesteś. – Uśmiechnęła się słabo.

Löwefell poczuł zalewającą go falę ulgi i sam się zdziwił, jak mocne było to uczucie. Zbliżył się do dziewczyny i przysiadł obok niej.

– Kim więc jesteś? – zapytał.

– Mam na imię Matylda. Byłam częścią Trójniaka, a teraz... – Uniosła ręce do głowy i przejechała palcami od czoła do karku poprzez ciemność i skronie. Uśmiechnęła się. – Jestem wreszcie sama...

– A kim ja jestem?

– Nazywasz się Arnold Löwefell i uratowałeś mi życie.

– Zaledwie pomogłem je zmienić – odparł.

– Udało się. Mój Boże, udało się! – w jej głosie tym razem rozbrzmiewała radość.

Choć nadal podszyta nutą niepewności. Tak jakby Matylda nie wiedziała jeszcze, czy aby na pewno operacja nie spowodowała choroby, która nie pozwoli jej się długo nacieszyć nowym życiem.

– Wszystko na razie świadczy o tym, że rzeczywiście się udało –

przytaknął.

– Czy coś mi grozi?

Rozmawiała z nim, cały czas trzymając dłonie na głowie i delikatnie masując skórę w tym miejscu, gdzie poprzednio znajdowało się połączenie z wielkim workiem mózgu, który współdzieliła z braćmi.

– Z medycznego punktu widzenia? Nie sędzę.

– A z innego?

– Sędząc po twoim dobrym humorze, chyba nie.

– Podejrzewałeś, że będę żałować rozstania z braćmi?

– Mogło tak być...

– O, tego na pewno nie żałuję! – powiedziała stanowczo.

– Może również bałem się twojego żalu za utraconymi zdolnościami – powiedział. – Chociaż nie wiem, ani jakie one były, ani w jakim stopniu się utrzymały.

Wzruszyła niecierpliwie ramionami.

– Nie wiem na razie, co zostało, i nie wiem na razie, co uciekło. Zobaczymy. Niewiele z tych zdolności, jeśli chcesz wiedzieć, było mi do czegokolwiek potrzebne. Były potrzebne Inkwizytorium, a nie mnie samej.

– Jeśli pozwolisz... – powiedział Löwefell, wyciągając dłonie. – Pozwól, że zbadam twoją głowę.

Mrugnęła powiekami na znak zgody, a on położył dłonie na jej włosach. Przymknął oczy i skupił się.

– Słyszysz mnie? – spytał w myślach.

– Och, wyraźnie jak nigdy – odparła również w myślach i wyczuł zdziwienie w jej głosie.

– A więc ta zdolność nie zniknęła – stwierdził zadowolony.

– Mam wrażenie, że... – Umilkła na chwilę. – Wszystko jest czystsze, bardziej kolorowe...

– Myśli są kolorowe? Moje myśli?

– Och, myśli ich wszystkich... – wyraźnie zaśmiała się. – Tych, którzy nas podsłuchują, również. Zabawni.

– Kto nas podsłuchuje?

– Mnisi. Na rozkaz Mariusa. Nasza kwatera jest połączona specjalnymi tunelami w ścianach, by słychać było każde słowo w komnatach obok.

Siedzą i słuchają. Ach, a w suficie mają otwory do podglądania...

Löwefell oczywiście nie spodziewał się niczego innego, lecz rozbawiło go to, jak łatwo Matylda dojrzała podglądaczy i podsłuchiowaczy.

– Sądzę, że nie poprzestali na tym, jak uważasz?

Położyła dłonie na jego dłoniach.

– Tego jeszcze boję się sprawdzić – powiedziała. – Ale jestem pewna, że obserwują i słuchają nas nie tylko w zwyczajny, prosty i ludzki sposób. Cały czas sprawdzają ciebie i twoją lojalność, Arnoldzie. Teraz będą sprawdzać zarazem i ciebie, i mnie.

– Wydaje mi się, że wszystko jest z tobą w porządku – rzekł Löwefell na głos i zdjął dłonie z jej głowy.

Przez chwilę miał dotkliwe poczucie straty. Utraty bliskości i porozumienia.

– Też mi było z tobą dobrze – usłyszał rozbawiony głos w swojej głowie.

Nawet nie drgnął i wiedział również, że udało mu się zachować nieruchomą twarz. Ale tak naprawdę był zachwycony (coś takiego, pomyślał, nie sądziłem, że użyję jeszcze kiedyś słowa „zachwycony” w odniesieniu do własnych odczuć!) zarówno tym, iż bliskość nie została przerwana, jak i faktem, że będą mogli utrzymywać kontakt nie tylko za pomocą dotyku. I oczywiście fascynowało go, iż zdolności Matyldy, przynajmniej w tym zakresie, wzrosły po operacji.

– Kiedyś to było jak odgłosy dobiegające człowieka ukrytego pod wodą. W tej chwili wszystko brzmi jak w czystym, górskim powietrzu. Wszystko się niesie tak daleko i tak wyraźnie – ciągnęła z wyraźnym zachwytem.

– Musisz bardzo uważać – przykazał stanowczo Löwefell i teraz był naprawdę zaniepokojony. – Twoje nowe zdolności mogą się nie spodobać. A na pewno nie spodobają się, jeśli spróbujesz myszkować tam, gdzie nikt cię nie zapraszał...

– Nie jestem głupia, Arnoldzie – odparła z urazą. – Wiem, jak niebezpieczni są ludzie, którzy tu mieszkają.

– Niebezpieczni? Tak, to prawda, że jesteśmy niebezpieczni – zgodził się Löwefell nawet nie tyle z nią, co z własnymi myślami. – A na pewno nie lubimy, kiedy ktoś nas podsłuchuje – zwrócił się już do niej.

– Będę ostrożna – obiecała.

Inkwizytor nie do końca był pewien, czy można ufać temu zapewnieniu (sądził raczej, że niekoniecznie), ale jakież miał inne wyjście?

– Robiłam wiele rzeczy dla Inkwizytorium – powiedziała. – Wiele ważnych i skomplikowanych rzeczy. Umiem zadbać o siebie, wierz mi.

– Mam nadzieję – odparł.

– Chciałabym, żebyś mi coś poczytał – poprosiła na głos. – Co ty na to?

– Czemu nie? – odparł. – Ale może lepiej wezwiemy któregoś z mnichów, wyćwiczonego w zajęciu lektora. Zapewne milej by ci było słuchać jego głosu oraz interpretacji.

– Och nie. – Wzruszyła ramionami. – Nie chcę tu nikogo obcego.

– Na jaką lekturę miałabyś ochotę?

Zmrużyła oczy i dotknęła wskazującym palcem nosa.

– Hmmm – mruknęła. – Coś heroicznego. I tajemniczego. O wielkich bohaterach, wielkiej misji i wielkiej miłości. O ludziach, którzy są tak słabi, że ich życie pęka niczym gliniany dzbanek zrzucony na kamienną podłogę, i o ludziach, którzy są tak mocni, że ich życie trwa niczym dąb wrośnięty korzeniami w ziemię mokrą od krwi.

– A więc „Siedmiu Wspaniałych Rzymian” będzie w takim wypadku najlepszym wyborem – powiedział z uśmiechem.

– „Siedmiu Wspaniałych Rzymian” – zgodziła się z nim. – Zaczniij czytać od momentu, kiedy Decymus Kasjusz i jego żołnierze spotkali Valerię Flavię. Dni mijały spokojnie, jeden podobny do drugiego. Löwefella nie niepokojono przesłuchaniami dotyczącymi stanu zdrowia Matyldy (zadawano jedynie zdawkowe pytania), nie otrzymywał też żadnych poleceń dotyczących tego, jak ma z nią postępować. Tak więc spędzali czas głównie na spacerach oraz na lekturze. A także na całkowicie oficjalnym i głośnym badaniu zdolności dziewczyny. Jak również na bardziej skomplikowanych badaniach, które toczyły się w myślach Löwefella i jego podopiecznej i które miały pozostać sekretem pomiędzy nimi. Inkwizytor wiedział, że ten spokój jest jedynie pozorny. Wewnętrzny Krąg ani o nich nie zapomniiał, ani nie stali się dla niego mniej ważni. Prędzej czy później pojawi się ktoś, kto zażąda dokładnego raportu ze wszystkich działań. Zresztą właśnie na poczet tego raportu

Löwefell każdego dnia wieczorem zapisywał wszystko, co robili, o czym rozmawiali i czym się zajmowali. Rzecz jasna opisywał tylko widzialny i słyszalny fragment ich wzajemnych stosunków, a to, czym zajmowali się, wymieniając myśli, pozostawiał w sekrecie. Wiedział, że może za to zapłacić, jeśli okaże się, iż ich wymiana myśli nie była jednak tajemnicą. Ale nie zamierzał niczego zmieniać. Intuicja podpowiadała mu, że dopóki nie pozna wszystkich sekretów i zdolności Matyldy, to lepiej będzie, jeśli zachowa najdalej posuniętą dyskrecję.

Nigdy nie wychodzili poza obręb murów, ale klasztor był budowlą tak wielką, że jego zwiedzanie nieprędko mogło się znudzić kobiecie, która przecież całe swoje życie spędziła unieruchomiona w łóżku. Löwefell pokazał Matyldzie wszystkie kaplice, w tym główną kaplicę o strzelistym suficie i kolorowych witrażach, w których szkła ułożono tak zręcznie, iż wyobrażone na nich postaci i przedmioty zdawały się poruszać pod wpływem promieni światła. Zaprowadził dziewczynę do biblioteki, zarówno do tych wielkich sal, w których na tysiącach półek przechowywano oprawione w płótno i skórę tomy, jak i do tych zajętych przez mnichów trudzących się przepisywaniem kolejnych ksiąg. W klasztorze była również niewielka drukarnia, ale po pierwsze, uważano, że niektórych ksiąg nie należy kopiować w dużej liczbie egzemplarzy, a po drugie, mnisi słusznie sądzili, iż żadne mechaniczne dzieło nie może się równać ze zręcznością palców doświadczonego kopisty, z jego dokładnością oraz zmysłem artystycznym. Inkwizytor pokazał również Matyldzie salę jadalną, specjalnie przeznaczoną do przyjmowania i podejmowania oficjalnych gości, a także zaprowadził ją na dwie najwyższe wieże, z których rozciągał się widok na okolicę. Zwłaszcza ta ostatnia wycieczka zachwyciła Matyldę i Löwefell widział, z jakim żalem dziewczyna opuszcza taras, z którego roztaczał się widok na lasy, wzgórza i przełomy wijące się wśród nich rzeki.

– Nie miałeś wiele lasów u siebie, prawda? Tam, w Persji...

Löwefell jakoś nigdy nie myślał o perskich lasach. Pamiętał morze, nad którym stał jego pałac, i pamiętał szczyty wyższe i bardziej majestatyczne od alpejskich, szczyty opromienione legendą i mitem. Góry, które na wieki stały się milczącymi świadkami bitew pomiędzy demonami i bohaterami.

– Na pewno nie rosły tam takie lasy jak tutaj – rzekł na głos. – Persja wydaje się stara i zmurszała – dodał po namyśle. – Jest niczym osypujące się mury spojone zwietrzałą zaprawą.

– A Cesarstwo?

Uśmiechnął się.

– Cesarstwo jest jak stalowy, zakrwawiony miecz. Błyszczące i świeże. Pachnące.

Pokręciła głową.

– Dziwne porównanie – odparła.

– Tak, może i dziwne – zgodził się z nią.

– Niewiele pamiętasz, prawda? – zapytała, a w jej głosie usłyszał współczucie. – Ze swojej przeszłości – dodała tonem wyjaśnienia.

– To i owo – odparł Löwefell. – Z roku na rok coraz więcej.

– Czy to prawdziwe wspomnienia?

Inkwizytor nie odpowiadał przez dłuższy czas. Taaak, to również przyszło mu do głowy, nie raz i nie dwa. Że wspomnienia, które odradzają się w jego umyśle, tak naprawdę wcale nie należą do niego. Ale wtedy wypadało zadać pytanie: do niego, czyli do kogo? Do obłąkanego czarnoksiężnika Narsesa czy do prawowiernego inkwizytora Löwefella? Bo przecież ciało było zaledwie dzbanem, który napełniono i zapieczętowano. Zawartość można przelać tu lub tam w zależności od chęci przelewającego. Czy jednak po przelaniu ciecz będzie ta sama? A może taka sama? Czy sam proces nie zanieczyści jej? A może wręcz przeciwnie: uszlachetni? A może zmieni w bliżej niezidentyfikowany sposób? Löwefell nie wiedział, jak odpowiedzieć na te pytania, gdyż tak naprawdę nie miał pojęcia, jakim zabiegiem poddano jego umysł, duszę i ciało. Po jakie moce sięgnięto, by uformować nowego, rosnącego w potęgę inkwizytora? Czy stworzono go w jakimś konkretnym celu, czy po prostu wykreowano nowego żołnierza Światłości, którego zadaniem było, zaledwie i aż, stać się jednym z pionków na polu bitwy Dobra ze Złem.

– Może prawdziwe – odrzekł wreszcie.

– Może i tak – przyznała Matylda. – A może i tak, i nie.

– Jak wszystko.

– Jak wszystko – powtórzyła smutno.

Siedzieli dłuższą chwilę w milczeniu, wreszcie Löwefell usłyszał w głowie pytanie Matyldy:

– Czy umiesz tak nas osłonić, by nikt nie był w stanie nas podsłuchać?
Pokręcił głową.

– Nie sądzę – odparł również w myślach. – A nawet gdyby mi się to udało, to tylko wywołałoby to alarm oraz podejrzenia.

Skinęła po chwili głową.

– Będziemy więc rozmawiać o ważnych sprawach zawsze i tylko w myślach?

– Wcale bym się nie zdziwił, gdyby i to nie było tylko naszą tajemnicą – odparł.

– Niczego nie czuję – zaprotestowała. – Nie czuję niczyjej obecności, kiedy to robimy.

– Zręczny włamywacz zwykle ukrywa się w cieniu – zauważył Löwefell.

– W klasztorze jest wielu ludzi dotkniętych błogosławieństwem, wielu skażonych klątwą oraz wielu, o których trudno powiedzieć, czy dotknęła ich klątwa, czy też błogosławieństwo.

Löwefella zainteresowały te słowa, gdyż nigdy nie przypuszczał, że w klasztorze mogą odgrywać rolę ludzie dotknięci jakimś rodzajem klątwy. Chociaż patrząc z drugiej strony, czyż sama Matylda do niedawna nie była przytłoczona przekleństwem swego urodzenia? Czyż sam Löwefell nie był dotknięty klątwą niepamięci? A Katrina? A Marius? Czy ich moc miała jedynie same zalety, czy też gdzieś kryła się cena, którą musieli za tę moc zapłacić?

– Czy powiesz mi, co robiłaś dla Inkwizytorium? – spytał już na głos.

Doskonale wiedział, że tego właśnie pytania spodziewano się po nim, gdyż tylko porównując dawniejsze i obecne zdolności Matyldy, mógł nabrać wyobrażenia o jej stanie. Poza tym odpowiedź tak czy inaczej go interesowała. Matylda milczała bardzo długo. Löwefell zastanawiał się, czy dziewczyna myśli o tym, czy wyjawić mu sekret, czy też w jakiej części lub w jakiej formie go wyjawić. A może, przyszło mu nagle do głowy, nie jestem jedyną osobą, z którą Matylda prowadzi magiczne konwersacje?

– Robiliśmy wiele rzeczy – odezwała się wreszcie. – Podróżowaliśmy.

– Podróżowaliście?

Uśmiechnęła się z goryczą.

– Dziwnie to brzmi, prawda? Stwór taki jak my, ni to człowiek, ni to monstrum, bezwolny, unieruchomiony, zdany na łaskę innych... Ale tak – westchnęła. – Podróżowaliśmy. Nie w takim sensie jak zwykli ludzie, lecz widzieliśmy wiele rzeczy, których widzenia od nas wymagano.

– Czyli?

– Widzieliśmy demony, Arnoldzie – odparła. – Widzieliśmy pęknięcia mistycznych zasłon i wyrwy pomiędzy światami. Widzieliśmy również, kto i gdzie wnika do naszego świata, by nękać dobrych chrześcijan...

– Widzieliście wszystkie demoniczne manifestacje na całym świecie? – spytał Löwefell jednocześnie zdumiony i zafascynowany jej słowami.

– Och nie! – zawołała. – To byłoby zbyt straszne! Zwariowalibyśmy od tego. – Potrząsnęła głową. – Widzieliśmy tylko niektóre, jak to nazywasz, manifestacje. Zwłaszcza te, które można określić jako potężne. Ale dostrzegaliśmy również, co się dzieje w nie-świecie, obserwowaliśmy starcia tam toczone i magiczne nawałnice przetaczające się pomiędzy światami.

– Niezwykłe.

– Niezwykłe – powtórzyła. – Tak, niezwykle – zgodziła się po chwili. – Ale z początku napełniające nas strachem i wyczerpujące. Potem może już nie przerażające, lecz nadal wyciskające z nas siły, osłabiające. I tak bardzo smutne.

– Smutne?

– Widzieliśmy, czuliśmy i słyszeliśmy zbyt wiele, by nie odcisnęło to na nas piętna. Będę je nosić do końca życia, Arnoldzie, niezależnie od tego, jakie zdolności pozostały mi teraz, kiedy jestem sama – usłyszał w jej głosie prawdziwą i szczerą żalność. Nie wynikała ona jednak z poczucia samotności, a z poczucia, że nigdy nie zapomni o tym, co widziała i słyszała dzięki swym zdolnościom.

– A jakie umiejętności ci pozostały?

– Na pewno nie ta, o której mówiłam – rzekła. – I Bogu dziękować! Mam nadzieję, że nigdy już do mnie nie wróci. Nie widzę demonów ani nie-świata, nie czuję pęknięcia zasłon oddzielających światy. To wielka ulga uwolnić się od tego koszmaru.

– Wewnętrzny Krąg nie będzie tym zachwycony tak jak ty...

Wzruszyła ramionami.

– Och, jestem przekonana, że ta zdolność została przy moich braciach. A właśnie... – Urwała na moment. – Jak oni się czują?

Od operacji minęło sześć dni, a Matyllda po raz pierwszy zadała pytanie dotyczące bliźniaków. Czy nie interesowali jej, czy też chciała wyprzeć ich z umysłu, gdyż przypominali jej o przeszłości, którą chciała również wyrzucić z pamięci?

– Doniesiono mi, że ich stan fizyczny jest doskonały – odparł Löwefell.

– Ale jak wygląda ich stan psychiczny oraz zdolność dysponowania nadnaturalnymi mocami, tego mi już nie wyjawiono.

– To dobrze – odparła Matyllda, a Löwefell domyślił się, że odpowiedź dotyczy pierwszej części jego zdania. – Nie życzę im źle...

– Czy chciałabyś ich zobaczyć?

Pokręciła głową ze zdecydowaniem, które zaskoczyło inkwizytora.

– Nie. Nigdy.

– Czy wyrządzili ci krzywdę?

– Nie. Oczywiście, że nie – usłyszał szczere zdziwienie w jej głosie. – Nie jestem kimś, komu łatwo wyrządzić krzywdę – dodała. – Zresztą nigdy nie mieli takiego zamiaru. Oczywiście kłóciliśmy się czasami i złościliśmy się jedno na drugie, ale trudno przecież, by było inaczej, kiedy sprawa dotyczy ludzi zmuszonych do tego, by wegetować przez wiele lat jedno obok drugiego, nie tylko bez wyboru, ale nawet bez nadziei na wybór... – Zamilkła, potem uśmiechnęła się szeroko. – A nadzieja pojawiła się dopiero wraz z tobą.

– Cóż, miło słyszeć, że komuś się przydałem – odparł żartobliwym tonem.

Löwefell pomyślał, że rola Trójniaka była nie do przecenienia dla Inkwizytorium. Pełnił podobną rolę jak kanarki w kopalniach, ostrzegające przed wybuchem. Albo jak posokowce wskazujące, w którą stronę należy biec, by upolować zwierzynę. Inkwizytorium dysponowało, dzięki Matyldzie i jej braciom, niezwykle cenną bronią. Czy byli jedyną bronią tego typu, czy też jedną z wielu? No i jakie mieli kolejne zdolności? Jeśli w ogóle je mieli...

– Będę ci pomagał, w czym tylko będę mógł i na ile wystarczy mi sił –

dodał.

– Dlaczego rozmawiasz ze mną w taki sposób? Dlaczego sprawiasz wrażenie, że chcesz być moim stronnikiem? – zapytała znowu w myślach, na tyle gwałtownie, że Löwefell drgnął, jakby jego uszy przeszył niespodziewany, nieprzyjemny dźwięk.

Matylda uśmiechnęła się i nieoczekiwanie położyła dłoń tuż koło jego dłoni. Ich palce się zetknęły.

– Przepraszam – powiedziała. – Mam czasami kłopoty, by zapanować nad siłą myśli.

– Nie szkodzi – odrzekł. – Zastanawia mnie, jak mocna mogłabyś być, gdybyś chciała.

Zawahała się.

– Nie wiem – odpowiedziała wreszcie i w jej myślach wyczuł szczerość. – I nie jestem pewna, czy chciałabym wiedzieć.

Czy jesteś głośnym wołaniem, pomrukiem burzy, czy trzęsieniem ziemi? – zastanowił się inkwizytor.

– Znam cię, Arnoldzie, i wiem, że nie uczynisz niczego, co zaszkodzi sprawie, o której zwycięstwo walczysz. Ale pragniesz również odkryć tajemnice przeszłości i sekrety teraźniejszości. Ja mogę ci w tym pomóc...

– Z wdzięczności za pomyślnie przeprowadzoną operację?

Zaśmiała się.

– Może kogoś takiego jak ty, pozbawionego właściwych ludziom emocji, zdziwi fakt, że jestem ci wdzięczna. Ale tak: jestem ci wdzięczna. Za to, że zdecydowałeś się na zabieg, za to, że przedstawiłeś moje racje, i za to wreszcie, że nie zrobiłeś ze mnie śliniącej się niedojdy. Za to wszystko jestem ci wdzięczna.

– Nie jestem pozbawiony właściwych ludziom emocji – odparł Löwefell bez urazy. – One po prostu nie mają nade mną władzy.

– Można i tak to nazwać – odparła obojętnie. – W każdym razie ja, Arnoldzie, jestem człowiekiem ze wszystkimi ludzkimi wadami i zaletami. Z emocjami rodzonymi przez gniew, żal czy strach. Ale również z takimi jak wdzięczność.

– Jednak przemawia przez ciebie nie tylko wdzięczność, prawda?

– Każdy w klasztorze ma swoje plany, swoje sekrety, każdy knuje intrygi... A niektórzy splatają sieci tak złożone, iż sami się w nich gubią –

dodała z niechęcią. – Co, jak dokładniej się zastanović, jest nawet zabawne dla kogoś, kto na wszystko spogląda z boku.

– Zabawne – powtórzył Löwefell.

– Nie, dobrze, wcale nie jest zabawne – zgodziła się z nim niespodziewanie. – Jest groteskowe, zawstydzające i szkodliwe dla funkcjonowania całości mechanizmu.

– We wszystkim jest Boski Plan.

– Boski Plan zakłada istnienie szczurów zżerających zboże w magazynach. Ale Boski Plan zakłada również istnienie kotów, walczących ze szczurami. Czyż nie jest tak?

– Jesteś kotem? Chciałabyś być kotem? Uważasz się za kota?

– Tak jak ty, chciałabym być użyteczna.

Lub myśleć, że jesteś użyteczna. Lub być zapewnianą, że jesteś użyteczna, pomyślał na własny użytek. Nie był pewien, czy Matylda potrafi przeniknąć do jego myśli nawet wtedy, kiedy nie kierował tych myśli do niej.

– Oczywiście, że tak – odparła rozbawiona.

Löwefell westchnął i spojrzał w jej twarz.

– Jesteś taka młoda – powiedział głośno.

– Ale widziałam tysiąc razy za dużo, jak na ten wiek – odparła i spojrzała mu prosto w oczy.

Ku swojemu zdumieniu zobaczył w tych oczach przez chwilę to samo, co widział w oczach Aniołów. Pustkę pędzącą ku szaleńczemu zatraceniu. Labirynty obłądu. Ale zaraz potem Matylda zamrugła i znowu widział już tylko ładne, nieco smutne oczy młodej kobiety.

– Poza tym – kontynuowała – źle oceniasz mój wiek. Widząc nas, założyłeś, że jesteśmy wynaturzeniem, niedawno pozyskanym na usługi Inkwizytorium. Nie przyszło ci do głowy, Arnoldzie, że pomimo zewnętrznych cech wskazujących na młody wiek wcale tacy młodzi nie jesteśmy?

Löwefell zorientował się ze zdziwieniem i złością na samego siebie, że naprawdę nie brał tego pod uwagę. Oczywiście wiedział, że Katrina czy van Bohlenwald są znacznie, znacznie starsi, niż wskazuje na to ich fizys, ale w wypadku Trójniaka w ogóle nie brał podobnego rozwiązania pod uwagę. Rzeczywiście sądził, że dwadzieścia lat temu w ręce Świętego

Officjum wpadło fizycznie zdegenerowane dziecko o nadzwyczajnych zdolnościach umysłowych.

– A więc jak bardzo nie jesteś młoda? – zapytał, starając się lekkością pytania zamaskować zakłopotanie.

– Nie tak bardzo. – Wzruszyła ramionami. – Nic przerażającego. Nie narodziłam się w Mrocznych Wiekach i nie widziałam, jak budowany jest klasztor...

– A szkoda.

– Oczywiście, że szkoda. – Znowu wzruszyła ramionami. – Mam ponad czterdzieści lat, ale czas płynął z jakichś powodów inaczej dla mojego ciała...

– To prawda – rzekł Löwefell. – Wszyscy macie narządy w stanie właściwym dla dwudziestolatków, nie ludzi dwa razy starszych.

– I to nie jest zasługa Officjum, nie żadnych modłów, zaklęć, olejków, maści ani proszków – prychnęła. – To nasza cecha własna.

– Być może już nie.

Skinęła głową ze smutnym wyrazem twarzy.

– Też o tym myślałam. Ale pomyślałam też, co mi przyjdzie po wiecznej urodzie, wyglądzie i zdrowiu dwudziestolatki, skoro będę tkwiła przykuta do łóżka i do braci, których miałam serdecznie dosyć. Może i będę się starzeć jak zwykły człowiek, za to będę się starzeć na wolności. – Westchnęła i spojrzała w okno. – A przynajmniej na względnej wolności – dodała. – Myślisz, że kiedyś pozwolą mi wyjść? – spytała po chwili.

– Wyjść na spacer czy odejść na zawsze?

Uśmiechnęła się smutno.

– I to, i to.

– Wyjść na spacer możemy w każdej chwili. Nie tylko do klasztornego ogrodu, nie tylko na spacer wzdłuż murów, ale również za same mury. Nauczę cię jeździć konno, pojedziemy nad rzekę, może odwiedzimy najbliższą wioskę, popłyniemy łódką, zjemy obiad w gospodzie...

– Nie pozwolą nam!

– Dlaczego mieliby nam nie pozwolić?

– Za dużo wiem.

Löwefell uśmiechnął się.

– I komu o tym opowiesz? Niepiśmiennym chłopom? Drzewom w lesie? Rybom w rzece?

Odpowiedziała mu zgaszonym uśmiechem.

– Tak czy inaczej, boją się o mnie. Nie chcą, abym umarła, aby coś mi się stało złego. Przynajmniej do momentu, kiedy nie dowiedzą się o mnie tego, czego pragną się dowiedzieć. Chcą mnie zbadać, spenetrować...

– Dziwisz się, że muszą zrozumieć, kim teraz jesteś? Przecież doskonale wiesz, że zbadanie cię jest również moim zadaniem. Oczywiście oprócz tego, że zamierzam dbać o twoją kondycję – dodał lżejszym tonem.

Po chwili rozchmurzyła się.

– No to naucz mnie jeździć konno – zdecydowała. – A umiesz pływać?

Inkwizytor może nie pływał jak ryba, jednak radził sobie całkiem nieźle nawet w silnym nurcie. Zastanawiał się, skąd dysponował tymi umiejętnościami. Czy były one oryginalną cechą Arnolda Löwefella, czy też zostały mu w spadku po Narsesie? Na razie nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Zapewne Narses nauczył się pływać jako młody człowiek, ale czy kiedykolwiek miał okazję ćwiczyć tę umiejętność? Löwefell nie potrafił sobie wyobrazić, żeby ten zasuszony starzec, ta zdeformowana lalka koloru pajęczego kokonu, mógł kiedykolwiek znaleźć przyjemność w kąpieli.

Następnego dnia Löwefell nikogo nie pytał, czy może opuścić klasztor wraz z Matyldą. Po prostu poszli główną aleją prowadzącą w stronę centralnej bramy. Po drodze minęli kilku mnichów zajętych swoimi sprawami, grupkę dyskutujących inkwizytorów, których Löwefell znał jedynie z widzenia, wreszcie w odległości kilkudziesięciu kroków mignęła im Katrina, która radośnie zamachała w ich stronę.

– Katrina – powiedziała Matylda, opuszczając wzrok.

W jej głosie Löwefell usłyszał respekt, może nawet podszyty strachem.

– Lubisz ją, prawda? – zapytała.

– Doceniam jej wielkie zdolności – odparł Löwefell. – Szanuję ją.

– Jest potężna, prawda?

– Bardziej, niż sądziłem – odparł, nie widząc powodu, by to ukrywać.

– Podejrzewam, że jest potężniejsza nawet, niż sądzisz to w tej chwili.

– Dlaczego tak uważasz?

– Jest pusta – odparła Matylda, a Löwefell zrozumiał, że to nie jest wcale inwektywa. – Całkowicie przejrzysta, nieosiągalna dla mnie. Zawsze taka była. Jak tafla szkła.

– Nie dziwi mnie to – odparł inkwizytor.

Przypomnił sobie podróż z Katriną do nie-świata. Jej niezwykle moce oraz łatwość, z jaką z nich korzystała. I przypomnił sobie również strach demona i to, z jaką wprawą i lekkością umiała go torturować.

– Widzę obrazy, które ukazujesz – szepnęła Matylda i wzięła Löwefella za rękę. Poczuł, jak jej zimne palce mocno ściskają jego dłoń. – Strzeż się jej, Arnoldzie.

– W Amszilas należy strzec się każdego – odparł sentencjonalnie. – Tak to już wygląda i sama dobrze o tym wiesz. Każdy tutaj odda za ciebie życie, jeśli uzna, iż jest to użyteczne dla Sprawy, i równie dobrze każdy zabierze twoje życie, jeśli wyda mu się to słuszne.

– Zabiłbyś mnie? – zapytała ze zdumieniem tak dziwnym u kogoś, kto spędził tyle lat w klasztorze.

Zatrzymał się na chwilę i spojrzał prosto w jej twarz.

– Matyldo, śmierć czy życie są ważne tylko o tyle, o ile służą, by przybliżyć triumf naszego Pana. Nie jesteśmy istotni jako byty, a jedynie jako budulec.

Westchnęła i ruszyła w stronę bramy. Pociągnęła go za sobą.

– Wszyscy tu jesteście szaleni, Arnoldzie – stwierdziła.

Doszli do bramy, przy której nie było nawet żadnej straży. Potężne wierzeje zablokowane zostały grubą niczym belka sztabą, za tymi drzwiami znajdowała się kratka, za kratą kolejna brama. Ale Löwefell nie miał zamiaru zmuszać nikogo, by biedził się nad otwieraniem tych wszystkich zapór tylko dla nich dwojga. Wiedział, że kilkanaście kroków dalej znajduje się mała furтка, którą przechodzi się do wąskiego tunelu w murze, by wyjść drugą furtką już na zewnątrz. Tych furtek z reguły nawet nie zamykano na klucz, a zaledwie zatraskiwano na skobel.

– To takie proste – zaśmiała się Matylda, kiedy znaleźli się wewnątrz muru.

– Proste dla kogoś, kto wie, oraz dla kogoś, kto nie ma złych zamiarów. Widziałas, że nas obserwowano, prawda?

Dziewczyna skinęła głową.

– Dwaj mnisi, dwóch łuczników na blankach i jeden bardzo potężny inkwizytor.

– Potężny inkwizytor? Któż taki?

– Nie wiem. – Potrząsnęła głową. – Nigdy wcześniej go nie spotkałam. Jego myśli były jak... – Zastanawiała się chwilę. – Jakbyś wziął świeżo namalowany obraz i mocno przetarł płótno mokrą dłonią.

– Coś takiego...

Pchnął drugą furkę i wyszli na zewnątrz murów. Matylda szybko postąpiła kilka kroków do krawędzi wzgórza i spojrzała przed siebie.

– Pierwszy raz w życiu mam mury klasztorne za plecami, nie przed oczami.

– Chcesz zejść w stronę rzeki?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nie, przejdźmy się tylko wzdłuż murów. Może jutro pójdziemy dalej?

– Jak sobie życzysz... Czy ten inkwizytor ukrywał myśli specjalnie przed tobą? – Löwefell wrócił do interesującej go obserwacji Matyldy.

– Nie sędzę.

– Czy wiesz, w jaki sposób to robił?

Nachyliła się i zerwała dmuchawiec. Dmuchnęła i roześmiała się, kiedy białe pyłki popłynęły w powietrzu niczym małe stateczki żeglujące wśród wietrznych fal.

– Podejrzewam – odparła.

– Czy sądzisz, że mogłabyś mnie tego nauczyć?

Obróciła się w jego stronę.

– Arnoldzie, mam cię nauczyć, w jaki sposób możesz ukrywać swoje myśli przede mną? – zapytała rozbawiona.

– Jeśli nie miałabyś nic przeciwko temu – odparł poważnie.

Wzruszyła ramionami.

– Właściwie czemu nie? Nie jestem pewna, czy coś z tego wyjdzie, ale mogę spróbować. Taka zdolność może ci się kiedyś bardzo przydać. – Tym razem patrzyła na niego bez rozbawienia i bez uśmiechu. – I wyobraź sobie, że wcale nie myślę tutaj o sobie samej.

– Domyśliłem się.

– Ufasz Katrinie, prawda?

Löwefell był pewien, że rozmowa wróci jeszcze do kobiety, z którą

podróżował przez nie-świat, więc pytanie nie zdziwiło go.

– Trudno odpowiadać na pytania, kiedy nie wiadomo, czy nasz rozmówca tak samo jak my pojmuje słowa w nich użyte... – odparł.

– Chcą, żebyś jej ufał – rzekła.

– Tego również się domyśliłem.

– Bawi cię to?



– Po prostu nie przejmuję się tym.
Pokiwała głową.

– Może to i dobrze. Wystarczy, że wiesz. Więc po co nad tym rozmyślać?

– Spójrz. – Löwefell wyciągnął dłoń przed siebie. – Widzisz to drzewo, które wydaje się czubkiem dotykać chmury? Tej chmury, która wygląda jak smok... Widzisz? Gałęzie przy samym brzuchu smoka?

Zmrużyła oczy.

– Widzę.

– To najwyższa jodła w tych lasach. Mówią, że kto wie czy nawet nie najwyższa na świecie. Ma prawie dwieście stóp wysokości.

– Dlaczego mi ją pokazujesz?

– Myślisz, że dla tego ogromnego, gęstego lasu wokół niej stanowiłoby jakąkolwiek różnicę, gdyby ją ścięto? Przecież jodły rosnące obok są niemal tak samo wysokie jak ona. Być może nawet nikt by nie zauważył, że najwyższa z nich właśnie zniknęła.

– Nawet najwięksi z nas nie są ważni – odezwała się cicho. – To mi właśnie chcesz powiedzieć?

Löwefell wolnym krokiem ruszył naprzód.

– Ja tylko pokazywałem ci drzewa – odparł lekkim tonem.

Słyszał, że ruszyła za nim.

– Nie jesteśmy drzewami – zawołała gniewnie. – Jesteśmy ludźmi!

Zatrzymał się i odwrócił do niej.

– Och. Czyżby?

Katrinę spotkał w stajni, kiedy z pomocą masztalerza wybierał konia na tyle łagodnego, by mógł służyć Matyldzie jako pierwszy wierzchowiec w życiu.

– Miło cię widzieć, Arnoldzie – powiedziała serdecznie.

– I ciebie. – Machinalnie wyciągnął dłonie w jej stronę.

I zaraz potem sam zdziwił się, nawet zaniepokoił tym gestem. Ale Katrina zaraz uścisnęła go z naturalnym ciepłem, tak jakby tego gestu nie tylko się spodziewała, lecz wręcz go oczekiwała.

– Jak się miewa twoja podopieczna? – zagadnęła.

– Wybieram właśnie dla niej konia.

– Doradzam Śnieżkę – wtrącił masztalerz.

Katrina uniosła palec.

– Bardzo dobra rada, Arnoldzie – powiedziała. – Posłuchaj jej.

– Dobrze, w takim razie przygotuj mi Śnieżkę na przejażdżkę – zdecydował.

Nigdy nie jeździł na tym koniu, lecz nieraz go widział. Była to piękna arabska klacz, zgodnie ze swą nazwą biała niczym śnieg. Löwefellowi obito się o uszy, że chwalono ją za rozum i łagodność. Sam zazwyczaj jeździł na sprytnym, srokatym wałachu, gdyż bawiło go obserwowanie sposobów, jakie ten koń znajduje, by zwalić go z siodła, a jednocześnie udawać, że wszystkie podstępny, intrygi i pułapki to całkowity przypadek. Lubił również potężnego ogiera, jabłkowitego niderlandzkiego perszerona, który przypominał mu wierzchowce, jakie widział w oddziałach cesarskich arkebuzerów.

– Poświęcasz dużo czasu tej dziewczynie.

– Tak mi przykazano. Ale jak się domyślasz, zawsze jestem do twoich usług, jeśli tylko byś mnie potrzebowała.

Skinęła głową i uśmiechnęła się życzliwie.

– Dziękuję ci, Arnoldzie – powiedziała. – Na pewno wrócimy do naszych spraw, jestem o tym przekonana. Na razie jednak zajmuj się tą biedną Matyldą.

– Sądzę, że w tej chwili nie do końca zgodziłaby się ze słowem „biedna”.

– Wyzwolenie – westchnęła Katrina. – Wieczna przynęta, za którą biegniemy...

– Biegniemy? My?

– A czyż dla ciebie samego powrót pamięci nie ma stanowić wyzwolenia z niepewności? Wyzwolenia z niewiedzy na temat tego, kim jesteś i co kryje się w twoim umyśle?

Skinął głową.

– A jakiego wyzwolenia ty szukasz, Katrino?

Uśmiechnęła się i ścisnęła palcami jego dłoń.

– Opowiedz mi potem, jak poszła wam pierwsza lekcja – powiedziała, odwróciła się w stronę drzwi i odeszła wolnym krokiem.

Löwefell zastanawiał się chwilę, czy spotkanie z Katriną było przypadkowe, czy też służyło jakiemuś celowi. Ale jeśli zostało ukartowane, to z jakiego powodu? Może bym się nad tym zastanawiał? – pomyślał. A później, nie zwracając sobie głowy rzeczami, na które i tak

nie miał wpływu, wysłał służącego po Matyldę, a masztalerzowi rozkazał przygotować konie.

– Skoro ta młoda pani ma jechać po raz pierwszy, może poślę kogoś z wami? Do opieki, do pilnowania...

– Poradzę sobie – zdecydował inkwizytor.

Matylda nadeszła kilkanaście minut później i od razu zachwyciła się białą klaczką.

– Boże, jaka ona jest piękna! – powiedziała z radością i czułością, głaszcząc konia po pysku.

Śnieżka, wyczuwając zainteresowanie i sympatię człowieka, tuliła się do niej i parskała cicho prosto w jej szyję. Löwefell, widząc zwierzę tulące się do szczęśliwej kobiety, poczuł zarówno zadowolenie, jak i ukłucie zazdrości. Zazdrości, iż nie będzie nigdy przeżywał takich chwil jak ta, którą przeżywała właśnie Matylda. Chwil niewinnego poznawania czegoś po raz pierwszy, zwykłej radości z banalnych w swej prostocie doznań. Z tego, że słońce jest jasne i ciepłe, że trawa i kwiaty pachną, że wiatr rozwiewa włosy, a ufne zwierzę tuli się do twarzy... Matylda oderwała się od klaczy i spojrzała w jego stronę ze smutkiem.

– Tak mi przykro – powiedziała.

Löwefell machnął dłonią.

– Nie zawracaj sobie tym głowy – rzekł. – Zdążyłem się już przyzwyczaić, że dla mnie świat ułożył się inaczej niż dla zwyczajnych ludzi. Cóż zrobić? – Wzruszył ramionami.

Potem pomógł Matyldzie wsiąść na konia i siedł obok niej, w prawej dłoni trzymając wodze Śnieżki, a w lewej dłoni wodze swojego srokatego wałacha.

– Tym razem wyjdziemy północną bramą – zdecydował. – Nieopodal niej jest duża łąka. Idealne miejsce dla pierwszych ćwiczeń.

– Jak sobie życzysz.

Matylda jechała uśmiechnięta, trzymając się w siodle nieco sztywno, ale wyraźnie zadowolona.

– Nie sądziłam, że kiedyś to się stanie – dodała. – Zawsze marzyłam o takim dniu jak dzisiejszy, ale nie wierzyłam, że naprawdę nadejdzie. Dziękuję ci, Arnoldzie, że jestem tu, gdzie jestem. – Spojrzała na niego rozjaśnionym wzrokiem.

Wyszli za mury i przeszli na północny skraj łąki, pod sam las. Nie oddalili się zbyt od klasztoru, ale pomimo że wielka budowla wyrastała za ich plecami pod niebo, to Löwefella ogarnęła jakaś irracjonalna ulga. Jakby zrzucił z ramion ciężar.

– Ja też to czuję – odezwała się Matyllda w jego myślach.

– Zastanawiające – odparł inkwizytor.

Nigdy do tej pory nie odczuwał czegoś podobnego, opuszczając klasztor, co więc wydarzyło się teraz?

– Nie są w stanie śledzić nas aż tak intensywnie, kiedy wyszliśmy poza mury – zaryzykowała podejrzenie Matyllda.

– Albo to sztuczka, by sprowokować nas do działań, których nie podjęlibyśmy, gdybyśmy wiedzieli, że jesteśmy obserwowani.

– Jakie działania przeciw Inkwizytorium moglibyśmy podjąć, by Wewnętrzny Krąg zakładał na nas pułapki?

– Doskonale wiedzą, że nigdy nie zrobię niczego skierowanego przeciw naszej Sprawie – stwierdził stanowczo Löwefell. – Ale nie przeszkadza im to przyglądać się, w jaki sposób się zmieniam.

– A ty grasz z nimi w kotka i myszkę – skwitowała rozbawiona.

Czy naprawdę to jest element mojej gry, pomyślał Löwefell. Przekomarzenia się z Mariusem i dostarczania mu powodów do rozmyślań, śledztw oraz intryg? Może w pewnym stopniu, ale przede wszystkim chodzi o to, że nie sędzę, by wszystko, co mnie dotyczy, musiało wyjść na światło dzienne. Przynajmniej na razie.

– Ciebie również są ciekawi. Jesteśmy ciekawi – poprawił się.

– Och, nie wątpię. – Poczul w myślach jej śmiech. – Van Bohenwald patrzy na mnie jak pies na kość. – Zastanawiała się przez chwilę. – A właściwie, ściśle mówiąc, patrzy na mnie jak nowy właściciel domu, który jeszcze nie jest pewien, czy kupił rudere, czy pałac.

Löwefell, na ile znał Mariusa, mógł się zgodzić z podobnym spostrzeżeniem.

– A wiesz, kim był Marius? Kiedyś, dawno temu? – zagadnęła nagle.

Inkwizytor drgnął. Jak mógł nigdy o tym nie pomyśleć!? Zawsze traktował Mariusa jako funkcjonariusza Wewnętrznego Kręgu, a przecież van Bohenwald też skądś pochodził. Jego kariera nie musiała być zwykłą karierą inkwizytora, który otrzymując coraz to nowe

zadania, wykazywał się coraz większymi umiejętnościami i w związku z tym awansował wyżej i wyżej w hierarchii. Czy Marius van Bohenwald powstał dzięki podobnego procesowi, co sam Löwefell? Czy kiedyś również był wrogiem wiary i został nawrócony? Czy wykorzystano jego dawną moc do nowych szczytnych celów?

– Nie mam pojęcia – odparł szczerze. – A ty wiesz?

– Ja wiem – odparła.

– Lub zaledwie sądzisz, że wiesz. Lub pokierowano tobą tak, byś wierzyła, że wiesz.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Czy mogę na chwilę zejść z konia? – spytała na głos.

– Oczywiście.

Pozwolił, by pochyliła się do jego ramienia, i przeniósł ją na trawę.

– Jesteś silny – pochwaliła.

– Jesteś lekka – odparł.

– Nie. Po prostu to wiem – stwierdziła spokojnie w myślach, odpowiadając na pytanie sprzed chwili.

– Opowiesz mi o tym?

– Wyjawię ci wiele rzeczy – rzekła po dłuższej chwili.

– Jaką cenę będę musiał zapłacić?

– Zmierzasz prosto do celu, Arnoldzie, prawda? Ale zaręczam ci, że to nie będzie nic niezgodnego z twoimi przekonaniem.

– Nie wiesz nic o moich przekonaniach – rzekł Löwefell ostrzejszym tonem, niż zamierzał.

Wzięła go pod rękę. Szli teraz wzdłuż północnego brzegu łąki, każde trzymając wodze swego wierzchowca. Dla kogoś obcego, kto nas obserwuje, musimy wyglądać jak para zakochanych, pomyślał. Młoda, ładna dziewczyna i mężczyzna w średnim wieku idą, trzymając się za ręce i prowadząc cenne konie.

– Sądzisz, że jestem ładna? – zapytała na głos.

– Tak uważam – rzekł szczerze, zwłaszcza że kłamstwo przy jej zdolnościach i tak nie miałoby większego sensu. – Choć zdajesz sobie zapewne sprawę, iż uroda jest kwestią gustu oraz przyzwyczajenia, pewnego obyczaju... To rzecz nie tylko ulotna, lecz również umowna.

– Ale mogę się podobać mężczyznom, jak uważasz?

– Oczywiście, że możesz.

Nie mógł na nią spoglądać wzrokiem wzbogaconym o uczucie pożądania, ale całkiem na zimno przyznawał, że jest ładną, intrygującą kobietą. Taką, do której mężczyźni lubią się uśmiechać i jednocześnie lubią, kiedy ona się do nich uśmiecha.

– Myślisz, że kiedyś mi pozwolą...? – Zawiesiła głos. – Mieć mężczyznę?

– To zależy, czy uznają, że jest to korzystne z punktu widzenia interesów Wewnętrznego Kręgu – odpowiedział.

– Sądzę, że podsuną mi kogoś – odezwała się tym razem w jego myślach. – Aby zdobył na mnie wpływ poprzez miłość cielesną i poprzez deklarowane uczucie. Łatwo jest w ten sposób omotać kobietę, prawda?

– Nie tylko kobietę – odparł Löwefell. – Może stać się tak, jak uważasz – dodał. – I dobrze, że zdajesz sobie z tego sprawę.

– Czy ty kiedyś kogoś miałaś?

– Jako Arnold Löwefell? Nie.

– A jako Narses?

– Narses miał wiele kobiet.

– Roksanę.

– Roksanę również.

– A czy miał żonę? Dzieci? Czy kochał kogoś?

– Nie pamiętam niczego takiego – odparł Löwefell.

Sam zadawał sobie wiele razy podobne pytanie. Czy Narses miał dzieci? Jeżeli tak, to co się z nimi stało? Kim były? Co robiły, kiedy zniknął z Persji? Czy zabito je? Wygnano? Czy czekały na jego powrót?

– Sądysz, że na Narsesa ktoś by czekał? – spytała.

– Jego odejście musiało wywołać chaos – odparł. – Było jak uderzenie głazu w powierzchnię wody. Teraz, kiedy minęły lata, kręgi wzburzonej wody zapewne już całkiem zniknęły.

– Opowiem ci o Mariusie, kiedy przyjdzie czas – obiecała.

– A o Katrinie?

Pokręciła głową.

– Sama chciałabym coś o niej wiedzieć. Mijały kolejne dni, a Löwefella nikt ani nie wypytywał o Matyldę, ani też nie zwalniał z obowiązku pieczy nad nią. Inkwizytora nawet dziwiło, że bez trudu znosił towarzystwo tej kobiety, z którą spędzał przecież niemal każdą chwilę,

a której obecność nie przeszkadzała mu pomimo dotychczasowego przyzwyczajenia do samotności. Wyjeżdżali na przejażdżki coraz dalej i dalej, czasami spędzali cały dzień w siodle, rozmawiając nie tylko o tajemnicach i sekretach, ale również o sprawach zwykłego życia. Posiłki jedli zazwyczaj w lesie, choć kilka razy zatrzymali się w zajazdach przy promowej przystani, ale Matylda źle znosiła obecność zbyt wielu obcych ludzi. Rozmawiali ze sobą coraz swobodniej, czasami w myślach, czasami na głos i to Matylda decydowała, która forma w danym czasie jest najodpowiedniejsza i najbardziej bezpieczna.

Tego dnia wyjechali wyjątkowo daleko wzdłuż rzeki. Przystanęli, obserwując zachodzące słońce pochylające się nad lustrem wody i skrzące się krwawą czerwienią na rzecznych falach. Klasztor pozostał za ich plecami i wznosił się pod niebo, częściowo ukryty w chmurach, lecz nadal majestatyczny, potężny i groźny.

– Niebo jest tu takie puste – powiedziała Matylda, wpatrując się w horyzont.

– W porównaniu do czego? Gdzie widziałaś niebo, które jest mniej puste?

Odwróciła wzrok i spojrzała na niego.

– Byłam myślą i wzrokiem w wielu miejscach, kiedy moje zdeformowane ciało gniło na klasztornym łóżku – odparła.

Potem milczała dłuższą chwilę.

– Słyszałeś na pewno o Kościanym Galeonie, prawda?

Inkwizytor uśmiechnął się.

– Kościany Galeon – powtórzył. – Obiekt równie potężny, co mityczny.

– Sądzisz, że nie istnieje?

Löwefell zastanawiał się przez chwilę.

– Jego istnienie czy nieistnienie nigdy nie spędzało mi snu z oczu. Nie przypominam sobie też, bym kiedykolwiek z kimkolwiek o nim rozmawiał.

– Czytałeś...

– Tak, czytałem. Widziałem także ryciny. A nawet jeden całkiem udany obraz. Widziałem również wizerunki psiogłowców, którzy jakoby żyją na wschodnim wybrzeżu Afryki. I cóż, w tym akurat wypadku wiem, że plemienia tego rodzaju hybryd nigdzie ma. Nie tylko na

wschodnim wybrzeżu Afryki, a po prostu nigdzie na świecie...

Matylda skinęła głową.

– Oglądałam wiele przeróżnych hybryd, koszmarów i groteskowych stworów. Ale one powstawały zazwyczaj dzięki mrocznej magii lub na skutek samego wynaturzenia przyrody. I były anomalią, nie zwyczajnością.

Milczeli przez chwilę.

– Widziałam Galeon – powiedziała wreszcie z rozmarzeniem w głosie.
– Widziałam, jak sunie po niebie wielki niczym sztormowa fala, która zagarnęła cały ocean. Widziałam, jak łopoczą jego żagle uszyte z ludzkiej skóry, widziałam, jak z bocianich gniazd wszystko obserwują żywe, ciągle poruszające się oczy. Widziałam, jak drgają w męce i konwulsjach ciała, z których został zbudowany...

– Gdzie go widziałaś? W którym ze światów?

Przymknęła oczy i wiedział, że stara się przywołać pod powiekami obrazy ujrzone w czasie mistycznych wizji.

– Wtedy widziałam go na niebie nie-świata – odparła. – Ale czy widziałam jego przeszłość, przyszłość, czy teraźniejszość, tego nie wiem...

Tak właśnie jest z jasnowidzeniami i wizjami, pomyślał Löwefell. Nigdy do końca nie wiesz, czy pokazują coś, co się wydarzyło, co się wydarzy czy co mogłoby się wydarzyć, gdyby zostały spełnione pewne warunki i zaszły pewne okoliczności.

– Obserwowałam całymi dniami i nocami, jak sunie po niebie w swoim złowrogim majestacie – mówiła monotonnym głosem. – Badałam go i oglądałam. Staralam się wnikać w jego sekrety, odgadnąć, skąd i dokąd się kieruje, co lub kto nim steruje, jakie są jego motywy i zamierzenia...

– I cóż wywnioskowałaś z tych obserwacji?

Otworzyła oczy i wzruszyła ramionami. Z jej twarzy zniknął wyraz tego dziwnego oszołomienia.

– Galeon jest jak forteca – wyjaśniła. – Otoczony murami, pełen zamkniętych bram i pułapek. Zauważ, Arnoldzie, że ja tylko go oglądałam. Czułam się tak, jak gdybym miała niezwykle silną lunetę skierowaną prosto w tarczę Księżyca, by obserwować za jej pomocą

życie księżycowych ludzi...

– Księżyc jest zamieszkały?

Matylda pokręciła głową z politowaniem.

– To tylko przenośnia, Arnoldzie. Nie mam pojęcia, czy Księżyc jest zamieszkały, i nigdy mnie to nie interesowało.

– Ile się dowiedziałaś? Czy w ogóle dowiedziałaś się czegoś, co sama uznałaś za istotne?

– Wiem, jaka jest moc Galeonu – odpowiedziała. – I tego akurat jestem pewna.

– Moc? Inna niż niszczenia wszystkiego, na co się natknie?

– Celem Galeonu nie jest niszczenie – zaprotestowała. – Chociaż wiem, że nasze księgi właśnie o tym mówią i przed tym przestrzegają...

– ...i nawet dają konkretne przykłady – wpadł jej w słowo Löwefell.

– Destrukcja jest jedynie ubocznym skutkiem tego, do czego Galeon został naprawdę stworzony.

– A do czego został stworzony?

– Do zdobywania relikwii i magicznych przedmiotów – powiedziała, patrząc mu w oczy z napięciem. – On je wsysa niczym potężny wir wody. To prawda, że niszczy przy okazji żywą i martwą materię, ale przedmioty święte czy przeklęte w jego czeluściach są bezpieczne, byle byłyby magiczne.

– Coś takiego – rzekł po chwili Löwefell i naprawdę był zdumiony tą informacją.

Inną rzeczą pozostawało, czy to, co Matylda twierdziła na temat Kościanego Galeonu, było prawdą. Równie dobrze mogło być jej imaginacją lub pomyłką. Albo w jakimś celu okłamywała Löwefella. Inkwizytor nie był w stanie kontrolować jej na tyle, by mieć jednoznaczną pewność, kiedy Matylda kłamie, a kiedy mówi prawdę. Zarówno umysł kobiety, jak i jej zdolności stanowiły dla Löwefella jeszcze nie do końca zbadany teren. A może nawet nie od początku zbadany.

– Po co mu te artefakty?

Wzruszyła jedynie ramionami.

– Czy są tam cały czas? Czy artefakty, które porwał, są cały czas w jego ładowniach? Nietknięte i bezpieczne? – kontynuował.

Pokręciła głową na znak, że nie wie.

– Jeśli to w ogóle jest prawda, może magiczne przedmioty są dla Kościanego Galeonu esencją życia, paliwem, pokarmem? Przysmakiem?
– zadawał dalej pytania, bardziej chyba sobie samemu niż jej, bo rozumiał, że Matyllda po prostu nie wie, co odpowiedzieć. – Co czułaś, kiedy go widziałaś?

– Moc – odparła natychmiast. – Potęgę. Ogromną, nieujarzmioną potęgę. Zajmował całe niebo, kiedy płynął przez przestworza. Widziałam jego pokład sięgający od horyzontu po horyzont... Kiedy płynął, wraz z nim płynęło cierpienie. I żądza. Niezaspokojony i niezaspakajalny głód...

– Magii?

Skrzywiła usta.

– Ludzi – odparła. – On chce ludzi. Zbiera magiczne przedmioty, ale chce rosnąć, chce potężnieć, chce nabierać siły. Potrzebuje do tego coraz to nowych istnień.

– Jak je zdobywa?

Löwefell cały czas nie miał pewności, czy rozmawia z kimś, kto jest przy zdrowych zmysłach, lecz wiedział przecieź, że nawet od szaleńców można uzyskać cenne informacje. A kiedy w dodatku chodziło o kogoś, kto tyle lat spędził, rozplątując mistyczne tajemnice...

– Ci, którzy zagubili się w nie-świecie, prędzej czy później trafiają do niego – powiedziała.

Löwefell zmarszczył brwi.

– Podobnych ludzi byłoby za mało, by stworzyć tak potężny magiczny twór.

– Zapewne – zgodziła się po chwili. – Choć jeśli wziąć pod uwagę, że Galeonu nie dotyczą obowiązujące nas prawa czasu i przestrzeni, może nie jest to aż takie niemożliwe.

Inkwizytor zastanawiał się nad jej słowami.

– Widziałaś w nim inne postacie niż ludzi? – spytał wreszcie. – Demony? Istoty z innych światów?

Pokręciła głową.

– Widziałam tylko ludzi, czy raczej ich wciąż żywe i poddawane wiecznym męczarniom szczątki. – Milczała przez chwilę. – Ale wyobraź

sobie, Arnoldzie, że tak jak dla nas czas jest drogą, którą idziemy wciąż naprzód, to dla Galeonu jest on oceanem. – Spojrzała na niego poważnym wzrokiem. – Wyobraź sobie, że Galeon może płynąć wprost i do tyłu. Że jest w stanie również skrócić. Jeżeli tak, jeżeli moje przypuszczenie jest prawdziwe, wyobraź sobie, ilu ludzkich niewolników może mieć na swoim pokładzie.

Inkwizytor wzruszył ramionami.

– To tylko przypuszczenia – powiedział. – Nie mamy żadnych przesłanek, by sądzić, że są prawdziwe.

– Nie masz też żadnych przesłanek, by sądzić, że są nieprawdziwe – zauważyła.

– Zgodzę się z tobą, że wiele rzeczy, które wydają się fantasmagorią, wymysłem lub wręcz wierutną brednią, okazuje się po bliższym i dokładniejszym badaniu niepokojąco bliskie prawdy – stwierdził. – Ale intryguje mnie odpowiedź na jedno pytanie. Jeśli Kościany Galeon jest tak potężny, tak dominujący, to dlaczego nie wspomina o nim żaden z inkwizytorów? Dlaczego ja sam nigdy nie tylko go nie widziałem, ale nie czułem nawet śladu zagrożenia, które przecież płynęłoby od tak niezwykłego... – Zawahał się. – Przedmiotu lub istoty – dokończył.

– Nie-świat nie jest domem Galeonu – odparła natychmiast. – Galeon tylko czasami tamtędy przepływa w swojej nieskończonej podróży pomiędzy światami.

– Zaczekaj. – Uniósł nagle dłoń olśniony wnioskiem płynącym z jej twierdzeń. – Zakładając, że to, co mówisz, jest prawdą, to na pokładzie Galeonu byłyby artefakty z wielu różnych światów. Tam byłaby magia – rozłożył ramiona – całego kosmosu. – Potem uśmiechnął się ironicznie. – No w każdym razie ta część magii, którą zdążył temu kosmosowi ukraść – dodał lżejszym tonem.

Przymrużyła oczy, przyglądając mu się uważnie.

– Niezwykła perspektywa, prawda?

– Istotnie, niezwykła – zgodził się.

– Wejść do ładowni, spenetrować ją, zbadać cal po calu, potem wynieść najcenniejsze artefakty i wykorzystać je na chwałę Pana. – Uśmiechnęła się. – Czyż to nie wspaniały cel w życiu?

– Poza tym, że dyktowany przez niezmierzoną pychę, to rzeczywiście:

wspaniały. W swej, równie niezmiernie co pycha, głupocie.

Roześmiała się dźwięcznym, wesołym śmiechem. W sposób oczywisty nieudawanym.

– Zdziwiłbyś się pewnie, jak wielu istotom taka myśl przemknęła przez głowę – rzekła.

– Nie, nie zdziwiłbym się. Ani głupota, ani pycha nie są mnie w stanie zdziwić – odparł poważnie.

– Och. – Machnęła dłonią. – Nawet ludzie tacy jak ty, wydawałoby się rozważni, posługujący się logiką, niedający się ponieść emocjom, umiejący oceniać przeszłość i wyciągać z niej wnioski na przyszłość, nawet tacy ludzie mogą poddać się głupocie. Tylko pobudki są różne w każdym wypadku...

Tym razem Löwefell uśmiechnął się.

– Czyli twierdzisz, że mogę powtórzyć głupstwa idiotów lub zapaleńców, ponieważ stosując metody rozumowania, logiki oraz dedukcji, dojdę do tych samych wniosków, co oni, posługujący się szaleństwem?

– Z grubsza rzecz biorąc, właśnie o to mi chodzi... Pojmujesz, czym jest w ogóle Kościany Galeon? – zapytała i zbliżyła twarz do jego twarzy. – Czy rozumiesz moc, jaka przepelnia ten twór?

Löwefell odwrócił się od niej i spojrzał na poszarzałą już rzekę, z której powierzchni znikwały ostatnie rozbłyski słonecznej czerwieni.

– Moc samej natury?

Matylda westchnęła.

– Tego nie wiem. Tego chyba nikt nie wie.

– Nie sądzisz, że to istotne pytanie? Czy Galeon wyrósł niczym mech na kamieniu, czy też został posadzony niczym drzewa w sadzie, a więc pod opieką czyjejś ręki i jako rezultat czyjegoś celowego zamysłu. A jeśli tak, to jaka to była ręka? Ludzka? Demoniczna? Anielska?

– Nie myśl o tym! – niemal krzyknęła. – Czyż trzeba znać prawo Archimedesesa, by wiedzieć, że ciężary najlepiej przewozić nie na pokładzie tratwy, a pod jej pokładem? Czy chłop usuwający gład z pola wie, że Archimedes powiedział: „Dajcie mi punkt oparcia, a podniosę Ziemię”? Nie! On po prostu, intuicyjnie lub na podstawie doświadczenia przekazanego przez przodków wie, że trzeba założyć dźwignię, by

wzruszyć wielki ciężar.

– Ktoś, kto chciałby skorzystać z narzędzia, nie znając jego struktury i genezy, wiele by ryzykował...

– A znasz technikę wykuwania miecza przez płatnerza? – zapytała szyderczo.

Roześmiał się.

– Cóż, może cię zdziwię, ale potrafiłbym wykuć miecz. Niemniej rozumiem, co miałaś na myśli, stosując tę przenośnię.

Skinęła poważnie głową.

– No dobrze, może więc spytam inaczej, drogi Arnoldzie. Czy wiesz, w jaki sposób poskładano cię, ulepiono i zmieniono? Czy wiesz, jakie metody zastosowano w Świętym Officjum, by z perskiego maga Narsesa stworzyć inkwizytora Arnolda Löwefella? Hmm? Wiesz?

– Nie. I ty doskonale wiesz, że tak właśnie brzmi odpowiedź na to pytanie.

– Otóż to! I pomimo że nie masz pojęcia, w jaki sposób cię stworzono, i jedynie blade pojęcie o tym, w jakim celu cię stworzono, jednak nie wahasz się korzystać ze swego ciała oraz umysłu.

Löwefell roześmiał się.

– W tej mierze zostawiono mi raczej niewielki wybór – rzekł. – Natomiast jeżeli ktoś decyduje się, by badać Galeon, to wybór jednak ma duży. Wracajmy – dodał.

Zaczęli jechać w przeciwną stronę do zachodzącego słońca. Konie brodziły po płyciźnie, chlupiąc wodą.

– Galeon zassałby również Szachor Sefer – powiedziała Matylda. – Wyobraź sobie tę księgę w twoim posiadaniu. Wyobraź sobie Szachor Sefer w twoich rękach – w jej głosie usłyszał pożądanie. – Po tylu latach. To mogłoby zmienić wszystko. Wszystko na świecie...

– To nie zmieniłoby niczego! – rzekł Löwefell ostro i z goryczą w głosie. – Miałem już w ręku tę księgę i jakoś nie przemieniłem świata. Ale nie to jest najważniejsze. – Odwrócił się w stronę Matyldy, która nie patrzyła jednak na niego, lecz na drogę przed sobą. – Najważniejsze jest to, że Szachor Sefer nadal będzie tylko księgą. Księgą, której nie potrafię zrozumieć. Póki nie wróci moja pamięć, póki nie wrócą moje zdolności, cóż mi po samym przedmiocie? Żeby obracać go w palcach, nie mając

pojęcia, co tak naprawdę w nich trzymam? – Wzruszył ramionami bardziej rozczarowany niż zirytowany. – Daj choremu chłopu podręcznik medycyny napisany po grecku, a przyda mu się jak umarłemu kadzidło.

– Pomogę ci!

– W jaki sposób możesz mi pomóc? – zapytał, starając się, by tym pytaniem nie okazać lekceważenia, ale wewnętrznie przekonany, iż Matylda nie jest w stanie nic w tej mierze zdziałać.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Nie zapominaj, że dobrze cię znam. Bardzo dobrze...

– Jak dobrze?

– Byłam przy tobie niemal od początku, kiedy przywieziono cię do klasztoru. Obserwowałam cię...

– Byłaś przy mnie?

– Nie w fizycznym sensie, rzecz jasna, bo przecież na to nie pozwalała mi moja żalosna kondycja – prychnęła. – Ale obserwowałam twój umysł, Arnoldzie. No, a ściślej mówiąc: umysł tego, kim byłeś, kiedy tu trafiłeś i zanim stałeś się Arnoldem Löwefellem...

Inkwizytor drgnął. Jeśli ona mówi prawdę, to może stoję o krok przed otwarciem kolejnych wrót prowadzących do tajemnicy, pomyślał. I kto wie czy nie będą to najszersze wrota z tych, które dotychczas się otworzyły.

– Jaki był ten umysł? – spytał.

– Skażony, spaczony, zdegenerowany, brudny – odparła i czuł w jej głosie nie tylko prawdę, lecz i fizyczne wręcz obrzydzenie. – Ale też olśniewający, genialny, mocny... – tym razem usłyszał podziw.

– Podobno niewiele zostało z tego umysłu po walce, jaką Narses stoczył z inkwizytorami – westchnął Löwefell.

Roześmiała się na głos.

– Tak ci opowiedziano, Arnoldzie? Taką historyjkę usłyszałeś z ust inkwizytorów?

– Co to znaczy? – Odwrócił się w jej stronę, sam wiedział, że bardziej gwałtownie, niż powinien, ale jej słowa poruszyły go.

Matylda przypatrywała mu się z kpiącym, złośliwym uśmiechem.

– To znaczy, że byłeś całkowicie sprawny, Arnoldzie, czy raczej może

lepiej powiedzieć: Narsesie, gdyż wtedy nawet nikt nie sądził, że staniesz się Arnoldem. Byłeś sprawny i w pełni sił umysłowych, kiedy do nas przybyłeś. – Zbliżyła się do niego o dwa kroki. – To tutaj, w klasztorze, wypalono ci umysł niemal do samego dna, oczyszczono go, osuszono, pomalowano na nowo i wypolerowano.

– Kto to zrobił? – sam usłyszał w swoim głosie nawet nie gniew, lecz zdumienie i niezrozumienie.

– Najzabawniejsza odpowiedź brzmiałaby: ja – powiedziała lekkim głosem. – Ale nie, to nie byłam ja. – Strzepnęła dłońmi. – Nie wiem nawet, czybym to wtedy potrafiła zrobić. – Zastanawiała się chwilę, po czym pokręciła głową. – Nie, nie potrafiłabym – odpowiedziała sama sobie.

– W jakim celu? – zapytał Löwefell. – Mieli tu Narsesa z całą jego wiedzą i zdolnościami i zniszczyli wszystko?

– Arnoldzie, nie bądź durniem. – Pokręciła głową z politowaniem. – To, że sprawa dotyczy ciebie osobiście, nie powinno ci przeszkadzać w jasności myślenia i precyzyjnym wnioskowaniu. W jakim celu można było pragnąć zniszczyć Narsesa?

Löwefell skinął głową.

– By niedźwiedź nie dobrał się do miodu.

– Słusznie! – pochwaliła go z teatralnym zapalem i klasnęła. – Komuś bardzo zależało, by to, co Narses miał w głowie, nigdy poza tę głowę nie wyszło. Więc kiedy pojawiła się podobna groźba, ową głowę wyczyszczono.

– Kto to uczynił? – powtórzył pytanie sprzed kilku chwil.

Rozłożyła ręce.

– Arnoldzie, nie wiem, w jaki sposób Narses znalazł się w klasztorze i z jakich powodów w ogóle tak się stało. Prawdopodobnie pochwycono go żywcem i przewieziono tutaj w celu dalszych badań. Ale do tych badań nie doszło, gdyż ktoś, nie wiem, kto i w jaki sposób, zniszczył jego umysł. Natomiast mam pewne pojęcie o tym, jak ten umysł wyglądał, oraz nieco większe pojęcie o tym, jak ulepiono czy zbudowano ciebie, inkwizytora Löwefella.

Löwefell po dłuższej chwili skinął głową. Wiedział, że słowa Matyldy może traktować tylko jako jedną z hipotez, jako jeden z tropów, który

równie dobrze może doprowadzić go do celu, jak i zaprowadzić w ślepią uliczkę czy nawet w przepaść. Ale jakie pobudki kierowałyby tą kobietą, by chciała kłamać? No cóż, równie dobrze można by spytać: a jakie kierowałyby nią, by chciała mówić prawdę?

– Kto opowiedział ci bajeczkę o zjadłej walce Narsesa z inkwizytorami, która zakończyła się klęską i kalectwem Narsesa? – zapytała.

– Katarzyna.

Matylda roześmiała się.

– Ta stara dziwka, matka bękarta – odezwała się z niemaskowaną pogardą. – Znalazłeś sobie wiarygodne źródło informacji, nie ma co...

– Jak do tej pory jedyne... Dlaczego jej nie lubisz?

– Śmiała się ze mnie. – Twarz Matyldy pokryła się rumieńcem. – Przyszła kiedyś razem z Mariusem i drwiła ze mnie, niby to współczując i wypowiadając uprzejme, okrągłe zdania.

– Zabolało?

– Oczywiście, że zabolalo – przyznała. – Katarzyna była piękna, wystrojona i pachnąca, a ja leżałam w łóżku, w nocnej koszuli, bezradna i nieruchoma, połączona głową z dwoma braćmi. Jak sądzisz, jak się mogłam czuć? – Zacisnęła dłonie tak mocno w pięści, że aż zbieleły jej knykcie.

– Czy to się jeszcze kiedyś zdarzało? Czy przychodzili ludzie, którzy z ciebie drwili, fałszywie ci współczuli lub przedstawiali uroki normalnego, ludzkiego życia?

Matylda zerknęła na niego bystro.

– Sądzisz, że dziwka zrobiła to celowo? Że to nie była zwykła złośliwość, z jaką dziecko torturuje mrówkę czy chrząszcza?

– Tylko się zastanawiam – odparł Löwefell.

– Nie mogłam jej spenetrować. Nigdy – powiedziała ze złością. – Ten przeklęty Anioł zawsze wszędzie za nią chodzi, czuwa nad nią w każdej chwili. Nawet tam, w mojej komnacie, stał za jej plecami i otaczał ją skrzydłami.

– Widziałem Anioła, o którym mówisz – stwierdził Löwefell. – Nie otwierał oczu przez całą naszą rozmowę. Dlaczego Anioł pilnuje jej nawet w klasztorze? – Inkwizytor pokręcił głową ze zdziwieniem. – Jest

cenna dla Inkwizytorium, doskonale, niech sobie będzie cenna. Nie wiem dokładnie, z jakich powodów tak się dzieje, zakładam jednak, że są one bardzo istotne...

Matylda skinęła głową na znak, że zgadza się ze swoim rozmówcą.

– Ale nie pojmuję, przed kim czy przed czym trzeba ją chronić tutaj? Bo z całą pewnością nie jest więźniem Inkwizytorium, a on nie jest jej strażnikiem...

– Z całą pewnością — powtórzyła kobieta. – Tego i ja jestem pewna.

– Czy mogła celowo wzbudzić w tobie zazdrość i pragnienie zwykłego, ludzkiego życia? – wrócił do pytania Löwefell.

– Robiła to na pewno celowo – odparła Matylda. – Pytanie tylko, czy działała z powodu okrutnej złośliwości, w chęci pastwienia się nad kimś kompletnie bezbronnym, czy też miała inny cel.

– Jak reagował Marius?

– Nijak. – Wzruszyła ramionami. – Rozmawiał wtedy z moimi braćmi, a ona siedziała obok mnie i gawędziła, wydawałoby się, przyjaźnie.

– Głupcem byłby ktokolwiek, kto by sądził, że van Bohenwald nie słyszał dokładnie waszej rozmowy...

– Może mu to nie przeszkadzało? Może uznał, że jeśli wszyscy chuchają na mnie i dmuchają, jeżeli wszyscy są dla mnie mili i pomocni, to potrzebuję kogoś, kogo będę mogła znienawidzić?

Löwefell powoli skinął głową.

– Taaak, zgadzam się, to byłoby podobne do niego. Powiedziałbym nawet: całkiem i dokładnie podobne do niego... Pytanie tylko, czy to był jedyny motyw albo czy motyw Katarzyny nie był przypadkiem inny niż motyw Mariusa.

– Tu każdy każdego zdradzi – stwierdziła Matylda z prawdziwym smutkiem w głosie i głęboko westchnęła.

– Oczywiście – zgodził się bez trudu Löwefell. – Zdradzimy każdego człowieka w imię naszej miłości do Boga i w imię zwycięstwa naszej Sprawy. Przecież gdybyśmy chcieli postępować inaczej, nie byłibyśmy inkwizytorami...

– *Na osobę względu nie będziesz mieć żadnego* – Matylda zacytowała Pismo szydzącym tonem.

– Tak trzeba – rzekł Löwefell, nie zwracając uwagi na ten obraźliwy

ton. – Jakże podłymi istotami byśmy byli, gdybyśmy zaparli się miłości do Boga w imię miłości do człowieka.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Bylibyśmy po prostu ludźmi?

Löwefell pokręcił głową.

– Nie jesteśmy ludźmi, Matyldo. Być może kiedyś nimi byliśmy, ale teraz pragnienie człowieczeństwa... – wypowiedział ostatnie słowo tak, jakby pochodziło z obcego języka i było niezrozumiałe – to w naszym wypadku zaledwie szkodliwe mrzonki.

Odchyliła się w siodle do tyłu i wpatrzyła w pokryte lasem wzgórza i sunące nad nimi skłębione, bure obłoki tak gęste, jakby ulepione z poszarzałej wełny.

– Lubię sobie wyobrażać, że jestem ptakiem – powiedziała.

– I że uciekasz – dodał Löwefell.

– I że uciekam – zgodziła się z nim.

– Świat, ten świat na zewnątrz, nie jest idyllicznym miejscem, gdzie spełniane są życzenia młodych kobiet i gdzie żyją one bez trosk oraz zmartwień, wiecznie zdrowe i piękne...

Odwróciła się w jego stronę.

– Może nigdy nie byłam poza klasztorem, ale nie jestem głupia – stwierdziła z wyraźną złością.

Potem jednak uspokoiła się, jej twarz złagodniała, a ona sama znowu obróciła się w stronę wzgórz i obłoków.

– Po prostu chcę mieć marzenia. A ty, Arnoldzie? Czy masz jakieś marzenia?

– Chcę przysłużyć się ostatecznemu zwycięstwu naszego Pana – odrzekł bez wahania Löwefell.

– Nie chcesz niczego dla siebie? – zdumiała się.

– Ależ to jest właśnie dla mnie – odparł pogodnie. – Jednak rozumiem, że każdy tę prawdę musi poznać w swoim czasie. Ty jeszcze nie jesteś gotowa przyznać, że zwycięstwo Chrystusa jest najwyższym pragnieniem, jakie powinno nas wypełniać. Bo kiedy ono nastąpi, wtedy będziemy całkowicie spełnieni...

– I co nastąpi wówczas? – Przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami.

– Wówczas? Przecież to kompletnie obojętne. Będę mógł umrzeć, będę mógł dalej żyć. Cel zostanie zrealizowany, więc moje życie nie będzie miało już żadnego znaczenia.

– Jak truteń. On musi tylko zapłodnić królową i już może umrzeć...

Löwefell roześmiał się, bo porównanie było, jego zdaniem, tak niecelne, że aż zabawne.

– Wolałbym nie być porównywany do trutnia, ale oczywiście nie będę ci bronił podobnych alegorycznych poszukiwań.

Odpowiedziała mu uśmiechem i wyciągnęła do niego dłoń. Ujął jej chłodne palce. Teraz już oboje patrzyli na rozlewającą się szerokim nurtem rzekę.

– Czytałam pamiętniki Marka Decymusa Kasjusza – powiedziała. – Wiesz, że był pierwszym znanym Rzymianinem, który stał na okolicznych wzgórzach i który spoglądał na tę rzekę, tak jak my na nią dzisiaj spoglądamy?

Löwefell znał urywki pamiętników Kasjusza, te urywki, które przetrwały. Zresztą nie był pewien ich oryginalności, bo był to trzeci lub czwarty odpis, a odręczne pergaminy wypełnione przez Kasjusza dawno zaginęły. Zresztą może wcale nie zaginęły, tylko z tych lub innych względów nie chciano ich ujawniać? Wyprawę Siedmiu Wspaniałych Rzymian, jak nazywano krwawy marsz Kasjusza w głąb najdzikszych ostępów Germanii, spowijały cały czas mroki tajemnicy. Przetrwała w ludowej pamięci, ale tak przeinaczona, że aż kompletnie nieprawdziwa. Inkwizytorzy wiedzieli o tej wyprawie więcej, lecz też nie znali wszystkich jej sekretów.

– Wiem – odparł. – Wyobraź sobie, jak bardzo był zdeterminowany, jak odważny i jak bezwzględny. Ta jego wyprawa... – Löwefell pokręcił głową. – To było prawdziwie samobójcze szaleństwo.

– Ja nie chcę umierać – powiedziała Matylda mocnym głosem i inkwizytor zrozumiał, że to jest nie tylko nawiązanie do misji Marka Kasjusza, ale również do jego wcześniejszych słów o poświęceniu życia dla Jezusa. – Mam dopiero niespełna miesiąc. Pomyśl tylko: urodziłam się miesiąc temu, Arnoldzie! Chcę żyć! Strasznie chcę żyć!

Przez chwilę miał ochotę położyć dłoń na jej ramieniu, lecz potem nie zrobił nic poza skinieniem głową.

– Niemal każda istota ma instynkt każący jej bronić własnej egzystencji. A to, czy zechcesz to życie poświęcić, jest miarą wielkości idei, której służysz.

– Albo tego, co sobie wyobrażasz na temat tej idei – dodała zgryźliwie.

– Droga Matyldo, będziesz żyła jeszcze długo i oby szczęśliwie – powiedział Löwefell lekkim tonem, gdyż rozumiał, że podobna dyskusja przy tak odmiennych doświadczeniach i celach nie ma wielkiego sensu.

– Na razie wróćmy do naszych jakże przyziemnych kłopotów, pytań, problemów i sekretów...

– Czyli?

– Wróćmy do Anioła za plecami Katarzyny.

Skinęła głową.

– Dobrze – odparła. – Zakładam, że może ją zaatakować ktoś, kto żyje w klasztorze lub ktoś, kto potrafi przedrzeć się przez jego obronę...

Löwefell skinął głową.

– Przyjmijmy więc takie założenie. Ale co dalej? Czemu jej istnienie jest tak ważne dla Officjum? Czemu ta, przyznam, niezwykle zdolna, jednak młoda i niedoświadczona czarownica jest otoczona ścisłą ochroną, a jak wynika z wielu przesłanek, nawet darzona szacunkiem?

– Młoda – powtórzyła z przekąsem Matylda. – Ta wredna dziwka ma już ponad czterdzieści lat. Tylko magia powoduje, że jeszcze się nie rozsypała.

Inkwizytor roześmiał się, gdyż w słowach Matyldy brzmiała niezwykle szczerą i prostolinijną nienawiść jednej ładnej kobiety do drugiej, równie pięknej i w dodatku podziwianej przez mężczyzn oraz obdarzonej wielkimi wpływami.

– To musi mieć coś wspólnego z jej bękartem – odpowiedziała już na pytanie.

– Może z ojcem bękarta?

Wzruszyła ramionami.

– Wiesz, jakie pytanie zadał mi kiedyś van Bohlenwald? – zapytał Löwefell. – Było to jeszcze wtedy, kiedy prowadziłem śledztwo w sprawie Katarzyny i jej syna i chciałem się przekonać, czy ona w ogóle żyje, a jeśli tak, to co się z nią stało... Marius zapytał wtedy: zadajesz sobie pytanie, gdzie jest matka, a zastanawiałeś się kiedyś, gdzie jest

ojciec?

– Sądzisz, że to ważne?

Löwefell już nie raz i nie dwa zastanawiał się nad tym pytaniem. Gdyż fakt, że van Bohenwald napomknął o ojcu bękarta, mógł znaczyć, że grubas albo podrzucił Löwefellowi trop, albo zakładał przynętę. Być może to, kto był ojcem Mordimera Madderdina, nie miało nic do rzeczy ani nie miało żadnego znaczenia. Może cała moc tego inkwizytora, zresztą niewielka i źle zogniskowana, pochodziła z mocy matki? Jednak właśnie tego chłopca wybrała wiedźma, by zakląć w nim Szachor Sefer. Czy nie było nikogo innego, bardziej odpowiedniego?

– Wolałbym wiedzieć, kto zapłodnił Katarzynę, by dopiero wtedy móc uznać tę informację za znaczącą lub nieistotną – odparł.

– Ciekawe, czy ona sama wie. – Matylda pokręciła głową. – Przecież tę wywłokę chędożył każdy, kto popadnie...

Löwefell oczywiście zdawał sobie sprawę, że te słowa są nieprawdziwe, niesprawiedliwe i dyktowane złośliwością oraz niechęcią. Katarzyna, nazywana Piękną Katarzyną, była bardzo bogatą i wpływową kurtyzaną, kochanką ludzi, którzy płacili majątek za możliwość korzystania z jej wdzięków. Oczywiście mogła pogubić się w obliczeniach i nie wiedzieć, komu zawdzięcza brzemiennność oraz dziecko, lecz z całą pewnością nie „chędożył jej każdy”, jak mówiła Matylda. Wręcz przeciwnie, z tego, czego dowiedział się Löwefell, była to starannie wybrana, nieduża grupka mężczyzn.

– A pomijając złośliwości, do których niewątpliwie pozostawiam ci prawo – Löwefell uśmiechnął się nieznacznie – co wiesz jeszcze o Katarzynie?

Matylda nie odzywała się dłuższy czas.

– Wiem wiele o ludziach i istotach, którzy mieszkają lub bywają w klasztorze. Naprawdę wiele, Arnoldzie. – Spojrzała mu prosto w oczy szczerym, niewinnym spojrzeniem. – Wiem więcej, niż wyobrażają sobie ci, którzy cały czas mnie kontrolowali...

– Albo tylko sobie wyobrażasz, że oni tego nie wiedzą – wszedł jej w słowo inkwizytor.

Skinęła głową.

– Nie jestem aż tak pewna siebie, by sądzić, iż nie mogę się mylić. Ale

raczej się nie mylę. Nikt do końca nie wiedział, jakimi zdolnościami dysponowałam. I powiem ci jedno: nigdy, przenigdy nie mogłam przejrzeć tej ladacznicy. Bariery były tak silne... – Pokręciła głową. – A przecież mogłam starać się patrzeć, jednak nie mogłam zaatakować. – Wzruszyła ramionami. – To jasne, że nie pozwoliłabym sobie na konfrontację. Zresztą zważywszy nawet na własne bezpieczeństwo...

Löwefell pokręcił głową z niedowierzaniem. Nie wynikającym z niewiary w słowa Matyldy, a ze zdumienia, iż ktoś zadał sobie tyle trudu, by ochronić czarownicę.

– Czy to, o czym mówisz, bariera Katarzyny, przypominała ci tę Katriny?

Pokręciła głową.

– Katarzyna jest strzeżona. Katriny natomiast nikt nie musi chronić, gdyż jest na tyle potężna, by samodzielnie świetnie zajmować się własnym bezpieczeństwem. Ich obu nie można nawet porównywać.

Löwefell przypomniał sobie, co przeżyli w nie-świecie, i trudno mu było nie zgodzić się z podobną opinią. Rzeczywiście Katrina była ostatnią osobą sprawiającą wrażenie, iż potrzebna jest jej straż.

– Jaki sekret w przypadku Katarzyny jest wart aż takiego pilnowania? Co oni lub ona starają się ukryć? – zapytał.

– Albo pozostawiają mylny trop... – odpowiedziała.

Zastanowił się.

– Czyli strzegą jej, a tak naprawdę ważny jest ktoś zupełnie inny?

– Albo pragną zobaczyć, kto będzie aż tak ciekawski, by starać się przełamać bariery.

Inkwizytor pokiwał głową.

– Pokój Sinobrodego był pusty – przypomniał jej i sobie starą bajkę.

– Pokój Sinobrodego był pusty – powtórzyła. – Jednakże nieposłuszeństwo oraz kara wymierzona za to nieposłuszeństwo były jak najbardziej prawdziwe. Warto, byśmy o tym pamiętali, Arnoldzie – dodała i uśmiechnęła się. – Bo i tak będziemy ten pokój otwierać, prawda?



Valeria Flavia



Matylda weszła do pokoju Löwefella w środku nocy, kiedy inkwizytor leżał pogrążony w myślach. Nie miewał kłopotów ze snem, gdyż potrafił sam decydować o czasie i długości nocnego odpoczynku, ale lubił czasami tylko leżeć z zamkniętymi oczami i z ostrzem myśli skierowanym ku zatartym obrazom przeszłości. Czasami wydawało mu się, że im bardziej będzie koncentrował umysł na Persji i perskich sprawach, tym szybciej doprowadzi do tego, że okno otwierające się na życie Narsesa uchyli się szerzej... A czasami z kolei zdawało mu się, iż takie myślenie jest zupełnie pozbawione sensu, a może nawet szkodliwe.

W każdym razie, kiedy usłyszał ciche kroki Matyldy, a potem skrzypnięcie drzwi, był nawet zadowolony, że zamiast rozprawiać z własnymi myślami, będzie mógł porozmawiać z żywą istotą, wobec której czuł życzliwość i za którą w jakiś sposób czuł się odpowiedzialny.

– To bardzo miłe z twojej strony, Arnoldzie – powiedziała serdecznym tonem.

W ciemności widział tylko mglisty zarys jej postaci. Wiedział, że była ubrana w długą koszulę nocną, i czuł świeży zapach materiału niedawno przyniesionego z klasztornej pralni.

– Mogę obok ciebie usiąść?

– Oczywiście. – Odsunął się, by zrobić jej miejsce.

Usiadła i położyła mu dłonie na piersi.

– Chciałabym... chciałabym coś wypróbować...

Löwefell z nagłym rozbawieniem pomyślał, że każdy mężczyzna w tej sytuacji miałby już bardzo określone podejrzenia oraz oczekiwania co do dalszego rozwoju wypadków. Cóż, każdy oprócz niego samego...

Matylda roześmiała się.

– Rzeczywiście, dziwnie to zabrzmiało – przyznała również w myślach.

– W czym mogę ci pomóc?

– Chciałabym... sądzę... podejrzewam, że...

Umilkła i westchnęła. Inkwizytor zrozumiał, że Matylda nie może, nie chce lub nie potrafi przedstawić mu, z czym właściwie do niego przyszła.

– Po prostu mi pokaż – rzekł.

– Na pewno?

– Skoro pojawiło się coś, co cię intryguje...

– Dobrze. – Odetchnęła, tym razem z ulgą. – Ale nie wiem, czy w ogóle coś się wydarzy... Nie wiem, czy dobrze oceniam... czy rozumiem...

– Po prostu spróbuj – przerwał jej.

Przeniosła swoje dłonie z jego piersi na głowę i ścisnęła skronie inkwizytora. Löwefell pomyślał, że ma zdumiewająco silny uchwyt. I wtedy poczuł również, że kobieta koncentruje myśli, tak jakby była katapultą przygotowującą się do wystrzelenia gigantycznego głazu mającego zdruzgotać mury twierdzy. I zanim inkwizytor zdołał sobie w pełni uzmysłwić, co jest murem, co gładem i jak silnie została napięta katapulta – już było za późno.

Uderzenie było tak silne, że Löwefell poczuł, jakby na jego głowę i ramiona spadła skała, która zgmiotła je, zmiażdżyła, wbiła w ziemię, połamała kręgosłup i sprasowała narządy wewnętrzne. Wydawało mu się, że nigdy jeszcze nie przeżywał bólu tak dojmującego, który jednocześnie tak wszechwładnie opanowywał całe ciało. Który nie zaczynał się w jednym i konkretnym miejscu, ale który wydawał się trwać niczym płomień spalający zarówno skórę od zewnątrz, jak i wszystkie kości oraz narządy od wewnątrz. Inkwizytor umiał do tej pory panować nad bólem, może nie aż do stopnia całkowitej jego likwidacji, ale na pewno posiadał umiejętność radykalnego jego

ograniczenia. Tutaj jednak nic zrobić nie mógł. Szok i cierpienie były zbyt nagłe i zbyt potężne, aby im się skutecznie przeciwstawić. Arnold Löwefell ocknął się w mokrej, głębokiej trawie. Strząsnął mrówkę, która załaskotała go w nos, kiedy usiłowała przejść od nozdrzy do kącika ust. Odetchnął głęboko i zaraz jęknął boleśnie, gdyż od samego tego oddechu zahuczało mu w głowie. Ból uderzył w oczodoły i rozpląnął się od nich po czubek głowy i kark. I choć Löwefell był przecież przyzwyczajony do bólu, jednak doznanie było tak intensywne, iż omal nie spowodowało omdlenia. Inkwizytor, kiedy już trochę doszedł do siebie, zamoczył dłonie w rosie i otarł nimi twarz. Chłód i wilgoć przyniosły na chwilę ukojenie. Wreszcie znalazł siłę, by rozejrzeć się wokół. Otaczała go puszcza. Wysokie drzewa o grubych pniach, porośnięte tak gęsto szerokimi, mokrymi od deszczu liśćmi, że niemal całkowicie zasłaniały pochmurne niebo. Jesiony, wiązy, dęby, topole. Wszystkie zdawały się gigantyczne we wręcz wynaturzony sposób, choć Löwefell zdawał sobie sprawę, iż takie wrażenie może potęgować mrok. Przy pniu, odległym najwyżej o dziesięć kroków, dostrzegł resztki ludzkiego szkieletu, białe i objedzone do czysta.

Poruszył się z trudem, najpierw uklęknął, potem wstał, podpierając się dłońmi. Oparł plecy o pień drzewa, gdyż samo powstanie było tak wyczerpujące, iż pot oblał mu twarz oraz plecy. Cały czas zadawał sobie pytanie, co się stało, gdzie się znalazł i w jaki sposób ma radzić sobie dalej? Na razie mógł być zadowolony z jednej rzeczy: wydawało się, że nie doznał żadnego uszczerbku fizycznego. Nie krwawił, po potwornym ataku bólu głowy tuż po samym oprzytomnieniu powoli przychodziło ukojenie, żadna kończyna, ba, nawet żadna kość nie sprawiała wrażenia naruszonej. Natomiast zła wiadomość była taka, że Löwefell nie czuł przepełniającej go mocy. Jej resztki żarzyły się zaledwie niczym bierwiona z ogniska, na które chluśnięto wodą. Inkwizytor był pewien, że ta niemoc jest ceną ogromnego wydatku woli i siły, jaki musiał ponieść, by rzucić potężne zaklęcie. Ale miał też nadzieję, że słabość ustąpi, że organizm z czasem podda się procesowi regeneracji. Tylko ciekawe, jak długo to potrwa, pomyślał ze smutkiem. Po pierwsze bowiem, czuł się niemal bezbronny, a po drugie, wiedział, że pozbawiony mocy, czy dysponujący nią w bardzo ograniczonym stopniu,

nie będzie mógł być skutecznym żołnierzem Chrystusa. A przecież to właśnie na tym i tylko na tym zależało mu najbardziej na świecie i tak naprawdę nic innego się nie liczyło. Löwefell nie pożył mocy dla samej mocy i nie żałował jej utraty z egoistycznych powodów. Po prostu szczerze rozpaczał, że stał się w ten sposób mniej użytecznym narzędziem w ręku Pana, niż miało to miejsce do tej pory.

Dostrzegł nadchodzących ludzi dość wcześnie, ale nie na tyle wcześnie, by uniknąć spotkania. A poza tym kiedy on zauważył ich i kiedy oni zauważyli jego, spostrzegł, że wydarzyła się jeszcze jedna niepokojąca rzecz. Za jego plecami, zaledwie dwa kroki od niego stała kobieta o pomalowanej na zielono twarzy i pociągniętych brązową farbą włosach. W dłoni trzymała oszczep i Löwefell był więcej niż pewien, że ona świetnie wie, jak tym oszczepem się posługiwać. Inkwizytor cofnął się tak, by mieć za plecami pień drzewa. Kobieta była teraz po jego lewej stronie, a grupka mężczyzn po prawej. Zdawał sobie sprawę, że przy tej przewadze liczebnej przybyszów i przy jego strasznym osłabieniu oraz utracie mocy przyjęcie właściwej pozycji zda się i tak na nic, ale ciało wykonało te ruchy bez udziału rozumu.

Jednak wędrowcy nie wydawali się ani przejęci spotkaniem, ani wrogo nastawieni. Raczej zaciekawieni.

Przewodził im postawny młody mężczyzna w hełmie i w płaszczu narzuconym na półpancerz. Miał przy sobie krótki miecz, ale schowany w pochwie. To mógł być dobry znak dla Löwefella, zwłaszcza jeśli chodzi o dalsze możliwości przeżycia. Mężczyzna miał sześciu towarzyszy. Czterech zostało z tyłu, gdyż prowadzili konie, natomiast dwóch pozostałych stało po obu stronach dowódcy. Patrząc na to, w jaki sposób trzymają broń i jak się zachowują, Löwefell nabrał pewności, że są zawodowymi żołnierzami. Ale, co ciekawe, dużo bardziej niepokoiła go kobieta po lewej stronie. Emanowało od niej coś w sposób wręcz niepojęty groźnego. A przecież wyglądała jak... jak, Löwefell zastanawiał się chwilę, jak Piktyjka czy Germanka z ilustracji w historycznych książkach. Poza tym była niewysoka, szczupła, chyba młoda i ładna, choć trudno było w tej kwestii mieć pewność z uwagi na farbę pokrywającą twarz. Kobieta miała na sobie skórzane buty, spodnie i kubrak, wszystko pociągnięte szarozielonym barwnikiem, dzięki któremu mogła

przypominać pień drzewa, nie żywą istotę. Ale przecież nie o przebranie chodziło w tym, co odczuwał Löwefell. Jakże żałował teraz, że utracił moc, że nie jest w stanie zobaczyć tej kobiety dzięki inkwizytorskiej mocy, że nie potrafi już wy badać, kim ona jest i jakie ma zdolności.

– Kim jesteś? – zapytał po łacinie mężczyzna dowodzący oddziałem.

– Nazywam się Arnold Löwefell – odparł inkwizytor również po łacinie.

– Arnold? – Mężczyzna zmarszczył brwi. – Jesteś Germaninem? Mówisz z dziwnym akcentem.

– Germaninem? Urodziłem się w Cesarstwie.

Tak naprawdę urodziłem się w Persji, pomyślał Löwefell, a przynajmniej tam właśnie urodził się Narses. A gdybym powiedział teraz i tutaj tym ludziom o moim perskim pochodzeniu, to kto wie czy moja ziemską podróż nie zakończyłaby się właśnie tu, pod wielkim pniem dębu, z oszczepem w gardle? No albo znalazłbym się przynajmniej w kajdanach... Zresztą tak naprawdę jako Arnold Löwefell narodziłem się na terenie Cesarstwa. To w klasztorze Amszilas zyskałem nowe życie, nową tożsamość i nową wiarę.

– Czyimi żołnierzami jesteście? – zapytał.

– Jesteśmy żołnierzami cesarza Honoriusza – odparł oficer. – Jestem trybun Decymus Kasjusz, dowódca drugiej kohorty Siedemnastego Legionu. A to moi towarzysze i podwładni. – Wykonał oszczędny gest dłonią.

– Decymus Kasjusz? – powtórzył Löwefell zdumiony.

Chciał dodać gniewnie: „a cóż to za brednie i kpiny?”, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Znasz mnie? – Oficer patrzył na niego badawczo.

Inkwizytor bacznie przyjrzał się żołnierzom. Mieli gladiusy lub spathy przytroczone u pasów, każdy miał też dwa pila w pokrowcu umieszczonym na plecach. Na ramionach mieli zaś przewieszane owalne tarcze o okutych brzegach, na których wymalowano złote skrzydła Nike złączone w środku metalowymi guzami. To nie był ubiór ani uzbrojenie żołnierza służącego w armii piętnaście wieków po odejściu Chrystusa. Inkwizytor zaczerpnął głęboko tchu.

– Słyszałem o tobie – rzekł już pewnym głosem. – Słyszałem zarówno

o tobie, Decymusie Kasjuszu, bohaterze perskiej wojny, jak o i twoich towarzyszach. O was wszystkich. O Siedmiu Wspaniałych Rzymianach!

Decymus Kasjusz przez chwilę miał zdumioną minę, lecz potem wybuchnął śmiechem.

– Słyszeliście, chłopcy? – zawołał. – Ten uprzejmy nieznajomy nazywa nas siódmką wspaniałych Rzymian. To miło z jego strony, co?

Mężczyzna z połową twarzy poznaczoną strasznymi i szpecącymi, choć dawno zagojonymi bliznami oraz oparzelinami zarechotał drwiąco.

– O, zaiste wspaniali jesteście. Garstka wygnańców na germańskich mokradłach...

– Nie jesteśmy żadnymi wygnańcami! – zaprotestował z oburzeniem barczysty żołnierz o skórze niemal tak ciemnej, jakby pochodził z Afryki.

– Jesteśmy wybrańcami cesarza do specjalnych poruczeń!

Teraz dopiero Löwefell zrozumiał, że to oburzenie było szydercze, a żołnierz tak naprawdę drwił z cesarza, z nich samych i z powierzonej im misji.

– Może w takim razie wiesz również, kim ja jestem? – zapytała pomalowana farbą kobieta, która od samego początku nie spuszczała z inkwizytora badawczego wzroku.

– Wiem, pani – rzekł, pochylając głowę. – Skoro oni to Siedmiu Wspaniałych Rzymian, to tyś jest Valeria Flavia, inkwizytoria Jego Świątobliwości Sykstusa, papieża Rzymu, poddana Honoriusza, pana i władcy Rzymskiego Cesarstwa Chrystusowego.

– Coś takiego... – powiedziała inkwizytoria i zbliżyła się do Löwefella.

Położyła mu dłonie na ramionach, a on poczuł ten dotyk tak, jakby ogarnęło go ciepło buchającego nieopodal ognia. Albo żar słonecznych promieni. Nie cofnął wzroku, kiedy wpatrzyła się wprost w jego oczy. Trwali tak długo nie tyle w pojedynku, bo Löwefell nie chciał się z nią przecież mierzyć czy próbować, ile w zwarciu lub uścisku.



– To, że wiesz, kim jestem, jest niezwykle – powiedziała wreszcie inkwizytoria. – Ale jeszcze bardziej niezwykle jest to, że ja nie mam pojęcia, kim ty jesteś, ani nawet nie wiem, jak mam to zbadać...

Arnold Löwefell delikatnie ujął jej dłonie i zdjął je ze swoich ramion.

– *Benedictus qui venit in nomine Domini* – rzekł z wielką powagą w głosie.

Valeria przez chwilę trzymała dłonie Löwefella w swoich dłoniach, a potem puściła je i spojrzała w stronę trybuna.

– On idzie z nami, Kasjuszu – rzekła głosem, w którym nie było nawet cienia niepewności. – Sądzę, że nie trzeba będzie go pilnować... Dajcie mu jeść i pić i traktujcie jak towarzysza, nie jak jeńca czy wroga.

Twarz oficera ściągnęła się. Nabrał tchu, przez chwilę chyba powstrzymywał się, lecz wreszcie rzekł:

– To moi żołnierze i moja misja, domina. Z całym szacunkiem, Valerio, ale tylko ja wydaję rozkazy moim żołnierzom – dodał nieco łagodniejszym tonem.

Valeria Flavia zwróciła twarz w jego stronę.

– Bez mojej pomocy jutro, pojutrze lub za kilka dni będziesz musiał swoim żołnierzom wydać rozkaz, by ożyli – rzekła lodowatym tonem.

Potem powiodła wzrokiem po towarzyszach Kasjusza.

– Nie damę wam gwarancji ocalenia głów – oznajmiła głośno. – Ale damę wam gwarancję, że z moją pomocą przeżyjecie nieco dłużej niż bez mojej pomocy. Nie chcę wami dowodzić, bo to rola waszego trybuna. Ale ten człowiek... – Löwefell poczuł, jak dłoń kobiety dotyka jego ramienia, i tym razem odebrał to niczym paraliżujące uderzenie. Tak jakby stukrotnie wzmocnić iskrę wywołaną przez bursztyn potarty wełną. – Ten człowiek jest mój. Jest moją własnością i pójdzie ze mną – dodała tonem, który był tak dominujący, a jednocześnie tak przekonujący, że Löwefell z trudem powstrzymał się, by nie zapewnić jej uroczyście, że tak, jest jej własnością i zrobi w każdej chwili, co ona rozkaże, choćby miało to oznaczać rzucenie się z gołymi rękoma na siedmiu uzbrojonych mężczyzn. Mój Boże, pomyślał wstrząśnięty, kiedy tylko zdał sobie sprawę z własnych myśli. Przecież ona używa na nich Głosu! I sądząc z tego, jak swobodnie przy tym wygląda, to nawet szczególnie się nie wysiła. Zaraz żołnierze zapewnią ją, że wszystko jest w porządku...

– Oczywiście, domina – rzekł niemal natychmiast Kasjusz pojednawczym tonem. – Szanuję twoją wiedzę i twoje przeczucia. Jeśli ten człowiek jest ci potrzebny, nie widzę powodu, by nie poszedł z nami.

– Bardzo ci dziękuję, przyjacielu – głos Valerii zabrzmiał teraz tak, że Löwefell poczuł, iż mógłby ją nieść cały dzień na ramionach po bezdrożach, aby tylko usłyszeć ponownie to podziękowanie. Zaraz potem ta ogromna chęć usłużenia inkwizytorii minęła, ale pozostało słodkie rozczulenie jej dobrocią.

Mój Boże, pomyślał znowu, przecież ta kobieta może być potężniejsza od każdego, kogo widziałem! Jeżeli od niechcienia i bez wysiłku umie w jedną chwilę przekonać do swoich racji siedmiu frontowych żołnierzy, to jakich czynów potrafi dokonać, kiedy dać jej więcej czasu i kiedy zechce głębiej zaczerpnąć ze źródeł mocy?

– A więc naprzód – nakazał trybun. – A ty chodź z nami, nowy towarzyszu. Dać ci miecz? Łuk? Nie nadziejesz się własne ostrze?

– Nie, trybunie, nie poranię się – wyjaśnił Löwefell. – Umieję władać bronią, choć najbardziej umiem leczyć. Znam moc ziół, naturalnych naparów, maści gojących. Wierzę, że moja wiedza będzie mogła się wam przydać.

Löwefell nie wiedział, kiedy jego moc wróci i czy w ogóle wróci, więc wolał zapewnić tylko o swojej znajomości medycyny, nie leczniczej magii. Zresztą nie mijał się z prawdą. Potrafił sporządzić z naturalnych składników środki na niemal każdą dolegliwość. Oczywiście bez dodania świętej magii jedne pomagały bardziej, a inne mniej, ale wszystkie jakoś w mniejszym czy większym stopniu działały. Löwefell wiedział, że na wyprawie wojennej w dzikim kraju takie umiejętności jak jego mogą być cenniejsze od złota.

– Hmm. To dobra wiadomość. – Kasjusz spojrział na inkwizytora może nie z sympatią, ale z tym rodzajem szacunku, z jakim organizator polowania spogląda na psa gończego ofiarowanego mu w prezencie.

– Arnold pójdzie ze mną z tyłu – zdecydowała Valeria i nikt oczywiście nie zaprotestował.

Kiedy zostali już zupełnie na tyłach, nawet za ludźmi wiodącymi konie, inkwizytoria zwróciła się w stronę inkwizytora.

– Rozumiałeś, że używam Głosu, prawda?

To było pytanie retoryczne, lecz Löwefell skinął głową.

– Tak. Jesteś niezwykle potężna.

– To nie ja. To tylko Chrystus, który uczynił ze mnie naczynie swej

mocy – odparła inkwizytoria obojętnym tonem.

To zdanie wstrząsnęło Löwefellem, gdyż nic nie mogłoby być bliższe jego przekonaniom i jego filozofii niż owo zapewnienie o braku własnego znaczenia i o całkowitym podporządkowaniu Jezusowi.

– Dobrze jest tylko to, czego pragnie Bóg – powiedział.

– Tak. Tak właśnie jest – zgodziła się. – Ale powiedz mi, czego pragnął i pragnie Bóg, zsyłając cię pomiędzy nas? – Tym razem spojrzenie inkwizytorii nabrało ostrości. – Wystawia nas na próbę czy przysyła nam pomoc?

– A może, jak często bywa, i to, i to? – odparł Löwefell ze smutną zadumą.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Czy wiesz, jaka jest nasza misja?

– Twoja misja i ich misja to dwie różne misje – rzekł inkwizytor. – Obie też zakończą się nie tak, jak byście pragnęli, ale w sposób ważny dla losów chrześcijańskiego świata.

– Jesteś prorokiem?

Löwefell zawahał się. Od pewnego momentu wiedział przecież doskonale, że moc zaklęcia rzuciła go poprzez zakręty czasu i rzeczywistości, ciskając w chwilę, kiedy Siedmiu Wspaniałych Rzymian na czele z trybunem Kasjuszem i w towarzystwie inkwizytorii Valerii Flavii ruszyło na wyprawę w dzikie i wrogie lasy Germanii. Wiedział, że jest właśnie druga dekada trzeciego stulecia po odejściu Chrystusa. Rządy nieudolnego, słabego i zdradzieckiego cesarza Honoriusza. Wtedy trwała walka pomiędzy Kościołem, Cesarstwem i Senatem. Na granicach buzowały konflikty i powstania, prowincji strzegli niełojalni generałowie, w wojnach walczyli niegodni zaufania najemnicy, pojawiali się uzurpatorzy cesarskiej purpury, a prowincjami zarządzali skorumpowani gubernatorzy, namiestnicy i prokuratorzy. No a mężczyźni z otoczenia Kościoła coraz częściej sarkali, że inkwizytorami mogą zostawać jedynie kobiety. I coraz częściej podważali wolę Marka Kwintyliusza, założyciela Świętego Officjum, który tylko w wytrenowanym, ostrym jak brzytwa kobiecym umyśle widział siłę nieskalanej pobożności i niezmaćconej lojalności. „Jedynie kobiety mogą korzystać z najświętszej mocy pozostawionej przez Jezusa”

– twierdził Marek Kwintyliusz i zdanie to przetrwało trzysta lat. Ale Löwefell wiedział, że właśnie w czwartym wieku inkwizytoria stały się zbyt potężne, a ich znaczenie polityczne i religijne już zbyt mocno kłuło w oczy papieży oraz cesarzy. A więc zjednoczyli się przeciw nim. Wszyscy. W imię samczej brutalnej drapieżności oraz wściekłej zawiści. Stado głupców i kanalii przeciw najszlachetniejszym, najodważniejszym i najmędrszym obrończyniom wiary Chrystusowej. No cóż, pomyślał Löwefell, szczerze mówiąc, byli wśród tych głupców i niegodziwców także ludzie szlachetni, ale tym groźniejsi, bo omamieni przez szalbiercze idee. Był to zły czas dla Rzymu, zły czas dla chrześcijaństwa i zły czas dla świata. To właśnie wtedy, i długo jeszcze potem, trwać miały Mroczne Wiek. Okres, który w czasach Löwefella spowity był przed oczami większości ludzi gęstym mrokiem tajemnicy. Pamięć o inkwizytoriami przetrwała jedynie w ludowej tradycji, w baśniach, w jarmarcznej literaturze. Nawet zwykli inkwizytorzy nie zdawali sobie sprawy z tego, jakie wstrząsy targały światem w Mrocznych Wiekach. Wewnętrzny Krąg, rzecz jasna, znał dużą część sekretów przeszłości. Zarówno ten, jak i wiele, wiele innych, które zatrzęsłyby rozumem większości ludzi żyjących w szesnastym stuleciu po odejściu Jezusa. Ale nic dziwnego, że to właśnie Wewnętrzny Krąg był wtajemniczony w tajemnice dawnych lat, skoro jednym z najmocniejszych ogniw Kręgu były kobiety kultywujące pamięć swoich poprzedniczek sprzed wieków.

– Nie, domina, nie nazwałbym sam siebie w ten sposób. Nie prorokiem – odparł ostrożnie.

– W jaki sposób więc byś się nazwał?

– Jeśli nasze życie wyobrazić sobie jako rzekę, to ja widzę jedno z koryt, którym ta rzeka może popłynąć – rzekł Löwefell. – Ale być może wszystko stanie się zupełnie inaczej...

– Czy możesz nas ostrzec przed niebezpieczeństwami?

– Być może tak, domina. Obawiam się jednak, że istnieje również prawdopodobieństwo, iż moje ostrzeżenie wpędzi was w jeszcze większe kłopoty niż te, przed którymi miało uchronić.

Potem Löwefell opuścił głowę.

– Nie powinienem tu w ogóle być, Valerio – powiedział, zwracając się do inkwizytora z poufałością, która wynikała z bezradności oraz

smutku.

Położyła mu dłoń na ramieniu i tym razem odczuł ten dotyk, jakby otulił go rozgrzany letnim słońcem koc z miękkiej wełny.

– Tego nie wiemy, Arnoldzie – powiedziała wyrozumiale. – A jeśli nawet pojawiłeś się po to, by sprowadzić na nas zagładę, to może ta właśnie zagłada jest częścią planu wchodzącego w skład idealnej Bożej Mozaiki?

– Zagłada – powtórzył Löwefell. – Może i czeka nas zagłada...

Potem tknięty nagłym impulsem zwrócił się do Valerii.

– Nie miałaś nigdy wrażenia, domina, a może myśli lub przeczucia, że tylko całkowite wymazanie naszego istnienia tutaj, w tym świecie, pozwoli w ogólnym rozrachunku zatriumfować Bogu oraz jego stronnikom?

Valeria Flavia zatrzymała się i obróciła twarzą w stronę Löwefella. Stała tak blisko niego, że czuł nawet wyraźny zapach ochrowej farby, którą pomalowała twarz.

– Ja mam nie tylko przeczucie, lecz taką pewność, Arnoldzie – odparła spokojnie.

Potem spojrzała prosto w szare niebo, przesłonięte strzępami chmur wyłaniającymi się spod kopuły listowia.

– I mam również nadzieję, że zostałam wybrana jako jedno z boskich narzędzi, by ów zamysł przeprowadzić – dodała.

Później powiodła spojrzeniem za żołnierzami, ostrożnie i wśród ciszy brnącymi wśród wielkich drzew.

– Będziesz mi musiał powiedzieć, czemu nazywasz ich Siedmioma Wspaniałymi Rzymianami – powiedziała pogodniejszym tonem. – A także co wiesz o ich przyszłości...

– Zginą – odparł, nie zastanawiając się, Löwefell.

Inkwizytoria roześmiała się.

– A ja?

– Ty zginiesz również – rzekł.

Valeria Flavia pociągnęła go za rękę. Tym razem nie poczuł nic szczególnego poza uściskiem silnych palców oraz ciepłem i wilgocią dłoni mokrej od deszczu i mgły.

– Wesoly z ciebie kompan, Arnoldzie, nie ma co! – zawołała. – Czy

swoją przyszłość znasz równie dobrze?

– Ja nawet nie znam własnej przeszłości – odparł ze smutkiem.

– Przeszłość to za ledwie pokój za zamkniętymi drzwiami, Arnoldzie – powiedziała po chwili. – Możesz na nie napierać z całych sił i tłuc pięściami, a one nawet nie drgną. Lecz kiedy Bóg uzna za stosowne je otworzyć, wystarczy jedno Jego tchnienie.

– Cóż byłoby to za zadziwiające wydarzenie, gdyby się okazało, że klucz do mojej przeszłości został ukryty w lasach Germanii! – Löwefell pokręcił głową.

– W lasach Germanii kryje się więcej kluczy – głos inkwizytora nabral nagle ponurego brzmienia. – I mam też pewność, że przynajmniej jeden z nich otworzy nam takie drzwi, przez które żadne z nas nie chciałoby przejść...

– Jakie to drzwi? – zapytał po chwili inkwizytor.

Valeria uśmiechnęła się tylko i przyspieszyła kroku.

– Czas na popas! – zawołała głośno w stronę Rzymian. A potem odwróciła się jeszcze do Löwefella. – Nasi żołnierze mają spory zapas garum, które dokładają do każdego dania. Jest tak ostre i duszące, że chyba ono samo potrafiłoby otworzyć drzwi do piekła. – Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały zimne.

– Drzwi do piekła – powtórzył Löwefell z zadumą.

Inkwizytoria dotknęła palcem jego czoła, a potem tym samym palcem wskazała na ziemię pod ich stopami.

– Tu lub tam – rzekła. – Bo przecież nigdy do końca nie wiadomo... To stuknięcie palca w czoło, tak przecież delikatne, spotężniało w głowie Löwefella stukrotnym gromem i poczuł, jakby jego głowa i jego umysł były kryształami rozbijanymi na kowadle uderzeniami młota. Ocknął się obolały, ledwo przytomny i widzący cały świat jak przez mgłę lub gęsty dym. Cały świat, a w tym wypadku ścianę własnej sypialni i zamknięte na głucho okiennice. Dopiero po chwili dojrzał siedzącą na łóżku Matyldę i przez jakiś czas zastanawiał się, kim w ogóle jest ta dziewczyna ze ściągniętą zmartwieniem twarzą.

– Jesteś – odetchnęła z ulgą.

– Ależ to była niezwykła wizja – powiedział słabym głosem. – Byłem tam, Matyldo, wiesz? Byłem razem z Valerią i Rzymianami.

Rozmawiałem z nimi. To było tak wyraziste, tak realne...

Wzięła jego dłoń w swoje dłonie.

– Masz brudne ręce – stwierdziła.

Spuścił wzrok i zobaczył, że ma palce zazielenione od roślinnego soku, a pod paznokciami ziemię. Löwefell zawsze dbał o higienę, zresztą w klasztorze taka dbałość była niepisany prawem, więc ten widok niepomiernie go zdumiał. Jego dłonie, dłonie człowieka, który z łaźni wrócił do swojego łóżka, nie mogły być zielone od trawy czy liści i nie mogły być ubrudzone ziemią.

– Jak to możliwe? – szepnął.

– Czas nie jest rzeką bezpowrotnie znikającą za naszymi plecami, Arnoldzie – powiedziała poważnie. – A my nie jesteśmy łódeczkami z kory pchanymi przez nurt zawsze do przodu i do przodu, niezdolnymi decydować o sobie i kierunku, w jakim podążają – zawiesiła głos. – A przynajmniej nie zawsze i nie dla wszystkich tak właśnie jest... – Ścisnęła jego dłoń. – Rozumiesz, co mam na myśli?

Löwefell przymknął oczy. Był oszołomiony nie tylko niedawną wizją, z której tak ciężko mu było wrócić do realnego świata, ale przede wszystkim słowami Matyldy. Oczywiście, że już antyczni filozofowie zastanawiali się nad koncepcją czasu, jednak żaden z nich nie przypuszczał, iż zdarzenia z przeszłości mogą powrócić w innej formie niż jedynie platoński cykl powtórzeń. To terażniejszość jest wymiarem świata materialnego, przeszłość zaledwie wymiarem pamięci, a przyszłość zaledwie wymiarem oczekiwania. I tylko terażniejszość istnieje jako byt materialny. A przynajmniej tak Löwefell sądził do tej pory.

– Nie rozumiem – rzekł tylko znużonym głosem.

– Wstań, Arnoldzie. – Podała mu rękę. – Chodź, oprzyj się na mnie.

Posłuchał, gdyż rzeczywiście był tak osłabiony, że jej pomoc przydała mu się. Przeszli do salonu, a tam Matylda posadziła go na fotelu.

– Znasz pamiętniki Kasjusza, prawda? Znasz historię Siedmiu Wspaniałych Rzymian?

– Oczywiście, że znam. Przecież czytałem ci ją.

– Na pewno?

– Matyldo, dokąd prowadzą te pytania? Dobrze wiesz, tak samo jak

i ja, że przeczytałem ci dwukrotnie całe pamiętniki Kasjusza, więc czemu mnie o to pytasz?

– Na pewno dobrze je pamiętasz?

Wzruszył ramionami.

– Od czasu kiedy stałem się Arnoldem Löwefellem, niewiele rzeczy zapominam – odparł.

Sięgnęła na półkę po książkę i otworzyła ją. Przekartkowała, patrząc uważnie w tekst, po czym uśmiechnęła się do własnych myśli. Podała tom inkwizytorowi.

– Czytaj więc.

Löwefell nachylił stronice w kierunku, skąd padał blask świecy, i zamrugał. Nadal miał kłopoty z ostrością widzenia, choć słabość powoli zdawała się ustępować.

– „Wczoraj Valeria...” – zaczął.

– Nie, nie, akapit dalej – przerwała mu.

– Dobrze. „Dzisiaj napotkaliśmy w puszczy samotnego człowieka, który podał się za obywatela Cesarstwa. Mówił, że ma na imię Arnold, a jego łacina miała akcent, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem...” – Löwefell umilkł i zatrzasnął książkę. – To niemożliwe – rzekł.

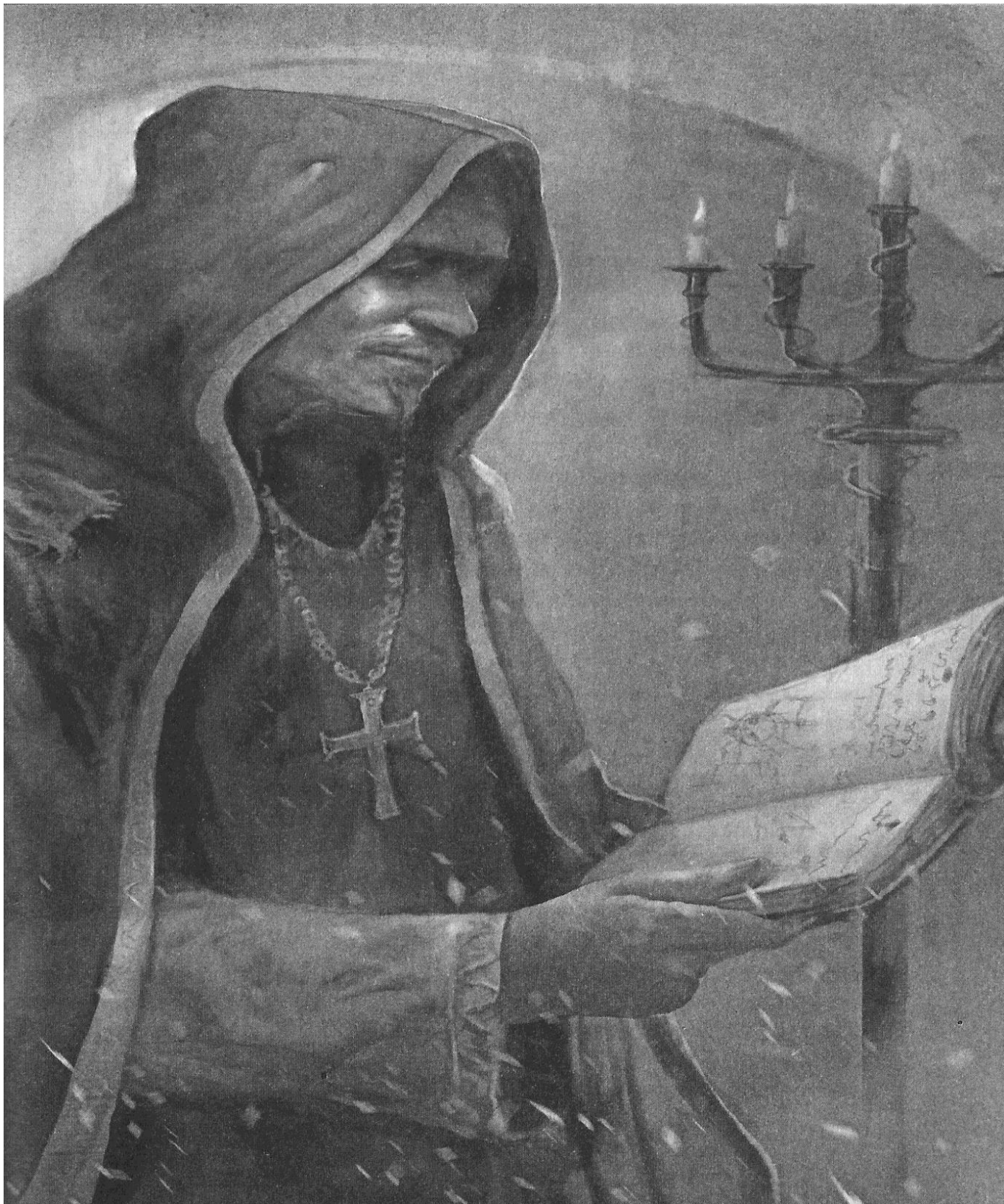
– Nie pamiętasz tego fragmentu?

– Tych słów nigdy nie było w pamiętnikach Kasjusza – stwierdził zdecydowanym tonem. – Nigdy!

– Ale teraz są – odpowiedziała.

Oboje długo milczeli.

– Co teraz? – zapytał w końcu Löwefell i pomyślał, że chyba nigdy wcześniej nie czuł się ani tak ogłupiały, ani tak przenicowany.



– Teraz będziemy myśleć, jak przedłużyć twoją podróż – odparła.
Pokręcił głową.

- Nie wierzę.
- To nie jest kwestia wiary – stwierdziła.

Löwefell nie był tego wcale pewien. Przecież to mógł być tylko omam. A może podstęp? A może intryga? A może znajdował się pod wpływem jej silnej woli i widział to, co ona pragnęła, aby widział. Jak przekonać się, co jest realnością, co wytworem wyobraźni, nieważne, własnej czy narzuconej przez kogoś innego? Gdzie przebiega granica pomiędzy obiektywnym istnieniem przedmiotu a subiektywną jego obserwacją? Czy tę granicę można wyznaczyć? Rozpoznać? Może tak jak chciał Gorgiasz, myśli są tak zdecydowanie oddzielone od realnego bytu, że nie sposób poznać dzięki nim rzeczywistego wyglądu świata?

– Nie zawracaj sobie głowy greckimi filozofami – powiedziała. – Nie myśl o przyczynie lub przebiegu działania, lecz o jego skutkach.

– Czyli o celu – rzekł. – Więc powiedz mi: jaki miałby być według ciebie ten cel?

Podeszła do niego i nachyliła się nad nim. Ujęła jego głowę w swoje dłonie i powiedziała z ustami niemal na jego ustach:

– Odnajdziesz Jezusa Chrystusa, Arnoldzie. Odnajdziesz go tak, jak Valeria Flavia i Decymus Kasjusz odnaleźli go w lasach Germanii.

Jej oczy zdawały się wielkie niczym wirujące szare kręgi. Niczym otchłań, w którą Löwefell zapadał się, czując taki sam przestach, jaki mógłby czuć człowiek, który właśnie runął w przepaść.

– Odnajdę Jezusa – powiedział cicho. – I co uczynię potem?

– Potem? – Zaśmiała się i poczuł jej oddech na swojej twarzy. – Potem oczywiście Go zabijesz, Arnoldzie. Zabijesz Go i uwolnisz nas wszystkich...

Koniec tomu drugiego

Tytuły w serii:



JACEK PIEKARA

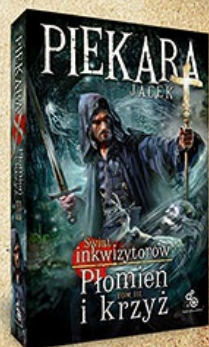
**INKWIZYTOR ARNOLD LÖWEFELL STAJE SIĘ
CORAZ POTĘŻNIEJSZYM CZŁONKIEM
WEWNĘTRZNEGO KRĘGU INKWIZYTORIUM.**

Cały czas usiłuje nie tylko odzyskać pamięć o swojej tajemniczej i mrocznej przeszłości, ale zmierzyć się z sekretami i wielopiętrowymi intrygami dręczącymi Święte Oficjum.

„Płomień i krzyż II” to również opowieść o niezwykłych kobietach: o potężnej wiedźmie służącej obecnie chrześcijanom, o czarodziejce swobodnie przemierzającej demoniczne wymiary, o perskiej magini ognia, a także o najsłynniejszej z nich wszystkich – heroinie z antycznych czasów – Valerii Flawii, inkwizytorii Jego Świątobliwości...

**Właśnie te kobiety odcisną piętno
na losach Świętego Oficjum.
One również zdecydują o przyszłości
całego chrześcijańskiego świata.**

Świat
inkwizytorów
Płomień i krzyż



fabryka słów®
WYDAWNICTWO



Polub nas na
facebooku



Wylączny
dystrybutor